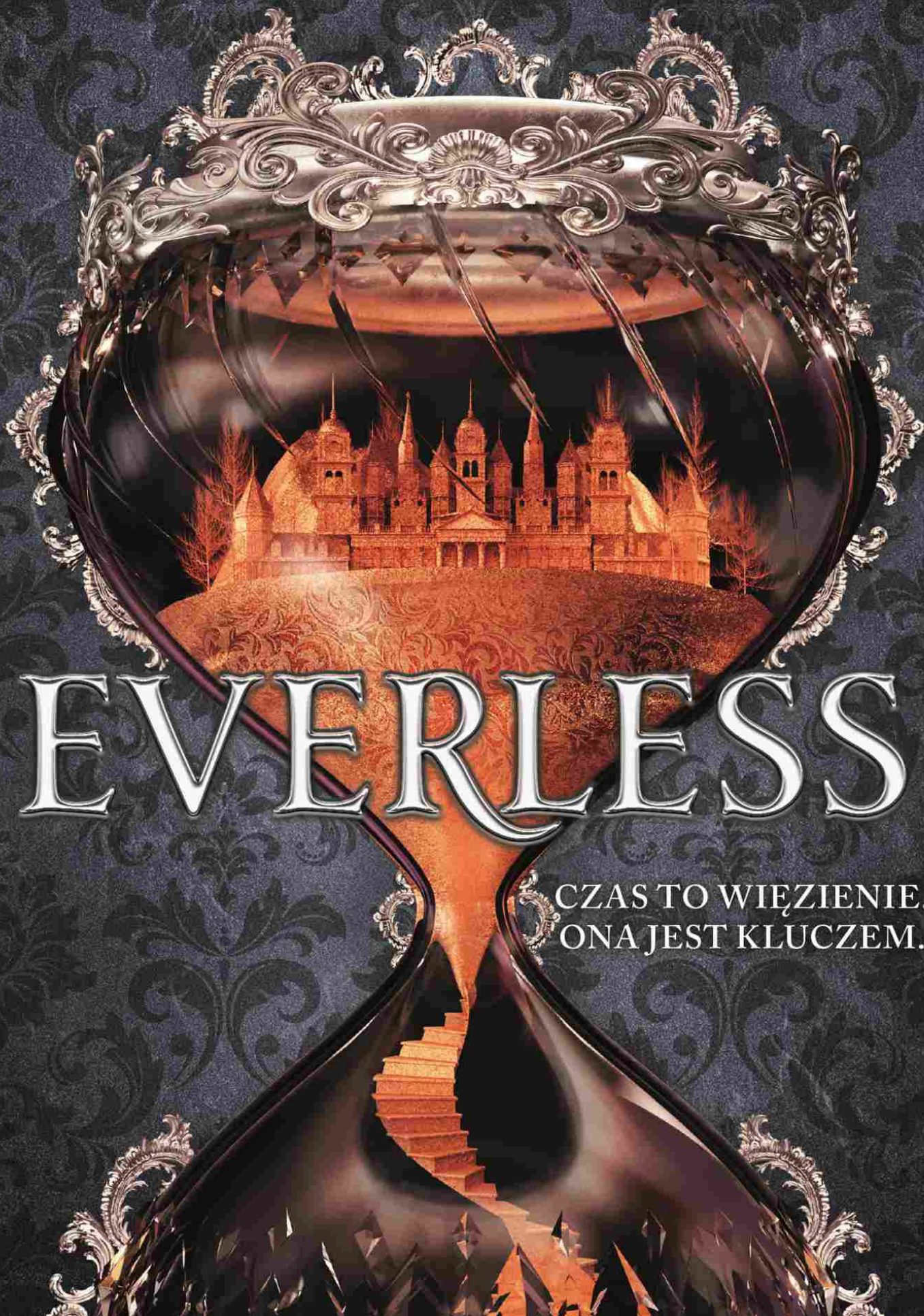


SARA HOLLAND



EVERLESS

CZAS TO WIEZIENIE.
ONA JEST KLUCZEM.

SARA HOLLAND



EVERLESS

Tłumaczenie: Ewa Bobocińska



Tytuł oryginału: Everless
Redakcja: Ekart
Korekta: Ewa Mościcka
Skład i łamanie: Arkadiusz Zawadzki/Aureusart
Opracowanie graficzne polskiej okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart
Copyright © 2018 by Glasstown Entertainment, LLC
Copyright for the Polish edition © 2019 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ISBN 978-83-7686-830-1

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2019

Adres do korespondencji:
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a
01-527 Warszawa
www.wydawnictwo-jaguar.pl
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

Patroni medialni:

BESTIARIUSZ
potwornie fantastyczny



Skład wersji elektronicznej: Marcin Kapusta

virtualo
konwersja.virtualo.pl

SPIS TREŚCI

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24

25

26

27

28

29

30

Epilog

Podziękowania

Moim rodzicom, za wszystkie opowieści

1

Większość ludzi uważa las za przerażający, wierzy w stare klechdy o wrózkach, które zamrożą czas w ich krwi, albo o wiedźmach, które szeptem rozsypią ich lata po śniegu. Powiada się nawet, że duch samego Alchemika krąży po tych lasach, wciągając wraz z oddechem całą wieczność.

Ja mam dość rozsądku, żeby nie obawiać się podobnych bujdy. W lasach kryje się prawdziwe zagrożenie – złodzieje, którzy czatują z ostrymi nożami i alchemicznym proszkiem u pasa na każdego, kto opuści bezpieczną wioskę, żeby ukraść mu czas. Nazywamy ich krwawcami. To przez nich tata nie lubi, kiedy chodzę na polowania, ale nie mamy wyboru. Na szczęście w zimie brak poszycia, w którym złodzieje mogą się ukryć, a śpiew ptaków nie zagłusza ich kroków.

Zresztą znam te lasy lepiej niż ktokolwiek inny. Zawsze je kochałam, uwielbiam splecione wysoko nad głową gałęzie drzew, które przepuszczają promienie słońca, a zatrzymują kąśliwy wiatr. Mogłabym spędzać tu całe dni, po prostu wędrować wśród drzew połyskujących oblodzonymi pajęczynami, wśród promieni słońca ostrych jak sztylety. Do widzenia.

Mrzonki. Nigdy nie zostawiłabym ojca samego, szczególnie jeśli jest...

– Nie jest – mówię sobie.

Kłamstwo zamarza w mroźnym powietrzu, spada na ziemię jak śnieg. Kopię je noskiem buta.

Tata twierdzi, że niektóre z drzew w tym lesie mają tysiąc lat. Rosły tutaj, zanim ktokolwiek z obecnie żyjących przyszedł na świat, rosły nawet przed narodzinami Królowej, a nawet zanim Alchemik i Czarodziejka zakłeli czas w krew i metal – jeśli w ogóle były kiedyś takie czasy. Te drzewa będą stały jeszcze długo po naszym zniknięciu. Choć nie są drapieżnikami, jak wilki czy ludzie. Korzenie pod moimi stopami nie żyją przez setki lat dzięki temu, że inne rośliny usychają i szarzeją. I nie można ich wykrwawić, żeby odebrać im czas.

Gdybyśmy mogli być bardziej podobni do drzew.

Stary muszkiet taty ciąży mi na plecach, bezużyteczny. Na przestrzeni wielu mil nie napotkałam żadnej zwierzyny, a za parę godzin zrobi się ciemno i stragany na targu pograżą się w mroku. Wkrótce będę musiała pójść do miasta i stanąć przed kredytodawcą czasu. Liczyłam, że polowanie uspokoi moje nerwy, przygotowuje mnie na to, co muszę zrobić.

A tymczasem jestem coraz bardziej przerażona.

Jutro w Crofton będą pobierane haracze. Rodzina Gerlingów, jak co miesiąc, napełni kufry naszą krwawicą, nazywając to opłatą za ich ochronę. Za ich ziemię. W zeszłym miesiącu nie mogliśmy zapłacić i poborca nam darował – tata wyglądał na bardzo chorego, a ja na zbyt młodą – ale nie z dobroci. W tym miesiącu zażąda podwójnej opłaty, może nawet jeszcze wyższej. Teraz, kiedy skończyłam siedemnaście lat i prawo zezwala na wykrwawianie moich lat, wiem, co muszę zrobić.

Tata będzie wściekły, jeżeli pozostanie przy zdrowych zmysłach.

Jeszcze tylko jedna próba, mówię sobie, przechodząc przez strumień płynący wśród drzew. Jego szmer zamilkł, bo woda zamarzła – ale w głębi dostrzegam błysk zieleni, brązu i złota: pstrąg, wijący się w niewidzialnym nurcie. Żywy pod lodem.

Przykłąkam szybko i kolbą strzelby rozbijam tafłę lodu. Czekać, aż woda się uspokoi i ponownie zobaczę błysk łusek, zanoszę bezgłośnie, desperackie błagania do Czarodziejki. Krwawe pieniądze, jakie dostanę za tego pstrąga nie będą miały większego wpływu na wysokość haraczu, jaki musi zapłacić tata, ale nie chcę przyjść na targ z pustymi rękami. I nie przyjdę.

Koncentruję się, staram się uspokoić przyspieszone bicie serca.

I wtedy – czasami tak się zdarza – cały świat zdaje się zwalniać. Nie, wcale się nie zdaje. Gałęzie naprawdę przestają szeptać na wietrze. Cichnie nawet ledwo słyszalne trzaskanie śniegu wtapiającego się w ziemię, jakby świat wstrzymał oddech.

Spoglądam w dół, na lekki połysk łusek w mętnej wodzie – on również zastygł, czas się zatrzymał. Uderzam, zanim ta chwila minie, zanurzam gołą rękę w strumieniu.

Szokujące zimno obejmuje mój nadgarstek, palce mi drętwieją. Ryba pozostaje w bezruchu – osłupiała – kiedy po nią sięgam, zupełnie jakby chciała zostać złapana.

Kiedy zaciskam palce wokół jej śliskiego ciała, czas znowu zaczyna biec. Ryba miota się, jest jednym wielkim mięśniem, gwałtownie wciągając powietrze i o mało jej nie tracę. Ale nie udaje się jej odzyskać wolności, z wprawą wyciągam ją z wody i wrzucam do worka. Przez sekundę obserwuję, z lekkimi mdłościami, jak ryba miota się w środku, aż cały worek podskakuje.

Potem torba nieruchomieje.

Nie wiem, dlaczego czas niekiedy tak zwalnia, całkiem niespodziewanie. Nie mówię o tym tacie, żeby go nie niepokoić – widział kiedyś, jak z pewnego człowieka wykrwawiono dwadzieścia lat za to tylko, że głosił, iż jednym machnięciem ręki potrafi cofnąć czas o godzinę. Pokątne wiedźmy, takie jak Calla z naszej wioski, są tolerowane jako rozrywka dla zabobonnych – dopóki płacą haracz. Kiedyś chodziłam słuchać opowieści Calli o zakłóceniach czasu, o zwalnianiu jego biegu, co powoduje czasem nawet pęknięcie albo trzęsienie ziemi, ale tata zabronił mi chodzić do niej w obawie, że to mogłoby zwrócić na nas uwagę. Nadal pamiętam zapach jej perfum – korzenny, doprawiony krwią starożytnych

rytuałów. Ale jeśli tata mnie czegoś nauczył, to tego, że dopóki nie podnosimy głowy, jesteśmy bezpieczni.

Chowam dłonie pod pachami, żeby je rozgrzać, ponownie przechodzę na drugą stronę strumienia i wytyżam wzrok. Ale nie pojawia się już żadna ryba, a słońce wsuwa swoje promieniste ramiona pomiędzy drzewa.

Niepokój ściska mi żołądek.

Nie mogę już dłużej odwlekać wyprawy na targowisko.

Od lat wiedziałam, że w końcu do tego dojdzie, ale i tak klnę pod nosem. Zawracam w stronę miasteczka i zarzucam ociekającą wodą sakwę na ramię. Zaszłam dalej niż zwykle i teraz tego żałuję, bo moje zniszczone buty przemokły na śniegu, a drzewa pochłaniają resztki ciepła dnia.

W końcu las się przerzedza i w polu widzenia pojawia się bita droga prowadząca do miasta, którą koła setek wozów zmieniły w zamarzną breję. Brnę poboczem i zbieram siły na to, co mnie czeka. Prześladowają mnie myśli o ostrzu noża kredytodawcy czasu i fiolkach czekających na napełnienie krwią, która potem zostanie przekształcona w żelazo. I o fali wyczerpania, które, jak słyszałam, następuje po wysączeniu czasu z żył.

Ale znacznie gorsza jest perspektywa wysłuchiwania, jak za cienką ścianą naszej chaty tata wierci się i przewraca z boku na bok na sienniku. Czarodziejka wie, jak bardzo on potrzebuje wypoczynku. Przez ostatni miesiąc nikał w oczach, jak zimowy księżyc.

Mogłabym przysiąc, że jego oczy szarzeją – a to znak, że czas człowieka dobiega końca.

To tłumaczy, dlaczego dziś rano zapomniał o moich urodzinach, choć wolałabym jakiegokolwiek inne, nie tak proste wyjaśnienie.

Tata nigdy dotąd nie zapomniał o moich urodzinach, ani razu. Gdyby tylko przyznał, że sprzedawał czas, choć błagałam go, żeby tego nie robił, choć prosiłam, aby mi pozwolił oddać mu kilka lat. Gdyby tylko Czarownica i Alchemik istnieli naprawdę, gdybym mogła ich uwięzić i zażądać, aby znaleźli sposób na przedłużenie mu życia.

A jeśli – nie mogę pogodzić się z tą myślą – a jeśli został mu już tylko miesiąc albo dzień?

Przychodzi mi na myśl stara żebraczka z Crofton, która wykrwawiła ostatni tydzień życia za miskę zupy, kuśtykała od drzwi do drzwi, pozdrawiała każdego z mieszkańców miasteczka i błagała o jedno czy dwudniową monetę, albo choćby o kromkę chleba. Najpierw zapomniała imiona ludzi – potem zatarła się w jej pamięci topografia wioski, więc snuła się po polach, podnosiła rękę i pukała w powietrze.

Znaleźliśmy ją z tatą w pszenicy, zimną jak lód. Jej czas upłynął. A zaczęło się od zapomnienia.

Na myśl o niej zaczynam biec. Popędza mnie własna krew, która domaga się, żebym zamieniła ją na pieniądze.

Crofton zapowiada swoją obecność najpierw dwoma cienkimi smużkami dymu, potem zza pagórka wyłania się patchwork dachów. Wąska ścieżka prowadząca do naszej chaty odchodzi na wschód od głównej drogi, sporo przed granicami miasteczka. Ale mijam ją i idę dalej, w stronę hałaśliwego, zadymionego targowiska.

W obrębie niskiego, kamiennego muru, który z grubsza wyznacza granice Crofton, domy cisną się do siebie, stłoczone jak ludzie w zbitym tłumie. Zupełnie jakby ta bliskość mogła odegnać chłód, odepchnąć lasy, albo spowolnić upływ czasu. Przechodnie mijają mnie w pośpiechu, okutani wieloma warstwami odzieży, z głowami pochylonymi na wietrze.

Targowisko to po prostu długi odcinek zabłoconego bruku u zbiegu trzech dróg. Dziś po południu bardzo tu tłoczno i hałaśliwie: haracz muszą płacić wszyscy, więc pełno sprzedających. Mężczyźni w prostych, farmerskich ubraniach i kobiety z dziećmi w chustach na plecach targują się o bele materiału, bochenki chleba i bydlęce kości pełne szpiku, ignorując garstkę żebraków, którzy wędrują od straganu do straganu, powtarzając jak refren – Godzinke? Godzinke? – ale ich błagania giną w ogólnym gwarze. Powietrze jest ciężkie od dymu z ognisk, na których warzą się tłuste potrawy.

Przed kantorem Edwina Duade, lichwiarza czasu, wije się długa kolejka; tata i ja nie jesteśmy jedynymi, którzy ciułają każdy miesiąc, żeby związać koniec z końcem. Ten widok powoduje u mnie zawsze ból brzucha – tuziny osób zgrupowanych pod ścianami i czekających, by czas wysączony z ich krwi przemienił się w krwawe monety. Wiem, że powinnam do nich dołączyć, ale jakoś nie mogę się zmusić, by stanąć w kolejce. Jeśli tata się dowie...

Może lepiej najpierw coś zjem, wzmocnię się trochę, zanim sprzedam swój czas. No i przehandluję również swoją dzisiejszą zdobycz, choć jest dość mizerna.

Ruszam do kramu rzeźnika, za ladą stoi moja przyjaciółka Amma i podaje paski suszonego mięsa gromadce uczennic w czystych fartuszkach. Czuję ukłucie nostalgii połączonej z zazdrością. Mogłam być jedną z tych dziewczynek. I byłam, kiedyś. Po wygnaniu z Everless, posiadłości Gerlingów – na samą myśl o tym czuję przypływ gniewu, który znam równie dobrze jak bicie własnego serca – tata wydawał wszystkie zaoszczędzone pieniądze na książki i papier dla mnie, żebym mogła chodzić do szkoły. Ale kiedy jego wzrok się pogorszył, stracił pracę i skończyły się pieniądze na książki i papier. Tata nauczył mnie wszystkiego, co umie, ale to nie to samo co szkoła.

Odpycham te myśli od siebie i macham ręką do Ammy, kiedy udaje mi się pochwycić jej spojrzenie. Uśmiecha się do mnie, marszcząc przy tym bliznę przecinającą jeden z jej policzków. To pamiątka po najeździe krwawców na wioskę, w której przysłała na świat, po ataku, który pozbawił życia jej ojca, a matce pozostawił tylko odrobinę krwi, zaledwie na kilka dni. Czepiała się życia, dopóki nie dowiozła córek do Crofton, potem jej czas się wyczerpał i zostawiła malutką Alię pod opieką Ammy.

Dla Ammy – i prawdopodobnie dla wielu z tych uczennic, pomiędzy którymi się teraz

przeciskam – moja nienawiść do Gerlingów mogłaby być niezrozumiała. Gerlingowie strzegą swoich miast przed krwawcami i rozbójnikami w rodzaju tych, którzy zabili rodziców Ammy, nadzorują również handel. W zamian za ochronę oczekują lojalności – no i, oczywiście, krwawych pieniędzy co miesiąc. Granice Sempery są pilnie strzeżone, żeby nie dopuścić do ucieczki kogoś, kto zna tajemnicę krwawego metalu, dlatego tata i ja pozostajemy na ziemiach Gerlingów, choć przed wielu laty wygnano nas z Everless za spalenie kuźni.

Pamiętam Everless – korytarze pokryte gobelinami, drzwi z lśniącego brązu, mieszkańców paradujących w złocie, srebrze i klejnotach. Żaden z Gerlingów nie ganiałby nikogo po lasach, żeby poderżnąć mu gardło, ale i tak są złodziejami.

– Słyszałam, że wyznaczyli już datę, na pierwszy dzień wiosny – wyrzucą z siebie jedna z uczennic.

– Nie, wcześniej – twierdzi druga z naciskiem. – On jest taki zakochany, że nie mógłby czekać ze ślubem do wiosny.

Słucham tego jednym uchem, wiem, że gadają o czymś, co jest w ostatnich dniach na ustach wszystkich – o ślubie Roana, który połączy dwa najpotężniejsze rody w Semperze.

O ślubie lorda Gerlinga, poprawiam się w myślach. To nie jest już tamten chudy jak patyk, szczerbaty chłopiec, którego znałam, który bawił się z dziećmi służby w chowanego. Po ślubie z Iną Gold, podopieczną Królowej, stanie się niejako synem Jej Królewskiej Mości. Królestwo Sempery jest podzielone pomiędzy pięć rodów, ale Gerlingowie kontrolują jedną trzecią terytorium państwa. Dzięki ślubowi Roana staną się jeszcze potężniejsi. Amma patrzy na mnie i przewraca oczami.

– No, już – mówi i odprawia uczennice. – Dość tego gadania.

Dziewczęta czmychają, wirują jaskrawe kolory, rozpromienione twarze. Amma, w odróżnieniu od nich, wygląda na zmordowaną, ma włosy mocno ściągnięte w koński ogon i ciemne kręgi pod oczami. Wiem, że musi być na nogach od świtu, zajęta wieszaniem i krojeniem mięsa. Wyciągam nędznego pstrąga i kładę go na wadze.

– Długi dzień? – Jej ręce już są w ruchu, już zawijają rybę w papier.

– Na wiosnę będzie lepiej. – Uśmiecham się z wysiłkiem. Amma jest najlepszą przyjaciółką na świecie, ale nawet ona nie zdaje sobie sprawy, jak źle się wiedzie mnie i tacie. Gdyby wiedziała, że będę wykrwawiona, litowałaby się nade mną – albo, co gorsza, zaproponowałaby pomoc. Nie chcę tego. Amma ma dość własnych kłopotów.

Daje mi za rybę zaplamioną krwią monetę godzinową, a w prezencie dorzuca pasek suszonego mięsa. Kiedy je przyjmuję, nie cofa ręki.

– Miałam nadzieję, że dzisiaj przyjdiesz – mówi, zniżając głos. – Muszę ci coś powiedzieć.

Jej palce są lodowate, a ton aż nazbyt poważny.

– Co? – pytam, siłąc się na lekki ton. – Czy Jacob poprosił cię wreszcie, żebyś z nim

uciekła? – Jacob to miejscowy chłopak, którego oczywista słabość do Ammy stanowi od lat temat naszych żartów.

Amma potrząsa głową i nie uśmiecha się.

– Opuszczam wioskę – mówi, nadal trzymając mnie mocno za rękę. – Będę pracowała w Everless. Zatrudniają więcej służby do pomocy w przygotowaniach do wesela. – Uśmiecha się niepewnie.

Z mojej twarzy znika uśmiech, w piersi czuję rozchodzący się chłód.

– Everless – powtarzam za nią tępo.

– Jules, słyszałam, że płacą rok za miesiąc pracy. – Jej oczy błyszczą. – Cały rok! Wyobrażasz sobie?

Rok, który nam ukradli, myślę.

– Ale... – Gardło mi się ściska. Przez większość czasu udaje mi się trzymać wspomnienia z Everless, z dzieciństwa, na wodzy. Ale twarz Ammy, tak pełna nadziei, wyzwala je i zalewają mnie jak fala przyływu – labirynty korytarzy, rozległe trawniki, uśmiech Roana. A potem to wszystko pochłaniają płomienie. W ustach czuję smak goryczy.

– Nie słyszałaś plotek? – pytam. Uśmiech Ammy blednie, więc milknę, nie chcę mącić jej szczęścia. Ale nie mogę już cofnąć wypowiedzianych słów, więc brnę dalej. – Że zatrudniają wyłącznie dziewczęta. Ładne kobiety. Stary lord Gerling zabawia się ze służącymi pod nosem żony.

– To ryzyko, które muszę podjąć – odpowiada cicho. Jej ręce opadają, wypuszcza moją dłoń. – Alia też jedzie, i Karina również. Jej mąż jest hazardzistą i przegrał ich czas. – Widzę gniew w oczach Ammy, bo Karina jest dla niej jak matka i Amma wpada we wściekłość na widok jej cierpienia. – Nikt nie ma pracy. Everless to dla mnie jedyna szansa, Jules.

Chcę dalej polemizować, przekonywać ją, że los dziewczyny w Everless jest niewdzięczny i poniżający, że wszystkie stają się wyłącznie bezimiennymi pracownicami, ale nie mogę. Amma ma rację – ci, którzy służą Gerlingom, są dobrze wynagradzani, przynajmniej jak na standardy Crofton, choć krwawe pieniądze, jakie otrzymują, są odbierane – kradzione – ludziom takim jak Amma, ja i tata.

Ale ja wiem, co znaczy głód, a Amma nie podziela mojej nienawiści do Gerlingów, nie zna ich okrucieństwa tak dobrze jak ja. Więc uśmiecham się do Ammy, najlepiej jak potrafię.

– Na pewno będzie wspaniale. – Mam nadzieję, że nie usłyszała w moim głosie powątpiewania.

– Pomyśl tylko, zobaczę na własne oczy Królową! – wykrzykuje Amma. Tata w sekrecie pogardza Królową, ale większość rodzin ma do niej niemal nabożny stosunek. Właściwie mogłaby być boginią: żyje od czasów Czarodziejki. Kiedy krwawe żelazo rozpanoszyło się w żyłach wszystkich ludzi, nadciągnęli najeźdźcy z innych królestw. Królowa, stojąca wówczas na czele semperańskiej armii, rozgromiła ich i od tamtej pory rządzi.

– I zobaczę Inę Gold – kontynuuje Amma. – Pewnie jest bardzo piękna.

– Musi być piękna, jeśli wychodzi za lorda Gerlinga – odpowiadam lekko. Ale ścisza mnie w brzuchu na myśl o lady Gold. Wszyscy znają jej historię: jest sierotą, jak wiele innych, została porzucona jako niemowlę na kamienistej plaży koło pałacu na wybrzeżu Sempery, w ofierze dla Królowej. W obliczu wielu zamachów na swoje życie, szczególnie w początkowym okresie, Królowa postanowiła nie mieć własnych dzieci ani współmałżonka; obiecała natomiast wybrać dziecko, które wychowa na księżniczkę bądź księcia – i jeśli okaże się tego godne, przekazać mu koronę, gdy będzie gotowa zrezygnować z tronu. Możliwe, że rodzice Iny byli jeszcze bardziej zdesperowani niż wieśniacy z Crofton. Dziewczynka wpadła w oko jednej z dam dworu Królowej i władczyni wybrała Inę Gold na swoją córkę – a dwa lata temu oficjalnie wyznaczyła ją na swą następczynię.

Obecnie Ina ma siedemnaście lat. Jest w tym samym wieku co Amma i ja – ale odziedziczy tron, królewski bank czasu i będzie żyła setki lat. A jej życie będzie upływało na festynach, balach i rzeczach, których ja nie potrafię sobie nawet wyobrazić, i nie będzie sobie zwracała głowy mną, ani wszystkimi innymi, pędzącymi swoje małe, nędzne życie poza murami pałacu.

Wmawiam sobie, że to właśnie jest przyczyną zazdrości, która stoi mi kością w gardle, a nie jej małżeństwo z Roanem.

– Ty też mogłabyś pojechać, Jules – mówi cicho Amma. – Nie byłoby źle, gdybyśmy trafiły tam razem i mogły się nawzajem wspierać.

Przez sekundę wyobrażam to sobie – wąskie korytarze dla służby i rozległe trawniki, wspaniałe marmurowe klatki schodowe.

Ale to niemożliwe. Tata nigdy się nie zgodzi. Zostaliśmy zmuszeni do ucieczki z Everless, ucieczki od Gerlingów. To przez nich głodujemy.

Przez Liama.

– Nie mogę zostawić taty – odpowiadam. – Przecież wiesz.

– To do zobaczenia po moim powrocie – wzdycha Amma. – Chciałabym zaoszczędzić tyle czasu, żeby móc wrócić do szkoły.

– Dlaczego tak się ograniczasz? – szydę. – Może zakocha się w tobie jakiś szlachcic i porwie cię do swojego zamku.

– Ale co by wtedy zrobił Jacob? – Amma puszcza do mnie oko, a ja śmieję się z przymusem. Bo uświadamiam sobie, jak bardzo będę samotna przez długie miesiące jej nieobecności. Nagle ogarnia mnie obawa, że już nigdy nie zobaczę przyjaciółki, więc biorę ją w objęcia. Pomimo wielogodzinnej pracy przy oddzielaniu kości i chrząstek, włosy Ammy nadal pachną polnymi kwiatami.

– Wrócę, zanim się obejrzysz – zapewnia. – I będę miała co opowiadać.

– W to nie wątpię – mówię. Ale nie dodaję: mam tylko nadzieję, że to będą szczęśliwe opowieści.

Zwlekam z odejściem od Ammy, jak długo się da, ale słońce nie przestaje się zniżać. Więc w końcu, pełna przerażenia, wlokę się do lichwiarza czasu. Kluczę między straganami, żeby znaleźć koniec długiej kolejki, prowadzącej pod drzwi Duade'a z wypalonym symbolem klepsydry. Za nimi będzie błysk ostrza i proszek, który zmienia krew i czas w żelazo.

Nie podnoszę oczu znad ziemi, żeby nie widzieć ludzi wychodzących z kantoru, pobladłych, bez tchu i trochę bliższych śmierci. Próbuję sobie powtarzać, że niektórzy z nich już nigdy więcej nie odwiedzą lichwiarza czasu – że w następnym tygodniu, po znalezieniu pracy, pójdą do domu, wrzucą krwawe monety do herbaty i wypiją je. Ale coś takiego nie zdarza się tutaj, w Crofton; przynajmniej ja nigdy tego nie widziałam. My tylko zawsze się wykrwawiamy, tylko zawsze sprzedajemy nasz czas.

Po kilku minutach moją uwagę przyciąga jakieś zamieszanie, więc podnoszę wzrok. Ze sklepu wychodzi trzech mężczyzn – dwóch poborców, ludzi z Everless, z herbem rodziny panującej na piersiach i krótkimi mieczami wiszącymi u pasa; pomiędzy nimi lichwiarz czasu, Duade, trzymany przez nich pod rękę.

– Puśćcie mnie! – krzyczy Duade. – Nie zrobiłem nic złego! Tłum wydaje zduszony pomruk, czuję, jak panika ogarnia nas wszystkich. Z pewnością w kantorze Duade'a dochodziło do wielu nielegalnych zdarzeń, ale policja Gerlingów zawsze przymykała na to oko, wystarczyło znaczące mrugnięcie, skinienie głową i miesięczna moneta przechodziła z ręki do ręki. Lichwiarz czasu może i jest typem obleśnym i pazernym, ale od czasu do czasu wszyscy go potrzebujemy.

Dzisiaj ja go potrzebuję.

W czasie bezowocnej szarpaniny Duade'a z funkcjonariuszami, na placu rozlega się niespodziewanie stukot końskich kopyt uderzających o bruk. Wszyscy milkną, Duade nieruchomieje w uścisku poborców, gdy zza rogu wyłania się młody mężczyzna na białym koniu, w kapturze naciągniętym na głowę dla ochrony przed zimnem.

Roan. Serce mi mocniej zabiło, pomimo wszystko. W ostatnich miesiącach, po dojściu do pełnoletności, Roan Gerling zaczął odwiedzać wioski należące do jego rodziny. Kiedy pojawił się po raz pierwszy, ledwo go poznałam, taki się stał smukły i piekielnie przystojny. Od tej pory, ilekroć idę na targ, mam skrytą nadzieję, że go zobaczę, choć wiem, że on mnie nie zauważy. Chciałabym go nienawidzić za te piękne ubrania, za to rozglądanie się dookoła z lekkim, łaskawym uśmiechem, przypominającym nam, że to on jest właścicielem każdego drzewka, domu i kamienia w bruku. Ale wspomnienia związane z Roanem wrosły mi zbyt głęboko w serce, bym mogła go nienawidzić, choćbym najbardziej się starała. Poza tym poborcy stają się w jego obecności bardziej pobłażliwi. Cokolwiek się dzieje z Duadem, Roan położy temu kres.

Ale kiedy wracam spojrzeniem do stojących przed kantorem mężczyzn, na twarzy uwięzionego między dwoma poborcami Duade'a maluje się wyraz, który w żadnym wypadku nie jest ulgą. To czyste przerażenie.

Odwracam się, zdezorientowana, w momencie, gdy chłopak zrzuca z głowy kaptur. Ma proste, szerokie ramiona, złocistą skórę i ciemne włosy. Ale jest samą surowością: groźnie ściągnięte brwi; ostry nos; wysokie, arystokratyczne czoło.

Powietrze ucieka mi z płuc.

To nie Roan. To Liam. Liam, starszy brat Roana, który, jak sądziłam, jest w bezpiecznym oddaleniu, studiuje historię w jakiejś obrośniętej bluszczem akademii nad oceanem. Liam, który od dziesięciu lat nawiedza moje senne koszmary. Tak często śniła mi się nasza ucieczka, że nie potrafię już oddzielić koszmarów od wspomnień; jedno tata postarał się wbić mi do głowy: Liam Gerling nie jest naszym przyjacielem.

Liam próbował zabić Roana, kiedy byliśmy dziećmi. Bawiliśmy się wszyscy troje w kuźni i Liam wepchnął brata do ognia. Gdybym nie wyciągnęła Roana, zanim objęły go płomienie, spłonąłby żywcem. W nagrodę musieliśmy uciekać z jedyne go domu, jaki znałam, ponieważ tata obawiał się tego, co mógłby mi zrobić Liam, gdybyśmy zostali w Everless. Jako jedyna wiedziałam co zrobił.

Potem, kiedy miałem dwanaście lat, Liam odnalazł mnie i tatę w chatce pod Rodshire. Tata wygonił Liama, ale ich bijatyka obudziła mnie w środku nocy, a kiedy wyszłam z sypialni, tata złapał mnie za rękę i uciekliśmy po raz drugi.

Stoję teraz jak sparaliżowana, w poczuciu, że urzeczywistniły się moje najgorsze obawy – po tych wszystkich latach Liam znalazł mnie i mojego ojca, znowu.

Wiem, że powinnam się odwrócić, ale nie mogę oderwać od niego oczu, nie mogę przestać widzieć go takim, jakim był dziesięć lat temu, kiedy spoglądał na mnie z nienawiścią przez ścianę dymu, w dniu, w którym uciekliśmy z Everless na zawsze.

I słyszę w uszach głos taty: *Jeżeli zobaczysz kiedyś Liama Gerlinga, uciekaj.*

2

Nawet w wieku dziesięciu lat Liam był zimny i wyniosły. W niespełna rok po opuszczeniu przez nas posiadłości został wysłany do szkoły z internatem, ale pogłoski o nim nie przestawały krążyć po wszystkich ziemiach należących do jego rodziny. Służący z Everless, przysyłani z różnymi sprawami do Crofton, opowiadali, że spokój Liama potrafi w mgnieniu oka zmienić się we wściekłość, że rodzice obawiali się go i dlatego odesłali go z domu. Ale to nie wściekłość sprawiła, że wepchnął brata do paleniska w kuźni, a potem wytropił nas w Rodshire. Powodowało nim okrucieństwo. Nie mogę sobie wyobrazić, do jakich rozmiarów urosło w nim zło na przestrzeni lat.

Cofam się do najbliższej bramy i zachodzę w głowę, jak mogłam go wziąć za Roana. Chłopcy są tego samego wzrostu i tej samej mocnej budowy, obaj mają czarne, kręcone włosy – ale loki Roana są niesforne i rozwichrzone, natomiast Liama ulizane, zaczesane do tyłu. Ma wąskie, zaciśnięte usta, bez śladu humoru, a oczy zmrużone i nieprzeniknione. Wznosząc się na koniu ponad tłumem, przypomina posąg, siedzi w siodle sztywno wyprostowany – dumny, nieubłagany, ponadczasowy. Przesuwa wzrokiem po nas, małych ludziach, czekających na spotkanie z Duadem.

Sięgam do kaptura, żeby ukryć twarz, ale za późno – jego spojrzenie już spoczęło na mnie. Czy wyobraziłam sobie tylko, że zatrzymało się przez chwilę, że jego oczy przyglądają się badawczo mojej twarzy? Trwoga dławi mnie w gardle, trzęsącymi się rękami naciągam kaptur na włosy. Chcę odwrócić się i uciec z tej kolejki, ale stałabym się przez to jeszcze bardziej podejrzana.

Na szczęście miejski plebs najwyraźniej nie wzbudza zainteresowania Liama. Przesuwa spojrzenie ze mnie na swoich strażników, którzy trzymają między sobą Duade'a.

Stary lichwiarz czasu robi wrażenie śmiertelnie przerażonego. Roan odwołałby swoich ludzi, ale Liam jest pozbawiony jego dobroci.

– Proszę... – Cisza wokół panuje taka, że z miejsca, w którym stoją, słyszę błagania Duade'a. – To była pomyłka, milordzie, przysięgam, nic więcej.

– Złamałeś prawo. Wykrwawiłeś czas z dziecka. – Głos Liama jest głębszy, ale równie zimny jak w dzieciństwie. – Zaprzeczysz?

Po twarzach otaczających mnie ludzi przemyka cień dawnego bólu i już wiem, że w tej kolejce stoją rodzice. Dziecięcy czas jest nieprzewidywalny, trudno go zmierzyć, łatwo pobrać za dużo i przez przypadek zabić dawcę. Ale wiele osób nie ma wyboru i wyobrażam

sobie, że patrzeć, jak dziecko się wykrwawia, to najsrozsza kara, gorsza od wszystkiego, co Gerlingowie mogliby sobie wymarzyć.

– Skąd mogłem wiedzieć, że ona była jeszcze dzieckiem? – Duade spogląda na Liama dzikim wzrokiem, z ust płynie mu nieprzerwany potok bezużytecznych wykrętów. – Wierzę w to, co mi się mówi, milordzie, jestem tylko sługą...

Głos Liama przecina powietrze, zimny i ostry jak nóż.

– Zabrać go do Everless. Wykrwawić rok.

Duade'a zatyka na chwilę.

– Rok? – Przez chwilę robi wrażenie kompletnie osłupiałego. Potem na jego twarzy pojawia się panika. – Lordzie Gerling, błagam...

Poborcy wloką Duade'a do czekającego wozu. Liam robi taki ruch nogą, jakby zamierzał zsiąść z konia, a mnie mdłości podchodzą do gardła. Obawiam się, że zaraz zemdleję. W tym momencie coś odwraca uwagę Liama, a ja opuszczam głowę i uciekam z kolejki w stronę zaułka, prowadzącego skrótem do domu.

Na końcu targowiska oglądam się za siebie. I natychmiast tego żałuję. Ludzie odpływają już spod kramu lichwiarza czasu, ale Liam jest tam nadal i patrzy prosto na mnie. Moje serce gubi rytm, na chwilę, która zdaje się ciągnąć w nieskończoność, zamieram, sparaliżowana jego przenikliwym spojrzeniem. Jeśli mnie rozpozna...

Uciekaj. Głos ojca.

Ale Liam już trąca piętami boki konia i zawraca na główną drogę, jakby nie mógł się doczekać, by zostawić za sobą tak godne pogardy miejsce jakim jest nasze miasteczko. Biorę oddech, który nawet w moich własnych uszach brzmi urywanie, odwracam się również i śpieszę do domu.

Gdy wybiegam z miasta na nasze nieurodzajne pole pszenicy, panika, spowijająca jak obłok mój mózg, rozwiewa się nieco, pozostaje tylko głębokie, nieodparte przerażenie, które ściska mój żołądek od czasu, gdy poczułam na sobie spojrzenie Liama. Od tamtego wieczora, w którym zostaliśmy wypędzeni z Everless, miewam koszmarnie sny – wypełnione dymem ogniste horrory o ścigającym mnie zabójcy bez twarzy. Obrazy pełne ognia, grozy i kwaśnego zapachu topionego metalu i płonącej słomy, który znowu czuję w nozdrzach, kiedy przypominam sobie oczy Liama.

Nie widział mnie od dziesięciu lat, powtarzam sobie raz za razem. Tata i ja byliśmy tylko służącymi, a ja miałam wtedy siedem lat, koślawe kolana i czapeczkę służącej na głowie. Tatę mógłby rozpoznać, ale mnie raczej nie.

Dopiero na widok naszej chaty i strużki dymu unoszącej się z komina przypominam sobie, że miałam przynieść do domu obiad. Cóż, dzisiaj będzie nam musiał wystarczyć pasek suszonej sarniny, który dostałam w prezencie od Ammy. Mam nadzieję, że dla taty godzinowa moneta, jaką dostałam za pstrąga, będzie warta pustego brzucha.

Słońce schodzi coraz niżej. Spoglądam na zachód, w stronę horyzontu, gdzie niebo ma

kolor szary i złocisto-czerwony. Mija kolejny dzień.

Na tylnych drzwiach naszego domu wisi przywiedły wieniec z choiny, a w oknie lisi ornament, który skleciłam z gwoździ i drutu, kiedy byłam mała. Moja matka najwidoczniej wierzyła w tego typu talizmany. Tata mówi, że mogła całymi godzinami wiązać nitką gałęzie albo polerować starożytną, drewnianą statuetkę Czarodziejki – uroczą figurkę z zegarem w jednej, a nożem w drugiej ręce – która stoi na parapecie i ma nam zapewnić ochronę oraz długowieczność. Podobna rzeźba, tylko znacznie większa i nie tak piękna, stoi pod zachodnim murem Crofton, a ludzie pobożni – albo zdesperowani – zanoszą do niej modły o błogosławieństwo. Wiem, choć tata nigdy o tym nie mówi, że zachował te przedmioty ze względu na pamięć mamy. Nie wierzy w nie, podobnie jak ja. Jeżeli Czarodziejka istnieje naprawdę, to nie wysłuchuje naszych prośb.

Po wejściu do domu zatrzymuję się na moment w ciemnej kuchni, czekam, aż moje oczy przyzwyczają się do ciemności, ale nade wszystko obawiam się stanąć przed ojcem z pustymi rękami. Nie dlatego, że tata będzie miał do mnie pretensję – bo nigdy nie ma – ale jestem boleśnie świadoma jego wychudzenia i drżących rąk. Co mógł zapomnieć, kiedy mnie nie było – moje imię? Moją twarz? W panice wywołanej pojawieniem się Liama Gerlinga i zamieszaniami, jakie spowodował, kompletnie zapomniałam o haraczu. A teraz, po zabranii Duade’a do Everless, gdzie kredytodawca czasu Gerlingów go wykrwawi, jaką mam szansę na sprzedanie mu części siebie przed przybyciem poborców?

Zamieram, kiedy z sąsiedniego pokoju dobiega nieznany mi głos. Trzaskanie ognia tłumi słowa, ale to niewątpliwie męski głos. Znowu ogarnia mnie przerażenie. Czyżby Liam jednak mnie rozpoznał? Czy przysłał kogoś po mnie?

Podchodzę do progu i rozsuwam kotarę. I stoję jak wryta.

Dopiero po chwili dociera do mnie sens sceny rozgrywającej się przed moimi oczami. Poborca haraczu, człowiek z Crofton, który co miesiąc nawiedza dom po domu jak jakaś zaraza, siedzi naprzeciw mojego ojca przy kominku. Pojawił się wcześniej, wcześniej niż zwykle. Pomiędzy nimi na stole z surowego drewna leży szereg przedmiotów: niewielka miska z brązu, szklana fiolka, srebrny nóż. Takie same narzędzia walają się na ladzie w przeszklonej witrynie kramu lichwiarza czasu. Narzędzia do pozyskiwania czasu.

Tata podnosi na mnie wzrok. Jego zamglone oczy rozszerzają się.

– Jules – mówi, z trudem podnosząc się zza stołu. – Nie spodziewałem się ciebie przez zapadnięciem zmroku.

Serce mi się ściska; zmrok już zapadł.

– Co się tutaj dzieje? – pytam głosem zmienionym przez łyżę, choć przecież wiem. Poborca zerka w moją stronę, wydaje się zdecydowanie zbyt wielki w chacie tak małej jak nasza.

Ojciec opada z powrotem na krzesło.

– Płacę nasz haracz – odpowiada spokojnie. – Może wyjdiesz na dwór nacieszyć się

ładną pogodą?

– A więc cztery miesiące – wcina się poborca, zanim zdążę odpowiedzieć. Jego głos jest rzeczowy, nawet lekko znudzony. – Opłata za ten miesiąc i poprzedni.

– Cztery miesiące? – Robię krok w stronę stołu i podnoszę głos. – Nie możesz, tato.

Człowiek Gerlingów rzuca mi przelotne spojrzenie i wzrusza ramionami.

– To kara za spóźnienie. – Jeszcze raz przesuwam po mnie spojrzeniem i odwraca się do swoich narzędzi. – Czas jest do spalenia, dziewczyno.

To znane powiedzonko w miasteczku – po co chomikować czas, skoro każdy dzień jest monotonicznie brutalny, taki sam jak poprzedni i ten, który przyjdzie potem? Ale kiedy słyszę to od człowieka, który nigdy nie zaznał głodu czy zimna, ręce same zaciskają mi się w pięści. Wyciągam jednak z kieszeni monetę godzinową i podaję mu.

– Weź to, a ja...

Poborca kwituje mój gest krótkim, pozbawionym humoru śmiechem.

– Zatrzymaj swoją godzinkę, dziewczyno – mówi. – I nie bądź taka wściekła. Kiedy wyczerpie się czas twojego ojca, ty odziedziczysz te długi. Nie cierpię być z kimś w złych stosunkach.

Przekleństwo, które już cisnęło mi się na usta, zamiera w gardle. *Kiedy wyczerpie się czas twojego ojca.* Jakby spodziewał się, że to nastąpi wkrótce. Czy zmierzył krew mojego ojca?

Tata odwraca wzrok i zaciska zęby tak mocno, że aż chodzi mu szczeka, a kiedy tamten sięga po nóż, tata łapie go pierwszy.

Rysuje równą linię na nadgarstku z takim spokojem, jakby kreślił ją węglem na papierze, a nie nożem na skórze. Zbiera się krew.

– Cztery miesiące, tak – powtarza jak echo i przykłada szklaną fiolkę do nadgarstka, żaby złapać strumyczek krwi. – Mam jeszcze duży zapas.

Ale to chyba nie jest tylko moje wyobrażenie, że jego twarz z każdą sekundą staje się coraz bledsza, a wyżłobione w niej zmarszczki coraz głębsze; albo że osuwa się trochę na krześle, kiedy napełniona jego krwią fiołka zostaje zakorkowana i znika w sakiewce człowieka Gerlingów. Łapię nadgarstek taty, zanim zdąży sięgnąć po następną fiolkę.

– Nie. – Drugą ręką odsuwam nóż, żeby znalazł się poza jego zasięgiem. – Cztery miesiące życia za dwumiesięczne należności? Musi być jakiś inny sposób.

– Jules.

Ignoruję lekką wymówkę w głosie taty i zwracam się do poborcy. Wygląda na znudzonego, co rozwściecza mnie niemal tak samo jak fakt, że zabiera czas mojego ojca. Ale przełykam gniew i staram się, żeby mój głos brzmiał słodko jak miód, udaje mi się nawet przywołać na twarz odpowiedni uśmiech.

– Proszę pozwolić, żebym to ja sprzedała swój czas, sir. Może pan dostać pięć miesięcy.

W oczach mężczyzny pojawia się błysk zainteresowania, mogę sobie wyobrazić, co myśli – przekaze należny haracz Gerlingom, a dodatkowy miesiąc zostawi sobie. Ale w tym

momencie wcina się mój ojciec.

– Ona ma szesnaście lat.

– Siedemnaście – prostuję i z przykrością widzę, jak wskutek moich słów stropiony ojciec marszczy czoło. – Dzisiaj jest jedenasty dzień miesiąca, tato. Mam siedemnaście lat.

Poborca przenosi spojrzenie ze mnie na ojca, niepewny, któremu z nas wierzyć, a potem wydaje pomruk i potrząsa głową.

– Nie. Nie ściągę na siebie gniewu Czarodziejki za wykrwawienie dziecka.

Czarodziejki, czy Liama Gerlinga?

– Proszę. – W półobrocie zwracam się do taty, kierując swoje słowa do obu mężczyzn. – Ja jeszcze nigdy nie dawałam czasu. Mogę go potem odpracować.

– Łatwo powiedzieć, że go odpracujesz – mówi tata z uporem. – Trudniej to zrobić. Poborco, proszę o następną fiolkę.

– Będę pracować w Everless. – Te słowa padły z moich ust, zanim jeszcze myśl w pełni ukształtowała się w mojej głowie. Ojciec gwałtownie odwraca się w moją stronę i patrzy na mnie ostrzegawczo.

– I? – Poborca nawet nie drgnął.

– I... – Mrugam, próbując przypomnieć sobie, co mówiła Amma na targowisku. – Płacę rok za miesiąc pracy. Jeśli dzisiaj daruje nam pan część należności, to spłacę dług podwójnie. I zapłacę za następne dwa miesiące z góry – dodaję, starając się usunąć z głosu nutkę desperacji.

Łapówka. Wzbudziłam jego zainteresowanie. Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów, szacuje mnie w sposób, który sprawia, że cierpie mi skóra, ale z podniesioną głową znoszę jego wzrok przesuwający się po moim ciele. Wiem, jak Gerlingowie cenią sobie młodość i urodę. Nie jestem Iną Gold, ale przynajmniej odziedziczyłam po matce długie nogi i lśniące włosy. W innym stroju mogłabym spokojnie uchodzić za dziewczynę z Everless.

– Jules! – Ojciec z wysiłkiem wstaje od stołu i łapie laskę. Na stojąco góruje nad nami i przez tę jedną bolesną sekundę widzę w nim takiego mężczyznę, jakim był kiedyś – dumnego i tak silnego, że mógłby zatrzymać każdego poplecznika Gerlingów. Spoglądam na blat stołu. Przykro mi, że go ignoruję. Ale nie wiem, ile czasu sprzedał, ile mu jeszcze zostało.

– Wykluczone. Zabraniam ci...

– Siadaj – rzuca poborca ze zniecierpliwieniem. – Mam lepsze rzeczy do roboty niż wysłuchiwanie kłótni wieśniaków.

Ojciec powoli opada na krzesło, gniew i strach pogłębiają zmarszczki na jego czole.

– Pozwolę wam rozstrzygnąć to między sobą – mówi poborca głosem pełnym potępienia i odpycha się od stołu. – Jeśli zamierzasz jechać do Everless, to jutro przed świtem spotkamy się na targowisku. Zobaczymy, czy się nadasz. Jeśli nie, to przyjdę tu jutro po resztę haraczu.

– Dziękuję panu za cierpliwość – odpowiadam. Tata nie spuszcza ze mnie wzroku. – Do

zobaczenia jutro.

Poborca mruży coś niezrozumiale. Cisza aż dzwoni w uszach, kiedy wychodzi, trzaskając drzwiami.

– Ile czasu ci jeszcze zostało? – Pytanie padło z moich ust, jakby kierowało się własną wolą.

Tata albo nie usłyszał, albo postanowił je zignorować. Wpatruje się w stół i tamuje rozcięcie na rękę kawałkiem materiału.

– Jules...

– Ile czasu? – nie ustępuję.

– Dość. – Trudno powiedzieć, czy to odpowiedź, czy reprimenda. Bierze głęboki oddech.
– Jesteś dzieckiem. Powinnaś wrócić do szkoły.

– Powinieneś mi powiedzieć, że zalegamy z haraczem. Mogłam zapłacić. Mam czas.

– Nie. – Po raz pierwszy głos ojca brzmi ostro. – Nie dopuszczę do tego.

– Ale trudno znaleźć pracę. – Gniew, który starałam się zdławić, wściekłość, której nie mogłam okazać poborca, buzuje we mnie i wzbiera. – Dokąd to nas doprowadzi, dokąd doprowadzi ciebie? Potrzebuję cię, tato. – Ze wstydem czuję, że łzy napływają mi do oczu. – Czy pomyślałeś o tym, zanim pozwoliłeś, żeby poborca cię wykrwawił?

– Jeszcze nie wszystko wiesz o świecie, Jules. – Konfrontacja ze mną pozbawiła go sił, bezwładnie osuwa się na krzesło. Ogarnia mnie poczucie winy: przed chwilą oddał miesiąc krwi i musi być wyczerpany. – Gerlingowie to źli, chciwi ludzie – ojciec ziele złością. – Ten chłopak, Liam, skazałby nas na śmierć, żeby nie wydała się prawda o ogniu...

Jego słowa giną w ataku kaszlu. Następne są tak ciche i słabe, że zastanawiam się, czy na pewno je usłyszałam.

– Nie dopuszczę, by cię dostali.

– Nie dostaną mnie. Nawet mnie nie zauważą – zapewniam, starając się usunąć z głosu poczucie frustracji. Jestem zmęczona ukrywaniem się, czekaniem. – A jeśli zarobię dość czasu, mogę wrócić do szkoły.

– Nie. – W głosie taty pojawia się stalowa nuta. – Nie wrócisz do Everless. Zabraniam ci.

– Tato, proszę. Nikt mnie nie pozna. – Słyszę, jak brzmi mój głos – błagalnie, dziecinnie. Wybuch taty wstrząsnął mną. Wiem, że nienawidzi Gerlingów – ja również – ale nie warto wykrwawić się na śmierć, żeby trzymać mnie z dala od nich. Czyżby strach opanował bez reszty jego mózg?

– Nadal jestem twoim ojcem – mówi. – Dopóki mieszkasz pod moim dachem, będziesz robiła to, co ci każę.

Otwieram usta, żeby z nim dyskutować i nagle przychodzi mi do głowy paskudna myśl.

On nie może mnie powstrzymać.

Po wyrzuceniu Liama tamtej nocy, kiedy miałam dwanaście lat, tata postanowił przekreślić naszą przeszłość. Gdyby mieszkańcy wioski wiedzieli, że zamieszkał wśród nich

były kowal Gerlingów, który popadł w niełaskę, unosiliby brwi i zadawali pytania: dlaczego tata zamienił taką dobrą posadę na nędzne życie wśród nich? Albo co gorsza – co będzie, jeśli Liam nas znajdzie i wyrze zemstę? Znacznie łatwiej, stwierdził tata, wymyślić jakąś nudną, pospolitą historię. O farmerze z córką, którzy opuścili swoje pola po klęsce nieurodzaju. Nauczył mnie kłamać, żeby nikt nie przyglądał się nam zbyt uważnie.

– Nie zdaje sobie sprawy, że nauczył mnie aż za dobrze.

Wzdycham ciężko.

– Amma jedzie do Everless – mówię. – Może rzeźnik da mi jej posadę.

Wzrok taty łagodnieje.

– Może. – Nakrywa dłonią moją rękę. – Przykro mi, że w ogóle musisz pracować. Ale przynajmniej zostaniesz tutaj i będziemy razem.

Uśmiecham się do niego i żałuję, że nie mogę powiedzieć prawdy – że choć niedobrze mi ze strachu na myśl o powrocie do Everless, to jednak tam pojedę. Tata uśmiecha się z ulgą, więc wiem, że mnie nie przejrzał. Wstaję, całuję go w czoło i idę do kuchni, żeby zająć się obiadem.

Kiedy tata nie patrzy, biorę z parapetu figurkę Czarodziejki – tę, która należała do mojej matki – i wsuwam ją do kieszeni. Może Czarodziejka przyniesie mi szczęście. Może myśl o niej doda mi sił.

O świcie będzie mi potrzebne i jedno, i drugie.

3

Kładę się do łóżka wcześniej niż tata. Leżę z zamkniętymi oczami na legowisku przy kominku i słyszę, jak skrobie notatki w swojej księdze rachunkowej. Wiem, że podlicza swój czas, jakby przez sprawdzanie i ponowne analizowanie liczb mógł znaleźć sposób na opłacenie tego wszystkiego, na co nie możemy sobie pozwolić. Potem skrzypią drzwi, kiedy wychodzi przynieść wodę ze starej studni na podwórzu; trzaska ogień, kiedy wrzuca kolejne polano. W końcu całuje mnie w czoło i idzie do swojego pokoju, wzdychając przy każdym kroku.

Czekam, aż jego oddech się uspokoi, aż zaśnie. Potem ostrożnie wstaję z legowiska i zbieram swoje rzeczy, najciszej jak się tylko da. Biorę z kredensu kilka ciemnych bułek, żeby starczyło na jeden czy dwa posiłki. Wybieram najładniejszą sukienkę, choć przetarty do gołej nitki niebieski materiał będzie wyglądał nędznie w porównaniu ze stopami damami z Everless. Wsuwam za pas myśliwski nóż w pochwie i pakuję do plecaka swoje nieliczne manatki.

Podnoszę wzrok na wiszący na ścianie portrecik mojej matki narysowany przez tatę. Tata lubił rysować, dopóki nie pogorszył mu się wzrok – pewnego dnia znalazłam ten rysunek wetknięty pod jego materac, jakby nie mógł znieść ciągłego przypominania tego, co stracił. Musiałam błagać, żeby mi pozwolił powiesić go na ścianie. Papier pożółkł i pomarszczył się ze starości, ale podobieństwo jest uderzające: roześmiana młoda kobieta z kręconymi włosami, takimi samymi jak moje, i brązowymi oczami, takimi samymi jak moje, ogląda się przez ramię. Przesuwam palcami po twarzy mamy. Ciekawe, czy zaaprobowałaby wybór, którego dokonuję. Jej posążek Czarodziejki nadal spoczywa w mojej kieszeni. *Na szczęście*, myślę i moje serce zwalnia.

Na odwrocie jednej z kartek, które tata zostawił na stole, skrobie wiadomość, celowo zdawkową: *Idę do rzeźnika. Wrócę przed zmrokiem.*

Kładę kartkę na wierzchu jego księgi rachunkowej. Mam nadzieję, że tata nie od razu zrozumie, że to kłamstwo. Bo jeśli mnie przejrzy, to wcale nie mam pewności, czy nie pokuśtyka przypadkiem do miasta i nie spróbuje przepędzić wozów Gerlingów.

Jak postąpi, kiedy zorientuje się, co zrobiłam?

Jeśli będę za dużo myślała o tym, jak postąpi – jak będzie się martwił – to nerwy mnie zawiodą. Cicho wkładam buty i łapię swoją torbę. Nie będzie mnie przez miesiąc, najwyżej dwa, poza tym napiszę do niego uspokajający list z Everless, że wszystko idzie wspaniale.

A kiedy wrócę do domu, sakiewka pełna krwawych pieniędzy będzie zadośćuczynieniem za moje oszustwo.

Jestem gotowa do drogi na dwie godziny przed świtem, sądząc po rozjaśniającym się niebie i zapachu rosy w powietrzu. Ruszam szybkim krokiem, kiedy zza horyzontu wyłaniają się pierwsze promienie słońca. Jest zimniej niż wczoraj, trzęsę się na lodowatym wietrze. Przez śnieg przebija się zapach butwiejącej ziemi. Wkrótce dostrzegam zabudowania Crofton, jego kryte strzechą dachy wyglądają o świcie jak pokoślawione grzyby. W bramach śpią żebracy; poza nimi nie widać żywego ducha. Widzę, jak jakaś chudziutka rączka stawia świecę w oknie piekarni. Nie boję się; Gerlingowie zapewniają nam bezpieczeństwo przed zagrożeniami zewnętrznymi, choć nie przed głodem. Ale wygląda to dość upiornie.

Już z odległości kilku przecznic słyszę gwar głosów dobiegający z targowiska. Wychodzę zza rogu i wpadam na największe zgromadzenie dziewcząt, jakie zdarzyło mi się zobaczyć w jednym miejscu. Musi nas być z pięćdziesiąt stłoczonych na otwartej przestrzeni, wszystkie wyszorowane do czysta i ubrane w najlepsze sukienki. Część z nich znam – jest Amma z młodszą siostrą Alią, drobną i poważną jak na swoje dwanaście lat; i Nora, szwaczka, dla której wykonywałam różne drobne poprawki krawieckie, dopóki była w stanie mi płacić. Wielu dziewcząt nie poznaję. Może przybyły z farm oddalonych o wiele mil od naszej wioski, przyciągnięte perspektywą pracy w Everless.

Wśród tłumu poruszają się mężczyźni noszący odznaki z herbem Gerlingów. Pokrzykują na dziewczęta i ustawiają je w jedną długą linię. Robi mi się słabo, kiedy rozpoznaję jednego z nich – Ivana Tenburna, syna kapitana straży Everless, dzisiaj siedzącego już na własnym koniu i noszącego własną odznakę. W dzieciństwie był naprawdę wredny i zawsze chodził krok w krok za Liamem; wszystkie dzieci służby bały się go okropnie. Kiedyś, pod nieobecność swojego ojca, ustawił wszystkich chłopców stajennych w jednym rzędzie i po kolei smagał ich szpicrutą po kolanach. Jeśli których z nich krzyknął, to sąsiedni chłopiec dostawał pięć uderzeń pod rząd. Nazywał to zabawą – w klepięcia. Pamiętam ciemne siniaki na goleniach mojego przyjaciela Tama. Nie schodziły tygodniami.

Pamiętam również głos Roana, żądający, żeby Ivan przestał.

Przeszywa mnie strach, ostry niczym miecz u boku Ivana. Minęło dziesięć lat, ale widząc, jak Ivan warczy na dziewczęta, żeby się ruszyły, wiem, że nic się nie zmienił.

Przechodzę na drugą stronę placu, gdzie stoją, tuląc się do siebie Amma i Alia. Amma wydaje się niepewna. Ma plecak przerzucony przez ramię, a na sobie strój podróżny. Na mój widok uśmiecha się z ulgą.

– Nie wierzę! – Łapie mnie za rękę, przyciąga do siebie i szybko przytula. – Jednak przekonałaś ojca, żeby pozwolił ci jechać?

– Tylko na miesiąc czy dwa – kłamię. – Jeśli mnie wezmą.

– Na pewno będzie zadowolony, kiedy wrócisz do domu z dwoma latami krwawego

żelaza.

Staram się czerpać otuchę ze słów Ammy, która wciąga mnie do kolejki. Czuję pod palcami jej puls, szybki i lekki.

– Cieszę się, że tutaj jesteś. Będzie wspaniale, wszystkie razem. – Stojąca obok siostry Alia uśmiecha się do mnie.

Kiedy jesteśmy już ustawione, Ivan i pozostali ludzie Gerlingów odbywają półgłosem krótką konferencję, a potem zwracają się twarzą w stronę rzędu dziewcząt. Za ich plecami wjeżdżają na plac dwa odkryte wozy na siano powożone przez najwyżej dwunastoletnich, chudych chłopców o wystających zębach. Ivan i jego ludzie przechodzą wzdłuż szeregu, oglądają podbródki, oczy i ramiona, obracają dziewczęta jak snopki.

– Co się dzieje? – szepczę do Ammy. Ona po prostu potrząsa głową.

Ogarnia mnie niepewność. Słyszałam, że lord Gerling lubi młode, ładne służące, ale nie spodziewałam się takiego traktowania, nie spodziewałam się, że będziemy zaganiane jak bydło, że będą nam oglądać zęby i nogi jak koniom. Odczuwam silną pokusę, by stąd uciec, ale nie mogę oderwać nóg od ziemi.

W pewnej odległości ode mnie jeden z mężczyzn ogląda nieznaną mi dziewczynę o okrągłej twarzy i kędzierzawych włosach. Marszczy czoło i kręci głową. Wargi dziewczyny drżą. Zaczyna coś mówić, ale mężczyzna ignoruje ją i przechodzi do następnej, smukłej dwudziestolatki. Uśmiecha się do niej lubieżnie i mówi coś zniżonym głosem. Kobieta robi się czerwona na twarzy, opuszcza kolejkę i śpieszy do jednego z wozów.

W ten sposób przebiega selekcja. Mniej więcej jedna czwarta dziewcząt jest kierowana do wozu, pozostałe zostają odrzucone. Skóra mnie świerzbi, ilekroć któryś z ludzi Gerlingów łypnie lubieżnie lub każe którejś z dziewcząt podciągnąć spódnicę, żeby obejrzeć jej łydki, ale jeśli chcę dostać się do Everless, nie wolno mi reagować. Amma blednie, robi się biała jak śnieg leżący w kopcach na skraju targowiska. Biorę ją za rękę i ściskam, żeby jej dodać odwagi, sobie również.

Jeszcze pięć dziewcząt przed nami. Trzy. Jedna. Przygryzam wewnętrzną stronę policzków, kiedy człowiek Gerlingów staje przede mną, mam nadzieję, że nie widać po mnie niesmaku. Dziękuję losowi, że to nie Ivan. Mężczyzna uśmiecha się, a stoi tak blisko, że czuję jego cuchnący oddech. Obejmuje ręką mój podbródek, żebym podniosła głowę do góry. Wzdragam się – nic nie mogę na to poradzić. Mężczyzna rechoce i dla odmiany sięga łapą do moich piersi.

Instykt bierze górę, widzę wszystko w zwolnionym tempie, jakbyśmy poruszali się w płynnym miodzie. To dzieje się znowu – czas zatrzymuje się, nawet powietrze nieruchomieje, choć nikt z obecnych zdaje się tego nie zauważać. Szeroki uśmiech pozostaje na twarzy mężczyzny jak przyklepiony. Wyraz przerażenia zastyga na twarzy Ammy, oddech więźnie jej w gardle. Sięgam po nóż przytwierdzony do paska i wyciągam go przed siebie, tylko żeby powstrzymać mężczyznę.

Szum w moich uszach nagle cichnie i świat znowu ożywa.

Oboje, strażnik i ja spoglądamy w osłupieniu na cienką jak włos czerwoną linię przecinającą jego obwisły brzuch i kroplę krwi, która zbiera się na końcu i plami jego mundur. Zaledwie go drasnęłam, ale jednak. Niedobrze mi na myśl o tym, co zrobiłam.

Zapada śmiertelna cisza, strażnik piorunuje mnie wzrokiem, aż tu nagle rozlega się donośny śmiech innego mężczyzny. Twarz tamtego zabarwia się ciemnym rumieńcem gniewu.

– Ty mała suko – wypluwa z siebie słowa, przyciskając chusteczkę do ranki. – Wykrwawię z ciebie dziesięć lat...

Opuszczam nóż, łyżę pieką mnie w oczach i zaczynam się cofać. Idiotka, kompletna idiotka. Uległam chwilowemu impulsowi i straciłam wszelkie szanse na dostanie się do Everless.

A wtedy...

– Wstrzymaj się, Bosley, natychmiast. – Ivan podchodzi do nas, aksamitny płaszcz powiewa za nim. Jego usta drgają, a ja mobilizuję się wewnątrz – co będzie, jeśli mnie pozna?

Ale nagle uświadamiam sobie, że dźwięk, który wydobywa się z jego gardła, to śmiech, a nie ryk gniewu. Jego uśmiech jest autentyczny – Ivan nie zdaje sobie sprawy, kim jestem.

– Ta mi się podoba – rechocze. – Bystra. I umie o sobie zadbać. Dziwne, że nie zaszlachtowała cię jak wieprza. – Kilku z pozostałych mężczyzn zaczyna się śmiać, a ten, który próbował mnie obmacywać, mierzy mnie nienawistnym spojrzeniem, ale nie protestuje.

Zamiast tego kieruje uwagę na Ammę.

– Nie z tą blizną – mówi złośliwie.

Amma mruga z niedowierzaniem.

– Będę ciężko pracować – zapewnia. – Przysięgam. – I patrzy na mnie bezradnie.

– Nam nie brakuje ludzi do ciężkiej roboty, dziewczyno – warczy mężczyzna. – Tylko ładnych buziaków. Wracaj do domu.

Łzy napływają Ammie do oczu.

– Proszę, sir...

Ale drań ignoruje jej błagania i przechodzi do drżącej Alii, stojącej obok starszej siostry.

Poniewczasie uświadamiam sobie, że Ivan nadal mi się przygląda. Ale już się nie uśmiecha. Mięśnie moich nóg napinają się, szykując się do ucieczki.

– No? Ładuj się do wozu.

Zerkam na Ammę w panice. Nie przyszło mi do głowy, że mogłabym pojechać bez niej.

– Sir – mówię błagalnie. – To moja najlepsza przyjaciółka. Proszę, niech pan pozwoli jej jechać. – Kątem oka widzę, że inny mężczyzna popycha Alię w stronę wozu, a ona ogląda się przez ramię.

– Nic mnie to nie obchodzi, może być nawet twoją cholerną matką – rzuca Ivan od niechcenia. – Ona tu zostaje. Chcesz zostać z nią?

– Jedź. – Amma mruga powiekami, żeby powstrzymać łzy.

Obejmuję przyjaciółkę i przyciągam ją do siebie, choć czuję na sobie wzrok Ivana.

– Opiekuj się moją siostrą – szepcze mi we włosy. I odpycha mnie lekko, bo nie wypuszczam jej z objęć. – Idź!

Wykonuję polecenie, jak otępiła, czując na sobie ciężki wzrok tłumu. Gramolę się na wóz i siadam wśród innych wybranych dziewcząt – wszystkie są młode i ładne, ale milczące i wstrząśnięte – oglądamy się za siebie, na nasze odrzucone przyjaciółki i siostry. Kolejka jest już w połowie przebrana, a te dziewczęta, które nie zostały wybrane, rozchodzą się już i znikają we mgle. Dopiero kiedy plac zaczyna się wyludniać, dostrzegam poborcę haraczu opartego o ścianę pod markizą przed warzywniakiem, który obserwuje procedurę z rękami skrzyżowanymi na piersi. Wpatruję się w niego tak intensywnie, że wreszcie wyczuwa moje spojrzenie i podnosi na mnie oczy. Krótkim kiwnięciem głowy potwierdza naszą umowę – przyjdzie po swój czas, kiedy wrócę. Oddycham z ulgą i zanoszę kolejną modlitwę do Czarodziejki.

Niech mój ojciec będzie bezpieczny.

Oraz: Niech zdoła mi wybaczyć.

Mężczyźni przeglądają pozostałe kandydatki. Trzydziestoletnia Nora zostaje odesłana wśród kpin. Mała Alia jest już na wozie. Nagle przypominam sobie, że kiedy byłam mała, zapytałam ojca, dlaczego w Everless jest tyle dzieci. *Pracuj ciężiej za mniej, odparł szorstko. Nie mają dokąd pójść.*

Kiedy mężczyźni kończą selekcję, mniej więcej dwadzieścia dziewcząt siedzi upchnięte na dwóch wozach. Wygrałam miejsce do Everless, ale nie czuję się wcale wyróżniona. Wydaje mi się, że to Amma jest wygrana, choć nie zdaje sobie jeszcze z tego sprawy.

Ale już za późno na odwrót. Wozy ruszają z gwałtownym szarpnięciem. Czuję lekki zapach gnoju. Siedzimy na belach słomy, dwanaście młodych kobiet, słoczonych ciasno, ramię przy ramieniu. Obejmuję Alię, która płacze cichutko, nie odrywając oczu od znikającego w oddali miasteczka. Po drugiej stronie mam Ingrid, kobietę z farmy oddalonej od naszej o kilka mil. Wydaje się zdeterminowana, by zachować dobry humor, pomimo obrzydliwego procesu porannej rekrutacji i kąśliwego wiatru, wiejącego nam prosto w twarz podczas jazdy wyboistą drogą.

– Słyszałam, że Everless ma pięćset lat – szczebiocze radośnie, kiedy Crofton zostaje za nami. Staram się nie odwracać, żeby nie patrzeć, jak znika nam z oczu. Trochę się boję, że gdybym to zrobiła, to po prostu zeskoczyłabym z wozu i pobiegła z powrotem do domu. – Wyobraźcie sobie tylko! Muszą mieć jakieś pomniejszych czarodziejów, którzy podtrzymują te mury zaklęciami.

Nie potrzeba magii do podtrzymywania murów, w zupełności wystarczą pieniądze. Ale

nie mam najmniejszej ochoty uczestniczyć w spekulacjach podekscytowanych dziewcząt, więc odwracam się i udaję zainteresowanie krajobrazem Sempery i niskimi, zielonymi pagórkami. Kiedy tata był w lepszym stanie, pożyczał konia od znajomego i zabierał mnie na przejażdżki poza miasteczko. Powinniśmy znać swój kraj, wyjaśniał, ale zastanawiam się, czy nie planował ucieczki z Crofton, gdybyśmy znowu zwrócili na siebie uwagę Gerlingów.

Nikt poza Ingrid nie mówi zbyt wiele. Wyczuwam zdenerwowanie pozostałych, gdy równina ustępuje miejsca lasom i wjeżdżamy pod ogromne, stare sosny, które górują nad nami. Ten las należy do Gerlingów, ale nawet oni tu nie polują – jest przerażający, starszy od tego, po którym włóczyłam się wczoraj, i znacznie ciemniejszy.

– Calla powiedziała, że w tych lasach są wróżki – odzywa się wreszcie Alia. Jej oczy są szeroko otwarte. Jak większość mieszkańców Crofton nie oddaliła się poza granice miasteczka na więcej niż trzy mile, nie licząc wyprawy podjętej przez matkę, by ją ocalić.

– Wróżki, jasne! – woła dziewczyna z przodu. – Wabią cię swoją urodą, a potem wysysają czas z twoich żył! – Wyraźnie kpi, ale w jej głosie wyczuwam lekkie napięcie.

– To prawda! – oświadcza inna dziewczyna, której rude loki ewidentnie nie są dziełem natury, a zostały sztucznie zakręcone. – Coś takiego spotkało moją ciotkę. Pewnego dnia zabłądziła w lesie i obudziła się jako staruszka.

– Bardziej prawdopodobne, że sprzedała swój czas i skłamała – mruknęła inna.

– Wróżki wcale nie są najgorsze. – Ta dziewczyna ma cudowną, ciemną skórę i intensywnie niebieskie oczy: została wybrana jako jedna z pierwszych. – Po tych lasach wędruje Alchemik. I ciągle jeszcze nosi ze sobą serce Czarodziejki w papierowej torbie.

– Nie, on zjadł jej serce – poprawia ją Ingrid.

– Pożre i twoje, jeśli będziesz się włóczyć wśród drzew – mówi inna, przewracając oczami. – Nawet Czarodziejka nie zdoła cię ocalić.

Alia piszczy ze strachu.

– Dlaczego? Dlaczego on zabiera serca?

– On nienawidzi ludzi, dlatego oddaje czas z ich serc drzewom! – zaczyna dziewczyna.

– Przestań pleść bzdury – przerywa któraś. Ale usta Alii drżą, więc przytulam ją mocno.

– Nie zwracaj na nie uwagi – szepczę. – Mity to tylko bajki. W lasach nie ma nic przerażającego. – Prostuję się i nie kończę myśli: *Nie wiem nic o Alchemiku, ale potwory, które spotkamy w Everless, są znacznie groźniejsze od wróżek.*

A potem las kończy się nagle i znajdujemy się w Laiscie, małym, kwitnącym miasteczku otaczającym mury Everless, w którym żaden budynek nie może mieć więcej niż jedną kondygnację. Pamiętam, jak tata opowiadał, że przodkowie Gerlingów wycięli drzewa i zrównali pagórki na przestrzeni wielu mil wokół Everless, żeby ludzie patrolujący mury widzieli każdego, kto zbliża się do zamku. W polu widzenia pojawiają się mury z piaskowca naszpikowane dziesiątkami postaci strażników. Z tej odległości wyglądają jak figurynki.

Instynktownie zsuwam się niżej na wozie, kiedy przejeżdżamy wąskimi uliczkami Laisty

w stronę bram. Kiedy jesteśmy już blisko, jeden ze strażników każe nam stanąć.

Cały świat milknie, nieruchomieje, zamiera, zostaje tylko bicie mojego serca. Siedząca obok mnie Alia otwiera usta, kosmyk włosów przywiera do jej dolnej wargi. Strażnicy na szczycie muru mają kamienne twarze i nawet nie drgną. Mam takie poczucie, jakby cały świat się kończył, zapadał się w sobie w tej jednej chwili.

A potem rozlega się okropny zgrzyt – grube na stopę, nabijane żelazem płyty z drewna i metalu drgnęły i poruszyły się – i nasz wóz znowu rusza.

Cień przesuwa się nad nami i jesteśmy wewnątrz.

4

Everless to gęszcz wież i palisad, ogromnych okien z matowego szkła oraz balkonów obwieszonych zielonymi i złotymi flagami. Aleja starannie przyciętych drzew przecina wszystko na pół, z zamkiem włącznie. Z jednej strony drogę zamyka brama, którą wjeżdżamy; z drugiej, choć z miejsca, w którym jesteśmy tego nie widać, znajduje się jezioro, otoczone murami Everless, ciemne od starego lodu i cieni.

Wbrew sobie zachwycam się tym widokiem – trawnikiem pod pierzynką skrzącego się śniegu, drzewami, nagimi i kołyszącymi się na wietrze. Najbardziej kochałam Everless latem, kiedy kwiaty rozwijały się z pączków, a ogrodnicy zatrudniali dzieci służby do zbierania mleczów, które niszczyły szmaragdowe trawniki. Ale w bladym zimowym słońcu posiadłość jest jeszcze piękniejsza, jak wyrzeźbiona ze srebra i kryształu.

Kiedy zostajemy wyładowane i stoimy, trzęsąc się, na dziedzińcu, starszy służący o obwisłej twarzy zagania nas do wąskiego korytarza dla służby. Nie podnoszę głowy, serce bije mi szybko; jestem pewna, że lada chwila ktoś mnie rozpozna, ale służba prawie na nas nie patrzy.

Prowadzą nas pochyłym, nieznanym mi korytarzem do przypominającej labirynt sieci pomieszczeń dla służby. Uderza mnie nagle pewne wspomnienie: Roan odkrył, że jeśli przyłoży się ucho do tych ścian, to można czasem usłyszeć, o czym rozmawiają arystokraci w głównym holu nad nami. Większość z tego, co udało się nam podsłuchać, to były ploteczki, którymi zabawiali się szlachetnie urodzeni, żyjący zbyt długo nudziarze. Dotyczyły rozmaitych afer lub inwestycji, choć byliśmy wówczas zbyt mali, by pojąć, co one oznaczały – kupowano, sprzedawano, handlowano całymi stuleciami z taką swobodą, z jaką tata i ja graliśmy w karty o słodycze. Ale bardzo często Roan rozmawiał ze mną przez ścianę, kiedy nie mógł zejść do korytarza dla służby, żeby się ze mną pobawić. Nawet wówczas jego głos i jego śmiech przyprawiały mnie o szybsze bicie serca.

Teraz przechodzimy w milczeniu korytarzami pełnymi służby. Wiem, że wszyscy muszą harować, żeby przygotować pałac do wizyty Królowej i ślubu Roana – chyba że Everless całkiem się zmieniło i nie są już tolerowane pogaduszki i śmiech.

Wkrótce docieramy do kuchni, pomieszczenia ogromnego jak jaskinia, w którym zmieściłyby się ze trzy takie chaty jak nasza w Crofton, pełnego służby i prowadzonych krzykiem rozmów, gdzie rozmaite akcenty zlewają się w jedno, muzyczne brzmienie. Podobnie jak cała Sempera, Everless udziela gościny ludziom pochodzących z wielu

odmiennych terytoriów. Po wstąpieniu na tron Królowa zorientowała się, że władza zrujnowanym, bezbronny państwem, więc zaoferowała sto lat każdemu, obojętnie skąd pochodzi, kto zechce osiedlić się w Semperze na stałe, ale zamknęła granice przed podróżnikami i kupcami. Ludzie mogli tu wjechać, ale nikt nie mógł opuścić kraju.

Przy jednej ogromnej niecce kilkoro młodych służących o świeżych twarzach mozoli się przy podziale połówki wołu. To przywodzi mi na myśl Amnę i czuję ukłucie w sercu. Przez wiele lat obserwowałam, jak kroi i suszy mięso – w porównaniu z jej sprawnością ci tutaj pracowali wolno. W takim tempie mięso zdąży się zepsuć, zanim skończą.

Zbliżam się do nich, żeby zaoferować pomoc, ale jeden z chłopców dosłownie na mnie warczy.

– Poszukaj sobie własnej roboty.

Odchodząc, spostrzegam cienką, białą linię przecinającą jego rękę. To ślad po sprzedaży czasu. Zastanawiam się, czy wykrwawiał się, żeby zarobić na sobie, czy dla kogoś innego?

Wzdłuż całego drewnianego stołu stoją rzędem, jedna przy drugiej, młode posługaczki, które kroją całe góry warzyw korzeniowych, a przy następnym, białym od mąki, inne dziewczyny zagniatają i kroją ciasto na kształtne bułeczki. Dwa masywne piece, w których buzuje ogień, ogrzewają całą kuchnię, a tuziny garnków kipią, parują i bulgoczą, napełniając pomieszczenie kuszącymi zapachami. Pachnie tak, że aż kręci mi się w głowie. Od świtu, kiedy schrupałam bułkę z kredensu, nie miałam nic w ustach.

Oszałamiająca, wysoka dziewczyna z masą loków na głowie, odziana w barwy Gerlingów, wchodzi do kuchni ze srebrną tacą i kładzie ją na drewnianym blacie. Ubrane na brązowo podkuchenne błyskawicznie ustawiają na tacy talerze z ciastami złocistymi jak słońce, czajniczek z brązu i bogato zdobione sztucce. Czekaając, aż skończą, dziewczyna bierze ze stołu kawałek szpagatu i leniwym ruchem związuje włosy.

– Dziś rano lord Gerling odciągnął mnie na bok – mówi z błyskiem w oku. Jej mocne ramiona są usiane piegami. – Chce, żebym była podręczną Królowej, kiedy do nas przyjedzie. Lady Verissa wyraża zgodę.

– Wszyscy wiemy, dlaczego tak się stało – prychna jedna z podkuchennych, nie podnosząc wzroku znad siekanej cebuli.

Siwa kobieta w pięknie haftowanym fartuchu przechodzi przez kuchnię, za nią drepcze kilka posługaczek, jak kurczęta za kwoką.

– Addie – zwraca się do wysokiej, kędzierzawej dziewczyny. – Na razie służysz lady Gerling, a nie Królowej. – Dziewczyna – Addie – pospiesznie łapie tacę. – A teraz wynoś się.

Starsza kobieta wygląda znajomo: jej twarz kojarzy mi się z ciepłem i bezpieczeństwem, ale nie mogę sobie przypomnieć jej imienia. Wita każdą z nowoprzybyłych do Everless dziewcząt i zadaje im kilka krótkich pytań, a potem kieruje każdą do tej czy innej sekcji.

Kiedy podchodzi do mnie, zatrzymuje się. Przez moment marszczy czoło. Czy ona

również mnie poznaje? Ale potem mruga oczami, raz i drugi, i wyraz niepewności znika z jej twarzy.

– Jak ci na imię? – pyta.

Zastanawiam się, czy nie podać fałszywego imienia, ale przypominam sobie ojcowską zasadę numer jeden dobrego kłamcy: mów prawdę, dopóki się da.

– Jules – odpowiadam. To dość pospolite imię. – Z Crofton.

– Jules – powtarza za mną. – Służyłaś już kiedyś? Szukam kogoś, kto mógłby zanosić tace do pokojów lordów i dam, nie robiąc zamieszania. I, na Czarodziejkę, potrzebuję takiej dziewczyny, która nie wypuści tacy z rąk ze zdenerwowania.

Stojąca za nią służąca czerwieni się po same uszy, to bez wątpienia typ nerwowy, który upuszcza tace.

Potrząsam głową, że nie.

– Ale szybko się uczę – dodaję, kiedy starsza pani marszczy czoło. – I niełatwo tracę równowagę.

Szykuję się na następne pytania. Ale starsza pani przygląda mi się jeszcze ostatni raz i kiwa głową.

– Wypróbujmy cię więc, Jules z Crofton. – Unosi brwi, odwraca się i przechodzi dalej.

Jako dziecko mieszkałam z tatą w Everless w trzech pokojach na zapleczu kuźni. Podobnie jak podręczne, kamerdyner i lokaje mieliśmy własne pokoje. Ciasne, ale nasze, przesycone zapachem dymu i pełne małych kawałeczków metalu.

Teraz uświadamiam sobie, jakie mieliśmy szczęście. Dormitorium dla kobiet służebnych to długa sala z piętrowymi łózkami, jest ich ze dwieście, tak na oko. Są ustawione tak blisko siebie, że leżąc na swoim łóżku, można podać rękę dziewczynie z sąsiedniej pryczy.

Z zadowoleniem stwierdzam, że miałam rację – nikt mnie nie rozpoznaje, nawet służące, które pamiętam z dawnych lat. Wyciągnęłam się przez te dziesięć lat zimna i głodu, straciłam wszelką miękkość i wątpię, by ktokolwiek mógł rozpoznać we mnie córkę kowala, chyba że tata stanąłby obok mnie, o dziesięć lat młodszy i w fartuchu. Nikt nie ma czasu, żeby mi się przyglądać i z zadowoleniem stwierdzam, że wtopiłam się w gromadkę nowych służących, które przybyły do Everless na ślub. Po wybraniu sobie jednego z wąskich łóżek i przebraniu się w prosty, brązowy uniform podkuchennej, szybko schodzę na dół.

Główna kucharka w haftowanym fartuchu – Lora – wygłasza do nas pośpieszną przemowę, raptowną jak ogień, będącą połączeniem prezentacji i instrukcji. Chodzi w taki sposób, jakby podskakiwała w górę i w dół na niewidzialnych falach. Jej lewa noga została odcięta w kolanie – porusza się na drewnianej protezie, starannie wystruganej i pomalowanej, nawet z czerwonym bucikiem na stopie, teraz poplamionym lekko

jarzynami. Urodziła się w wiosce na południu i przyjechała do Everless jako dziewczynka, żeby zaoszczędzić trochę czasu i żyć dłużej od matki i ojca, którzy dociągnęli do trzydziestki. I choć orientuję się, że nie pała szczególną miłością do Gerlingów, to dobrze wyszła na służbie u nich.

Po raz trzeci powtarza reguły obowiązujące w obecności Królowej – nie odzywać się do niej, chyba że ona zagadnie nas pierwsza, nie podnosić oczu i nigdy, pod żadnym pozorem nie dotykać jej – i nagle zatrzymuje się i mlaska językiem.

– Wyglądasz, jakbyś zaraz miała zemdleć – mówi. Łapie małą, twardą bułkę szpikowaną kawałkami słoninki i wielkie jabłko ze sterty leżącej na stole. – Masz, jedz – mówi dobrotliwie. – A potem zanieś resztę chłopcom stajennym. Znajdziesz drogę?

Kiwam głową, próbując powstrzymać napływ wspomnień: zapach koni, mokrego siana, śmiech Roana, który wpadł pomiędzy boksy i prowokował mnie, żebym go złapała, choć dobrze wiedział, że zdołam najwyżej pochwycić skraj jego aksamitnego płaszcza znikającego za rogiem.

– Dobrze. – Klepie mnie po policzku.

Pozeram pieczywo od razu, nie fatygując się nawet, by usiąść przy stole. Nowoprzybyłe, niekończący się strumień dziewcząt, są rozdzielane do różnych prac, będą szwaczkami, pomywaczkami i pokojówkami, bo Everless spodziewa się przybycia setek gości na ślub. Addie wróciła do kuchni, żeby przygotować je do obowiązków. Najładniejsze dziewczęta zostają wybrane do roli podręcznych dla szlachetnie urodzonych.

Po skończeniu jabłka łapię tacę i wybiegam z kuchni. Wszystko wydaje mi się mniejsze i dziwniejsze niż we wspomnieniach, jakbym nie wędrowała po prawdziwym Everless, a po jakimś przedziwnym, zdeformowanym śnie o nim. O, tutaj. Tu chowałam się za relikwiarzem i turlałam pestki oliwek do holu, o które potykał się stary kamerdyner, Girold. A tu wydrapałam swoje inicjały na murze, kiedy przyczailiśmy się z Roanem pewnego popołudnia, chowając się przed Liamem, który mnie wyzywał. Ktoś stał je delikatnie piaskiem, ale pozostały lekkie, prawie niewidoczne zarysy liter.

Dotykam ich z uśmiechem, ale szybko cofam rękę. Fantazje. Tamte lata, tamte szczęśliwe wspomnienia zostały starte jak ten kamień. Teraz to już tylko wrażenia.

A jednak przykładam na moment ucho do ściany korytarza dla służby i nasłuchuję głosu Roana Gerlinga.

Skrećcam na rogu korytarza i natykam się na małego chłopca – może dziewięcioletniego – który również trzyma tacę, ale srebrną, nie blaszaną i załadowaną mięsem, ciastkami i porcelanową zastawą do herbaty. Siedzi na dole schodów po lewej i wygląda, jakby miał się rozpłakać.

– Zgubiłeś się? – pytam bez zastanowienia.

Chłopiec podskakuje i o mało nie upuszcza tacy, ale uspokaja się, widząc, kim jestem.

– Lady Sida nie pozwala nikomu poza Harlow wchodzić do siebie na górę – mówi ledwo

słyszalnie. – Ale Harlow jest teraz w domu i rodzi dziecko, więc ja mam jej to zanieść. Ale ona nie lubi chłopców. Thom mówi, że odgryzie mi uszy. – Wzdraga się i wbija wzrok w podłogę.

Harlow, jak przypuszczam, to pokojówka lady Sidy. Podnoszę oczy do góry, na wąskie schody za plecami chłopca i domyślam się, dokąd prowadzą. Arystokraci mają tradycję: najstarszy spośród nich zamieszkuje w najwyższym punkcie pałacu. Lady Sida zajęła tę pozycję jeszcze przed moim urodzeniem. Nikt nie wie, ile właściwie ma lat, ale dzieci, zarówno Gerlingów jak i służby, szepczą sobie na ucho, że ponad trzysta. Na samą myśl o niej dostaję gęsiej skórki. Zbliża się już do górnej granicy możliwości podtrzymywania ludzkiego serca przez krwawe żelazo – wyjątek stanowi Królowa, której ekstra-długie życie, jak powiadają, to dar, jaki ofiarowała jej Czarodziejka przed swoim zniknięciem. Jakieś pięćset lat temu, kiedy krwawe żelazo rozpowszechniło się na tym terenie, nadciągnęli najeźdźcy ze wszystkich stron świata, aby zdobyć to, co musiało się wtedy wydawać niesamowitym darem. Królowa, będąca wówczas młodą, uzdolnioną panią generałem, poprowadziła semperańską armię do zwycięstwa.

Co widziała lady Sida w ciągu trzech stuleci swojego życia? Ogarnia mnie chorobliwa ciekawość. Przykucam przed chłopcem.

– To ma trafić do stajni – mówię, stawiając swoją tacę na schodach. – Zamienimy się?

– Ty się nie boisz? – Mruga oczami.

Kiedy jako dziecko byłam smutna albo wystraszona, tata opowiadał jakiś żart albo historyjkę, żeby mnie rozerwać i zapominałam o strachu. Nie mam jego talentu, ale wyciągam rękę do chłopca.

– Jestem Jules. A jak ty masz na imię?

– Hinton. – Potrząsa moją ręką, pełen wątpliwości.

– Nie bój się starych ludzi, są nieszkodliwi – mówię, choć sama zawsze się ich obawiałam i tak jest nadal. Kilkoro dojrzałych Gerlingów to ludzie po czterdziestce, ale wielu zbliża się raczej do stu czterdziestu lat. Trudno ocenić to po ich wyglądzie – chyba że podejdzie się tak blisko, że widać niebieskie żyłki pulsujące pod ich skórą, albo zaczynają gubić myśli w pół zdania. Ale kiedy ktoś żyje trzysta lat, jak lady Sida, nie jest w pełni człowiekiem, jak powiadają. To tylko pogłoski, bo nikt nie wie tego na pewno. – Ale i tak mogę zanieść tacę na górę za ciebie, jeśli chcesz.

– Dziękuję. – Na twarzy chłopca maluje się ulga. Znika, zanim zdążę podnieść tacę.

Wchodzę po schodach w ciemność, szkoda, że ręce tak mi się trzęsą. Lady Sida jest Gerlingiem nie z racji urodzenia, a poprzez małżeństwo – starzy służący twierdzą, że jej matka była nieszkodliwą wiedźmą, a mąż przywiózł ją do Everless, żeby przeniknąć tajemnice czasu. Jako dziecko widywałam ją tylko z daleka, kiedy schodziła ze swojej wieży w czasie świąt. Lady Sida zawsze domagała się dziwnych, skomplikowanych, staromodnych potraw: miodu pitnego, kandyzowanych płatków róż, pieczonych ptaków śpiewających.

A jeśli była z ciebie niezadowolona, to potrafiła, jak ludzie powiadają, ukraść ci rok życia samym spojrzeniem i przełknąć go na twoich oczach.

U szczytu schodów znajdują się rzeźbione drzwi, ozdobione czteroramienną gwiazdą – symbolem stulecia, tak jak księżyc symbolizuje miesiąc, a słońce rok. Unoszę kołatkę i stukam nią w sam środek gwiazdy.

Przez moment panuje cisza.

– Wejść – odzywa się głos, tak cichy, że ledwie go słyszę. Ramieniem otwieram drzwi i wchodzę, trzymając przed sobą tacę jak tarczę.

Pokój jest ogromny i ciemnawy, oświetlony jedynie słabym ogniem na kominku i rozwodnionym światłem dziennym wpadającym przez okno. Jest zagracony fotelami krytymi aksamitem i zawalonymi jedwabnymi poduszkami, półkami uginającymi się pod ciężarem oprawnych w skórę książek i toaletką zarzuconą sznurami koralu i srebrnymi grzebieniami. Ale większość rzeczy pokrywa gruba warstwa kurzu, jakby lady Sida od lat nie pozwalała służbie niczego dotykać.

– Przynieś tacę.

Stara kobieta siedzi w świetle padającym z okien wychodzących na zaśnieżony trawnik Everless – jest wysoka, elegancka, ale jakaś bezkrwista. Jej skóra jest matowa i cienka, a długie, niegdyś czarne włosy są obecnie białe jak kość. Oczy lady Sidy przypominają kolorem słabą, rozwodnioną herbatę. Ma na sobie suknię o prostej spódnicy, jakiej nie nosi się już od stu lat, ozdobioną koronką przy szyi i mankietach – zastanawiam się, czy nie zna obecnej mody, czy też przestała zwracać na nią uwagę.

– Ty nie jesteś Harlow. – Jej głos skrzypi jak stare drewno. Ale jest ostry. – Co się stało z Harlow?

– Harlow jest w domu i rodzi dziecko, milady – wyjaśniam. I zbliżam się ostrożnie, obchodząc dookoła poduszki.

Ona obserwuje mnie bez słowa, z rękami złożonymi na kolanach. Może spędziła cały dzień na wyglądaniu przez okno. Ogarnia mnie gniew. Żyła dłużej niż połowa mieszkańców Crofton razem wziętych – jej lata zostały opłacone dzięki haraczowi zbieranemu przez poborców, takich jak ten, który wczoraj wykrwawił mojego ojca – i tak to życie spędza? Wyglądając przez okno na zamrożone trawniki Everless?

– Czy to rumianek? – Jej oczy spoczywają na karafce z naparem stojącej na tacy. – Harlow wie, że go nie piję. Widzisz, rumianek przynosi pecha.

Nie miałam pojęcia.

– Nie, ma’am – mówię. – Zaparzyliśmy herbatę specjalnie dla pani.

Szczęki kobiety poruszają się, jakby przeżuwała każde słowo, zanim je wypowie.

– Jakie wieści przynosisz?

– W-wieści, milady?

– Bezżyteczna dziewczyna! – parska i macha ręką, jakby odganiała natrętną muchę. – Ile

jeszcze czasu do przyjazdu Królowej?

– Dwa dni, milady – odpowiadam, bo słyszałam, jak rozmawiała o tym podekscytowana służba. Miesiąc zajmą Królowej i lady Gold przygotowania do ślubu, a potem Roan będzie żonaty, w przededniu wiosny. Przypominam sobie, że nie mam żadnych praw do Roana, zupełnie żadnych.

– A dziewczyna? Dziewczyna Roana?

– Przybędzie z Królową, milady. – *Dziewczyna Roana*. Serce mi się ściska. Czuję, że na moją twarz wypływa rumieniec, mam nadzieję, że lady Sida tego nie widzi.

– Żadne z pozostałych dzieci adoptowanych przez Królową nie pożyło wystarczająco długo, żeby objąć tron, prawda? Dlaczego Roan sądzi, że z tą dziewczyną będzie inaczej? – mamrocze lady Sida i ponownie kieruje spojrzenie na trawnik.

Waham się, czy zignorować to mamrotanie, czy na nie odpowiedzieć. To prawda, że Królowa adoptowała przedtem dzieci. Z zapisków historyków wynika, że jedno zmarło w czasie epidemii, która nawiedziła kraj dziesiątki lat temu. Inne zginęło podczas ataku na pałac. Kolejne utonęło. Wszystkie odeszły przed moim urodzeniem. Nie przywiązuję większej wagi do królewskiego rodowodu i niczego, co ma związek z pałacem – tata zawsze powtarza, że z historii i opowieści nie ma chleba – ale zainteresowała mnie sugestia kryjąca się w słowach starej członkini rodu Gerlingów: że Królowa nigdy nie umrze i nigdy nie przekaze tronu.

– Ale Królowa ogłosiła Inę Gold swoją następczynią, milady – mówię w przyпыływie odwagi.

Lady Sida przygląda mi się zwężonymi oczami i na jej twarzy powoli rozlewa się uśmiech.

– Twierdzą, że ona zjada ich serca, żeby zachować młodość.

Jej słowa zawisły w powietrzu. Nie darzę Królowej specjalnym uczuciem, ale po takim potwornym oskarżeniu ciarki przebiegają mi po skórze, jakbym czekała na cios. To zakrawa na obłąd, choć lady Sida nie robi wrażenia szalonej – jest stara, ale jej głos brzmi pewnie, a umysł wydaje się sprawny. Ona sobie ze mnie szydzi. Hinton miał rację, że się jej obawiał. Najzręczniejsz jak potrafię stawiam tacę na stoliku obok lady Sidy i czekam, aż mnie odprawi.

Ale tymczasem ona robi coś, co przyprawia mnie o jeszcze większy wstrząs.

Z kieszeni na piersi wyjmuję jakiś błyszczący przedmiot. Dopiero po chwili dociera do mnie, że to roczna moneta, niemal tak szeroka jak moja dłoń i lśniąca jak złoto. Rok życia. Muszę zmobilizować wszystkie siły, żeby nie wyrwać tego skarbu z wyschniętej ręki lady Sidy i nie uciec do domu. Do taty.

Ciekawe, jak daleko bym dotarła, zanim dopadłby mnie Ivan.

– Zamieszaj to – mówi lady Sida ze zniecierpliwieniem. – Szybko, zanim herbata wystygnie.

Z wahaniem wyciągam rękę. Trzęsącymi się palcami biorę monetę – wyczuwam bijący

w niej puls, życie, które ten drobiazg mógłby mi dać. Które mógłby dać tacie.

Życie, które już kogoś kosztował.

Moneta, tak ciężka i masywna w mojej dłoni, rozpływa się jak miód, kiedy ją wrzucam do filiżanki herbaty. Lady Sida obejmuje swoimi zwiędłymi wargami brzeg filiżanki i pociąga długi, leniwy łyk. Chyba nie wyobrażam sobie tylko, że jej policzki nabierają koloru.

Nie czekam już, aż zostanę odprawiona, dygam w ukłonie i wybiegam z pokoju, prześladowuje mnie obraz szyi starej kobiety, która porusza się przy przełykaniu roku życia wpompowanego do jej krwi. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, szybsze bicie serca, gdy pada imię Roana, wydaje mi się zdradą – zdradą siebie, Crofton, taty. Jak mogę nadal żywić uczucie do Roana należącego do rodziny, która traktuje rok życia jak kostkę cukru? Do rodziny, która zniszczyła moją rodzinę i wiele innych?

5

Wieczorem, gdy padam na swoje dolne łóżko, moje nogi i ręce są ciężkie ze zmęczenia. Ale jak tylko zamknę oczy, widzę papierową twarz lady Sidy i słyszę jej dziwne słowa, które nie dają mi zasnąć. Niektórzy ludzie są na tyle głupi, że rozpowiadają szeptem rozmaite plotki o Królowej, zawsze z zapartym tchem, pod nosem – ale nie spodziewałam się usłyszeć tego od kogoś z Gerlingów.

A jednak... Kiedy tak się teraz nad tym zastanawiam, słowa Sidy nie wydają się wcale absurdalne. Bardziej absurdalne jest twierdzenie, że Królowa otrzymała dar życia od Czarodziejki. Nigdy nie rozmyślałam specjalnie dużo o naszej władczyni, bo oboje z tatą walczyliśmy o przetrwanie. Ale...

– Jules – słyszę cichutki głos. Alia wystawia głowę z górnego łóżka oddalonego o kilka jardów od mojej pryczy. Nawet w ciemności widzę, że jej oczy są szeroko otwarte z przerażenia, choć wygląda na wykończoną po całym dniu pracy w pralni, do której została przydzielona.

– Jeden chłopak powiedział mi, że Alchemik naprawdę włóczy się po tych lasach – szepcze Alia. – I powiedział, że on kiedyś tu mieszkał. I jeszcze powiedział...

Starsza szwaczka, leżąca na dolnym poziomie jej pryczy, ucisza Alię łagodnie.

– Kochanie, czy jeśli opowiem ci prawdziwą historię, to przestaniesz gadać i dasz mi spać? – W głosie kobiety jest leciutka kpina, ale pozbawiona złośliwości. Alia kiwa głową. Kobieta uśmiecha się i rzuca mi porozumiewawcze spojrzenie.

– Nikt nie wie, skąd przyszło tych dwoje dzieci, które wędrowały razem po Semperze przed epoką krwawego żelaza, nigdy się nie rozstawały i nie starzały się. Alchemik zamieniał ziemię w ołów, a ołów w złoto. Czarodziejka sprawiała, że w zimie rozkwitały kwiaty.

Uśmiecham się do siebie na myśl o tym, jak gderałaby Amma, gdyby wiedziała, że Alia nie śpi po nocy, żeby słuchać bajek. Trudno uwierzyć, że istniał kiedyś świat, w którym nie było krwawego żelaza. Co gorsza, to bez znaczenia, bo my jesteśmy uwięzieni w takim, jaki mamy. Ale słuchając opowieści szwaczki, zatęskniłam za takim światem, jeśli kiedyś istniał.

– Ale Alchemik, który mieszkał w tej posiadłości – jak powiedział twój kolega – stał się zazdrosny. Więc uwięził ich tutaj i zażądał, żeby znaleźli sposób zapewnienia mu nieśmiertelności, tak jak Czarodziejka zapewniała ją kwiatom i drzewom.

Szwaczka jest cudowną bajarką, jej opowieść kołysze mnie jak piosenka. Uciekając

z Everless zostawiliśmy wszystkie nasze książki i od tego czasu tata nie starał się nawet ukrywać pogardy dla baśni. *Nie możesz sobie pozwolić na bujanie w obłokach*, powiedział raz, kiedy prosiłam, trzęsąc się z zimna na swoim legowisku w Crofton, żeby opowiedział mi bajkę. Już nigdy więcej go o to nie prosiłam.

– W jego otoczonej ze wszystkich stron lasami posiadłości Czarodziejka, zamknięta w maleńkim pokoju i mająca do dyspozycji jedynie najprostsze narzędzia, wtopiła czas w krew, a Alchemik odkrył sposób zamiany krwi w żelazo, żeby lord mógł kraść czas swoim poddanym i sam go pożerać. – Teraz już wszystkie kobiety w pokoju słuchają. Czuję to, choć ich nie widzę. – Przez pewien czas lord był zadowolony. Ale wkrótce spostrzegł, że jego oczy tracą barwę i ucieka mu pamięć. Śmierć wkradała się w jego ciało. Rozgniewał się i zażądał, żeby znaleźli sposób zapewnienia mu życia wiecznego.

Alia siada na pryczy i przyciska kolana do piersi.

– Pewnego dnia Alchemik ogłosił, że zdołał dokonać niemożliwego: przeistoczył solidny kawał ołowiu w czysty czas. Jedyne, co musiał zrobić lord, to go połączyć.

– Ale ten Alchemik był mądry – szepnęła Alia.

– Racja – oznajmiła zadowolona szwaczka. – Okrutny lord został otruty i umarł, a Alchemik i Czarodziejka uciekli. Rozdzielili się, ale przekonali się wkrótce, że ich magia była tak potężna, iż przeniknęła do krwi wszystkich ludzi mieszkających w Semperze.

– Ale dlaczego się rozdzielili? – pyta Alia.

– Alchemik nie powiedział Czarodziejce, że magia, którą posłużyli się do stworzenia krwawego żelaza, miała wysoki koszt – była nim jej nieśmiertelność. Czarodziejka wpadła we wściekłość z powodu jego zdrady. – Głos szwaczki nabrał dźwięcznych, dramatycznych tonów.

– Choć minęły całe pokolenia, zanim pierwszy z jej ciemnych włosów posiwiiał, to jednak starzała się. W przeciwieństwie do Alchemika kochała życie, kochała ten świat i nie chciała go opuszczać. W końcu powściągnęła więc gniew i wróciła do dawnego przyjaciela, żeby odzyskać nieśmiertelność.

– Alchemik powiedział jej: „Żeby uczynić cię nieśmiertelną, muszę wziąć twoje serce na przechowanie” – dobiegł z drugiego końca dormitorium cienki jak papier głos innej kobiety.

– Więc Czarodziejka przemieniła całe swoje serce w jedno słowo i szepnęła mu je do ucha. Jego szyja poruszyła się, jakby je przełykał. A potem podał jej garść kamieni i kazał je połączyć, potem miała żyć wiecznie.

Pozostałe dziewczęta włączają się teraz, wykrzykując szeptem: *kłamca!* Albo: *złodziej!* Zamykam oczy i próbuję sobie wyobrazić, jak smakuje kamień.

– Cicho, dziewczyny, pozwólcie mi dokończyć – mówi stara szwaczka. – Ale Czarodziejka pamiętała, jak Alchemik oszukał bogatego lorda. Podejrzewała go o kolejną zdradę, więc kazała siłą nakarmić Alchemika tymi kamieniami – dwunastoma, tyle ich było – a potem go utopić. I zrobiła to osobiście.

Alia zachłystuje się powietrzem.

– Ale zdarzyło się coś dziwnego – ciągnie szwaczka scenicznym szeptem. – Czarodziejka zobaczyła, jak z martwego ciała Alchemika unosi się srebrzysty cień i przesuwa się po ziemi tak szybko, że nie sposób go dogonić. A w tym srebrze błyska coś ciemnoczerwonego, pulsującego. Czarodziejka zrozumiała, zbyt późno, że Alchemik rzeczywiście ją oszukał – ukradł jej serce.

– Zdołała je odzyskać? To serce? – pyta Alia. Ale odpowiedzi szwaczki już nie słyszę. Zapadam w niespokojny sen, pełen koszmarów, których rano nie mogę sobie przypomnieć.

Następnego dnia Lora informuje mnie, że mam obsługiwać niewielką grupkę arystokratów, którzy urządzają sobie przyjęcie w jednym z najładniejszych miejsc w Everless: zadaszonym ogrodzie ogrzewanym przez cały rok topionym krwawym żelazem płonącym na palenisku. Czas pali się długo, jasnym płomieniem. Staram się powstrzymać odruch wymiotny, gdy o tym myślę.

Przez cały dzień Lora uczy mnie i kilka innych służących przydzielonych do kuchni sztuki usuwania się w cień: nasza rola polega na tym, mówi, żeby Gerlingowie odnosili wrażenie, iż posiłki po prostu same się materializują. Moim zadaniem będzie dbanie o to, żeby kieliszki były zawsze pełne wina.

Z podziemi, które dostarczają pożywienie do otoczonych murami ogrodów, słyszę arystokratyczny, melodyjny śmiech Gerlingów i pobrzękiwanie szkła. Przyjaciele, krewni i pozostałe szlacheckie rody, które w różnych czasach wchodziły ze sobą w związki rodzinne, wszyscy oni ściągnęli do Everless w tygodniach poprzedzających wesele. Prawdopodobnie chcą się pochwalić, że byli w gronie pierwszych osób witających Królową i jej dziedziczkę. Liczba arystokracji w zamku wzrosła z trzydziestu czworga Gerlingów, ich dziadków i pradziadków oraz ulubionych krewnych – do niemal dwustu. Co wieczór wypełniają jadalnię po brzegi, olśniewający w jedwabiach, piórach i klejnotach. Ogarnia mnie zdenerwowanie na samą myśl o tym, że mam wejść między nich, choć tata nie zamierzał już nigdy postawić stopy w tej posiadłości.

A jeśli spotkam Roana? Czy on pamięta tamten wypadek – czy obarcza winą tatę, brata, czy mnie?

Czy w ogóle mnie pamięta?

– No, już dość, nie rób takich min. – Lora trąca mnie łokciem, przepływając obok z masywnym tortem udekorowanym watą cukrową. – Będą dzisiaj tak pochłonięci winem, że nie zwrócą uwagi na twoje ewentualne błędy.

– Albo będą łatwiej wpadać w gniew – mruczę. Ale Lora już odpłynęła, zamiast niej pojawia się kamerdyner, który każe służbie iść do ogrodów.

Przełykam ślinę i tak mocno ściskam w rękach karafkę, że boję się, iż mogę ją zmiażdżyć. Zaczesałam włosy w taki sposób, żeby ukryć twarz, ale – choć nie jestem już chudziutką dziewczynką z wystającymi kolanami – to boję się, że Liam będzie mnie pamiętał.

I boję się, że Roan nie będzie.

Otoczony murami ogród, niewielki w porównaniu z ogromnymi paradnymi salami Everless, skrzy się od świateł pochodni umieszczonych w kinkietach z kutego żelaza. Dym wzbija się w górę, do gwiazd. Wierzby kołyszą się lekko na wietrze, niosącym oszałamiający zapach kwiatów i wina. Tu panuje wiosna, choć gwiazdy nad głową mają jeszcze w sobie zimowy chłód. Za murem lodowaty wichur szarpie flagami Everless – ale tutaj ogień czasu przekształca go w lekką, łagodną bryzę.

Ten ogień – rozpalony do białości i wysoki jak ja – buzuje na palenisku z brązu w centrum ogrodu, fale ciepła rozchodzą się stąd na wszystkie strony. Jest piękny, ale kiedy pomyślę o straconym czasie, który go podsyca, cała płonę ze złości. Szybko odwracam wzrok.

Arystokraci snują się po całym ogrodzie – kobiety, olśniewające w jedwabnych i aksamitnych sukniach i mężczyźni, imponujący wzrostem i ciemnymi albo srebrzystymi włosami. Złote pierścienie lśnią na dziesiątkach palców. Trio muzyków napełnia ogród słodkimi akordami.

Instynktownie rozglądam się za Roanem. Ze zgrozą stwierdzam, że pierwszym Gerlingiem, jakiego dostrzegam, jest Liam. Opiera się o porośniętą dzikim winem przeciwległą ścianę ogrodu i rozmawia z matką, lady Verissą.

Przez moment czuję się tak, jakbym się skurczyła, jakbym na powrót stała się dzieckiem. Liam trzymał się zawsze trochę na uboczu, na marginesie naszej małej grupki przyjaciół, milczący i czujny, stanowił przeciwieństwo otwartego Roana. Czasami stawał w progu, cichy jak cień, i obserwował naszą zabawę. Nawet wówczas byłam wobec niego nieufna, niepokoił mnie jego bezruch i oczy tak ciemne, że zdawały się pochłaniać światło, ale Roan go idealizował.

Zaciskam zęby na myśl o dobroci Roana w stosunku do brata – dobroci, którą Liam zdradził. Nie, żeby kogoś zdradzić, trzeba najpierw go kochać. A wątpię, czy Liam Gerling w ogóle zna to uczucie.

Z pewnością nie nauczył się go od swej zimnej matki, lady Verissy. Ona musi już mieć z pięćdziesiąt, albo sześćdziesiąt lat, ale wygląda na trzydziści i prezentuje się olśniewająco w szmaragdowej sukni z odsłoniętymi ramionami. Jest piękna w irytujący sposób, z ostrymi jak szkło kośćmi policzkowymi i ciemnoniebieskimi oczami o fiołkowym odcieniu.

Obchodzę ich z daleka, rozpoczynając swoją rundę.

Poziom wina w mojej karafce szybko opada – to kolejny, przyjemny sposób wykorzystania wielu stuleci: przepijanie ich, ale oni mają tyle czasu do stracenia, że cóż to dla nich za różnica? – i już mam wrócić do kuchni, gdy jakaś kobieta pstryka na mnie palcami.

– Hej, ty – chodź tutaj.

Odwracam się, nie podnosząc wzroku. Jakaś nieznana mi, opalona dama z herbem Renaldich – tańczącym niedźwiedziem – na wisiorcu, patrzy na mnie i unosi swój kieliszek. Stoi zaledwie kilka stóp od Liama i Verissy.

Wiem, że jeśli nie doleję jej wina, to tylko niepotrzebnie zwrócę na siebie uwagę, więc podchodzę śpiesznie. Liczę na to, że czepeczek służącej ukryje moją twarz, a reszty dokona półmrok i upływ czasu. Nagle dociera do mnie głos lady Verissy, choć ona ewidentnie stara się mówić cicho – i zamieram.

– Jest tutaj córka lorda Schuylera – mówi Verissa. – Spotkaj się z nią.

– Nie wiesz nawet, jak jej na imię, ale wiesz, że będzie dobrą żoną? – pyta zgryźliwie Liam.

– To bez znaczenia... – Verissa miarkuje się i podejmuje spokojniejszym tonem. – Nie możesz odziedziczyć Everless, jeśli się nie ożenisz.

– Wystarczy, ty idiotko. Nie widzisz, że kieliszek jest pełen? – prycha kobieta z rodu Renaldi, więc szybko robię krok do tyłu. Ona odwraca się i odchodzi, a po drodze wrzuca do wina coś małego i lśniącego.

Ale ja ociągam się z odejściem, bo jestem ciekawa dalszej rozmowy lady Verissy i Liama. Sprawia mi przyjemność, że Liam będzie zmuszony zrobić coś, na co nie ma ochoty, choć żał mi tej biednej dziewczyny, która będzie musiała go poślubić.

– Niech Roan dziedziczy Everless. Bardziej się z tego ucieszy niż ja. – Głos Liama sprawia, że ciarki przebiegają mi po karku. Nie podnoszę wzroku, więc nie widzę jego twarzy, ale mogę sobie wyobrazić jego groźne spojrzenie.

Lady Verissa jest wyraźnie zniecierpliwiona.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że Roan...

Dalsze jej słowa toną w radosnych okrzykach podpitych uczestników przyjęcia. Odruchowo oglądam się za siebie, szukając przyczyny tego aplauzu i prawie zachłystuję się powietrzem. W ostatnich latach kilkakrotnie widywałam Roana Gerlinga podczas jego wizyt w Crofton. Ale zawsze patrzyłam na niego z daleka, ukradkiem, chowając się za kramy, kiedy on objeżdżał konno targowisko.

Teraz jest inaczej. Roan stoi w bramie ogrodu ze swym ojcem, lordem Nicholasem, zaledwie o kilka stóp ode mnie. Ma na sobie elegancki, czarny strój i złoty krawat. Jego niebieskie oczy lśnią w blasku ognia jak skrawki letniego nieba.

Patrząc na niego zapominam o wszystkim – o tym, że jego rodzina doprowadziła nas do upadku i nędzy, o tym, że jest zaręczony i ma poślubić dziewczynę, której uroda, jak niektórzy powiadają, stanowi dowód istnienia czarów. Przez moment nie chciałabym być w żadnym innym miejscu, tylko w tym ogrodzie, tego wieczora, wpatrzona w uśmiech Roana.

W następnej chwili rozpaczliwy krzyk wznosi się ponad gwar rozmów. Arystokrata

o czerwonym obliczu zaciska rękę wokół nadgarstka służącej. To Bea, którą spotkałam wcześniej w kuchni. Na jego niebieskim kaftanie rozszerza się plama z wina, dziewczyna trzyma karafkę w roztrzęsionych rękach.

– P-przepraszam – jąka Bea.

– Ty idiotko! – warczy mężczyzna. – Wykrwawię z ciebie miesiąc, to może będziesz bardziej uważała. – Wypluwa z siebie słowa, a rozwścieczone oczy niemal wyłazą mu z orbit. Wyciąga zza pasa niewielki nóż. Czas zdaje się topnieć, rozplýwać się jak sople lodu w słońcu.

W następnej chwili Roan jest tuż za nim, unieruchamia jego ramię i wyjmuję mu z ręki nóż.

– Lordzie Baldwin – mówi ze śmiechem. – Nie ma potrzeby straszyć tej biedaczki. Zresztą to paskudna koszula. Powinien pan być jej wdzięczny za wyświadczoną przysługę.

Wszyscy zaczynają się śmiać. Mężczyzna mruga oczami, jakby zdjęto z niego czar i wypuszcza rękę Bei, która spogląda na Roana z wdzięcznością. On bierze od niej karafkę, a ona cofa się i znika w tłumie.

– Proszę. – Roan klepie Baldwina po plecach i sam napełnia mu winem kieliszek. – Wino łagodzi większość pretensji, prawda? Napij się ze mną, przyjacielu.

Podświadomie zbliżyłam się do nich, głos Roana, jego uśmiech i dobroć przyciągają mnie, jak wiosenne słońce przyciąga nagie, twarde, podziemne bulwy.

I nagle nasze oczy się spotykają. Tracę oddech, stoję jak sparaliżowana, uwięziona jego spojrzeniem. Roan unosi kieliszek.

I puszcza do mnie oko.

A potem wychyla kieliszek do dna, budząc powszechny aplauz. Tylko Liam, jak zauważam, nadal patrzy wilkiem z narożnika.

Muzyka znowu zaczyna grać i goście ruszają w tany, tłum porywa ze sobą Roana. Serce mi mocno wali. Ale rośnie też we mnie trwoga, owija się wokół mnie jak strużka ciemnego dymu z ogniska.

Roan mnie poznał.

Jestem tego pewna.

6

Tego wieczora mam wreszcie szansę napisać dwa listy: jeden do Ammy i jeden do ojca. A potem, w dniu, w którym ma przybyć Królowa wraz ze swą świtą, mam piętnaście minut na zjedzenie twardej bułki z serem i pobiegnięcie do stajni, żeby złapać jednego z kurierów, którzy codziennie rozjeżdżają się po wioskach.

Napisałam Ammie prawdę, choć tylko niewielką jej część – że Lora zdaje się mnie faworyzować, choć okazuje to w zabawny sposób: gania mnie od świtu do nocy, tak że kiedy wieczorem docieram do swojej pryczy, zapadam w sen, zanim zdążę rozpleść włosy.

Nie mówię jej, że nowe krwawe monety brzęczą w mojej sakiewce, której nigdy nie odcepiam od paska; że Ivan łypie na mnie pożądliwie i ociąga się, wręczając mi je pod koniec każdego dnia pracy. Znoszę to, podobnie jak wszystkie inne dziewczyny, wdzięczna, że to nie Liam rozdaje wypłatę. Zawsze zastanawiam się, przelotnie, z jakiego nieszczęsnego mężczyzny czy kobiety Gerlingowie wysączyli to krwawe żelazo i przypominam sobie długą kolejkę ludzi, czekających, aż zostaną z nich wykrwawione godziny, dni, lata – kolejkę, która wiła się przez całe targowisko.

Nie zmrzyłam oka przez wiele godzin, skulona na pryczy przy świecy, próbując znaleźć odpowiednie słowa na wyrażenie tego wszystkiego, co powinnam tacie powiedzieć.

Poprzestałam na: *Przepraszam*. To nie oddaje moich uczuć, bo nie żałuję tego, co zrobiłam. Jestem tu od dwóch dni, a już zarobiłam cztery tygodnie, które przesłałabym mu w liście, gdyby nie przydrożni złodzieje. Jeśli nawet ktoś mnie rozpoznał, to nie ujawnił się. Jedna myśl przebija się ponad wszystkie: wkrótce będę miała dosyć pieniędzy, żeby zapłacić zaległy haracz, a potem przyjdzie wiosna, a wraz z nią lepsze polowania. Za miesiąc wrócę do Crofton z wystarczającą ilością krwawego żelaza, żeby uzupełnić to, co poborca już zabrał tacie.

W pamięci liczę monety. To tylko ułamek tego, co nam odebrano; co odebrano Crofton. Ale przełykam gniew, niech się rozplynie w moim wnętrzu jak krwawe żelazo w herbacie. Dla taty.

Na razie.

W stajni chłopak o szerokich barach podkuwa konia kuriera. Przy siodle już wiszą sakwy wypchane listami. Chłopak odwraca się, słysząc moje kroki.

– Tam! – wołam bez zastanowienia.

Zbyt późno do mnie dociera, że sama się zdradziłam. Ale nic mnie to nie obchodzi. Mój

dawny przyjaciel jest synem dwojga strażników z Everless, ale w dzieciństwie oboje, on i ja, chcieliśmy zostać kowalami, jak tata. Tam kręcił się wokół kuźni, dopóki tata nie zaprosił go do środka i od tego czasu spędzaliśmy razem wiele godzin, siedząc na stole w warsztacie, machając nogami i obserwując pracę taty nad świecącym żelazem.

Tam zerka teraz na mnie, próbuje zgadnąć, kim jestem. Ściągam z głowy czepek.

– To ja, Jules. – Nadal wygląda na zdezorientowanego, więc uśmiecham się i wskazuję na swoje zęby. – Widzisz? Mówiłam ci, że odrosną. – Przez całe cztery miesiące przeżywał mnie Waflem, bo oba przednie zęby wypadły mi jednocześnie.

Jego twarz zmienia się. Uśmiech sprawia, że cała się rozjaśnia, jakby ktoś zapalił latarnię pod jego skórą. Kiedy obejmuje mnie ramionami, otacza mnie znajomy zapach metalu i dymu.

– Pracujesz w nowej kuźni. – Odsuwam się, żeby na niego spojrzeć. Jest masywny i o stopę wyższy ode mnie, ale twarz pozostała taka sama, przystojna i szczerą. – Nie mogę w to uwierzyć, minęło już tyle czasu! – Moje słowa brzmią bełkotliwie, bo mówię, śmiejąc się. – Co u ciebie? Teraz ty tu rządzisz? A Etta i Merrill również tu są?

Ale Tam uśmiecha się smutno i robi dziwny gest, kładzie palce jednej ręki na ustach, a potem odsuwa rękę. Potrząsa głową i powtarza gest, rozumiem: nie może mówić.

Natychmiast opuszcza mnie radość.

– Co się stało? – wyrzucam z siebie, ale on nie może odpowiedzieć. Patrzymy na siebie, zagubieni, i czuję, jak coś we mnie pęka. Przed oczami przesuwają mi się obrazy Tam i Roana, bawiących się w walkę, ganiających się z drewnianymi mieczykami po całym Everless.

Tam wyciąga rękę i ściska moje ramię. Rozumiem, że chce mi powiedzieć: dobrze cię widzieć. Ale choć się uśmiecha i jego oczy są pełne emocji, to usta pozostają mocno zaciśnięte.

– Wrócę tu – mówię słabo. Serce trzepocze mi w piersi jak ćma tłukąca się o szybę.

On ponownie ściska moje ramię, a potem, z uśmiechem, bierze moje listy. Prawie o nich zapomniałam. Odwraca się znowu plecami do mnie, a ja bez słowa wracam do kuchni.

Zastanawiam się, co się stało z moim dawnym przyjacielem?

W kuchni rząd posługaczek obsypanych mąką zawzięcie miesi ciasto, jakby sama Królowa nadzorowała ich pracę. Już mam do nich dołączyć, ale Lora łapie mnie za rękę.

– Musisz zejść do piwnicy z warzywami – mówi. – Przynieś tyle cebuli, ile zdołasz udźwignąć w koszyku.

Wytrzeszczam na nią oczy. Przecież napełniłam już kuchenną spiżarnię warkoczami cebuli i grubymi sznurami czosnku w ilościach przekraczających jej potrzeby. Kiwam

głową, ale ociągam się z odejściem.

– W stajni jest chłopak, który nie mówi. – Staram się, żeby mój głos brzmiał lekko i obojętnie. – Co mu się stało?

– O, Tam. – Uśmiech znika z jej twarzy. Lora łapie kulę surowego ciasta i zaczyna je ugniatać, więc wiem, że popełniłam gafę, ponieważ tylko w chwilach zdenerwowania bierze się osobiście do pracy, zamiast zlecić ją innym. – Biedny chłopak. On... – Urywa, nagle wygląda, jakby się postarzała. – Obrząził młodego kapitana i za to stracił język. Więcej tego nie robi.

Dreszcz przebiega mi po plecach na myśl o zimnych oczach Ivana i ostrzu jego miecza. Wiedziałam, że był okrutnikiem, ale to przekracza granice mojej wyobraźni, zalewa mnie fala nienawiści.

Lora patrzy na surowe ciasto tak, jakby to był Ivan.

– A ty pilnuj swoich spraw – zwraca się do mnie ostrym tonem, jakiego jeszcze u niej nie słyszałam. – A wtedy sprawy zadbają o ciebie.

Nie zdążyłam jej poprosić o więcej informacji, bo w tym momencie chłopiec, który bał się zanieść tacę z obiadem lady Sidzie, wpada do kuchni, przebiega pomiędzy kucharkami i zatrzymuje się raptownie przed nami.

– Wolnego, Hiltonie Carstairs – mówi Lora surowo.

– Właśnie przybył posłaniec do lorda Gerlinga. – Chłopiec jest czerwony i ciężko dyszy. – Wkrótce będzie tu kompania Królowej! – Teraz już praktycznie piszczy. – Królowa nadjeżdża!

Jeden z kuchcików upuszcza wałek, a jakaś dziewczyna przyciska do piersi rękę uwalaną mąką i gwałtownie wciąga powietrze. Nawet ja, choć zwykle nie żywię silniejszych uczuć do Królowej, czuję ciarki na plecach na myśl o tym, że zobaczę kobietę, która poprowadziła Semperę do zwycięstwa, a potem rządziła krajem przez kilkadziesiąt lat – kobietę, która twierdzi, że została pobłogosławiona przez samą Czarodziejkę, a nawet że kroczyła u jej boku.

Nagle przychodzą mi na myśl słowa lady Sidy: *Mówię ci, że ona zjada ich serca, żeby zachować młodość.*

Drzę. Dziwne.

– Tak, tak, wiemy, że Królowa przyjeżdża – mruczy Lora, obrzucając przejęty personel kuchenny karcącym spojrzeniem. A potem łapie Hintoną za ramię. – Kiedy?

– Za godzinę – odpowiada Hinton, nadal ciężko dysząc. – Może mniej.

W całej kuchni wybucha gwar. Ale Lora krzywi się tylko. Puszcza Hintoną i odwraca się do mnie.

– Do piwnicy – mówi. – I to już.

– Ale... – zaczynam.

– Zrób to! – Nie żałuję, że mogę opuścić kuchnię, bo w powietrzu unosi się jakaś nowa, gorączkowa energia, w której nie czuję się zbyt pewnie.

Schodzę do piwniczki i czuję na twarzy chłodne powietrze, to prawdziwa ulga po parnej, gorącej kuchni, ale ciemność i ciasnota podziemnych korytarzy sprawiają, że rodzi się we mnie napięcie. A może to dlatego, że tak tu pusto, a ja przywykłam już do tego, że zawsze, we dnie i w nocy, otacza mnie tłum służących. Zdejmuję pochodnię z uchwytu na ścianie i unoszę ją wysoko, żeby oświetlić drogę.

Skręcam do magazynu z warzywami, mijając beczki jabłek wydzielających lekki, kwaskowy zapach. I dostrzegam coś, czego nie powinno tu być, coś nowego – ciemny kształt w kącie. Robię krok naprzód i w słabym, chybotliwym świetle pochodni widzę postać mężczyzny skulonego na brudnej podłodze, trzęsącego się z zimna w starym płaszczu. Wiem, kto to, zanim jeszcze oczy to potwierdzą.

– Tata. – Mój głos jest szeptem, tata z trudem dźwiga się na nogi, trzymając się półki, żeby nie upaść. Podbiegam, otaczam go w pasie ramieniem i podtrzymuję. Wygląda okropnie – blady i wymizerowany, z twarzą zabrudzoną ziemią i zapadniętymi oczami. Czuję jego żebra przez płaszcz. – Jak... Dlaczego... Co, na litość boską, tutaj robisz?

Tata śmieje się, ten dźwięk dudni mu w piersiach i zaraz przechodzi w kaszel.

– Musiałem cię zobaczyć.

– Nie powinieneś być w Everless, tato. – Jest chudy, taki chudziutki.

– Ciebie to nie powstrzymało – mówi. Pomimo słabości, jego głos nadal jest kpiący.

Uśmiecham się przelotnie, z przymusem – rozpaczliwie.

– Ja wtedy byłam dzieckiem. Nikt nie rozpozna mojej twarzy. Jak mogłeś... Kto wie, co się stanie, jak Gerlingowie cię zobaczą? Powiedziałeś...

– Nikt mnie nie zobaczy. – Nawet sam głos taty zdradza jego wyczerpanie podróżą. – Przekonałem handlarza zbożem, żeby pozwolił mi ukryć się na jego wozie. Nie zostanę tu długo.

– Mogłeś mi przysłać wiadomość, tato. Przyjechałabym do domu natychmiast. – Na myśl o ojcu wędrującym poboczem drogi przez cały dzień i ślaniającym się z wyczerpania, robi mi się niedobrze z poczucia winy.

Tata uśmiecha się, ale ma w oczach coś, czego nie rozumiem.

– Nie mogłem czekać na posłańca, ani mu zaufać. – Podnosi rękę do mojej twarzy. Jego palce są bardzo zimne. – Jules. Moja praktyczna dziewczynka. Powtarzam ci jeszcze raz: musisz wrócić do domu.

– Tato, wszystko w porządku – mówię tępo. A w głowie układam już plan, jak go odesłać do wioski. Za krwawe żelazo z mojej sakiewki mogę wynająć wóz. Lora wie, kim jest tata, więc zdaje sobie sprawę, jakie ryzyko wiąże się z jego pobytem tutaj. Nie mogę jej prosić o pomoc, ale może mogłabym zapłacić Hintonowi, żeby go zabrał, albo Tamowi. – Jeszcze tylko kilka tygodni i przez wiele miesięcy nie będziemy musieli się martwić, z czego zapłacić haracz. Nie rozumiesz? Wszystko będzie dobrze. Nikt mnie nie rozpoznał.

To najgorszy moment na przypominanie sobie mrugnięcia Roana, ale nie mogę z tym

walczyć, bo rozgrzewa mi serce. I nie chcę z tym walczyć.

– Nie. – Głos taty jest niski, natarczywy. – To miejsce jest dla ciebie niebezpieczne. – Przez moment mam znowu siedem lat i ściskam go za rękę, a on wyciąga mnie z Everless, nasze ubrania są jeszcze ciągle przesiąknięte dymem. – Królowa przybędzie lada moment.

– Potrzebujemy pieniędzy – oświadczam stanowczo, nagle rozgniewana na niego, na jego upór. Nie mam już siedmiu lat; ojciec nie ma prawa dyktować mi, co mam robić.

– Znajdę pieniądze. – Bierze moje ręce w swoje dłonie. Są zimne, a palce twarde jak kość. Światło pochodni podkreśla bruzdy na jego twarzy i podobne do siniaków cienie pod oczami. – Proszę. Opuść to miejsce.

– Nie mogę; zauważą moje zniknięcie. – Być może to wcale nie jest kłamstwo. Poczucie winy miesza się we mnie z gniewem, ale odpycham oba te uczucia. Ojciec chronił mnie przez siedemnaście lat, teraz ja będę go chronić, choćby to było najbardziej bolesne. – Królowa wraz ze swą siostrą jest spodziewana lada chwila. Cała okolica będzie się roić od strażników i arystokracji, przybywającej, by obserwować jej przyjazd. Musisz wyjechać stąd natychmiast, zanim przybędą.

– Ty też, Jules. – Jego ręce zaciskają się na moich barkach, a oczy trzymają na uwięzi mój wzrok. – Nie możesz dopuścić, żeby Królowa zbliżyła się do ciebie. Nie możesz dopuścić, by cię zobaczyła. Ona cię rozpozna. To nie jest bezpieczne.

– Królowa? – Gapię się na niego. – Nie masz na myśli Liama, tato?

Wydaje się, że nie dosłyszał mojego pytania.

– Ona jest złodziejką. I to bardzo niebezpieczną. – Słowa taty padają w pośpiechu, brakuje mu tchu, a kiedy unoszę wyżej pochodnię, widzę, jak błyszczą jego oczy, płoną gorączką, a może czymś gorszym. – Wyjaśnię ci po drodze. Ale musimy opuścić...

– Tato, nie – przerywam mu. – Jeśli nie stawię się do pracy w kuchni, czeka mnie surowa kara.

Ojciec nie przestaje ciągnąć mnie za rękę, choć słabiutko. Przygniatają mnie pytania i obawy, miażdżą mnie swoim ciężarem – mój ojciec popada w obłęd.

– Zaczekaj tutaj – mówię. – Znajdę kogoś, kto odwiezie cię do domu. – A ponieważ widzę, że tata zamierza ze mną dyskutować, dodaję: – Ja przyjadę do domu jutro, po rozmowie z Lorą.

Tata marszczy czoło.

– Jeśli przysięgniesz, że przyjedziesz.

Otwieram usta, żeby złożyć przysięgę, ale coś mnie łapie za gardło.

Nigdy nie przysięgaj, jeśli nie zamierzasz dotrzymać obietnicy, bo przysięgając oddajesz Alchemikowi swoją duszę. Słowa starej piosenki z dzieciństwa.

Mam nadzieję, że to nieprawda. Bo prawda jest taka, że nie mogę opuścić Everless jutro. Tata wygląda jakby stał nad grobem; bardziej niż kiedykolwiek musi uzupełnić zapas swojego czasu. Co gorsza – coś we mnie, jakaś niewielka, ale niezaprzeczalna część,

pragnie się przekonać, czy Roan znowu się do mnie uśmiechnie.

– Przysięgam. – Kłamię ze ściśniętym żołądkiem. – Kocham cię.

Tata pochyla się, otacza mnie ramionami i całuje w czoło. Przez moment przytulam się do niego i wdycham zapach metalu i słomy, zapach domu.

– Kocham cię – mruży mi we włosy. – Zawsze o tym pamiętaj.

– Do zobaczenia jutro, obiecuję. – Kłamanie przypomina próbę utrzymania w żołądku węgorka: prawda usiłuje wydostać się na zewnątrz.

Zaczynam przyzwyczajać się do tego uczucia.

Po powrocie do kuchni rozglądam się za Lorą, dostrzegam ją po przeciwnej stronie pomieszczenia, gdzie długim nożem zeskrobuje łuski z ryby. Spogląda mi w oczy i natychmiast opuszcza wzrok, jej czoło przecina zmarszczka niepokoju. Będę musiała podziękować jej za wysłanie mnie do taty.

Ale najpierw muszę wyprawić stąd ojca. Przeszukuję całe pomieszczenie, zanim wreszcie znajduję Hintoną – przykucnął w rogu i bawi się patyczkami, a za nim bulgocze zupa, której powinien pilnować.

Widząc, że do niego idę, wrzuca patyczki do wiadra z miną winowajcy. Ale ja nie zwracam na to uwagi, już wyciągam monety z sakiewki u pasa. Chciałabym mieć więcej czasu do zastanowienia i skonstruować lepszy plan. Ale kiedy orszak Królowej znajdzie się w zasięgu wzroku z Everless, bramy zostaną zamknięte, a strażę rozstawione na palisadzie będą przeszukiwały każdy pojazd wjeżdżający i wyjeżdżający z miasta. Potem nie będę już w stanie wyekspediować stąd taty.

Łapię małą drewnianą miskę i nalewam do niej zupę. Hinton wytrzeszcza oczy, kiedy wyciągam trzy duże miedziane monety tygodniowe i wrzucam je do parującej zupy.

– Nie możesz brać tej zupy. Ona jest dla...

– Wiem – mówię i opadam przed nim na kolana. Patrzy na mnie podejrzliwie, więc otwieram sakiewkę i podsuwam ją chłopcu przed oczy. W głębi błyska kolejna tygodniowa moneta, świeżo wybita. Oczy Hintoną otwierają się szerzej, a ja przypominam sobie, jaka byłam w wieku dwunastu lat: każdy dzień wydawał mi się prezentem, a tydzień całą wiecznością.

– Potrzebuję przysługi – wyznaję. – Przed przyjazdem Królowej. Możesz mi pomóc?

Chłopiec waha się. Ale moneta stanowi zbyt wielką pokusę, by z niej zrezygnować.

– Spróbuję.

– Znasz drogę do piwnicy z korzeniami? – Kiwnięcie głową. – Weź tę miskę. Znajdziesz tam pewnego człowieka. Dopilnuj, żeby to wypił. On jest moim... moim ojcem. – Z trudem przechodzi mi to przez gardło, bo przywykłam strzec swoich tajemnic przed wszystkimi, ale teraz to już nie ma znaczenia. – On musi opuścić Everless, ale jest chory. Nie wyjedzie o własnych siłach.

– A dlaczego musi stąd wyjechać? – pyta ostrożnie Hinton.

– To długa historia – odpowiadam. – Jest trochę złej krwi pomiędzy nim, a... kapitanem

Ivanem. – Nie chcę wymieniać imienia Liama, żeby nie prowokować pytań, na które nie mogę odpowiedzieć.

Powiedziałam to, co należało. Hinton kiwa głową ze zrozumieniem – boi się Ivana, jak wszyscy inni.

– Co mam zrobić?

– Zabierz go stąd – proszę. – Natychmiast. Do Crofton, jeśli możesz. Wiesz, gdzie to jest?

– Kiwa głową, a ja wciskam mu monetę do ręki. I uśmiecham się w nadziei, że na mojej twarzy nie widać napięcia. Gdyby to nie była rzeczywistość, to pewnie śmiałabym się na myśl o powierzeniu życia ojca dziewięcioletniemu chłopcu. Ale jestem zdesperowana.

Hinton obraca monetę w rękach, a potem wkłada ją między zęby i przygryza w zamyśleniu.

– Wieczorem wyrusza transport skór do Crofton. Poproszę chłopaków stajennych, żeby go ukryli na wozie.

Oboje wzdrygamy się, słysząc głęboki, czysty dźwięk dzwonu. Tętniąca życiem kuchnia zamiera, ściany wokół nas drżą, wprawione w wibrację tym przenikliwym tonem. Na krótką chwilę zapominam o strachu, oczarowana. W dzieciństwie wielokrotnie słyszałam dzwony Everless – były w czasie ślubów i pogrzebów, na Nowy Rok i przy królewskich proklamacjach. Ale nigdy dotąd nie słyszałam Dzwonu Koronnego, zarezerwowanego wyłącznie dla Królowej.

Ze wszystkich dzwonów Everless jakie pamiętam, ten ma najgłębszy, najpiękniejszy ton. To oznacza, że mamy się zbierać na powitanie Jej Królewskiej Wysokości.

To również oznacza, że nie mam już czasu.

– Nie możemy zwlekać – zwracam się do Hintona.

– Już idę. – Chłopiec unosi głowę. – Wyjedziemy południową bramą.

– Bądź ostrożny. – Z trudem wymawiam słowa, tak mocno bije mi serce.

Znów bije dzwon, tym razem dołącza się inny, o wyższym tonie, i następny, i jeszcze następny, aż wreszcie wszystkie dwanaście dzwonów śpiewa razem. Wychodzę na korytarz i przyłączam się do strumienia służby płynącego ku bramie. Dziewczeta unoszą spódnice i biegną, nawet starsze pokojówki i sprzątaczkę idą śpiesznym krokiem, niesione przez tłum. Gwar wypełnia wszystkie korytarze i zagłusza nawet dzwony. Ale cały ten zgiełk dociera do mnie jak przez szklaną taflę. Strach o ojca szumi mi w uszach, zaciemnia wzrok.

Staram się odpychać od siebie lęk. Mój ojciec jest w gruncie rzeczy silny. Przebył całą drogę tutaj, prawda? A przy sprzyjającym wietrze i odrobinie szczęścia będzie w domu przed zmrokiem.

Z najwyższym pospiechem dołączam do grupy służących zebranych w rogu głównego holu. Lora uwija się wśród nich, wyciera mąkę z twarzy dziewcząt i poprawia im sukienki.

– Jules – mówi surowo, gdy mnie spostrzega. – Czekaliśmy na ciebie.

Pochyliłam głowę.

– Przepraszam, ma’am.

Lora podnosi rękę do moich włosów, bo kilka niesfornych kosmyków wysunęło się z węzła z tyłu głowy i wiję się wokół twarzy. Wsuwa mi je za uszy i klaska językiem z dezaprobatą, kiedy natychmiast wyskakują jak sprężynki.

– Nie da się nic na to poradzić – mruczy, po czym podnosi głos. – Na dwór, dziewczęta, i to szybko.

Setki służących ustawiają się na trawniku przed zamkiem w powitalny szereg prowadzący od bramy wjazdowej Everless aż do paradnego holu – mała armia w barwach Gerlingów, w zieleni i złocie. W gromadce nieletnich służących dostrzegam Alię, która wspina się na palce, żeby lepiej widzieć. Strażnicy co pewien czas patrolują drogę przejazdu pomiędzy szpalerami służby – Ivan na przedzie – z dłońmi wspartymi na wysadzanych drogimi kamieniami rękojeściach broni. To największe zgromadzenie ludzi, jakie w życiu widziałam, i czuję się wśród nich bardzo malutka.

Zastanawiam się, ile może być czasu w tej zbiorowości? Setki stuleci. Dziesięć tysięcy lat, a może i więcej. A każdy z Gerlingów ma dziesięć razy więcej od każdego z nas.

Gerlingowie wylewają się akurat z Everless frontowymi drzwiami, wszyscy razem, jak przepiękna rzeka bogactwa, jak płynne żelazo. Lord Gerling w otoczeniu żony i synów na przedzie. Za tą czwórką podąża tuzin krewnych, olśniewających w jedwabiach i aksamitach. Wzdrygam się na widok księżnej Corinne stojącej za lady Verissą; ta kobieta wygląda niemal na rówieśnicę swojej córki, choć musi mieć co najmniej sześćdziesiątkę. Widzę, jak wkłada do ust coś, co wyjęła z sakiewki.

Ogarnia mnie gniew, kiedy wyobrażam sobie godzinę rozpływającą się na jej języku. Zerkam na okno w wieży, w którym, jak wiem, musi siedzieć lady Sida i obserwować wszystko tymi swoimi dziwnymi, bladymi oczami. Uświadamiam sobie, że chciałabym zobaczyć wyraz jej twarzy, usłyszeć, co powie na widok Królowej.

Liam stoi w pewnej odległości od rodziny, z półprzymkniętymi oczami, jakby nudziły go te uroczystości. Zalewa mnie doskonale znane uczucie, połączenie trwogi i gniewu na wspomnienie chwili, gdy wepchnął brata do buzującego ognia. Jak bardzo musi być pokrecony, ten chłopak, który ma wszystko, skoro skazał dwie niewinne istoty na ruinę, żeby ukryć własne okrucieństwo.

A Roan.

Roan.

Starzy ludzie z wioski powiadają, że Gerlingowie mają w żyłach starożytną krew – krew szalonego lorda, który przed wiekami uwięził Czarodziejkę i Alchemika. Jego zachłanność zmusiła ich do powiązania czasu z krwią i skazała nas wszystkich na życie w znoju. Z pewnością mają tyle krwawego żelaza, że to może być prawdą. Nietrudno uwierzyć, że Gerlingowie są źli do szpiku kości, że mają we krwi coś takiego, co wyzwala zło. Ale kiedy patrzę na Roana – na jego ciemnoniebieskie oczy i uśmiech, który wstrzymuje czas – nie

dostrzegam śladu zła.

Z galanterią podaje ramię swojej babce, kobiecie o pustym spojrzeniu. Ma na sobie ciemnożółtą, nieskazitelną kamizelkę, ale jego niesforne włosy sterczą na wszystkie strony, jak zawsze. Na myśl o sporach, jakie musiał toczyć z matką o te włosy – słyszałam je wielokrotnie w dzieciństwie – pomimo wszystko ledwo powstrzymuję uśmiech. Widzę, jak trąca Liama łokciem, rozbawiony jakimś tajemniczym dowcipem i zastanawiam się, jak mógł wybaczyć bratu, który próbował wepchnąć go do ognia.

Idiotka, szydę z siebie. Tak, Roan jest piękny i czarujący. I będzie nadal piękny, kiedy ja zmienię się już w staruszkę, zakładając, że dożyję sędziwego wieku. I będzie czarujący jeszcze długo po mojej śmierci.

Brama otwiera się ze skrzypieniem i wśród zgromadzonej służby rozlega się pełen zachwyty pomruk. Odrywam wzrok od Roana, żeby obserwować przyjazd świty Królowej.

Lśniące karoce wtaczają się, jedna za drugą. Jest ich pięć, wszystkie zaprzężone w dumne, białe konie. Garstka strażników idzie obok nich, ich miecze lśnią w popołudniowym słońcu. Mój puls przyspiesza, kiedy jadący na przedzie powóz zbliża się na tyle, że mogę dostrzec siedzącą w nim kobietę.

Początkowo Wielka Władczyni jest tylko jasną plamą na szkarłatnym tle. Potem podjeżdża bliżej. I wówczas, podobnie jak wszyscy wokół mnie, mimowolnie wciągam powietrze. Jest wysoka, silna, bez jednej zmarszczki, choć wiem, że tak samo wyglądała na długo przed narodzinami mojego ojca – i jego ojca, i ojca jego ojca. Z lekkim uśmiechem na ustach spogląda na tłum i macha ręką na powitanie, a ja odczuwam nader niestosowne pragnienie, by zacząć się śmiać albo klaskać, albo jedno i drugie.

Stojąca obok Ingrid pochyła się w moją stronę.

– Słyszałam, że jest piękna, ale to... – Robi pauzę. – Tego się nie spodziewałam.

– Moja mama mówi, że opiekuje się nią czarownica – pieje z zachwytem Bea. Wystroiła się na tę okazję najpiękniej, jak mogła – na kuchenny uniform narzuciła niebieski szal, który współgra z brązowym kolorem jej skóry. Ubrania Bei są przesiąknięte zapachem lawendy.

Żałuję, że nie ma tu Lory, która kazałaby im zamilknąć. Jeżeli Ivan usłyszy, że gadamy między sobą, to kto wie, jak przykładnie nas ukaże.

Kolejna karetka toczy się tuż za pierwszą, jest mniejsza, ale równie wspaniała. Gdy przejeżdża obok nas, po raz pierwszy widzę narzeczoną Roana, Inę Gold. Krótko ostrzyżone, ciemne włosy sięgają do płatków jej uszu i okalają twarz w kształcie serca. Jest taka śliczna, że wręcz promienieje urodą. Jej doskonale piękny uśmiech jest skierowany bezpośrednio do Roana, przyciska ręce i twarz do szyby powozu, jakby pragnęła, by szklana tafla zniknęła i pozwoliła jej pobiec do niego. Serce mi się ściska na widok uśmiechu, jakim Roan odpowiada na jej uśmiech. Odwracam wzrok i ponownie kieruję spojrzenie na karetkę Królowej; dopiero teraz zauważam głębokie bruzdy w drewnie – zupełnie jak ślady po strzałach. Dziwne.

Powozy Królowej, lady Gold i pozostałe zatrzymują się. Kiedy Królowa schodzi po wąskich, wysadzanych perłami schodkach, w szkarłatnej szacie, która spływa kaskadą z jej ramion, Gerlingowie przyklękają i pochylają głowy w czołobitnym ukłonie. Cała służba idzie za ich przykładem, padamy na kolana na trawniku. Rosa przemacza mi spódnicę.

Po dłuższej chwili lord Gerling podnosi się i daje pozostałym sygnał do powstania.

– Wasza Królewska Mość – odzywa się tubalnym głosem. – To wyjątkowy zaszczyt przyjmować cię w swoim domu.

Królowa kwituje powitanie lekkim skinieniem głowy i przygląda się lordowi Gerlingowi. Nawet ze znacznej odległości dostrzegam, że wzdrygnął się pod jej spojrzeniem.

– Dziękuję ci, Nicholasie.

Jej głos brzmi tak, jakby mówiła z daleka, z głębi długiego, ciemnego tunelu. Jest piękna, ale wydaje się kimś z innego świata, elegancka i władcza. Czerwony płaszcz, spływający z jej ramion jak wodospad, jest podtrzymywany przez ciemnowłosą podręczną. Kiedy Królowa przygląda się Everless, wracają do mnie dziwne słowa taty: *Nie pozwól, by cię zobaczyła.*

Co chciał przez to powiedzieć, u licha?

I gdzie teraz jest?

Roan wysuwa się naprzód, ujmuje rękę lady Gold i składa na niej pocałunek – a ona odrzuca głowę do tyłu i śmieje się. Powietrze drży od aplauzu, czystego i przenikliwego jak dźwięk dzwonu.

– Jules – odzywa się Bea zbyt głośno. – Gapisz się.

Robię się czerwona i odwracam wzrok. Zamiast gapić się na Roana i lady Gold, obserwuję strumień mężczyzn i kobiet wysypujących się z karety jadącej za powozem następczyni tronu. Królewska świta odziana w barwy Królowej – kamizelki mężczyzn oraz sukienki i czepki kobiet są utrzymane w ciemnej czerwieni złamanej fioletem, w odcieniu czerwonego wina. Dworzani jest znacznie mniej, niż się spodziewałam – i zauważam w nich coś dziwnego. Na twarzach wysiadających maluje się czujność lub ulga. Nikt się nie uśmiecha. Jedna z kobiet zaciska wokół siebie płócienny szal z plamami czerwieni w odcieniu, który nie pasuje do sukni; a sama suknia zwisa pod jakimś dziwnym kątem, jakby była rozerwana. Idący za nią mężczyzna kuleje, a na ramieniu jego czerwonego kaftana widnieją brązowe plamy.

Moją uwagę odwraca lady Verissa, która lekkim ruchem ręki daje nam znak, żebyśmy podeszli.

Ivan przechodzi pomiędzy nami i ustawia z nas rodzaj falangi. Królewska służba w burgundowej liberii staje jako pierwsza i bierze najcenniejsze rzeczy Królowej: wazony z dmuchanego szkła, ogromne skórzane księgi z pozłacanymi brzegami stronic, butelki alkoholu i perfum. Ivan łapie Addie za rękę i przesuwa ją do przodu. Addie związała włosy na czubku głowy w węzeł przypominający rozchylający się pączek róży. Kilka innych

służących z Everless również wysuwa się naprzód i wypełnia luki w procesji królewskich tragarzy. Wymieniamy spojrzenia z Ingrid; ona również jest zaskoczona szczupłością grupy dworzan.

– Zobacz – szepcze do mnie. – Nie mają wystarczającej grupy do noszenia jej rzeczy.

– Ustawić się! – wrzeszczy Ivan na pozostałą służbę, kiedy świta zostaje uzupełniona, a my pośpiesznie wykonujemy polecenie. Ja zostaję przesunięta na czoło, zaraz za czeladź Królowej, ktoś wciska mu do rąk aksamitne pudło na kapelusze. Reszta otaczających mnie służących bierze skórzane skrzynki i suknie owinięte bibułą, olejne obrazy w płóciennych pokrowcach, a nawet krzesła i poduchy, niemal zbyt wielkie, by je unieść. *Czy Królowa przyjechała z wizytą, czy raczej się wprowadza?*, myślę złośliwie.

W końcu ruszamy do wejścia jak mrówki, po pięć w rzędzie, mała armia, której jedynym celem jest służyć. I służyć, i służyć. Ile warte są te rzeczy, które niesiemy? Ile lat spoczywa teraz w naszych ramionach?

Na myśl o tacie mam ochotę rąbnąć tym pudłem na kapelusze o ziemię. Ale gdybym to zrobiła, byłabym martwa w ciągu sekundy, sądząc po jastrzębim spojrzeniu Ivana.

Królowa, z Gerlingami u boku, zatrzymuje się zaraz po wejściu w progi zamku i zwężonymi oczami obserwuje procesję służby.

– Zakładam, że będę miała przydzieloną eskortę do swoich komnat? – pyta głosem, który niesie się przez cały hol.

Ivan, idący na czele kolumny, natychmiast nakazuje nam stanąć. Zatrzymuję się wraz z innymi i dreszcz przebiega mi po skórze. Jesteśmy zbyt zdyscyplinowani, żeby wydawać jakiegokolwiek dźwięki, ale wyczuwam niepokój ogarniający grupę służących. Addie stoi kilka rzędów przede mną, ale przysięgłabym, że czuję zapach mięty i cytryny unoszący się z jej włosów.

Lady Verissa wygląda na skonsternowaną, ale po chwili kiwa głową.

– Oczywiście, Wasza Królewska Mość. – I ruchem głowy przywołuje Addie, która podchodzi do niej wystudiowanym krokiem, choć widzę, jak kurczowo ściska w rękach ozdobne pudełko z biżuterią. – Oddaję Addie na twoje usługi. Ona zna Everless i całą służbę. Dopilnuje, żebyś była właściwie obsługiwana.

Królowa przygląda się Addie, ale nic nie mówi. Addie uśmiecha się nerwowo i opuszcza wzrok na podłogę.

– Roanie, Liamie – zwraca się lady Verissa do synów – zaprowadźcie lady Gold do jej apartamentu.

W tym momencie Królowa rusza w stronę czoła naszej kolumny. Ciemnowłosa podręczna podchodzi, żeby szepnąć coś na ucho Inie Gold. Zauważam, że świta Królowej, ta w królewskich barwach, kłania się i dyga, kiedy władczyni przechodzi obok; po chwili ludzie z Everless podchwytyją to i zaczynają robić to samo. Dłonie swędzą mnie od potu. Kiedy Królowa przechodzi o kilka stóp ode mnie, czuję jakieś napięcie, jakby nawet

powietrze ciągnęło ku niej, gotowe na usługi, jak wszyscy. Automatycznie przysiadam w głębokim ukłonie i pochylam głowę. A w myślach znów słyszę ostrzeżenia taty. Nie pozwól, by Królowa zbliżyła się do ciebie, powiedział.

Ale pomimo jego słów, coś we mnie pragnie, by mnie zauważyła. Prostuję się i unoszę wzrok znad podłogi – oczy Królowej, błyszczące jak szkło, są skierowane prosto na mnie. W mojej piersi rozpala się jakieś uczucie. Coś jakby rozpoznanie, choć nie potrafię go umiejscowić.

A potem dzieje się coś złego. Nie potrafię powiedzieć, od czego się zaczęło – może Królowa zawadziła o coś stopą – ale przewraca się, pada na twarz, ze sztywnymi kończynami, jej wysoka sylwetka jest pełna nienaturalnego wdzięku. Addie rzuca się naprzód, aby uchronić ją przed upadkiem, ale Królowa przewraca się na nią i Addie kończy w morzu wirującej, czerwonej materii. Pudełko wypada jej z rąk na twardą podłogę, otwiera się i klejnoty rozsypują się na wszystkie strony. Ciemnoczerwony kamień toczy się pod same moje nogi.

W ciągu zaledwie kilku sekund Addie podnosi z ziemi siebie i Królową. Ale zamiast odsunąć się natychmiast, Addie zamiera, jej palce nadal obejmują nadgarstek Królowej – dotyka jej gołej, odsłoniętej skóry. A potem gwałtownie cofa rękę, jakby dotknęła rozpalonego kamienia.

W procesji zapada śmiertelna cisza. Nikt nie śmie oddychać, gdy Królowa prostuje się w wyrazem furii na twarzy. Oczy dziewczyny są szeroko otwarte i pełne przerażenia, jakby właśnie zainkasowała nokautujący cios. Kładzie rękę – tę rękę, która dotykała Królowej – na piersi. I zaciska drżące palce na wysokości serca.

Nie dotykać Królowej. Nie przywiązywałam większej wagi do instrukcji Lory, bo nie przypuszczałam, że znajdziemy się na tyle blisko Królowej, by to ostrzeżenie mogło mieć zastosowanie. Addie z pewnością nie została w tej kwestii poinstruowana. Nikt – nawet królewska służba – nie poruszył się.

Odwróć od niej wzrok, chcę krzyknąć. Ale dziewczyna wpatruje się w królową Sempery jak skamieniała.

Czuję, że powinnam natychmiast coś zrobić, więc opadam na kolana i zaczynam zbierać z podłogi klejnoty. Wkrótce mam pełne garści rubinów, szafirów i szmaragdów oprawnych w złoto, każdy z nich, myślę w oszołomieniu, jest wart co najmniej rok, a może i więcej. Podnoszę pudełko na biżuterię. Wieczko, rzeźbione we wzór ze stylizowanych liści i jagód, wisi skrzywione, jeden z zawiasów został złamany. Nagle jakieś kobiece dłonie wyciągają się w moją stronę i wyjmują mi z rąk pudełko. Kobieta pochyla się, jej włosy opadają jak kurtyna i zasłaniają mi widok na żywy obraz Królowej i Addie. Podnoszę oczy i widzę, że to ciemnowłosa podręczna.

– Trzymam je – mówi do mnie cicho, z sympatycznym uśmiechem na ładnej, pociągłej twarzy. Bez wahania oddaję jej klejnoty, dziewczyna umieszcza je w pudełku, zamyka je

i wsuwa sobie pod pachę. Płynnym, pełnym gracji ruchem pomaga mi wstać i równocześnie cofa mnie do linii służących z Everless.

Addie wreszcie rusza się z miejsca i próbuje wtopić się w gromadę służących obok mnie.

– Caro, przyprowadź ją do mnie – mówi Królowa.

Podręczna – Caro – bierze Addie za rękę.

– Wasza Królewska Mość – zaczyna lady Verissa, ale Królowa ucisza ją jednym spojrzeniem. Ivan przesuwa się i staje kilka kroków za nimi. Jego uśmiech mnie przeraża – jakby wietrzył krew. Powstrzymuję drzenie. Królowa ma w oczach ogień, a jest on skierowany przeciw Addie.

– Jak ci na imię? – pyta Królowa.

– Addie, Wasza Królewska Mość – odpowiada dziewczyna, prawie niedosłyszalnie.

– Powiedz mi, Addie. – Głos Królowej jest głęboki i dźwięczny, wypełnia całą przestrzeń jak coś fizycznego. – Czy położyłaś ręce na swojej Królowej?

Dziewczyna trzęsie się ze strachu.

– Wasza Królewska Mość... ja tylko próbowałam pomóc...

– Milcz – rzuca Królowa. Roan, Liam i lady Gold zatrzymują się w pół kroku i patrzą, stojąc w otwartych drzwiach. Lady Gold przygryza dolną wargę; ręka Roana spoczywa w zagięciu jej pleców. Natomiast Liam wpatruje się w Królową spod opuszczonych powiek, bardzo intensywnie.

– Zabrać ją – rozkazuje Królowa. – Nie chcę jej tutaj więcej widzieć.

Addie szczęka opada, czuję szok przebiegający przez oniemiałą służbę.

– Proszę! – A głosie Addie wyraźnie brzmi rozpacz. – Everless to mój dom. Nie chciałam zrobić nic złego!

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, zanim Ivan doskoczył do niej i złapał ją za ramię. Błyskawicznie zostali oboje otoczeni przez oddział straży i zniknęli nam z oczu.

Słyszę płacz Addie, kiedy ją wyprowadzają. Wszyscy słyszą.

– Proszę przyjąć moje przeprosiny, Wasza Królewska Mość – zwraca się do Królowej lady Verissa. Nawet ona jest wstrząśnięta, bo jej twarz wydaje się bledsza niż zwykle. – Postaramy się, żeby dziewczyna została odpowiednio ukarana.

– Zostanie skazana na wygnanie. – Królowa nie próbuje nawet zniżyć głosu. Jej słowa docierają do wszystkich służących i przejmują moje serce chłodem. – I za każdym razem, kiedy ośmieli się zaprotestować, odbierać jej rok.

– Twoje polecenie zostanie wykonane – zapewnia lady Verissa po chwili wahania. Pozwala sobie na leciutkie, prawie niedostrzegalne drgnienie i ruchem głowy daje znak Liamowi. On opuszcza Roana i Inę i wychodzi w zapadający za naszymi plecami mrok. Można mieć pewność, że dopilnuje wykonania okrutnego wyroku: wygnania.

– Ale ty, pani, musisz być wyczerpana – podejmuje lady Verissa znowu melodyjnym głosem. – Pozwól, że odprowadzimy cię do twoich pokojów.

Kiedy ruszamy wreszcie z miejsca i wchodzimy w głąb zamku, po korytarzach niosą się jeszcze ostatnie, słabe łkania. Ucina je dźwięk zatraskujących się bram Everless.

8

Tej nocy zapadam w ciężki sen, ciągle myśląc o Addie i o swoim ojcu, pełna tęsknoty za domem.

Śni mi się las, głęboki i mroczny. Bezlistne drzewa wznoszą się wysoko jak wieże. Ich gałęzie żyją, wyciągają się do mnie, wiją się... szarpią mnie za włosy, za ubranie.

Biegnę. Strach ściska mnie za gardło.

A potem: widzę za sobą złowieszczą smugę krwi i czerwone ślady stóp na ciemnej ziemi. Moje ślady. Jestem ranna, niezdarna. Nie mogę uciec. Świat zaczyna się trząść, wszystkie drzewa unoszą ramiona w górę, skręcają je w znajomy kształt...

Oczy. Para oczu.

Gwałtownie otwieram swoje własne oczy i przez moment w tym zimnym, ciemnym dormitorium mogłabym przysiąc, że czuję, jak trzęsie się pode mną ziemia, jakby część mojego snu została przeniesiona do realnego świata. Nagle dostrzegam nad sobą jakiś cień i otwieram usta do krzyku. Czyjaś dłoń błyskawicznie zakrywa mi usta.

Dłoń pachnąca, bardzo słabo, czosnkiem.

– Ciii – szepcze Lora. – To tylko ja. Wstań, dziecko.

Siadam na łóżku i mrugam, dopóki moje oczy nie przyzwyczają się do ciemności. Lora stoi obok mojej pryczy w szlafroku. Jest ciemna noc, wszędzie wokół nas pochrapują, drżą i pomrukują przez sen inne służące na swoich wąskich łóżkach, wyczerpane po całym dniu gotowania, podawania i sprzątanania ze stołu po pierwszym przyjęciu na cześć Królowej.

– Jeszcze za wcześnie – mówię, zdezorientowana, bo nie otrząsnęłam się jeszcze ze snu. Przed kim tak uciekałam? Już nie pamiętam.

– Jules. – Lora stanowczo łapie mnie za rękę, wbija palce w moją skórę. I jeszcze bardziej zniża głos. – Twój ojciec.

Te słowa przebijają się przez moją senność jak ostry nóż. Sięgam po wiszącą przy łóżku sukienkę, wysuwam się spod koca i trzęsąc się wkładam ubranie. Wyskakuję zbyt szybko, omal nie tracę równowagi. Kobieta, która śpi obok mnie, mamrocze coś przez sen, a Lora wyciąga mnie z sali pełnej uspiomych służących na korytarz.

Otwieram usta, jak tylko Lora zamyka za nami drzwi, cisną mi się do gardła setki pytań.

W tym momencie go dostrzegam – Hintoną, któremu zapłaciłam za odwiezienie ojca do Crofton. Ma na sobie to samo ubranie, ale teraz podarte i zabłocone. Wygląda tak, jakby płakał, a kiedy otrząsam się z resztek snu, dociera do mnie, że Lora wygląda tak samo. Ma

plamy na policzkach i zaczerwienione oczy.

Robi mi się zimno.

Lora kładzie rękę na ramieniu Hintona.

– Powiedz jej – prosi łagodnie, a kiedy chłopiec waha się, ponagla go. – No, dalej. Wyrzuć to z siebie.

Hinton wpatruje się w swoje buty, unika mojego wzroku.

– Powiedz mi – nakazuję, ale te słowa brzmią obco w moich uszach, jakby wypowiedział je ktoś inny.

– Znalazłem twojego ojca w piwnicy, tak jak powiedziałaś. – Hinton drży. A mnie włosy jeżą się na ramionach i karku.

– Wyprowadziłem go na powierzchnię tuż przed wjazdem Królowej do zamku, więc nikt nie zwrócił na nas uwagi. Ale kiedy poszedłem przyprowadzić wóz i konia, on... on... zgubiłem go. – Hinton podnosi na mnie oczy pełne błagania. – Nie zczekał na mnie. A mówiłem mu, żeby zczekał. Przepraszam. Chciałem ci powiedzieć, ale Królowa...

– W porządku – mówię. Chciałabym, żeby przestał.

– Szukałem go wszędzie, ale zatrzymał mnie strażnik, zaczął mi zadawać pytania. Kiedy wzeszedł księżyc znalazłem w końcu twojego ojca, zaraz za południową bramą, nad jeziorem. Był ranny.

Był. Był. Był.

– Ranny – jak? – chrypię.

– Upadł – powiedział cicho Hinton. – I miał fioletowe plamy na rękach.

– Fioletowe? – Wodzę zdumionym spojrzeniem od chłopca do Lory i z powrotem. – Nie rozumiem.

– Pachniał jakoś dziwnie? – pyta Lora.

Hinton energicznie kiwa głową.

– Trochę tak. Kwasem. Jak zepsute owoce.

– To mawa, barwnik z owoców wykorzystywany do znakowania. Strażnicy Królowej pokrywają nią broń na wypadek, gdyby ktoś im uciekł. Ale... – Robi pauzę i mierzy mnie wzrokiem. – Skarbiec Everless również jest posmarowany mawą. I jeśli ktoś próbuje się do niego dostać, zostaje naznaczony.

Kręci mi się w głowie.

– Chcesz powiedzieć, że tata próbował ukraść coś ze skarbcza Gerlingów? On by nigdy... – Urywam, bo przypominają mi się jego wyblakłe, zdesperowane oczy w świetle pochodni.

Lora nic nie mówi, ale na jej twarzy maluje się litość.

Mija kilka chwil, zanim dociera do mnie, że Hinton znowu coś mówi.

– Próbowałem wciągnąć go na wóz, ale nie chciał iść.

Jego słowa są coraz cichsze, muszę się zbliżyć, żeby je usłyszeć, choć instynkt radzi, żebym uciekała, żebym wskoczyła do łóżka i udawała przed sobą, że to tylko dalszy ciąg

złego snu. Ale cichy głos Hintona zatrzymuje mnie w miejscu.

– Zaczął mieć zwidy. Rozmawiał z ludźmi, których tam nie było.

– Jules, ile jeszcze czasu mu zostało? – Głos Lory jest bardzo łagodny. Wiem, co sugeruje – że jeśli czas taty się wyczerpywał, to zaczął popadać w obłąd, że próbował włamać się do skarbcza Gerlingów – po co?

Jej pytanie zawisło w powietrzu. Z najwyższym wysiłkiem powstrzymuję mdłości.

Hinton jest taki blady, że cienie pod jego oczami wyglądają jak sińce.

– Próbowałem sprowadzić pomoc, ale mi nie pozwolił. Poprosił, żebym posiedział przy nim, powiedział, że nic nie mogę zrobić.

– Jest uparty – szepczę. Słyszę, co Hinton do mnie mówi i ogromna, mroczna, potworna prawda powoli zaczyna nabierać kształtów. Ale nie mogę ubrać jej w słowa, jeszcze nie. Patrzę na niego, czekam, by kontynuował. Jego oczy są pełne błagania.

– Siedziałem przy nim, jak prosił. Myślałem, że śpi. Potem zrozumiałem... – Łzy spływają po policzkach Hinton. – Nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym zrobić.

Lora zaciska rękę na jego ramieniu.

– Tak samo odeszła moja mama. Nie powiedziała żywej duszy, że jej czas się kończy. Wcześniej położyła się do łóżka i w pewnym momencie w nocy jej czas się wyczerpał i serce przestało bić. – Robi znak zegara, rysując dwoma palcami krąg na swym torsie, po czym robi taki ruch, jakby chciała mnie objąć, ale ja cofam się, trzęsę się jak ranne zwierzę.

– Jemu zostało jeszcze trochę czasu – udaje mi się w końcu wykrztusić. – Przynajmniej kilka tygodni.

Oni oboje tylko na mnie patrzą, twarz Hinton. wykrzywia smutek, Lora jest pełna litości.

– Znałam twojego ojca, Jules – odzywa się Lora. – Niezbyt dobrze, ale wiem, że był rozumnym człowiekiem. Ale jeśli chciał dostać się do skarbcza.... W ostatnim miesiącu człowiek jest niestabilny – dodaje szorstko. – Wiesz, że tak jest. Rozum wypływa z żył wraz z latami.

Potoczne powiedzonko w Crofton. Zbyt potoczne. Kiedy traci się czas, traci się również rozum.

Odwracam się od nich i podnoszę rękę do ust, robi mi się niedobrze.

– Okryłem go najlepiej, jak mogłem. Nadszedł wóz ze skórą, powiedzieli, że zajmą się nim. Pokażę ci, jeśli chcesz. – Zwiesza głowę. – Na drogach grasują rabusie, którzy wyrwają ludziom zęby, żeby je potem sprzedać. – Głos Hinton brzmi żałośnie, jest pełen rozpacz i wyrzutów sumienia, i pomimo własnego cierpienia żal mi go: jest taki młody, a już tyle widział. – Miał to przy sobie.

Całe powietrze ucieka mi z płuc. Hinton trzyma w ręku portrecik mojej mamy naszkicowany węglem.

Moje ciało wstrząsają mdłości, nie wyciągam ręki po rysunek. To nie może być prawda. Nie może. A jednak, patrząc na tych dwoje, wiem, że jednak jest.

Odwracam się i uciekam.

Kiedy nogi odmawiają mi w końcu posłuszeństwa, niebo nie jest już czarne, nabiera odcienia metalicznej szarości. Znajduję się na kamienistym północnym brzegu jeziora Gerlingów. W półmroku jezioro wygląda jak lustro, ale nie odbija się w nim nic, poza mgłą snującą się nad jego powierzchnią, i odległym zamkiem – który wygląda nierealnie, jakby mógł go rozwiać powiew wiatru.

Nad wodą osuwam się na kolana. Niejasno uświadamiam sobie, że jestem na bosaka, moje stopy są poranione do krwi i tak zziębnięte, że ich nie czuję. Mój umysł spowija gęsta mgła, za którą czai się straszliwa rozpacz, która może mnie pochłonąć.

Coś błyszczy przede mną wśród kamieni. Odruchowo sięgam po to i na jedną błogosławioną sekundę zapominam o ojcu, gapię się tylko w osłupieniu na ten lśniący przedmiot w mojej dłoni.

To moneta. Złota, błyszcząca, duża jak śliwka, z dwunastoma nacięciami na brzegu.

Rok życia.

Z gardła wyrywa mi się śmiech, niewesoły, na wpół histeryczny. Tylko Gerlingowie mogli wypuścić z ręki coś tak cennego. Czymże jest rok dla kogoś, kto ma wieki?

Dlaczego nie mogłam znaleźć jej wczoraj, wsączyć w tatę i uratować go?

Wyobrażam sobie Gerlinga bez twarzy, który zgubił tę monetę, który poczuł, że jego kieszeń stała się lżejsza, ale nie zadał sobie trudu, żeby zawrócić. Ja na jego miejscu pełzałabym na kolanach w błocie tak długo, aż bym ją znalazła. Grzebałabym gołymi rękami w kamieniach, aż palce spływałyby mi krwią. Aż zdarłabym z nich ciało do kości.

Uznaliby mnie pewnie za wariatkę. Ale myliliby się.

Nie chcę uwierzyć, że tata jest – *był* – szalony. On wiedział coś o Królowej. Inaczej nie powiedziałby mi, żebym trzymała się od niej z daleka – i nie poświęciłby ostatniego dnia życia na próbę włamania do skarbcza Gerlingów, jak złodziej. Ale gdzie indziej mógłby nabawić się tych plam, które opisywał Hinton? Ściskam monetę w dłoni tak mocno, że niemal spodziewam się wycisnąć z niej krew. Wyraz jego oczu, kiedy się rozstawaliśmy – szalony, tak. Ale szalony z rozpacz. Ze smutku rozstania.

Nagle spada na mnie zrozumienie. Ojciec zegnał się ze mną, tam, w piwnicy.

Tym razem nie mogę już powstrzymać wymiotów.

Nie pozwól, żeby cię zobaczyła, słyszę znowu.

Nie rozstałby się z życiem bez powodu. Musiał mieć ku temu ważny powód, musiał mieć powód, by powiedzieć mi to, co powiedział.

Powód, by skończyć w śniegu, pod murami Everless.

Wyrywa mi się szloch, zaczynam bić pięścią w kamienie, pięścią, w której ściskam monetę. Wstaję, oślepią łzami i odrzucam ją od siebie najdalej jak mogę. Zatacza łuk w porannym powietrzu i znika w ciemnych wodach.

Mgła spowijająca mój mózg rozwiewa się w jednej chwili, odsłaniając lodowatą

wściekłość.

Mój ojciec umarł tutaj. Dowiem się dlaczego – a potem zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby odpowiedzialni za to ponieśli karę.

Przysięgam.

9

W naszej wiosce był człowiek, którego nazywaliśmy Duchem, zawsze się trząsł i nie podnosił oczu. Był hazardzistą, wykrwawił niemal cały czas zarówno z siebie, jak i ze swego małego synka, ale ograł Edwina Duade – wygrał dwieście lat, wystarczająco dużo, żeby odzyskać roztrwoniony czas ich obu i to z naddatkiem. Ale kiedy wrócił do domu z ciężką sakiewką u pasa, chłopiec leżał bez życia na podłodze. Jego serce nie wytrzymało. Przy całym swym szczęściu do kart i pieniędzy, Duch pomylił się w obliczeniach – wykrwawił z syna zbyt wiele czasu.

Teraz sypia na ulicy, każdą godzinę swych źle zarobionych dwustu lat przeżywa na widoku publicznym jako rodzaj kary – i ostrzeżenia – na oczach wszystkich.

Uważałam to za jedną z umoralniających opowiastek taty, dopóki nie zobaczyłam Ducha w zaułku, przy którym roilo się od tawern i barmanów gotowych wykrwawić z człowieka ostatnią godzinę za drinka – co tydzień znajdowano ciała w rynsztoku. Nieszczęśnik podniósł na mnie wzrok, kiedy przechodziłam i jego oczy, zapadnięte jak u starych Gerlingów, sprawiły, że zamarłam w pół kroku. I on, i oni żyli zbyt długo; te oczy w połączeniu z szarą cerą i wychudłą jak szkielet postacią nadawały mu naprawdę wygląd ducha.

I rozpacz. Rozpacz malująca się na jego twarzy była tak bezdenna, że mogła pochłonąć mnie całą. Nigdy więcej nie postawiłam nogi w tym zaułku.

Czuję teraz na sobie te jego oczy, kiedy patrzę na nieznany, kamienny strop. Przez jedną błogosławioną sekundę po przebudzeniu nie pamiętałam, gdzie jestem i dlaczego. Cieszyłam się, że mam pod plecami gruby materac, zamiast zwykłego barłogu na brudnej podłodze chaty.

A potem, powoli jak wiosenne roztopy, wróciła mi pamięć – o tym, jak Lora obandażowała moje poranione stopy i zaprowadziła mnie do swojego pokoju, żebym odpoczęła. O tym, jak moje łkania odbijały się od ścian niewielkiego pomieszczenia, aż wreszcie padłam na kołdrę Lory pachnącą surowym ciastem i zapadłam w sen pełen koszmarów. O tym, że cała twarz i gardło bolą mnie od płaczu, że moje stopy płoną i że ten ból błędnie w porównaniu z rozdzierającą pustką w piersi.

Lora lituje się nade mną i pozwala mi zostać w swoim pokoju, gdzie spędziłam pierwszy

dzień i noc po śmierci ojca. Skulona pod kocem przysłuchuję się wesołym pogaduszkom służących za ścianą, rozmawiają o pieczonym ptactwie i o ulubionych ziołach Królowej. Mój świat został rozdarty na dwoje, ale Gerlingowie myślą tylko o ślubie Roana z córką Królowej.

Królowa. Kiedy w dormitoriach milkną pogawarki, a na dworze cichnie wiatr, przysięgam, że słyszę jej kroki na korytarzu nad moją głową.

W pewnym momencie – nie jestem pewna, o jakiej porze – wstaję z łóżka z niejasnym pragnieniem chodzenia. Mechanicznie narzucam na siebie szlafrok i wędruję korytarzami, trzymając się tych przeznaczonych dla służby, żeby nie wejść w drogę strażnikom patrolującym nocą Everless. Ruch sprawia, że czuję się lepiej, bo koncentruję się na aktywności i chłodzie, a nie na myślach o tacie.

Opatrunki Lory na stopach obluzowały się i pojawiają się na nich czerwone plamy. Opieram się o ścianę, żeby poprawić bandażę, ale nic z tego. Za bardzo mi się trzęsą ręce. Chłód kamiennej ściany i posadzki przenika przez nocną koszulę. Czy tata też był taki zimny po śmierci?

– ...pomordowani? Wszyscy? – słyszę szept. Rozglądam się po korytarzu, ale jest pusty, oświetlony tylko migoczącymi lampkami olejowymi.

– ...pozarzynani przy drodze jak psy – rozległa się znowu głos. Męski i znajomy. Uświadamiam sobie, że skuliłam się akurat pod murem, który Roan nazywał szepczącą ścianą – jakiś dziwny wybryk architektury sprawia, że jeśli przyłoży się ucho do ściany na korytarzu dla służby, to można rozmawiać szeptem z kimś w głównym holu. Albo go słuchać.

Przyciskam ucho do muru.

Wydaje mi się, że to głos Roana.

– Tak, ale Królowa nie chce, żeby ktoś o tym wiedział – mówi błagalnie kobiecy głos. – Gdybyś widział, Roanie, jak na nas napadli. Krwawcy zabiliby mnie, zabiliby nas wszystkich, gdyby nie Caro. Ona wyszła do nich i przekonała ich w jakiś sposób, żeby pozwolili odejść tym z nas, którzy pozostali przy życiu. – Głos kobiety załamuje się. – Królowa wysłała za nimi ludzi, kiedy tu dotarliśmy, ale kto wie. – Następuje pauza, potem słyszę pośpieszne, stłumione *do widzenia* i *dobranoc*.

Tkwią z uchem przy ścianie, jak zaczarowana. Ten głos mógł należeć tylko do Iny Gold... a mówiła o śmierci. Nie, o zabijaniu. Zastanawiam się, co mogła mieć na myśli. Nagle przypominam sobie uszkodzenia karety Królowej i przesiąknięte krwią ubrania jej służby. Można z tego wyciągnąć tylko jeden wniosek: Królowa została zaatakowana w drodze do Everless.

Ilu było zabitych? Jaką zgrozę przywiozła do nas Królowa, poza śmiercią taty?

Obrazy śmierci i przemocy od nowa rozdierają mi serce, wspomnienie śmierci taty pochłania mnie znowu. Ból jest niemal fizycznie wyczuwalny, jakby coś we mnie pękało.

Przyciągam kolana do piersi i zaczynam szlochać, wciskając twarz między nogi, żeby stłumić łkania.

– Halo? – szepcze ktoś. Roan.

Powinnam wrócić do dormitorium – ale to „halo” Roana odczuwam jak linę ratunkową rzuconą tonącemu. To słaba lina i być może prowadząca donikąd, ale nie mogę jej nie chwycić.

– Halo – odszeptuję głosem mokrym od łez.

– Dlaczego płaczesz? – pyta.

Nie mogę mówić o tacie, nawet bezcielesnemu głosowi zza ściany. Jeszcze nie. Więc podaję inną wersję prawdy.

– Bo mam złamane serce. – Mam nadzieję, że Roan weźmie mnie za jakąś chorą z miłości dziewczynę, płaczącą za kochankiem, który pozostał we wsi. Po prostu chcę usłyszeć jego głos.

– Przykro mi – odpowiada Roan. I dodaje po krótkiej pauzie: – Rozumiem.

– Naprawdę? – pytam roztrzęsionym głosem. – Ale przecież jesteś... – Gryzę się w język. Idiotka. Nie potrafię pojąć, jak Roan – jak którykolwiek z Gerlingów – może czegoś pragnąć, jak może rozumieć złamane serce, szczególnie jeśli żeni się z córką Królowej.

– Nie, dokończ – domaga się głos z drugiej strony. – Kim jestem?

– G-Gerlingiem – odpowiadam z wahaniem. Każdy mógł się zorientować, z kim rozmawia, z uwagi na jego akcent. Nie zdradziłam się, mówiąc to. Mam nadzieję.

Roan śmieje się cicho. Chciałabym wtulić się w ten dźwięk, owinąć się nim jak kocem.

– Winny i skazany – mówi. – Ale, wiesz, my, Gerlingowie, też mamy serca.

– Czasami trudno to dostrzec – odpowiadam cicho.

Roan wzdycha, szmer powietrza wychodzącego z jego płuc brzmi przez ścianę jak mały wodospad.

– Wiem – odpowiada po dłuższej chwili. – W dzieciństwie było o wiele prościej. Wtedy nie wiedzieliśmy, co to złamane serce czy śmierć, nie znaliśmy zła.

Nieprawda, myślę. Moje serce pękło, kiedy Liam wypędził nas z Everless. Ale nic nie mówię.

– Wydajesz się dobrą dziewczyną. Ten, kto złamał ci serce, to głupiec. – Zamykam oczy. Gdyby Roan znał prawdę, nie powiedziałaby tego. – Czy mogę poprawić ci jakoś samopoczucie?

Kąciaki moich ust odruchowo unoszą się w uśmiechu. Głos Roana działa jak lekarstwo.

– Tylko mów dalej – szepczę. – Co znaczyło to twoje stwierdzenie, że w dzieciństwie było łatwiej? – pytam o jego ostatnie słowa, bo bardzo chcę usłyszeć, że o mnie nie zapomniał.

– Hmm. – Mogę sobie wyobrazić wyraz twarzy Roana, łobuzerski uśmieszek, kiedy przebiega w myślach wspomnienia ze swego szalonego dzieciństwa. Z naszego dzieciństwa.

– No, wtedy życie było jedną wielką zabawą. Przeważnie uganiałem się po całym ternie

z dziećmiakami służby. Ja nie pogardzałem nimi – nie pogardzam nimi – jak mój brat i rodzice.

– Moja... kuzynka opowiadała, że zawsze jej dokuczał – mówię, starannie dobierając słowa. – To znaczy, Liam. Przezywał ją czarownicą. – Słyszę nutkę goryczy we własnym głosie.

– Nie wątpię – wzdycha Roan. – Rodzice położyli kres naszemu brataniu się z dziećmi służby po pożarze.

Serce mi się ściska, nagle ogarnia mnie przerażenie, ale nie rezygnuję.

– Po jakim pożarze?

– Wydaje mi się... – mówi Roan po krótkiej pauzie – że bawiliśmy się w łapanie monety tygodniowej... nie, w lisa i węża, kiedy stara kuźnia stanęła w ogniu.

Nie dodaje nic więcej, ale jego słowa ożywiają moją pamięć.

– W lisa i węża? – szepczę.

– Och. – Zaczyna się śmiać. – W taką grę wymyśloną przez córkę służącego. Jedno z dzieci odgrywa lisa, a drugie węża. Lis bez przerwy poluje na węża.

Moje ramiona pokrywa gęsia skórka. Ta córka służącego to ja.

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo zza jego ściany dobiegają jakieś odległe, stłumione głosy.

– Ktoś idzie – szepcze Roan. – Nie byłoby dla mnie dobrze, gdyby zobaczono, że przemawiam do ściany. Ale mam nadzieję, że twoje serce się zrośnie. I to szybko.

– Ja też mam nadzieję – odszeptuję, choć to niemożliwe. – Dobranoc – dodaję, chociaż Roan już odszedł i na korytarzu znowu zapada cisza. Kropelka słodczy wsącza się w wypełniającą mnie rozpacz. To tylko mała kropelka w morzu bólu, ale w tym momencie jest dla mnie bezcenna.

Kiedy następnego dnia wchodzę niepewnym krokiem do kuchni ubrana w prostą, czarną sukienkę, którą naszykowała mi Lora, Hinton natychmiast mnie odnajduje. Niesie tacę z chlebem, serem i kubkiem herbaty. Siadam z nim przy bocznym stoliku i jem w milczeniu. Moje zmysły są dziwnie przytępione – ploteczki służby kuchennej docierają do mnie jako niewyraźny, daleki gwar, a jedzenie Lory ma smak popiołu.

– Mój ojciec również został zabity – odzywa się Hinton po chwili. Jego głos jest cichy, a oczy nie odrywają się od układu słoików na drewnianym stole. – Miał na imię Cormer. Podkuwał konia lorda Liama... zanim...

Głośno wciągam powietrze, więc Hinton zerka na mnie z ukosa. Znałam Cormera – zrównoważonego mężczyznę o pewnych rękach, posiadającego niemal magiczną moc uspokajania każdego konia i mającego zawsze na podorędziu jakiś żart albo opowiastkę. Czy Liam go zabił?

To pytanie – i gniew – musiało odmalować się na mojej twarzy.

– Kapitan Ivan. – Spojrzenie Hintona wraca do słoików na stole, ale w jego głosie da się wyczuć cień gniewu. – Mój ojciec zajmował się jego zaprzęgiem. Ivan przegrał wyścig rydwanów z lordem Wystanem ze wschodu. To mu się nie spodobało. Więc zapłacił za to mój ojciec.

Przypomniały mi się pogłoski, które przed laty obiegały Crofton – o kowalu Gerlingów, którego po przegranym wyścigu przywiązano do rydwanu i wleczono, dopóki nie umarł. Nigdy nie wiązałam tej historii z człowiekiem, którego znałam. Przez moment moja rozpacz usuwa się na drugi plan i ze zgrozą spoglądam na chłopca.

Zawsze wiedziałam, że życie w Everless może być okrutne i zależeć od przypadku – jeśli człowiek przestanie być użyteczny, zestarzeje się, rozchoruje, albo straci kończynę, Gerlingowie pozbywają się go w mgnieniu oka. Ale okazuje się, że to jeszcze mroczniejsze miejsce, niż mi się w dzieciństwie wydawało.

– Tak mi przykro. – Pochylam się i na moment obejmuję Hintona.

Hinton otrząsa się po chwili, jakby chciał zrzucić z siebie wspomnienia.

– To było dawno temu. Chciałem ci tylko powiedzieć, żebyś starała się ciągle być czymś zajęta. Kiedy zostaniesz sama, będzie gorzej. – Wyciąga do mnie rękę. Na jego dłoni lśni moneta, którą dałam mu dwa dni temu, żeby bezpiecznie wyprowadził stąd ojca. Widzę, jak ręka chłopca drży.

Zamiast wziąć od niego monetę, zaciskam wokół niej jego palce.

– I tak dużo dla mnie zrobiłeś – mówię i wsuwam mu za ucho niesforny kosmyk włosów. I mówię szczerze.

Hinton potrząsa głową. Jego oczy – ciągle takie dziecinne pomimo tego, co przeszedł – są pełne łez.

– Przepraszam, Jules. – Opuszcza głowę na piersi. Wiem, o czym myśli – *to moja wina*. Rozpoznaję na jego twarzy swoje własne myśli.

Przyciągam go do siebie.

– Nie zrobiłeś nic złego. On podjął decyzję na własną rękę. – Tak to było, o ile znałam swojego ojca. – I nic, co mógłbyś powiedzieć czy zrobić, nie mogło go od tego odwieść.

Jeśli ktoś ponosi odpowiedzialność za jego śmierć, to tylko ja. Ja, ponieważ nie odeszłam stąd, kiedy o to prosił. Ja, ponieważ go okłamałam i zostawiłam, a przede wszystkim dlatego, że wyjechałam z Crofton.

Hinton waha się przez chwilę, po czym kiwa głową. Łzy znikają i twarz chłopca się rozjaśnia. On również stracił ojca, a jednak uśmiecha się, jest grzeczny i stara się być dobry.

Patrząc, jak przemyka się wśród stołów kuchennych, witając się po drodze z ludźmi, czuję, że ja już nigdy nie będę taka beztroska.

Przez resztę dnia zatracam się w pracy: odrywam drobne listeczki od kolczastych łydzynek, solę mięso, ubijam śmietanę na masło. Reszta służby przeważnie mnie unika. Nie przeszkadza mi to – nie mam ochoty rozmawiać. Nie chcę nic czuć.

Wieczorem, kiedy drepczę do dormitorium, widzę garstkę dziewcząt służebnych i jednego chłopca stłoczonych w drzwiach prowadzących z korytarza dla służby do głównego holu. Rozpoznaję wśród nich Beę, dostrzegam też szopę włosów Alii, więc podchodzę, żeby zorientować się, co się dzieje. W prostym, szarym uniformie praczki Alia wydaje się jeszcze mniejsza, niż zwykle. Poczucie winy i troska usuwają w cień moją rozpacz. Obiecałam Ammie, że będę się opiekowała jej młodszą siostrą, a od przyjazdu Królowej do Everless prawie o niej nie myślałam.

Bea stoi tuż przy drzwiach dormitorium, wiedzie prym wśród służących, gapiących się szeroko otwartymi oczami. Ja stoję obok Alii.

– Ale złapali tych *krwawców*? – pyta piegowata dziewczyna.

Krwawców? Czuję, jak stojąca przy mnie Alia wzdraga się. Pociąga mnie za rękaw, więc pochylam się ku niej.

– Rozbójnicy zaatakowali Królową w drodze tutaj, Jules – szepcze mi do ucha. – Bea słyszała, że ponad dwadzieścioro jej sług i strażników zginęło.

Żołądek wywraca mi się do góry nogami. A więc to prawda.

– Kilku krwawców zostało zabitych podczas wyprawy – mówi Bea. – Reszta jeszcze nie. Ale Królowa wysłała za nimi żołnierzy, więc to tylko kwestia czasu. – Obejmuje ramieniem pochlipującą dziewczynę i przyciąga ją do siebie, dopóki jej ramiona nie przestają się trząść.

– Mam nadzieję, że Królowa ich wykrwawi za to wszystko, co zrobili – mruczy któraś ponuro.

Nie mogę już dłużej słuchać o śmierci, nie teraz. Kiedy padają kolejne pytania drążące ten temat, ściskam ramię Alii i uciekam do dormitorium ze spuszczoną głową.

A tam znajduję to, co Hinton próbował dać mi poprzedniego dnia – ułożony porządnie na mojej pościeli portrecik mamy. W pierwszej chwili zamierzam schować go na samym dnie kuferka, albo wyrzucić do odpadków kuchennych, żeby nie musieć na niego patrzeć. Nie chcę pamiętać.

Coś mnie powstrzymuje. Siadam na łóżku i zaszywam się, skulona, w najciemniejszym kącie, żeby żadna z pozostałych kobiet nie widziała łez napływających mi do oczu. Patrzę na to, co pozostało po moim ojcu.

Papier zmiękł ze starości, a zapach, który się z niego unosi, sprawia, że moje serce przestaje na chwilę bić: wdycham woń dymu ze słomy i drewna oraz ostry zapach ołowiu. Na tym wizerunku matka ogląda się przez ramię, a została uchwycona tak umiejętnie, że nie zdziwiłabym się, gdyby otworzyła usta i roześmiała się.

Odkładam rysunek twarzą do dołu na posłanie, zanim ból w sercu nasili się jeszcze bardziej i zamieram – ponieważ odwrotka strona kartki nie jest wcale pusta.

Podnoszę ją znowu i odwracam w stronę świecy, żeby się lepiej przyjrzeć. Kartka jest pokryta tekstem, ale litery wyblakły ze starości, jakby została wydarta z bardzo wiekowej książki. Język jest również starodawny – o ile się nie mylę, to archaiczne narzecze wyższych sfer Sempery, którym mogła się posługiwać Królowa, kiedy była małą dziewczynką. Choć niektóre słowa i litery są mi nieznane, to z tego, co zdołałam odczytać, orientuję się, że to podanie o Czarodziejce i jej wrogu, Alchemiku.

Śmieję się po raz pierwszy od paru dni – to oczywiste, że tata poświęcił stronicę tej książki, żeby narysować portret mamy. Tata nienawidził przesądów i zabobonów.

Ale jeszcze dziwniejsze od samego tekstu są słowa nagryzmołone na marginesie: odręczne notatki zapisane ręką dziecka. Atrament jest tak wyblakły i rozmazany, a pismo tak nieczytelne, że udaje mi się rozszyfrować tylko drobne urywki.

lis

do lasu

wąż

z ołowiu

Lis, las, wąż, ołów. Zabawa Roana. Te słowa przywołują wspomnienia: skulona przy ogniu w kuźni słucham, jak tata czyta mi z oprawnej w skórę książki opowieść o lisie i wężu, którzy byli najlepszymi przyjaciółmi.

Nie jestem pewna, czy to te słowa, czy zapach domu unoszący się z kartki spotęgowały mój ból, sprawiły, że coś zaczęło od środka uciskać moje żebra.

Podskakuję, gdy tuż przy moim łokciu odzywa się cieniutki głosik.

– Co to, list miłosny? – ćwierka głosik.

Tężeję – ale to tylko Bea. Teraz zupełnie nie przypomina tamtej drżącej dziewczyny, która rozlała wino na kaftan arystokraty. Całe jej ciało zdaje się uśmiechać, odzyskała pewność siebie, pocieszając inne dziewczęta. Wskakuje na łóżko obok mnie.

– To nic ciekawego – odpowiadam spokojnie i chowam rysunek pod poduszkę. Nasuwa mi się pytanie, dlaczego ojciec przyniósł ze sobą rysunek przedstawiający moją matkę? Może na szczęście – z tego samego powodu, dla którego ja zabrałam statuetkę Czarodziejki?

– Ubiegasz się o stanowisko Addie? – pyta Bea. Inne dziewczęta lubią jej wesołość, ale mnie ona drażni. Potrzęsam głową, ale ona kontynuuje niezrażona. – Lady Verissa jest zrozpaczona. Najpierw ta sprawa z Addie, a teraz, kiedy lady Verissa próbuje ją zastąpić inną dziewczyną, Królowa odprawia każdą po kolei. Poddaje je jakiemuś testowi.

W mojej głowie zaczyna kiełkować pewien pomysł.

– Co to za test?

– Nie mam pojęcia. – Bea przewraca oczami. – Pewnie nie chce, żeby jej służyły jakieś *provincjonalne* prostaczki. Verissa wysłała do niej mnóstwo dziewcząt na rozmowę kwalifikacyjną, ale wszystkie zostały szybko odprawione, bo źle odpowiedziały na pytania. Myślę, że robiły to specjalnie.

– Dlaczego? – pytam, choć znam odpowiedź.

– Z powodu tego, co spotkało Addie, oczywiście. Kto chciałby zostać wygnany z Everless? Albo zabity? – Bea przechyla głowę na bok i przygląda mi się z namysłem. – Założę się, że ciebie Królowa by przyjęła, gdyby ci na tym zależało. Jesteś ładna. I niezbyt strachliwa. Poza tym niedługo nie będzie nikogo innego do wyboru.

Bea zeskakuje z mojego łóżka i bez słowa pożegnania wędruje na swój materac na drugim końcu sali. Nie zdążyłam jeszcze się położyć, kiedy z pryczy nade mną zwiesza głowę Ingrid – najpierw pojawiają się jej słabe, jasne włosy, a potem dumna twarz. Od czasu naszej wspólnej podróży wozem do Everless nabrała zwyczaju występowania z nieproszonymi radami.

– Ta dziewczyna na zbyt wiele sobie pozwala – mówi.

Ale sugestia Bei już zapuściła korzenie w moich myślach. Pracując w kuchni nie będę miała szansy zbliżyć się do Królowej; przy odrobinie szczęścia zdołam najwyżej pochwycić strzępy jej rozmów między jednym a drugim kieliszkiem wina.

Jeżeli mam się dowiedzieć, czego mój ojciec szukał w skarbcu i jaki to miało związek z jego ostrzeżeniami przed Królową, to dobrze byłoby zbliżyć się do niej. Cichy głos wewnętrzny ostrzega mnie, że zamierzam zrobić dokładnie to, przed czym przestrzegał tata, ale jak odsunąć od siebie pytania, które trawią moje serce? Poza tym – co mam do stracenia? Przecież straciłam już wszystko?

Wsuwam się bezszelestnie między koc a materac, jak nóż do pochwy.

Lora, poza zaoferowaniem mi swojego pokoju po śmierci taty, nie daje mi taryfy ulgowej. Odnoszę wrażenie, że podobnie jak Hinton, uważa pracę za najlepsze antidotum na rozpacz. Próbuję zatracić się w robocie – ilekroć ktoś ze świty Królowej prosi o przyniesienie czegoś z kuchni, zgłaszam się na ochotnika, ale nieodmiennie zastaję zamknięte drzwi, o które opiera się strażnik o stalowej twarzy – jednak niezależnie od stopnia wyczerpania, do jakiego doprowadziłam się w ciągu dnia, próbując zadowolić Lorę i zastanawiając się nad Królową, nocami przez wiele godzin nie mogę zasnąć. Dni się zlewają, nie odróżniam jednego od drugiego. Dlatego nie potrafię określić, którego dnia tygodnia Lora wchodzi do kuchni z twarzą napiętą i pełną troski.

– Zorganizowałam ci wolne popołudnie – mówi cicho. Stojąca obok mnie Ingrid podnosi zaciekawione spojrzenie znad siekanego mięsa, więc Lora rzuca: – Wracaj do roboty!

Wyciąga mnie na korytarz i przysuwa się bliżej.

– Weźmiesz wóz z koniem i pojedziesz do Crofton, żeby... żeby... odebrać rzeczy ojca od lichwiarza czasu. – Poklepuje mnie po ramieniu ręką białą od mąki.

W drodze do stajni zastanawiam się, co mnie czeka u lichwiarza – przecież mój ojciec nie miał niczego poza długami. Może każą mi patrzeć, jak rozwalają chatę kawałek po kawałku, deska po desce? A może Duade – jeśli odzyskał już siły po wysączeniu z niego czasu – wykrwawi mnie w swoim kantorku na poczet o długów, jakie mógł u niego zaciągnąć mój ojciec? Ta myśl rozplywa się w moim smutku jak krwawe żelazo w herbacie. Muszę zmobilizować wszystkie siły, żeby iść naprzód, stawiać jedną stopę przed drugą.

Zgodnie z zapowiedzią Lory koń i wóz czekają już na mnie w stajni, a lejce trzyma mój dawny przyjaciel Tam. Mocno mnie obejmuje przez moment – być może słyszał, co się stało. A potem bierze mnie za rękę i pomaga wsiąść na wóz, a ja przytulam się do jego szorstkiego, wełnianego płaszcza, chciałabym wchłonąć nieco siły chłopaka.

Dzień jest ciepły jak na tę porę roku. Śnieg zmienił się w błotnistą breję, a kilka ptaków świergocze odważnie na wietrze – słabe słońce odbija się w biało-brązowych bajorach. Jest niemal pięknie.

Minął dopiero tydzień, odkąd opuściłam Crofton, ale wydaje mi się, jakby to były lata. Kiedy wjeżdżamy w końcu przez rozwalającą się bramę, niski, kamienny murek po obu jej stronach wygląda w moich oczach żałośnie. Nie byłyby w stanie zatrzymać nawet krowy. Cała wioska wydaje się jakaś skurczona, mała, cicha i szara. Zastanawiam się przelotnie, jak

potoczyłoby się nasze życie, taty i moje, gdybyśmy nie przyjechali tutaj po ucieczce z Everless. Gdybyśmy żyli w innym świecie, gdyby Królowa nie odcięła Sempery od innych królestw, aby chronić tajemnicę krwawego żelaza. Gdybyśmy mogli po prostu iść przed siebie, aż dotarlibyśmy do morza, a potem wsiedli na statek i popłynęli – dokądkolwiek. Wiem, że gdzieś na świecie musi istnieć jakieś miejsce bez krwawców, Gerlingów i Królowej. Ale na tym kończy się moja wyobraźnia, reszta rozpływa się we mgle.

Po wjeździe do miasteczka Tam przywiązuje konia do słupka pod sklepem rzeźnika. Zastanawiam się, czy nie wpaść do Ammy – ale nie mam sił opowiadać jej, co się stało. A może ona również już wie?

Macham ręką Tamowi, który szczotkuje klacz. Jestem mu wdzięczna, że zrozumiał bez słów moją potrzebę samotności.

Podchodzę do kantoru lichwiarza czasu i zamieram z ręką na klamce. Pożyczona od Lory czarna sukienka nagle zaczyna mnie dusić pod szyją. Od lat nie miałam tylu pieniędzy, ile teraz spoczywa w mojej sakiewce, nawet bez tych monet, które dałam Hintonowi, ale oddałabym całe Everless i wszystkich jego mieszkańców, aby móc cofnąć czas do chwili, kiedy stałam na tym placu poprzednio. Za nic nie poszłabym na rynek i nie wsiadłabym do czekającego wozu. Pozwoliłabym tacie sprzedać kilka miesięcy, albo przekonałabym go, żeby pozwolił mi sprzedać mój czas. Ale pozostałby przy życiu. Jak zawsze, bo jakoś zawsze udawało nam się przeżyć.

Biorę się w garść i wchodzę do kantoru – do tego kantoru, obok którego przechodziłam tysiące razy, do którego zaglądałam tysiące razy, ale w którym nigdy dotąd nie byłam. W środku jest ciasno, śmierdzi miedzią, klepisko jest zachlapanie zaschniętą krwią.

Trzęsę się, pomimo ognia płonącego na kominku, ale podchodzę do kontuaru z wysoko podniesioną głową. Dwie starsze kobiety, przygarbione ciężką pracą lub wiekiem, pochylają się nad stolikiem w rogu, przecinają sobie nawzajem nadgarstki i zbierają krew do pustych fiolek. Zastanawiam się, czy nie oszczędzają czasu dla swoich dzieci. Obserwują mnie, kiedy podchodzę – z zaciekawieniem i współczuciem. Pewnie nadal wyglądam zbyt młodo jak na to miejsce.

– Mój ojciec zmarł cztery dni temu – zwracam się do Edwina Duade i mam nadzieję, że głos mnie nie zawiedzie. – Przyszłam po jego rzeczy.

Lichwiarz podnosi na mnie wzrok, po czym wraca spojrzeniem do swojej księgi.

– Jego pełne nazwisko. I twoje.

Żadnych wyrazów współczucia, żadnych niepotrzebnych bzdur. Widzę czerwoną linię przecinającą nadgarstek Duade'a. To kolejne przypomnienie, że zaledwie tydzień temu wszystko wyglądało inaczej i wystarczył rozkaz Liama, by wykrwawić Duade'a.

– Pehr Ember. – Tym razem mój głos jednak się załamuje. – A ja mam na imię Jules.

Duade znika na zapleczu, a mnie wymyka się spod powieki łza – dwie łzy – które spływają po moich policzkach. Wycieram je pośpiesznie, kiedy Duade wyłania się, niosąc

list i płócienny woreczek wielkości dwóch moich pięści – woreczek pełen krwawego żelaza, sądząc po dźwięku, jaki wydaje rzucony na kontuar.

– Masz sporo szczęścia, dziewczyno – mówi Duade. – Jego dług został spłacony. To co był winien poborcom.

Mrugam oczami, zaskoczona.

– Ale... przez kogo?

Śmiech Duade'a jest nieprzyjemny.

– Wszystko zostało spłacone, co do joty. Tylko to powinno cię interesować.

Czy Lora mogła zapłacić? Ale jest coś ważniejszego.

– A gdzie reszta moich rzeczy?

Duade przechyla głowę na bok.

– To wszystko.

– Co pan mówi? – Myślę o naszej chacie, naszym domu. – Był przecież dom. Obrazki na ścianie. Zepsuty zegarek kieszonkowy. Zabrał pan to wszystko?

Lichwiarz znowu uśmiecha się szyderczo i macha ręką, jakby oganiał się od natrętnej muchy.

– Te wszystkie rzeczy ci się nie należą.

– Co... – Łzy znowu napływają mi do oczu. Biorę głęboki oddech, żeby odzyskać panowanie nad sobą. – To jakaś pomyłka. Powiedział pan, że długi taty zostały spłacone, a to oznacza, że wszystko, co posiadał, należy teraz do mnie. – Zaciskam palce na ladzie. – Poza mną nie miał nikogo bliskiego. Tylko mnie.

Duade wzdycha.

– Reszta należy do Gerlingów, moja droga. Mówisz, że Pehr Ember był twoim ojcem? Cóż, nie mam takiej informacji. Żadnego zapisu na twój temat.

Cisza aż dzwoni w uszach, zakłócana tylko szuraniem nóg starych kobiet, które wychodzą, zostawiwszy swoje lata. Mój głos brzmi bardzo słabo.

– Żadnego... zapisu?

Duade wskazuje głową kopertę leżącą na kontuarze.

– Tylko to – mówi. – Nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić.

Wychodzę i, skulona pod osłoną podartej markizy jakiegoś sklepu, oglądam list. Na kopercie widnieje moje imię wypisane starannym pismem taty. Trzęsącymi się rękami otwieram kopertę i wyciągam ze środka list. Gęsto zapisane linijki rozmazują mi się przed oczami; wycieram łzy, żeby móc czytać.

Jules,

Wyruszam dzisiaj do Everless, po ciebie. Mam nadzieję, że wrócisz ze mną do domu i że jutro o tej porze wrzucę ten nierozpieczętowany list do ognia. Ale Everless to niebezpieczne miejsce, teraz bardziej niż kiedykolwiek. Więc nie mam wyjścia i muszę się liczyć z tym, że

nie wróćę.

Jeśli czytasz te słowa, Jules, to tak się stało – chciałbym dać ci więcej niż ten list, moja dziewczynko. Zastługujesz na znacznie więcej. Ale obawiam się, że teraz to wszystko, co mogę ci ofiarować.

Pewnie już zaczęłaś domyślać się prawdy – że nie jestem twoim ojcem, ani rodzonym, ani adopcyjnym. Poprosiłem Duade'a, żeby i tak przekazał ci nasze rzeczy, ale wiem, że tego nie zrobi. Prawo to prawo, o czym świat tak bardzo lubi nam przypominać. Zawsze uważałem cię za swoją córkę – jesteś moją córką – więc nigdy nie mówiłem nikomu, że jest inaczej. Proszę, zachowaj nasz sekret, Jules. Życie jest odrobinę łatwiejsze, jeśli ma się nazwisko rodziców, nawet takie jak moje.

Powiem ci o tym, kiedy się spotkamy, ale na wypadek, gdyby mi życia starczyło tylko na powiedzenie tego jeden raz, powtórzę teraz: Trzymaj się z dala od Everless. Trzymaj się z dala od Królowej. Nie mogę ci tego wyjaśnić w liście, który mógłby wpaść w niepowołane ręce, ale nie jesteś bezpieczna, kiedy Jej Królewska Mość przebywa na tym terenie. Wiem, że musisz mieć mnóstwo pytań, ale proszę, Jules, zaufaj mi.

Przed wyjazdem do zamku powiedziałaś, że jestem ci potrzebny, ale myliłaś się. Jesteś silna, dzielna i dobra – i wiem, że dasz sobie radę po moim odejściu. Warto było oddać dla ciebie każdy dzień, każdą godzinę. Więcej niż warto. Chciałbym tylko móc zobaczyć, jaką kobietą się staniesz.

Moja dziewczynko – jesteś moją córką, a ja jestem twoim ojcem pod każdym względem, poza więzami krwi. Nigdy o tym nie zapominaj. Zachowaj nasz sekret i bądź bezpieczna. Kocham cię.

Tata

Snuję się jak wariatka po bocznych uliczkach Crofton, unikając rynku, choć marzę o spotkaniu z Ammą. Tam może jeszcze chwilę poczekać przy wozie. Panuje przenikliwie zimno, choć słońce świeci na bezchmurnym niebie, ale robi mi się niedobrze na samą myśl o przycupnięciu w jakimś kramie czy tawernie i udawaniu, że nic złego się nie stało.

Brodzę więc w brudnym, topniejącym śniegu, choć moje stopy nie wygoiły się jeszcze po bieganiu na bosaka nad jeziorem. Nieliczni przechodnie zerkają na mnie z zaciekawieniem, ale odwracają wzrok i schodzą mi z drogi. Boją się mnie, tak jak ja bałam się kiedyś Ducha. Pewnie widzą w mojej twarzy tę samą rozpaczliwą samotność, żaloba odarła mnie z człowieczeństwa.

W ręce ściskam list taty. Jego linijki wracają do mnie jak refren piosenki: *Nie jestem twoim ojcem, ani rodzonym, ani adopcyjnym. Nie jestem twoim ojcem, ani rodzonym, ani adopcyjnym.* I mam ciągle przed oczami obraz taty nakreślony przez Hintona – plamy na rękach i puste spojrzenie, wysączone z czasu.

Jego słowa, tak znaczące, to nie są słowa człowieka tracącego rozum. Nie rozumiem tego,

ale wyczuwam ukrytą w nich okropną prawdę, zawiłą jak wzory atramentu na papierze.

Czuję na ramionach ręce taty, mocno zaciśnięte, potrząsające mną, żądające, bym wyjechała – ale uświadamiam sobie, że to moje własne dłonie, moje własne palce wpijające się w ciało. Drzę, ale nie ma to nic wspólnego z chłodem.

Sakiewka z krwawym żelazem ciąży mi na biodrze jak ołów. Kolejna zagadka. Może Duade się mylił i tata gromadził krwawe żelazo, ale dlaczego nie użył go, żeby się ratować?

– Jules! – Ktoś woła moje imię.

Znam ten głos. Amma. Odwracam się.

Przyjaciółka śpiesznie zbliża się do mnie uliczką, torując sobie drogę wśród ludzi idących ze spuszczoneymi głowami i podniesionymi kołnierzami. Pod pachą trzyma swój poplamiony krwią fartuch z rzeźni. Zatrzymuje się dwa kroki ode mnie i wyciąga wolną rękę, żeby mnie objąć, ale jej ręka opada na widok wyrazu mojej twarzy.

– Jules – szepcze Amma. – Co się...? – Blednie. – Czy coś się stało w Everless?

Nie mogę odpowiedzieć, bo współczucie malujące się w jej oczach wyzwala ze mnie istne potoki łez. Przez sekundę Amma stoi, osłupiała z przerażenia. Potem bierze mnie pod łokieć i wciąga do najbliższej bramy. Otacza mnie ramieniem i przytula mocno. Nadal nie mogę wydobyć z siebie głosu, więc podaję jej list do przeczytania.

Amma przesuwa po nim wzrokiem i jej oczy napełniają się łzami.

– Musiał wyprzedać swój czas – szepcze ze zrozumieniem. – Tak mi przykro, Jules.

– To coś więcej. – Mój głos jest schrypnięty od łez. Następne słowa więzną mi w gardle. Jak mam powiedzieć Ammie prawdę – że ostatnie chwile życia tata poświęcił na wędrówkę do zamku, a potem, kiedy zignorowałam jego błagania o powrót do domu, próbował wdrzeć się do skarbcza Gerlingów, nie wiadomo po co? Że z tego powodu zmarł pod murami Everless, mając przy sobie tylko Hintona, obcego chłopca?

Obawiam się, że powiedziałyby mi to samo, co Lora: *Rozum wypływa z żył wraz z latami.*

– Potrzebuję go – mówię zamiast tego wszystkiego, rwącym się głosem, przerywanym łkaniem.

Amma przyciąga mnie do siebie. Czuję zapach zwierzęcej krwi, ale to mi nie przeszkadza – ona jest jak stały ląd, a ja tonę. Znowu wstrząsają mną łkania, odbijają się echem w wąskim zaułku, ale w końcu jestem już zbyt zmęczona, żeby płakać. Amma nie wypuszcza mnie z objęć, obejmuje w mroku spowijającym powoli całą wioskę.

– Co miał na myśli, pisząc te słowa o Everless i Królowej? – pyta po dłuższej chwili.

– Nigdy nie lubił ani jej, ani Gerlingów. – *I miał wszelkie powody ku temu – nie żylibyśmy w nędzy, gdyby nie Liam.* Ale list w mojej dłoni ciąży, krzyczy, że chodzi o coś więcej. – Ale niebezpieczeństwo... Nie wiem, co miał na myśli.

Ta prawda rozdziera mi serce – nie wiem, nic nie wiem.

– Może nie powinnaś tam wracać, Jules – mówi Amma po chwili milczenia.

Wzruszam ramionami.

– Nie. Nie mam wyboru. – To połowa prawdy. Myśl o Everless, o jego kuchni z buzującym ogniem, działa na mnie kojąco, choć zatruwa ją świadomość, że są tam również Gerlingowie i Królowa. *Niebezpieczeństwo*, wedle słów mojego ojca. Ale jeśli teraz tam nie wrócę, to nigdy nie dowiem się dlaczego.

– Moim zdaniem to daje ci możliwość wyboru. – Amma trąca woreczek z krwawym żelazem wiszący u mojego paska.

Nagle sakiewka z monetami wydaje mi się znacznie cięższa i nabiera nowego znaczenia – może oznaczać inną przyszłość. Co mogłabym zrobić z latami wewnątrz niej?

– Nie musisz wracać – stwierdza Amma. Jej twarz rozpromienia się na tę myśl. – Alia napisała, że chce do domu. Nienawidzi tamtego miejsca. Zarobiła tyle pieniędzy, że wystarczy nam na kilka miesięcy. – Jej głos się załamuje i na chwilę zapada milczenie. Zastanawiam się, czy Alia nadal obawia się ducha Alchemika, ganiającego po korytarzach Everless, czy może chodzi o coś innego. – Myślałam się, Jules. Everless nie jest tego warte. Co nam przyjdzie z tych zarobionych lat, jeśli musimy je spędzać w taki sposób?

Różne możliwości przychodzą mi na myśl, ale ich blask jest przygaszony przez smutek. Mogłabym wrócić do Crofton, wynająć nową chatę, wykorzystać te pieniądze do założenia niewielkiej farmy. Mogłabym wrócić do szkoły i nauczyć się handlu. Mogłabym podróżować, poszukać szczęścia w którymś z nadmorskich miast Semperry i wreszcie zobaczyć ocean.

Albo – mogłabym wrócić do Everless. Pracować ciężko, nasłuchiwać w korytarzach, jak robiliśmy to kiedyś z Roanem i mieć nadzieję, że natknę się na coś, co doprowadzi mnie do prawdy zasugerowanej w liście taty. Po ślubie lady Gold Królowa wróci do swego pałacu nad morzem. Jeśli nie podejmę działania natychmiast, to stracę szansę.

Chata bez taty będzie pusta i pozbawiona wartości. Podobnie jak całe nasze miasteczko. Nie mogę też wyobrazić sobie podróżowania dokądkolwiek bez roztrząsania zagadkowego zachowania taty. Muszę wiedzieć, dlaczego zrobił to, co zrobił i dlaczego ostrzegał mnie przed Królową. Dreszcz przebiega mi po krzyżu, kiedy uświadamiam sobie, że wiem już, jak powinien wyglądać mój pierwszy krok. Muszę zastąpić Addie w świecie Królowej. A jeśli ja również zostanę wygnana – no, cóż, już raz to przeżyłam.

– Nie muszę wracać – odpowiadam nieco schrypniętym głosem. – Ale chcę. – Odczepiam od paska torbę pełną krwawego żelaza, przesypuję garść monet do kieszeni, a resztę podaję Ammie.

Jej wzrok twardnieje błyskawicznie.

– Jules, nie.

– Ja już ich nie potrzebuję – mówię. – Weź je dla Alii, jeśli nie chcesz ich dla siebie.

To skłania Ammę do przyjęcia pieniędzy. Dobrze ją znam i wiem, że jest podobna do mnie – dumna, ale nie do tego stopnia, by odrzucić to, co wyjdzie na dobre jej rodzinie.

Moja rodzina odeszła. Jej nie.

Amma zamyka oczy, łzy spływają po jej policzkach.

– Dziękuję – szepcze i wtula twarz w moje ramię. – Dziękuję, Jules.

Delikatnie opieram głowę na jej głowie. Z całego serca pragnęłabym zrobić to, czego życzył sobie tata. Zakopać pytania głęboko pod kamiennymi płytami Everless i zostawić je tam po wieczne czasy, albo pozwolić im odfrunąć z wiatrem jak strzępom jedwabiu. Mogłabym żyć dalej tutaj, gdzie jest nasza chata i ogród, budynek szkoły, przyjaciółka.

Ale zagadkowe ostrzeżenia taty, jego poplamione dłonie i tajemnicza śmierć doprowadziłyby mnie do szaleństwa.

Wrócę. Muszę.

Mam sprawę do Królowej.

Po przyjeździe do Everless Tam wysadza mnie przed stajnią i podaje mi zapakowaną w brązowy papier paczkę miodowych pierniczków z naszej piekarni.

Dormitorium jest prawie puste, tylko jedna owinięta kocem kobieta leży w łóżku pod przeciwległą ścianą. Słyszę jej płytki oddech – musi być chora, bo inaczej Lora już by tutaj była i kazałaby jej wstawać. Z największym wysiłkiem powstrzymuję się, żeby nie wpełznąć pod koc i nie odciąć się od świata. Ale ciężar tajemnic taty nie daje mi spokoju, opanowuje mnie bez reszty. Nie wiem tylko, co zrobić – bo raczej nie mogę załomotać w drzwi Królowej i zażądać wyjaśnień. Jedynym sposobem dotarcia do prawdy jest zdanie tego głupiego testu, jeśli w ogóle uzyskam kiedyś audiencję u Królowej. Jeśli mi się uda, to otrzymam pozwolenie usługiwania jej.

A dzień wolny od pracy w kuchni to prawdziwy dar. Jeśli mam dowiedzieć się czegoś o Królowej, zanim przed nią stanę, to muszę zabrać się za to od razu.

Zamiast jednej z brązowych kiecek do kolan, które nosimy w kuchni, zakładam swoją najładniejszą sukienkę – niebieską, wełnianą, z długimi rękawami. Mam nadzieję, że w tym stroju, z czepeczką służącej na głowie, zostanę uznana za jedną z pokojówek. Z szafki na korytarzu biorę fartuszek oraz szmatkę do wycierania kurzu i ruszam w stronę biblioteki. Wiem, że jeśli przyłapią mnie tam bez zezwolenia, to dostanę baty. Albo i gorzej.

Ale powtarzam sobie, że przy odrobinie szczęścia nikt mnie nie zauważy i staram się nie myśleć o tym, że jakoś nigdy nie miałam szczęścia.

Tata otrzymał pozwolenie na korzystanie z biblioteki, kiedy mieszkaliśmy w Everless – przekonał ich, że musi studiować techniki kowalstwa, a tymczasem przemycił mnie tam wieczorami i czytał mi powieści przy świecach. To było jedno z moich ulubionych pomieszczeń – półki wznoszące się jak wieże do wysokości dwóch pięter, podłoga z lśniącego, ciemnego drewna inkrustowanego złotymi paseczkami, błogosławiona cisza zakłócana tylko szelestem przewracanych stron i moimi szeptami zachwyty.

Teraz jest tu prawie pusto, ostatnie promienie zachodzącego słońca oświetlają przestronne pomieszczenie, ale rzucają też długie cienie. Kilkoro arystokratów siedzi w fotelach lub przy stolikach i czyta albo pisze listy. Ogromny mężczyzna drzemie w miękkim, skórzanym fotelu. Panująca tu cisza nie obiecuje – jak w czasach, gdy byłam małą dziewczynką – opowieści czekających na przeczytanie, w powietrzu nie wyczuwam magii, która kłębi się jak mgła w słońcu zaraz po deszczu.

Ale, na szczęście, układ pomieszczenia nie zmienił się przez te wszystkie lata. Z ogromnej, otwartej przestrzeni głównej sali prowadzą wejścia do bocznych naw i wnęk, nad każdą z nich znajduje się plakietka z brązu informująca o tematyce zgromadzonego tam księgozbioru. Rozglądam się, nie wiedząc, od czego zacząć. Informacje, jakie przekazywano dzieciom w szkole w Crofton, budziły jedynie szacunek i uznanie dla Królowej – uczono nas o jej wielkiej urodzie, o pokonaniu przez nią najeźdźców, o jej mądrych rządach po wstąpieniu na tron. To nie tłumaczyło obaw taty.

Przesuwam wzrokiem po plakietkach – *Popularne Baśnie*, *Posiadłość Everless*, *Ekonomia* – i wreszcie, po drugiej stronie biblioteki spostrzegam napis: *Historia*. Przechodzę przez salę, starając się wyglądać tak, jakbym szła tam w konkretnym celu, a jednocześnie nie rzucać się w oczy. Wsuwam się do bocznej nawy.

Z obu stron otaczają mnie książki, lśnią złoczone litery tytułów. Otwieram cienką książeczkę zatytułowaną *Sempera: Historia* i zaczynam czytać od połowy strony.

Według relacji głównodowodzącego Flotą Królewską, czytam, Królowa Sempery osobiście podrzynała gardła najeźdźców otrzymanym od Czarodziejki ostrzem, które, jak powiadają, absorbuje magię z ich krwi. Poleciała swojej lichwiarce czasu, kobiecie w ciemnym kapturze, która szła po poboju u jej boku, wykrwawiać ludzi tam, gdzie leżeli i zamieniać ich w krwawe żelazo na oczach pozostałych, czekających na swoją kolej.

Zamykam książkę i przyciskam ją do piersi, trzęsąc się z zimna, choć w sali jest gorąco. Tata nie opowiadał mi zbyt wiele o najazdach i rebeliach, które miały miejsce w pierwszym wieku krwawego żelaza, zaraz po tym, jak magia Czarodziejki i Alchemika rozprzestrzeniła się na całym obszarze Sempery. Ale adopcyjny dziadek Ammy twierdził, że jeden z jego przodków walczył w armii Królowej. Kiedy przychodziłam do chaty Ammy, siadałyśmy przy jego fotelu, a starszy pan snuł opowieści o złodziejach, którzy nocami puszczali ludziom krew, o odcinanych kończynach i toczących się głowach, aż Amma prosiła, żeby przestał. Najeźdźcy, opowiadał dziadek, zamierzali zabić wszystkich ludzi w Semperze i wywieźć całe krwawe żelazo za morze. Ale Królowa nakazała swojej armii pochłaniać krwawe żelazo z poległych i rosnąć w siłę.

Przyciskam do siebie książkę i rozglądam się, gdzie mogłabym usiąść i poczytać. I wtedy go spostrzegam: Liam Gerling siedzi przy biurku na balkonie nad moją głową, pochylony nad stertą papierów.

Zamieram w miejscu, moje serce zaczyna szybciej bić. Gdyby spojrzał w dół, zobaczyłby mnie przez wypolerowane, drewniane pręty balkonu. Powoli, żeby nie zwracać na siebie uwagi, cofam się w cień wysokiego regału.

Obserwuję go uważnie, rozdarta między pragnieniem ucieczki, a próbą rozwiązania swoich problemów. Nawet gdyby nie rozpoznał mojej twarzy, mógł zwrócić uwagę na pokojówkę, która czyta, zamiast ścierać kurze. Ale Liam zdaje się nie zauważać niczego. Marszczy czoło, skoncentrowany bez reszty na lekturze i niecierpliwie postukuje nogą,

jakby nie podobało mu się to, co czyta. Chmurzy się co chwilę i notuje coś w zeszycie, a potem wraca do czytania.

Na widok jego ostrych rysów – tak długo prześladowających mnie w sennych koszmarach – wybucha we mnie gniew, gwałtowny jak płomień na kuchennym palenisku. I wracają wspomnienia z ucieczki z Everless – w oderwanych obrazach, dźwiękach i uderzeniach gorąca.

Pamiętam Liama popychającego Roana w stronę paleniska. I moment spokoju, jak chwila przerwy między błyskawicą i grzotem. A potem ogień, ryczący w piecu jak żywa istota, płomień strzelający w powietrze. Przerazenie w oczach Roana.

Powoli opuszczam powieki, żeby odpędzić te obrazy, ale zaraz unoszę je znowu. To, co Liam studiuje z taką uwagą, musi być naprawdę ważne. Od powrotu z akademii pod koniec lata Liam aktywnie zajął się fortuną Gerlingów i generalnie sprawami Everless – przynajmniej tyle dowiedziałam się z plotek służby. Czy rodzina przyjęłaby go z powrotem równie chętnie, gdyby wiedziała, co próbował zrobić Roanowi? Czy Roan pamięta, że otarł się o śmierć?

Jeden ze służących – Stefan, o ile dobrze pamiętam – przechodzi obok mnie; ciągnie się za nim zapach wody kolońskiej. Stefan ogląda się na mnie przez ramię i podejrzliwie mruży oczy. Wstrzymuję oddech, ale on idzie w głąb sali i wchodzi po schodkach znajdujących się na jej końcu. Staje przy biurku Liama i dotyka jego ramienia.

Liam gwałtownie unosi głowę, wyraźnie poirytowany, a służący coś do niego mruczy. Liam z westchnieniem otwiera szufladę, chowa książkę i notatnik, po czym zamyka szufladę na klucz.

Już mam odwrócić głowę, gdy coś przyciąga mój wzrok – błysk dziwnego koloru, gdy Liam wstaje. Jego dłonie są poplamione, jakby zamoczył je w winie.

Przychodzą mi na myśl słowa Hinton. *Miał na rękach fioletowe plamy*. Mój tata.

Odkładam książkę i bez zastanowienia ruszam za Liamem i służącym, którzy zmierzają do wyjścia z biblioteki. Liam idzie na przedzie, ja śledzę ich, starając się zachować bezpieczny dystans połowy korytarza. Nie odrywam wzroku od poły długiego płaszcza Liama. Podążamy jednym z głównych korytarzy Everless, pełnym lordów i dam w lśniących jedwabiach i aksamitach, którzy wracają do swoich pokojów po wieczornym posiłku, chwiejąc się lekko na nogach wskutek nadmiaru wina. Nie podnoszę oczu znad posadzki i mam nadzieję, że nikt mnie nie ofuknie. Liam ignoruje wszystkie pozdrowienia.

W końcu korytarz zwęża się i pustoszeje. Podążam nadal za dwoma mężczyznami, choć dłonie mam śliskie od potu. Znikają mi z oczu na zakręcie i wkrótce potem słyszę, że się zatrzymują. Zwalniam i ostrożnie wyglądam zza rogu. Stanęli przed ogromnymi drzwiami z rzeźbionego mahoni. Rozglądam się – tkaniny na ścianach są mniej pyszne niż w pozostałych częściach Everless, ale starsze i bardziej eleganckie, w misternie splecione, geometryczne wzory. Mój oddech przyspiesza. Nigdy dotąd tutaj nie byłam. W ogóle nie

powinnam tu przychodzić. Jeśli zostanę przyłapana...

Żeby się uspokoić, powoli wciągam do płuc powietrze i zatrzymuję je na chwilę – jak uczył mnie tata, kiedy zrywałam się w nocy, spocona, z sennych koszmarów. Ćwiczyłam to wielokrotnie przez ostatnich kilka dni. Dwa z tych powtarzających się złych snów powróciły po przyjeździe do Everless – jeden o tamtej nocy, kiedy zostaliśmy z tatą wygnani, a drugi, dziwniejszy, o dziewczynie, która idzie za mną z nożem, jej twarz jest zawsze ukryta w cieniu.

Liam i Stefan konferują z dwoma innymi mężczyznami na korytarzu – w jednym z nich rozpoznaję poborcę haraczy, do złudzenia przypominającego tego, który odwiedził mnie i tatę w naszej chacie.

To musi być to – skarbiec Gerlingów, w którym trzymają swoją fortunę. Zawsze wyobrażałam sobie, że co miesiąc pożerają czas wykrwawiony w Crofton za jednym posiedzeniem, jak świny z koryta. Oczywiście jeden z Gerlingów musi być obecny podczas przenoszenia haraczy do skarbcza. I nie powinnam być zaskoczona, że to Liam. Roan nie należy do tego typu ludzi, którzy chętnie spędzają popołudnie na liczeniu pieniędzy w pełnej przeciągów więzy.

Cofam się za róg i nadstawiam uszu, żeby pochwycić ich głosy i brzęk krwawego żelaza. Potem rozmowa się urywa, za to słyszę głośne skrzypienie i szuranie ciężkich drzwi po ziemi.

– Idź na górę – nakazuje Liam. Jak zwykle zaskakuje mnie jego wyjątkowo niski głos. – Spotkamy się za chwilę.

Przyciskam plecy do ściany, gorączkowe bicie mojego serca ponagla go: *na górę, na górę, na górę*, żebym mogła choć przez chwilę rzucić okiem na skarbiec. Myśl o dostaniu się do środka jest niezwykle pociągająca, budzi we mnie mieszane uczucia: przerażenia połączonego z fascynacją.

A potem Liam wychodzi z za rogu i przyłapuje mnie, jego wzrok wwierca się w moje oczy.

Stoję na tyle daleko, że mogłabym uciec, gdybym była w stanie zmusić się do wykonania jakiegokolwiek ruchu, ale szok sparaliżował moje kończyny. Liam staje przede mną w mgnieniu oka.

– Szłaś za nami od biblioteki – mówi. Jego głos brzmi spokojnie, tylko napięta skóra wokół oczu zdradza powściągnięty gniew. – Dlaczego?

Otwieram usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Teraz, kiedy Liam naprawdę na mnie patrzy, na pierwszy plan wysuwa się przerażenie, że mogę zostać rozpoznana. Znowu napływają wspomnienia, lśnienie roztopionego metalu, mój własny krzyk w uszach i gryzący dym.

Nawet jeśli Liam mnie nie rozpozna, to jestem w miejscu, w którym nie powinnam być. I jest tu Ivan – oraz jego ostrze.

Jaka byłam głupia, jaka okropnie głupia, że za nim poszłam.

Ale zmuszam się do spojrzenia Liamowi w oczy i staram się, żeby moja twarz była gładka, nieprzenikniona, żeby nie zdradzała lęku. Sięgam do sakiewki przy pasku i wydaję pierwszą monetę, jaka wpadnie mi w rękę – pieniądz o wartości miesiąca z funduszy, jakie dostałam od Duade’a w Crofton. Dawny instynkt krzyczy we mnie, żebym nie rozstawała się z krwawymi pieniędzmi, ale ja wkładam monetę do ręki Liama – jego dłoń jest obandażowana, a na opuszkach palców widnieją fioletowe plamy.

– Widziałam, jak ją upuściłeś – mówię. – W bibliotece. – A potem dodaję z udawanym zaciekawieniem. – Potrzebujesz czegoś na tę rękę, milordzie? W kuchni mamy oczar.

Liam mruży oczy. Zaciska monetę w garści i chowa ją do kieszeni, nie odrywając ode mnie spojrzenia.

– Z pewnością wiesz, gdzie jesteśmy? – pyta.

Przez chwilę zastanawiam się, czy znowu nie skłamać – ale zmieniam zdanie, bo Liam na pewno wyczułby oszustwo.

– W zamkowym skarbcu.

– I słyszałaś różne opowieści o tym miejscu. Mam rację?

Powoli kiwam głową, niepewna, czego on chce. Głos Liama jest niski, podszyty jadem.

– No – mówi. – Co słyszałaś?

– Jeżeli ktoś poza Gerlingami próbuje tutaj wejść, to drzwi wysysają z niego czas przez palce.

Liam wybucha śmiechem – chropawym, jakby rzep przyczepił mu się do gardła.

– Ale ty i tak chciałaś spróbować? – pyta.

– Nie – zapewniam stanowczo, bez namysłu, choć nie jestem pewna, czy to kłamstwo.

– Wejście do skarbcza rzeczywiście zabiera człowiekowi czas – i nigdy nie wiadomo, jak wiele. – W słowach Liama pobrzmiwa groźba, jak daleki grzmot. – To może być jeden dzień, albo pięćdziesiąt lat. A kiedy drzwi cię wykrwawiają, ich mechanizm plami twoje dłonie, właśnie tak. – Podnosi do góry rękę. – To zostało wymyślone w taki sposób, żeby było wyraźnie widać, kto wszedł do skarbcza Everless – albo próbował wejść. Ale to najmniejsze z twoich zmartwień. Kapitan Ivan będzie znacznie większym, jeżeli zostaniesz przyłapana tam, gdzie nie powinnaś przebywać.

Ledwo docierają do mnie jego ostrzeżenia – mój mózg pracuje na najwyższych obrotach, myślę o plamach na rękach taty. A więc to prawda, że skarbiec odbiera nam czas. A tata już prawie go nie miał. To by tłumaczyło, dlaczego przybył do posiadłości, aby skonać pod jej murami... i dlaczego zupa, którą mu dałam, nie uratowała mu życia.

Ale nie. Mój ojciec nie ukradłby krwawych pieniędzy ani klejnotów, choćby był najbardziej zdesperowany. Za to, co próbował wydobyć ze skarbcza, warto było oddać życie.

– Jak ci na imię? – pyta Liam.

– Jules – mamroczę, nadal myśląc o zaplamionych rękach taty. A potem żołądek mi się

ściska, bo dociera do mnie, że się zdradziłam.

Podnoszę wzrok na Liama. Stoję tak blisko, że widzę czerwone obwódki wokół białek jego oczu. *Jules to pospolite imię*, myślę rozpaczliwie. Nie połączy go z czymś, co się zdarzyło dziesięć lat temu.

– Byłaś również w bibliotece – stwierdza Liam. – Tam również nie powinnaś wchodzić.

Jego ton jest zdawkowy, jakby nie zamierzał mi grozić, tylko stwierdzał fakt. Chwilę trwa, zanim dostrzegam zagrożenie.

– Ja... ja szukałam książki – dukam, mimowolnie mówię prawdę. Powinnam powiedzieć: *sprzątałam*, ale z pewnością i tak odczytałby z mojej twarzy, że to kłamstwo. – Lubię czytać.

– Przeklinam w myślach własną tępotę i cofam się o krok, pragnąc uciec.

– Lordzie Gerling! – woła ktoś.

Wykorzystuję chwilę i robię kolejny krok do tyłu.

– Życzę miłego wieczoru, milordzie.

– Czekaj. – Liam łapie mnie za rękę. Jego oczy wydają się teraz trochę szalone, czarne źrenice rozszerzają się tak, że obejmują niemal całe tęczówki. Zamieram, mam nadzieję, że Liam nie czuje, jak mocno bije mój puls.

– Jakiej książki szukałaś? – pyta, a kiedy patrzę na niego zdezorientowana, precyzuje: – W bibliotece.

– Och. – Przebiegam w myślach tytuły wszystkich książek, jakie w życiu czytałam. Nie wiem, jakie wnioski wyciągnąłby z faktu, że studiowałam historię Królowej. – Nic ważnego, to taka stara książeczka dla dzieci. – Łowię strzępy wspomnień. – „Bajka o Elizie...”

– „...podrózniczce” – kończy za mnie Liam. Jego oczy są utkwione w moich, nadal szalone, zbyt przenikliwe. Przechyla głowę na bok. – Znałem kiedyś dziewczynkę, która kochała tę książkę. – Coś w jego głosie sprawia, że jeżą mi się włosy na karku.

A potem nagle coś się w nim zmienia. Jego sylwetka prostuje się i Liam odsuwa się ode mnie.

– Ciekawość nie wychodzi służbie na dobre – mówi. – Jeśli znowu zostaniesz przyłapana w miejscu, gdzie nie powinnaś być, zawiadomię kapitana Ivana. Nie radzę próbować.

Jego słowa są ostre. I choć jeszcze przed chwilą zastanawiałam się tylko, jak stąd zniknąć, to jestem jednak zaskoczona.

Ale bez słowa odwracam się na pięcie i odchodzę.

Ręce trzęsą mi się ze złości, kiedy idę – prawie biegnę – korytarzami, jak najdalej od Liama, na ile tylko Everless pozwala. Kiedy przypomniał sobie tytuł książki, nieomal zapomniałam na chwilę, kim on jest – chłopcem, który skazał nas na banicję, żeby ukryć własne okrucieństwo. Główną przyczyną naszej ruiny.

Nie wolno mi o tym zapominać, już nigdy.

Przez jedno z wąskich przejść daję nura w korytarz dla służby, żeby jak najszybciej zejść mu z oczu. Korytarze dla służby, w przeciwieństwie do reprezentacyjnych holi wykładanych

czerwonym dywanem i zalanych słońcem wpadającym przez wysokie okna, są wąskie, ciemne i bezpieczne. Znajome. Ogarnia mnie nagłe pragnienie, by mnie wchłonęły. Nie widzę osoby zbliżającej się z naprzeciwka, dopóki nie dochodzi do kolizji, nasze ramiona zderzają się boleśnie. Potykam się i tracę równowagę.

– Przepraszam – mruczę i szybko się podnoszę. Nagle spostrzegam połę aksamitnego kaftana. To nie na służącego wpadłam.

Ręce Roana Gerlinga obejmują moje ramiona i pomagają mi się podnieść.

Jego oczy rozszerzają się, kiedy spogląda na moją twarz, a mnie oddech więźnie w gardle.

Kaftan Roana jest przekrzywiony, policzki zaczerwienione, a oczy błyszczące. Cofa się o krok, żeby lepiej mi się przyjrzeć i przechyla głowę na bok. A potem jego usta powoli wyginają się w lekkim uśmiechu.

Wiem, że powinnam opuścić głowę i uciec, ale coś we mnie krzyczy, żeby Roan Gerling mnie zobaczył, żeby tak naprawdę w końcu mnie dostrzegł i przypomniał sobie. Jego twarz tak wyraźnie wryła się w moją pamięć, że trudno mi uwierzyć, iż on może patrzeć na mnie i nie przypominać sobie mojego imienia.

– L-lordzie Gerling – mówię, choć język mi się płacze. Dygam głęboko i czuję, że policzki mi płoną. – Proszę o wybaczenie.

– Nie ma sprawy. – Jego śmiech zachęca mnie do podniesienia wzroku, więc robię to – trudno tego nie zrobić, bo jego niebieskie oczy przyciągają mnie jak magnes. – Dokąd pędzisz w takim pośpiechu?

– Donikąd, milordzie.

To go rozśmiesza. Nagle przestaje się śmiać i uważnie wpatruje się w moją twarz.

– Pomogłaś nam po przybyciu Królowej – mówi. – Pozbierałaś jej rozsypane rzeczy.

Nie na takie rozpoznanie liczyłam, szczególnie po tym, jak mrugnął do mnie podczas przyjęcia w ogrodzie, ale przyjmuję to. Może nie pamięta dokładnie, kim jestem, ale moja twarz jest mu znajoma.

– Tak, sir.

– Jak ci na imię? – Tym razem pyta wolniej i przechyla głowę na bok, jakby spoglądał na coś znajomego, przynajmniej po części.

Moje serce ściska się i gubi rytm. Powiedzieć prawdę?

Niewykluczone, że Liam wie, kim jestem; a to on mnie nienawidzi. Jeśli z mojej lekkomyślności ma wyniknąć coś złego, to już się stało. Żadne niebezpieczeństwo nie spadnie na mojego ojca – bo już spadło.

– Jules – odpowiadam. I zaciskam wargi w obawie, by to coś, co trzepocze się w mojej piersi, nie wyfrunęło przez usta.

– Jules – powtarza Roan. – Córka kowala.

Usta same mi się otwierają, kiedy Roan wymawia moje imię, tak serdecznie, z uczuciem. Szybko je zamykam.

– Byliśmy przyjaciółmi – mówię cicho.

– Oczywiście. – Uśmiech obejmuje powoli całą jego twarz. – Zabawa w chowanego. Drzewo na północnym trawniku.

W mgnieniu oka spada na mnie wspomnienie – lato, zapach skoszonej trawy, zapierająca dech w piersiach zabawa, ręka Roana na mojej. Kiwam głową, nie mogę mówić.

– Widziałem cię na przyjęciu. A potem, tamtej nocy na korytarzu...? – Ostatnie słowa Roan wymawia delikatnie, niewątpliwie wzdraga się przed rozmową o moim złamanym sercu w miejscu, gdzie ktoś mógłby usłyszeć. Mam nadzieję, że nie pomyśli, iż jestem w kimś zakochana, taka jest moja pierwsza myśl. I własna głupota sprawia, że zalewa mnie fala gorąca. A jednak...

Nie, nie, to bez znaczenia, mówię sobie. On żeni się z córką Królowej.

– Wiedziałem. – Roan zbliża się do mnie o krok, nadal z uśmiechem na ustach. – Byłaś taka tajemnicza. Jednego dnia tutaj, a następnego zniknęłaś.

– Nie chciałam wyjeżdżać – mówię, szkoda, że drżącym głosem. Innymi słowy, pytam: *Czy mnie szukałeś?*

W mojej głowie otwiera się nagle wizja całego życia wypełnionego zupełnie innymi wspomnieniami – życia, w którym nie opuściłam Everless – a potem okiennica zatrzaskuje się gwałtownie.

Co pamięta Roan? Co mogę mu powiedzieć, żeby wytłumaczyć wszystko, ale nie zdradzić się z niczym?

– Mój ojciec... On...

– Mój brat was wypędził, prawda? – Roan uśmiecha się po tych słowach, nie mogę się zorientować, czy to miał być żart. Zanim zdążyłam się odezwać, Roan macha ręką w powietrzu, jakby chciał odsunąć przeszłość. – Nieważne, teraz jesteś z powrotem. – Przesuwa spojrzeniem po moim ciele, tak szybko, że niemal niezauważalnie, ale mnie i tak robi się gorąco. – Gdzie cię umieszczono, Jules?

– W kuchni. – To znacznie niższa pozycja niż w kuźni, więc moje policzki zalewa rumieniec wstydu.

Roan syczy przez zęby i przysuwa się jeszcze bliżej. Czuję na szyi ciepło jego oddechu. Gdybym była inną dziewczyną, mogłabym wyciągnąć rękę i go dotknąć.

– Przepraszam, że na ciebie wpadłem – mówi po chwili. – Spieszyłem się, mam audiencję u Królowej.

Ale nie robi żadnego ruchu, żeby odejść i z zaskoczeniem spostrzegam, że się rumieni. Co, w połączeniu z brakiem tak często goszczącego na jego ustach uśmiechu, sprawia, że wygląda bezbrinnie, niemal jak dziecko.

– No, lepiej już pójdę – mówi. – Nie chcę się spóźnić.

– Zaczekaj – wołam. Mój głos jest wysoki, pytający. Roan ponownie zwraca się w moją stronę. – T-twój kaftan, milordzie.

Roan spogląda na siebie i spostrzega nierówno zapięte guziki, przez co jedna poła kaftana jest niżej niż druga. Zaczyna poprawiać zapięcie, niezręcznie, co w pośpiechu.

Bez zastanowienia zaczynam mu pomagać – ale kiedy zdaję sobie sprawę, co robię, czerwony płomień obejmuje moją twarz. Ale Roan opuszcza ręce i daje mi swobodny dostęp. Dziwnie byłoby przerwać w tym momencie, więc nie przerywam. Przez koszulę i kamizelkę czuję ciepło jego ciała.

– Dziękuję, Jules – mówi Roan cicho.

Czuję od niego słaby zapach lawendy, musiał jeszcze przed chwilą być z Iną Gold. Te źle pozapinane guziki, ten rumieniec na jego policzkach – serce mi się ściska. Cofam się szybko i opuszczam głowę.

– Proszę, milordzie. – Słowa zabrzmiały trochę niewyraźnie z powodu guli w gardle, ale Roan zdaje się tego nie zauważać.

Natomiast kładzie rękę na moim ramieniu. Czuję przez materiał sukienki ciepło i delikatność jego dotyku. Przesłuchanie Liama sprzed paru minut wydaje mi się teraz bardzo odległym wspomnieniem.

– Masz bystre oko – mówi z uśmiechem na ustach. – Mam nadzieję, że nasze ścieżki znów się kiedyś skrzyżują.

Kiedy?, mam ochotę zapytać – ale nagle świta mi w głowie inna myśl.

– Możliwe – mówię.

Roan unosi brwi – i uśmiecha się szerzej.

– Jak to?

Rośnie we mnie nadzieja. Nigdy nie przypuszczałam, że będę miała bezpośrednie dojsście do Królowej. Teraz stoi ono przede mną w osobie Roana Gerlinga.

– Zamierzam aplikować o pozycję Addie, dziewczyny, która została wypędzona przez Królową – mówię pośpiesznie. Jego uśmiech słabnie. – Wiem, że brakuje dziewcząt. Słyszałam... – Roan blednie, więc próbuję z innej strony. – Chcę być w świecie Jej Królewskiej Mości, żeby służyć Inie. Wracałam właśnie z biblioteki, tak słabo znam jej historię... – Staram się skoncentrować w głosie całą tęsknotę, jaką obudził we mnie Roan, jakbym przez siedemnaście lat niczego nie pragnęła tak bardzo, jak służyć za podnózek królewskiej córce.

Ale uśmiech wraca na twarz Roana, grzeję się w jego ciepłe.

– Test? To czysta formalność, Jules. Stek nonsensów, moim zdaniem. – Uśmiecha się szeroko. – Królowa jutro wyjeżdża, ale szepnę za tobą słówko Caro, służebnej Jej Królewskiej Mości. To ona decyduje, kogo dopuścić do Królowej, a nie jakiś głupi test. – W głosie Roana pobrzmiwa duma i to bynajmniej nie mała. Cofa się o krok i znowu przechyla głowę na bok – nowy nawyk, którego nabył w ciągu minionych dziesięciu lat – jakby szukał odpowiedzi na pewne pytanie. – Właściwie dlaczego nie miałabyś podać śniadania Inie i mnie, żeby zobaczyła, jaka jesteś ładna? Poślę po ciebie, kiedy będziemy

mieli wolny poranek.

– Dziękuję, milordzie – szepczę z mocno bijącym sercem.

– Roanie, Jules – poprawia mnie.

– Lordzie Roanie – odpowiadam i pozwalam sobie na lekki, krzywy uśmiezek.

Jego śmiech, długi i donośny, niesie się po ciasnym korytarzu dla służby.

– Cieszę się, że na ciebie wpadłem, Jules. – Pochyla się i zbliża usta do mojego ucha. – Bardziej niż myślisz.

Roan dotrzymuje słowa. Posyła po mnie już następnego ranka, bardzo wcześnie, zanim słońce zmieni barwę z krwistej czerwieni na żółtą. Powoli zmywam z włosów mąkę w zlewie z ciepłą wodą. Wyciągam spod poduszki niebieską wełnianą sukienkę, wkładam ją i zapinam guziki pod samą brodę. Przygotowuję się do spotkania z Iną Gold.

Kiedy wychodzę, Bea unosi brwi i wydaje przeciągły gwizd.

– Dla kogo tak się stroisz, Jules?

Pozostałe dziewczęta nieruchomieją i nadstawiają ucha.

– Dziś rano mam służyć Inie Gold – odpowiadam, ale te słowa brzmią obco w moich ustach. Bea składa ręce w drobnym geście radości, ale chyba nie wyobraziłam sobie tylko, że pozostałe dziewczęta szerzej otwierają oczy i wracają nagle do ścielenia już pościelonych łóżek.

Wchodzę do kuchni, żeby powiedzieć Lorze, ale zanim zdążę się odezwać, ona ujmuje mnie pod łokieć i prowadzi w róg sali. Wygląda na zabieganą, ma zaczerwienioną twarz i loczki wysuwające się spod chustki.

– Jules – mówi głosem pełnym napięcia. – Musisz pójść ze mną, kochanie.

– Ale, Loro... – Krzywię się, bo mój głos brzmi dziecinnie. – Lord Roan poprosił, żebym usługiwała przy śniadaniu jemu i wychowanicy Królowej. – Lora cofa się i pociąga mnie za sobą, nadal obejmuje dłonią mój łokieć. – Lord Roan...

– Ale lord Liam wyznaczył ci na dzisiaj inne zadanie. Musisz wykonać jego polecenie.

Przygryzam wewnętrzną stronę policzka, mocno. On jest starszy i... no...

Przerażający.

Podążam za nią, nieufnie, do wejścia do piwnicy z żywnością.

Staję w drzwiach i sztywnieję, gdy dociera do mnie wilgotny zapach ziemi, jarzyn i żelaza. Ostatni raz byłam tu w dniu, w którym znalazłam tatę skulonego pomiędzy workami rzepy i ziemniaków. Czy to było sześć dni temu? Siedem? Lora bierze mnie za rękę i łagodnie, ale stanowczo prowadzi w dół po schodach.

– Dzisiaj zostajesz przydzielona do mawy – mówi, unikając mojego wzroku. – Zapasy barwnika zaczynają się wyczerpywać.

– Co? – Przez moment instynktowny strach przed podziemiami ustępuje w przyplýwie gniewu. Zapasy mawy są w Everless przechowywane na dole, z dala od kuchni, żeby jej mdląco-słodki zapach – przypominający miód i miedź, albo zepsute wino – nam nie

przeszkadzał. Żeby zrobić ten barwnik trzeba przebić szorstką skórę i wydobyć szkodliwe, chropowate wnętrza gołymi rękami, na których pozostają plamy i blizny. Widywałam czasami nieszczęsne ofiary wychodzące chwiejnie z piwnicy, bo zapach mawy powoduje zawroty głowy.

Ale to nie dlatego wszyscy boją się tej pracy. Wiadomo, że w łupinach kryją się maleńkie, jadowite skorpiony, przywożone z pustyni na południu, gdzie rośnie mawa. Ci pasażerowie na gapę zdarzają się dość rzadko, ale pamiętam, że jako dziecko uczestniczyłam w pogrzebie kucharki, która zmarła po jednym ukłuciu.

Łuskanie mawy to *kara*, prawie dorównująca wykrwawianiu.

Na domiar złego wiem – i ciąży mi to jak góra kamieni – do czego jest wykorzystywany ten piękny barwnik – to znak śmierci dla ludzi, którzy ośmielą się wejść do skarbcza. Ludzi takich jak tata.

– C-co ja zrobiłam? – bełkoczę z oburzeniem.

Choć wiem, oczywiście. Rozgniewałam Liama Gerlinga.

Lora wzdycha.

– To nie jest moje polecenie, Jules. Ten rozkaz wydał osobiście lord Liam.

– Liam. – To imię brzmi w moich ustach jak przekleństwo, a w tym samym momencie ogarnia mnie przerażenie – on pamięta moje imię, moją twarz. Musi pamiętać, skoro specjalnie wybrał mnie do tego zadania. Przemyka mi przez głowę szalona myśl: Czy Liam mógł wiedzieć o przyjeździe taty do Everless? Na rękach taty były fioletowe plamy po próbie dostania się do skarbcza. Skarbca, znajdującego się pod opieką Liama.

Lora kiwa głową, przerywając moje rozmyślenia.

– Nie wiem, jak ściągnęłaś na siebie jego uwagę, ale powinnaś być wdzięczna, że nie zabrał ci dnia. Choć to niewielka różnica – spędzisz tam na dole sporo czasu.

A więc to kara za moją ciekawość. Zaciskam pięści, aż paznokcie wbijają mi się w wewnętrzną stronę dłoni i staram się zdusić gniew i strach. Myślałam, że po śmierci taty nie mam już się czego bać, bo nic mi nie pozostało. Ale jeśli Liam mnie rozpoznał – jeśli nadal będzie mnie dręczyć – to czy mogę czuć się w Everless bezpiecznie?

I jak mam zbliżyć się do Królowej?

Kiedy schodzimy w ciemność, przychodzi mi do głowy inna myśl: Roan również wie, że jestem w Everless. Wspomnienie naszego spotkania na korytarzu, jego bliskości, to mój talizman. Trzymam się go. *Bardziej niż myślisz.*

Te myśli rozwiewają się, kiedy Lora wprowadza mnie do piwnicy. Otwiera wąskie drzwi na końcu korytarza, a mnie robi się słabo na widok sterty mawy w mrocznym pomieszczeniu – tysiące fioletowo-czarnych łupin wielkości serca kurczaka piętrzą się pod ścianą, sięgają aż pod sufit, niektóre rozłupane wylewają swą lśniąca miazgę, która ścieka na dół. Zapach jest czymś niemal namacalnym, jak ściana mdląco-słodkiego powietrza z lekko kwaskową nutą, jakby wina czy octu.

Ruch powietrza przy otwieraniu drzwi powoduje, że kilka obrzydliwych, skórzastych owoców stacza się ze sterty na sam dół. a go. Stojąca obok mnie Lora kaszle, ewidentnie przejęta.

– Przyjdź na górę, jeśli zaczniesz ci się kręcić w głowie – mówi, przyglądając się stercie. – Przykro mi, kochanie. – I zamyka za sobą drzwi, zostawiając mnie z tylko jedną, migoczącą pochodnią.

Po wyłuskaniu z ochronnych łupin mawa musi być przechowywana w chłodzie, dlatego w piwnicy panuje przenikliwy ziąb – szczękam zębami i stopy mi drętwieją z zimna ciągnącego od kamiennej posadzki, pomimo butów. Każdy owoc ma łupinę twardą jak skóra, którą muszę zedrzeć, nie niszcząc kryjącego się we wnętrzu miększu. Po pięciu opuszki moich palców krwawią.

Początkowo wydaje mi się, że zaczynam przyzwyczajać się do tego zapachu; ale w miarę jak kubelki dostarczone przez Lorę zapełniają się owocami, ta woń znowu mnie powala. Moje paznokcie zaczepiają się i zdierają się na skórce. Sok zabarwia moje ręce kolorem wina. Liam nie mógł znaleźć dla mnie doskonalszej tortury. Ilekroć spoglądam w dół, przypominam sobie o swojej stracie i winie. Przychodzi mi do głowy, że mogę wrócić do skarbcza – spróbować tam wejść, skoro moje dłonie już i tam są poplamione – ale jeśli Liam powiedział prawdę, to mogę przy tym stracić dowolną ilość czasu. Drzwi mogą w jednej chwili wyssać ze mnie pięćdziesiąt lat i zostawić mnie omdlałą na podłodze. Albo martwą.

Rozważając ryzyko wracam do kuchni, żeby zanieść tam wyłuskaną mawę i zjeść posiłek. Lora nie pozwala mi zamarudzić w ciepłe, od razu posyła mnie na dół z twardą bułką i osełką masła, jej usta są zaciśnięte w twardą linię. Wiem, że ma w pamięci historie Tama czy ojca Hinton, wszystkich, którzy narazili się Gerlingom. Popadam w ponury nastrój.

W pewnym momencie słyszę pukanie do drzwi. Podnoszę wzrok i widzę Lorę, która wykręca sobie palce. Troska malująca się na jej twarzy budzi we mnie lęk.

– Lord Gerling schodzi na dół, żeby z tobą porozmawiać. Spróbuj doprowadzić się do porządku, szybko. – I znika.

Strach szybko ustępuje miejsca nadziei. Przypominam sobie wczorajsze spotkanie z Roanem na korytarzu dla służby – jego bliskość, jego ciepło. Może dowiedział się, co się stało i przyszedł to załatwić.

Wycieram rękawem czoło, ostrożnie, żeby nie rozmazać na twarzy plam koloru ciemnego wina i starannie czyszczę ręce fartuchem. Znowu pukanie.

Drzwi otwierają się i wszystko się we mnie wywraca do góry nogami. To nie Roan stoi w progu – te zaczesane do tyłu włosy i sztywna, niezdarna sylwetka to Liam.

Zwężonymi oczami spogląda na wysoką jak wieża stertę owoców i na mnie,

z poplamionymi rękami i fartuchem. Ogarnia mnie taki gniew i rozczarowanie, że mam na końcu języka tuzin przekleństw. Piorunuję Liama wzrokiem, jakby siła mojej nienawiści mogła go stąd wyrzucić.

Ale on wchodzi do komórki, nie zamykając za sobą drzwi. Ma na sobie długi płaszcz dla ochrony przed piwnicznym chłodem, rękę trzyma w kieszeniach.

– Lordzie Gerling – cedzę przez zaciśnięte zęby. Liam stoi o dwa kroki ode mnie.

– Jules.

Przeklinam się za to, że wysnęło mi się moje imię. W głosie Liama nie ma tej twardej nuty, którą słyszałam dwa dni temu, kiedy przyłapał mnie w pobliżu skarbcza. Teraz brzmi łagodniej, albo... ze znużeniem.

– Przyszedłem cię sprawdzić – mówi, po czym dodaje. – To znaczy, postępy pracy.

– Jak miło – mruczę. Mam ochotę się skulić, opuścić ramiona, skrzyżować ręce na piersi, ukryć się przed jego nazbyt otwartym spojrzeniem. Ale zmuszam się, żeby siedzieć prosto, twarzą do niego. Nie chcę okazać słabości.

Wzrok Liama przenosi się na stertę mawy nadal piętrzącą się za moimi plecami, na pełne wiadra i zdarte łupiny walające się po ziemi.

– Nie zdawałem sobie sprawy... że jest tego tak dużo. – W jego głosie wyczuwam lekkie rozgoryczenie.

– Może powinieneś przestać mieszać się do spraw, o których nie masz pojęcia – wyrzucam z siebie gwałtownie.

– Mógłbym to samo powiedzieć tobie – odpala i jego oczy twardnieją nagle. Potem mruga powiekami. Mija chwila, potem druga i Liam wypuszcza z płuc powietrze, ewidentnie udało mu się stłumić gniew.

Pochyla się i podnosi z ziemi owoc mawy, który stoczył się ze stery pod jego nogi, potem prostuje się i przygląda mu się uważnie.

– Pokaż mi – mówi.

– Jak... łuskać mawę? – pytam zjadliwie, z niedowierzaniem, ale on tylko kiwa głową. Czuję, że czerwienię się z frustracji, mam nadzieję, że w słabym świetle tego nie widać. Czy on przyszedł tutaj, żeby ocenić moje umiejętności?

Z furią wyłuskuję owoc z łupiny. Liam podchodzi i przygląda się z udawanym zainteresowaniem tej demonstracji mistrzostwa, jakie osiągnęłam w ciągu ostatnich kilku godzin – znajduję szew na czubku, w miejscu, w którym owoc został zerwany z krzewu i paznokciami rozszczepiam go na pół. Liam bierze owoc i próbuje naśladować moje ruchy, ale robi to za mocno, bo z mawy wytryskuje sok i plami jego płaszcz. Liam marszczy brwi.

Ostrożnie wypuszczam powietrze z płuc. Gdybym powiedziała coś więcej, to albo gniew wymknąłby mi się spod kontroli, albo zdradziłabym się niepotrzebnie, a Liam Gerling już i tak wie o mnie za dużo. Biorę kolejną garść mawy i siadam, żeby ją wyłuskać, ale kątem oka widzę, że Liam na mnie patrzy. Koncentruję się na pracy i czekam, aż coś powie.

– Jeśli chodzi o wczoraj... – odzywa się po dłuższej chwili. Jego głos brzmi dość niepewnie. – Mój ton był niczym nieusprawiedliwiony. Zaskoczyłaś mnie.

Te niemal przeprosiny to dla mnie prawdziwy szok, ale przyjmuję je z milczeniem. Wiem, że nie zachowałam ostrożności i przez to Liam zorientował się, że go śledzę, przyłapał mnie. Może wydaje mu się, że jeśli będzie dla mnie dobry, to zdradzę mu swoje tajemnice – widziałam, jak Ivan stosował podobne sztuczki. Jeśli on próbuje mnie rozgrywać, to ja też mogę.

– Jestem służącą, milordzie – odpowiadam sztucznie wesołym tonem. – Żadne zachowanie wobec mnie nie może uchodzić za nieusprawiedliwione.

– Nie boisz się? – pyta wyważonym tonem.

To mnie zaskakuje.

– Co masz na myśli? – Zapominam na chwilę o zachowaniu chłodnego dystansu.

– Mam na myśli... – Urywa i zaczyna od nowa. – Służący obawiają się tego zajęcia. Twierdzą, że jedno ukłucie skorpiona odbiera człowiekowi cały czas. – Wrzuca owoc do wiaderka. – A wiesz, że ludzie na dalekim wybrzeżu je jedzą? Uważają, że jeśli złapią takiego skorpiona, który kogoś ukłuł, zyskają drugie życie.

Takiego Liama pamiętam z dzieciństwa, zawsze był gotów zbesztać kogoś ostrym słowem, pouczać innych, podając jakiś nieistotny fakt wyczytany w książce. Ale to, co kiedyś było jedynie irytujące, teraz wykorzystywał jako broń. Tym razem nie staram się usunąć z głosu nuty gniewu.

– To ty wyznaczyłaś mnie do tej pracy, pamiętasz?

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. – Liam zaciska owoc w dłoni, a potem otwiera ją i pokazuje mi. – Nie obawiasz się tego, co może się tutaj kryć?

Pytanie zawisło w powietrzu, ciężkie jak gradowa chmura, a palce Liama nie przestają obierać owocu. Myślę o krwawym żelazie, które przeszło przez jego ręce – ręce poplamione teraz sokiem w kolorze czerwonego wina. Coś mi mówi, że on nie ma na myśli wyłącznie skorpionów.

– Nie – odpowiadam najspokojniej, jak mogę. – A ty?

Liam uśmiecha się, jego białe zęby błyskają w półmroku.

– Czasem tak.

Jego słowa obudziły coś we mnie. Czego musi się obawiać Liam Gerling? I, co ważniejsze...

– Za co mnie karzesz? – Chcę, żeby się do tego przyznał, żeby to powiedział otwarcie. Ale Liam Gerling udziela informacji w taki sposób, w jaki jego rodzina rozdaje krwawe żelazo: skąpo.

– Złamałaś reguły obowiązujące w tym domu – mówi Liam. – To mogło skończyć się gorzej. – Kłamstwo. Wiem, że to kłamstwo. *Bajka o Elisie Podróżniczce*, moja ulubiona książka z dzieciństwa. Pamiętał ją – pamiętał *mnie*. Nienawiść do mnie płonęła w nim przez

te wszystkie lata, podobnie jak we mnie do niego – tak, jak powiedział tata – choć nie mam pojęcia dlaczego. Dla kogoś o jego pozycji ja jestem nikim. Po prostu jedną z dziewczyn z Everless.

– Dlaczego tu jesteś, Jules? – pyta Liam i ciemność w jego oczach zdaje się pogłębiać. To wprawia mnie w lekkie zdenerwowanie, fakt, że te oczy wciągają mnie, że mogłabym w nich utonąć, jak w bagnie w środku lasu – spokojnym i głębokim, w którym można ugrzęznąć na wieczność, aż do śmierci głodowej.

– Żeby zarobić czas.

– A gdzie jest twój ojciec? Peter, prawda?

Zrywam się na równe nogi. błyskawicznie, z zaciśniętymi pięściami, mawa spada z moich kolan i rozsypuje się po podłodze.

– Pamiętasz również jego imię, ty draniu – syczę. Wiem, że on bawi się mną, że drażni mnie jak zwierzę – ale to nie ma znaczenia, nie słucham wewnętrznego głosu, który krzyczy ostrzegawczo, żebym zachowała ostrożność. Żebym przestała. – Nigdy nie zapomniłeś żadnego z nas. Nigdy nie zapomniłeś wypadku, który był... – *Twoją winą*, chciałabym powiedzieć, ale przełknęłam te słowa, nagle znów pełna obaw. – Dlaczego nie pójdziesz sobie gdzie indziej ze swoim okrucieństwem?

– Uważaj – mówi Liam łagodnie. – To mój dom.

– Kiedyś również był mój. Zanim nas wyrzuciłeś. – Wiem już, że on to pamięta, podobnie jak pamięta wypadek w kuźni. Wiem to bez najmniejszych wątpliwości, niczego nie byłam tak pewna od przyjazdu do posiadłości Gerlingów, nawet jeśli on nie chce tego przyznać.

Ale czy wie, że mój ojciec nie żyje?

– Jules, posłuchaj – zaczyna.

– *Nie*. Po prostu zostaw mnie samą, Liamie, *proszę*. – Tracę panowanie nad sobą na myśl o tacie, o tym, jak bardzo go potrzebuję i jak chciałabym, żeby był jeszcze ze mną. Do oczu napływają mi piekące łzy gniewu. – Za co mnie tak nienawidzisz?

Liam nie odpowiada. Bierze oddech, ale zanim któreś z nas zdąży się odezwać, z korytarza dobiega odgłos czyichś kroków.

Odwracam się od Liama i wierzchem dłoni przyciskam oczy, żeby zażegnać niebezpieczeństwo łez. Liam odwraca się w stronę drzwi.

Staje w nich Roan. Szeroko otwiera oczy na widok starszego brata.

– Liam? – Przesuwa wzrok na mnie. – Jules? Pytałem o ciebie. Co... co się dzieje?

– Nic – odpowiada Liam, o ułamek sekundy za późno. Nawet kiedy rozmawia z bratem, jego głos jest chłodny i daleki. – Strażnicy Królowej poprosili o więcej barwnika do znakowania broni. Więc wyznaczyłem ją do łuskania mawy.

– Do mawy? – powtarza Roan z niedowierzaniem. – Zamknęłaś biedną służącą w ciemnej piwnicy, żeby łuskała owoce, zamiast importować gotową pastę, jak nakazywałyby zdrowy rozsądek?

Ogarniają mnie ciepłe uczucia, choć zabarwione lekkim rozczarowaniem, że nazwał mnie służącą – a nie Jules.

– Wtedy łuskałaby ją inna służąca w innej prowincji – zauważa Liam uszczypliwie. – A może sądzisz, że z drzew zrywa się gotową pastę? Jeżeli coś nie odbywa się na twoich oczach, to nie ma znaczenia?

Roan marszczy czoło i ignoruje Liama. Spogląda na mnie, na moje poplamione ręce i fartuch.

– Jules, czy to dlatego nie przyszedłeś dziś na umówione spotkanie?

W oczach Liama pojawia się nagły błysk, mogłabym przysiąc, że zmieniają kolor. Czytałam o morskich stworzeniach, których ciała zmieniają barwę, tuż przed pożarciem ich przez drapieznika.

Wodzi wzrokiem ode mnie do brata, w końcu otwiera usta – i nic nie mówi.

– Spędziłeś tu cały dzień? – kontynuuje Roan.

– Twoja troska o dobrostan służby jest ujmująca – zauważa Liam kąśliwie, nagle znowu jest sobą. – Jesteś ekspertem w tej dziedzinie, prawda?

– To nie twoja sprawa – odpowiada Roan tak zimno, że trudno byłoby teraz rozróżnić głosy obu braci.

Liam podchodzi do niego. Jest tylko trochę wyższy od Roana, ale w słabym oświetleniu ta różnica wydaje się większa; światło pochodni odbarwia błękit tęczówek Roana, a pogłębia czerń oczu Liama i zaostrza jego rysy.

– W taki razie pomóż jej łuskać mawę, skoro tak bardzo się nią przejmujesz. – Przepycha się obok Roana i wychodzi z piwnicy, głośno zatraskując za sobą drzwi.

Cisza aż dzwoni w uszach, przerywa ją wiązanka przekleństw Roana – takich, jakich używa służba. O mało nie wybucham śmiechem, ale tylko wypuszczam z płuc urywany oddech. Roan odwraca się ku mnie ze zmarszczonym czołem.

– Przykro mi, że musiałaś na to patrzeć. – Jego głos jest znowu miękki i ciepły. – Mój brat jest... no, sama widziałas. – Podchodzi i delikatnie kładzie mi rękę na ramieniu. – Chodź. Odwołuję polecenia Liama. Wydostaniemy cię stąd.

Bez słowa, pełna wdzięczności, wychodzę za Roanem z podziemi. Dręczący mnie niepokój zmniejsza się w miarę oddalania się od piwnicy i wszechobecnego zapachu mawy, ustępuje na widok jasnego światła padającego z kuchni.

Przygotowuję się wewnętrznie na dziwne spojrzenia pozostałych służących, kiedy wkroczymy razem do kuchni, ale Roan zatrzymuje się niespodziewanie u szczytu schodów i odwraca się do mnie.

Ja również staję, moje ciało zdaje się naśladować każdy jego ruch.

– Przykro mi, że z mojego powodu doszło do rozdzwiewku między tobą a bratem – mówię.

– A mnie przykro, że Liam rzuca ci kłody pod nogi. Dlatego przyszedłem – odpowiada szybko Roan.

Mam nadzieję, że w ciemności nie widać rumieńca na mojej twarzy. Pocą mi się dłonie.

– Ina nadal chce się z tobą spotkać – dodaje Roan. – Ale musisz się najpierw odświeżyć. Jeśli się pośpieszysz, to zdążysz na przymiarke.

Szybko kiwam głową, równie szybko, jak bije mój puls. Przez myśl przelatują mi rozmaite możliwości. To może być dla mnie najlepsza szansa na zbliżenie się do Królowej, zanim władczyni Sempery wróci do swojego pałacu. Dzisiaj nie mogę nawalić.

A potem zatrzymuję się.

– Czekał? Na jaką przymiarke?

– Lady Gold ma dzisiaj mierzyć suknię na ślub.

Suknia ślubna. Na zaślubiny z Roanem, który stoi teraz obok mnie. Który patrzy mi w oczy przez dłuższą chwilę, z lekkim uśmiechem na ustach.

Pomimo poplamionego ubrania i konfrontacji z Liamem, pomimo okropnie pokancerowanych palców, czuję się dostrzeżona w sposób, w jaki nie byłam dostrzegana od przyjazdu do Everless. Rozkwita we mnie dziwne uczucie – jakbym stała na krawędzi klifu i patrzyła na niebiesko-zieloną powierzchnię morza, które widziałam tylko na obrazkach w książkach, na rozbijające się o brzeg fale, piękne i bezkresne – i z tej wysokości śmiertelnie niebezpieczne.

Plamy z mawy zaczynają ze mnie schodzić dopiero po godzinie szorowania się ostrym mydłem Lory, choć jasnioletowe placki dają się jeszcze zauważyć, a skóra na mojej twarzy staje się nadwrażliwa. Pozostałe służące zerkają na mnie z zaciekawieniem, kiedy wchodzę do kuchni.

Czeka tam na mnie, w towarzystwie Lory, podręczna Królowej, ta sama, która pomagała mi zbierać z podłogi rozsypaną biżuterię władczyni. Ale tutaj, w kuchni wydaje się tak nie na miejscu, że w pierwszej chwili jej nie poznaję. Jest o kilka lat starsza ode mnie, ładna, ciemnowłosa, z konstelacją piegów rozsianych po całej skórze. Ma na sobie uniform bardziej elegancki od naszych – długą, prostą, ale zgrabną suknię z czerwonego aksamitu, tak ciemnego, że wydaje się prawie czarna, o jej przynależności do służby świadczy tylko wpięty we włosy biały czepeczek. Uśmiecha się do mnie nieśmiało.

– Jules, to jest Caro – przedstawia Lora i dodaje znacząco: – Podręczna Królowej.

To niezbyt subtelna wskazówka, że powinnam okazać szacunek osobie stojącej wyżej ode mnie.

– Przepraszam panią. – Pośpiesznie przysiadam w głębokim ukłonie, ale serce mi trochę twardnieje.

– Nie ma sprawy – mówi Caro cichutko, właściwie szepcze. A jednak słyszę ją, pomimo panującego w kuchni gwaru, jakbym słyszała szum morza w muszli przyłożonej do ucha. Daje mi gestem znak, bym się podniosła. – Miło mi cię poznać, Jules. Roan powiedział, że jesteś zainteresowana stanowiskiem służebnej Jej Królewskiej Mości i lady Gold. Potrafisz zżyć, prawda?

– T...trochę, tak mi się zdaje – odpowiadam, wodząc spojrzeniem między nią a Lorą. – Robiłam trochę poprawek krawieckich w... – słowo: Crofton zamiera mi na ustach – ...w moim rodzinnym miasteczku. Ale nigdy nie miałam do czynienia z czymś tak cudownym jak garderoba lady Gold. – Czuję ukłucie w sercu na myśl o ślubnej sukni Iny Gold.

– Jestem pewna, że znakomicie sobie poradzisz. Zresztą, my tylko pomagamy krawcowej, zafastrygujemy suknię. – Ku mojemu zaskoczeniu Caro bierze mnie za rękę i zwraca się w stronę Lory.

– Zabierz ją, na jak długo potrzeba – mówi Lora, spoglądając na mnie domyślnie. – Co prawda lord Liam wyznaczył jej zadanie, ale...

– Jestem pewna, że życzenia Królowej stoją wyżej od woli Liama Gerlinga – stwierdza

Caro po prostu. Staram się nie uśmiechnąć, słysząc tak otwarte lekceważenie starszego z braci Gerlingów. Po kuchni przebiega szmer, a Lora szybko kiwa głową, przyjmując to do wiadomości.

A potem podręczna Królowej wyciąga mnie na korytarz.

W holu bierze mnie pod rękę i idziemy śpiesznie, ramię w ramię, jak przyjaciółki. Wyjaśnia mi, że Królowa nie ufa obcym, więc przez większą część czasu będę zajmowała się lady Gold. Informuje mnie, że trzy z podręcznych lady Gold rozchorowały się w drodze do Everless. Kłamstwo tak gładko pada z jej ust, że zaczynam się zastanawiać, czy nie przesłyszałam się, kiedy Roan i Ina rozmawiali w holu. Ale Bea również mówiła o zabitych.

– Żadne inne dziewczęta nie będą nam pomagały? Spodziewałam się większej...

Caro prawie niedostrzegalnie zwalnia kroku i odwraca się lekko, żeby na mnie spojrzeć. Ma jasne, zielonkawe oczy, w których błyska jakaś iskierka.

– Większej...? – pyta, ale ja nie znajduję odpowiedzi. Odwracam wzrok w obawie, że za bardzo naciskam. Ale ona znowu uśmiecha się szeroko i podejmuje marsz. – Nie masz konkurencji, jeśli to cię niepokoi. Ludzie czują się przytłoczeni prawdziwą władzą, Jules. Nie wolno ci o tym zapominać.

Muszę się skoncentrować, żeby zawsze mieć uśmiech na twarzy, ilekroć Caro spojrzy na mnie, ciągnąc mnie za sobą. Nie jestem przyzwyczajona do tak bezpośredniego kontaktu z drugą osobą; zaskakujące, ale bliskość i pogoda Caro zdają się mnie rozgrzewać.

– Dobrze znasz tę posiadłość – zauważa Caro, kiedy po raz trzeci skręcam we właściwą stronę, prowadząc ją do królewskich apartamentów. – Od dawna tu jesteś?

– Od dwóch tygodni. – Waham się przez moment, ale potem nachodzi mnie gorzka refleksja, że po śmierci taty i w świetle tego, że zarówno Roan, jak i Liam mnie rozpoznali, mogę być sobą, bo niewiele ryzykuję. – Ale mój ojciec pracował tutaj, kiedy byłam mała. Dorastałam w Everless.

– Rozumiem. – Głos Caro jest teraz jeszcze cichszy; wydaje się, że dosłyszała coś, czego brakowało w moim tonie. – A dlaczego wróciłaś?

Przed oczami staje mi obraz taty, jakim widziałam go po raz ostatni, samotnego w ciemnej, zimnej piwnicy na warzywa i przez moment nie mogę oddychać. Nagle czuję, że muszę powiedzieć prawdę, bo inaczej jej ciężar mnie zmiążdży.

– Tata umarł – mówię po prostu. – Niedawno. – Nie zdobędę się na dalsze wyjaśnienia. Caro zwalnia odrobinę, spogląda mi w oczy i lekko ściska moje ramię.

– Przykro mi – mówi łagodnie. – A twoja matka?

Moje milczenie wystarcza jej za odpowiedź.

Caro kiwa głową i ponownie ściska moje ramię.

– Moi rodzice również, kiedy byłam młodsza. Jeśli chcesz odłożyć to na później...

Potrząsam głową, wdzięczna za okazanie empatii.

– Nie. Dziękuję. Chcę oderwać myśli od tej straty.

– Myślę, że to najlepsze, co można zrobić w okresie żałoby – zapewnia Caro. Uśmiecha się, na jej twarzy maluje się współczucie i zrozumienie, a ja czuję się tak, jakby ktoś zdjął z mojej piersi ciężkie kowadło.

Kiedy przechodzimy przez wyższe kondygnacje, docierają do mnie dystygowane dźwięki – łagodna muzyka i ściszone konwersacje. Dostaję gęziej skórki ze zdenerwowania – cisza, jaka zapada między mną i Caro wydaje mi się wręcz ogłuszająca. Jak mam zabawiać lady Gold błyskotliwą rozmową, skoro znudziłam nawet jej służącą? Pozostaje mi mieć nadzieję, że nie spodziewa się kogoś takiego jak Caro, poukładanego i doskonale zorganizowanego.

Caro, jakby wyczuwając, o czym myślę, zaczyna nucić pod nosem jakąś słodką, smutną melodię – znaną mi, choć nie potrafię jej umiejscowić. Zaczyna śpiewać: „Twój głos to róża godziny; twój głos to zakochany złodziej. Pójdę za tobą przez młody las, aż twoje serce będzie moje na wieki”.

– Ta piosenka – pytam. – Co to jest?

– To bardzo stara pieśń. Ulubiona Królowej.

Melodia jest prosta, składa się z kilku powtarzających się nut, a tekst to opowieść o stracie, o miłości – i przemocy.

Wkrótce Caro zatrzymuje się przed drzwiami po prawej stronie korytarza i odwraca się do mnie. Jej wargi rozchylają się, a oczy otwierają szeroko na skutek szoku.

– Jules, ty płaczesz.

Podnoszę rękę do policzka i z zaskoczeniem stwierdzam, że moje palce są mokre. Zalewa mnie płomienny rumieniec.

– Wszystko w porządku – zapewniam ją i uśmiecham się. – To taka piękna piosenka.

Caro kiwa głową z uśmiechem.

– Napisała ją Królowa na cześć Czarodziejki.

– To prawda? Że Czarodziejka spacerowała z Królową? – pytam.

– Caro! – dobiega głos zza drzwi. – Znalazłaś przyjaciółkę Roana?

Przyjaciółkę Roana. Te słowa powracają echem w moim mózgu.

Moje serce bije szybko – raz, dwa, trzy – i znowu, jak melodia piosenki, a Caro wyjmuję klucz z kieszeni sukni i otwiera drzwi. Przechyliłam głowę, zaskoczona, że lady Gold musi być zamykana na klucz.

Caro zauważa moje spojrzenie, przysuwa się bliżej i mówi jeszcze ciszej niż zwykle.

– Straciliśmy ostatnio strażników lady Gold – wyjaśnia. – A że ona nie lubi, gdy otaczają ją obcy ludzie, odmówiła przyjęcia straży z Everless. To rozzłościło Królową.

Caro otwiera drzwi i wprowadza mnie do urządanego z przepychem apartamentu, z puszystymi, czerwonymi dywanami i spływającymi z wielkich okien cienkimi jak pajęczyna firankami. Pokój jest zalany zimowym słońcem, ale ciepły i przesycony zapachem wody różanej.

Jeden z narożników zajmuje masywne, podobne do obłoku łóżko, zarzucone teraz sukniami we wszystkich kolorach tęczy, odkładanymi na chybił trafił, jakby były przymierzane i odrzucane. Obok łóżka stoi lady Ina Gold, w jedwabnej bieliźnie i haleczce, z gołymi ramionami i łydkami, jeśli nie liczyć kilku prostych, metalowych bransoletek, jej krótkie włosy są rozpuszczone. Podnosi do światła jedną z sukni – lśniąca i lejąca się jak płynny szmaragd – i przygląda się jej krytycznie. Kiedy drzwi zatrząskują się za nami, odwraca się do mnie i Caro.

Odruchowo opuszczam oczy, żeby nie oglądać jej w niekompletnym stroju.

– Milady – słyszę sceniczny szept Caro. – To jest Jules Ember.

Podnoszę wzrok i z gorącym rumieńcem na policzkach spoglądam w oczy Iny Gold. Jest dokładnie mojego wzrostu, w moim wieku, ale z zupełnie innego świata niż ja. Fakt, że nigdy nie zaznała trosk tego świata, zdaje się malować na jej twarzy – jej ciele. Jej skóra promienieje, wolna od jakichkolwiek blizn czy odcisków.

Dziwna myśl sprawia, że dreszcz przebiega mi po krzyżu: pewnego dnia, na długo po mojej śmierci i pogrzebie, ta dziewczyna zostanie królową.

I kolejna: ona spędzi te wszystkie lata z Roanem.

Ina uśmiecha się bez śladu skrępowania i ujmuje moją wolną rękę.

– Panno Ember. – Jej głos jest czysty, samogłoski dźwięczne, akcent dziwny, właściwy chyba tylko Królowej, Caro i jej. – Dziękuję, że przyszedłaś. Tak się cieszę, że mogłaś do nas dołączyć. Roan powiedział, że jesteś prawdziwym skarbem – nie wiem dlaczego nie szepnęła tego swojej matce, zanim straciłyśmy tyle czasu...

Nie wiem, jak zareagować, więc przysiadam w niezadarnym ukłonie ze wzrokiem wbitym w dywan.

– Do wczoraj lord Gerling nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności w Everless, lady Gold. Cała przyjemność po mojej stronie.

Ina Gold odwraca się w stronę łóżka i wskazuje rozłożone na nim suknie.

– Debatowałyśmy właśnie z Caro. Wedle tradycji panna młoda powinna iść do ślubu ubrana w barwy rodziny pana młodego, rodziny, do której wchodzi. Ale w zielonym mi nie do twarzy. I z technicznego punktu widzenia... – Unosi brwi. – ...moja pozycja jest wyższa niż Roana, prawda?

Pomimo żartobliwych słów, wyczuwam w jej głosie prawdziwy zachwyt, gdy mówi o ślubie – o Roanie – co każe mi podejrzewać, że to nie tylko przechwałki. Jej twarz promienieje, jak małego dziecka, które obudziło się rano i zobaczyło świeży śnieg.

Wiem już, że jest zakochana w Roanie Gerlingu. A jej uśmiech świadczy, że z wzajemnością. Kto by jej nie kochał?

Kłębiące się we mnie mieszane uczucia przybierają dziwne kształty. Łatwo zazdrościć przyszłej królowej, która wychodzi za Gerlinga, kierując się względami politycznymi; zupełnie inne uczucia budzi stojąca przede mną dziewczyna, uśmiechnięta, bosa i ewidentnie

zadurzona.

– Caro uważa, że powinnam być ubrana na zielono – kontynuuje lady Gold i odrzuca na łóżko suknię ze szmaragdowego jedwabiu, wspaniałą nawet teraz, kiedy jest pognieciona i wzgardzona. – Ale mnie podoba się ta. – Przykłada do siebie czerwoną, w barwach Królowej, z rękawami zsuniętymi artystycznie z ramion. – Ale czy ten krój nie jest zbyt ryzykowny jak na Everless?

– Absolutnie nie – odpowiadam z własnej i nieprzymuszonej woli, zaskakując samą siebie. – Jeszcze tego nie widziałaś, ale damy z rodziny Gerlingów wkładają znacznie bardziej wyzywające kreacje na o wiele mniej ważne okazje.

Robi mi się przyjemnie na duszy, kiedy Ina śmieje się z wdzięcznością. Caro wygląda na poirytowaną – jakby przegrała zakład.

– Ale czy podoba ci się ta suknia, Jules? – pyta Ina. – Żadna dziewczyna z Everless nie powie mi prawdy. Boją się mnie urazić.

Jako mała dziewczynka z Everless zachwyciałam się sukniami i klejnotami zdobiącymi kobiety, piękne rzeczy pociągały mnie tak samo jak każdą dobrze urodzoną panienkę. Tata nazywał mnie małą sroczką, bo zbierałam rozmaite przedmioty – szlachetne kamienie ze skażą, nie dość dobre, by zdobić broń Gerlingów, skrawki wstążek, znaleziony złoty kolczyk – i trzymałam je w miseczce na nocnym stoliku. To były moje małe skarby. Kiedy zostaliśmy wygnani do Rodshire, a potem Crofton, odwróciłam się od tych rzeczy. Udawałam, że nimi gardzę.

A teraz lady Gold patrzy na mnie, przykładając do siebie czerwoną suknię. Patrzy mi w oczy, jakby naprawdę obchodziło ją moje zdanie. Najchętniej podarłabym tę suknię na strzępy, ale przygryzam wargę i składam ręce przed sobą.

– A może coś złotego? – ryzykuję po chwili. – To drugi kolor obu waszych rodów. I w końcu... – Znacząco wskazuję głową Inę Gold, nieco zaszokowana tym, że odważyłam się zażartować i pełna desperackiej nadziei, że pozostałe dwie dziewczyny to podchwycą.

Lady Gold po chwili podchwytuje. Jej śmiech jest nagły i tak zaraźliwy, że uśmiecham się wbrew samej sobie.

– Wiesz, nie pomyślałam o tym – mówi i odwraca się do Caro. – Złoto. Co o tym sądzisz?

– To nieco niekonwencjonalne – szepcze Caro z uśmiechem. – Ale w złotym rzeczywiście ci do twarzy. – Przechyliła głowę na bok i mierzy Inę spojrzeniem. – Każę krawcowym uszyć złotą; a na razie przymierz tamtą suknię, żeby krawcowe miały model. – Robi szeroki gest ręką, Ina wzdycha teatralnie, podnosi z łóżka zieloną suknię, strzepuje zagniecenia i wkłada ją zręcznie, a potem odwraca się tyłem, żeby Caro pozapinała guziki na plecach.

Caro układa fałdy sukni na ciele Iny i każe mi przytrzymać je w odpowiednim miejscu, a sama upina materiał szpilkami tak zręcznie, że ani razu nie ukłuła skóry lady Gold. Jej głos nie jest ani trochę mniej rozkazujący dlatego, że jest szeptem.

Stoję, czerwona na twarzy, i staram się zachować stosowny dystans do Iny Gold,

a równocześnie utrzymać materiał na jej piersi w odpowiednim miejscu – Caro i lady Gold gawędzą w tym czasie o wiedźmie, którą Caro niedawno widziała, a która przepowiedziała jej, że wkrótce spotka się ponownie ze swą pierwszą i najprawdziwszą miłością. Kiedy Ina dopytuje się z lekką kpina, kim jest ten człowiek, Caro czerwieni się i zmienia temat, opowiada o pewnej szlachetnie urodzonej damie, która urodziła dziecko zdradzające uderzające podobieństwo do jej przystojnego lokaja.

– Jules. – Głos lady Gold wyrывa mnie z zamyślenia. – Ty będziesz wiedziała. Czy Liam jest zawsze taki ponury? A może jest taki tylko wtedy, kiedy inni przyjemnie spędzają czas?

Na dźwięk imienia Liama przeszywa mnie nieprzyjemny dreszcz i o mało nie wypuszczam z ręki materiału.

– Ja... ja nie znam zbyt dobrze lorda Liama, milady – jąkam. Pamiętam, że one nie pochodzą z Everless, że są tu obce. Nikt stąd nie ośmieliłby się krytykować Liama. – On zawsze był... daleki.

Lady Gold zaciska zęby i demonstracyjnie zadziera nos do góry.

– *Jestem Liam Gerling* – mówi niskim głosem, z przesadnie podkreślonym arystokratycznym akcentem. – *Nie będę rozmawiał z nikim na tym przyjęciu. Zdecydowanie lepiej spędzę czas stając nadęty w kącie i przeszywając wzrokiem ostrym jak sztylet każdego, kto ośmieli się do mnie odezwać.*

Parskam śmiechem, bo nie słyszałam nigdy, by ktoś tak otwarcie naśmiewał się z Gerlinga. Caro potrząsa głową.

– Współczuję jego biednej matce – szepcze. – Słyszałam, że lady Verissa proponowała mu z tuzin kandydatek na żonę, ale odrzucił wszystkie.

– Może to one się rozmyśliły, kiedy zobaczyły, jaka z niego chmura gradowa – sugeruje Ina Gold. – A on twierdzi, że je odrzucił, żeby ukryć zażenowanie. Nie mogę sobie wyobrazić, że ktoś chciałaby go poślubić, nawet za cały czas Sempery.

– Roan dostał całą urodę i osobowość – odzywa się Caro kpiącym szeptem.

– Zgadza się – mówię bez zastanowienia, a potem szybko opuszczam wzrok, żeby ukryć gorąco napływające mi do policzków.

Ina chyba tego nie zauważyła – albo nie przejęła się tym – ale czuję na sobie spojrzenie Caro.

– Od jak dawna znasz lorda Roana, milady? – pytam pośpiesznie. I spostrzegam własne odbicie w lustrze stojącym za Iną, sama bladość, kanciastość i cienie pod oczami. Kontrast między mną a lady Gold nie mógłby być większy.

Ale księżniczka nie wydaje się zbita z tropu.

– Przede wszystkim, mów do mnie po imieniu, Ina – prosi. – A Roana poznałam dwa lata temu, kiedy Gerlingowie odwiedzili nasz pałac.

Pamiętam jak przez mgłę, że kiedy Gerlingowie wyjechali, Crofton ustawiło na placu targowym szereg budek, w których zorganizowano zabawy dla dzieci, muzykę i śpiew, oraz

tyle kandyzowanych owoców, ile tylko dało się zgromadzić. Stały przez cały tydzień, w ten sposób świętowaliśmy nieobecność Gerlingów – rozpaczliwie szukaliśmy powodów do radości.

– My... dobrze się dogadywaliśmy – kontynuuje Ina. I znowu śmieje się, co równocześnie urzeka mnie i rozdziera mi serce. Wiem, że to sprawi mi ból, ale chcę wiedzieć wszystko o Roanie i Inie.

– Wymienialiśmy potem listy – ciągnie Ina. – Ale musieliśmy trzymać to w tajemnicy, bo decyzja o tym, kogo poślubię, należy do Królowej. Prawdę mówiąc, to Caro zawdzięczam, że wybrała Roana. – Ina rzuca podręcznej pełne wdzięczności spojrzenie. – Ona znalazła jeden z listów... – Na ustach Caro pojawia się lekki, psotny uśmiezek. – ...i jeszcze przed wschodem słońca Królowa zasugerowała zacieśnienie sojuszu z Gerlingami. Oczywiście ja nie miałam o tym pojęcia, dowiedziałam się dopiero po ogłoszeniu naszych zaręczyn. Ona nie docenia własnego wpływu. – Ina spogląda z miłością na Caro, która się rumieni.

– To... cudowna historia – szepczę ze ściśniętym sercem.

– Prawda? – W głosie Iny brzmi tak autentyczne szczęście, że nie mogę jej nienawidzić, choć serce mi krwawi z litości nad sobą. Kiedy Caro i ja puszczaamy Inę, ona cofa się o krok i okręca się wokół własnej osi, a zielony jedwab unosi się jak lśniący krąg wokół kostek jej nóg. To nie jest nawet skończona suknia, a w ruchu wygląda jak najbardziej wypieszczona kreacja.

– Całe życie Iny to cudowna historia – szepcze do mnie Caro, jeszcze ciszej niż zwykle, kiedy Ina przechodzi na drugą stronę pokoju, żeby obejrzeć efekty pracy naszych rąk w wielkim lustrze do ziemi. – Na pewno o tym słyszałaś?

Kiwam głową i staram się nie zerkać na Inę kątem oka. Wydaje się niemożliwe, by kiedyś była inna niż teraz – olśniewająca, roześmiana, piękna, szczęśliwa. Ale wszyscy w Semperze znają jej historię: Ina była jednym z setek dzieci, które rodzice porzucali na plaży przed pałacem, albo oddawali do sierocińców w rozpaczliwej nadziei, że zostanie wybrane na spadkobiercę Królowej, zgodnie z obietnicą złożoną przez nią kilkaset lat temu. Obietnicę sprzed pięciuset lat spełniła dziewczyna stojąca teraz przede mną.

Oczywiście ja, jak wszyscy mieszkańcy Sempery, jestem w pełni świadoma tego, co kryje się pod błyskotliwą historią Iny: niemal wszystkie dzieci podrzucane Królowej trafiły do sierocińca. Po osiągnięciu pełnoletności – z czasem nawet wcześniej – te, które nie zostały adoptowane, opuszczały placówkę i podejmowały pracę służących lub robotników. Tata potępiał zawsze proklamację Królowej. W praktyce prowadziła ona do horrorów – Królowa żyła tak długo, że co kilkadziesiąt lat wybierała kolejne dziecko, które, jak się potem okazywało, pragnęło lub było przeznaczone do pełnienia jakiejś mniej ważnej roli, umierało na skutek choroby – bądź też, wzdragam się na wspomnienie insynuacji lady Sidy, padało ofiarą kaprysu Królowej, kiedy dochodziła do wniosku, że jednak nie ma ochoty ustępować z tronu. Ale nie powstrzymywało to rodziców od podrzucania setek dzieci co rok w nadziei,

że to właśnie ich potomek będzie tym jedynym.

Ina podchodzi do nas z materiałem zaciśniętym w garści, nakazując nam bez słów usunięcie tego naddatku. Biorę szpilkę do ust i klękam przed przyszłą królową.

Ina została wybrana. Ta wiadomość wywołała poruszenie w całym królestwie, a przynajmniej tak mówiono. Pamiętam jak przez mgłę plotki służby pałacowej na temat Iny po jej wyborze. Podobno przyszła na świat z gładkim kamykiem w buzi, co uznano za błogosławieństwo Czarodziejki. Kiedy ta wiadomość dotarła do Królowej, dziewczynkę zabrano do pałacu, nadano jej nazwisko rodowe Królowej, Gold, i została uznana za córkę władcy.

Ciekawe, kim są jej rodzice. Czy żyją do dziś? Czy wiedzą, że Ina to bezimienne niemowlę, które porzucili na wybrzeżu? Następną myśl sprawia, że ścisną mi się serce.

Może to samo przytrafiło się mnie.

Odkąd przeczytałam list taty, staram się nie myśleć o jego treści... że w rzeczywistości wcale nie był moim ojcem. A jeśli to prawda, to nie znałam również swojej matki i możliwe, że ja również byłam jedną z tych porzuconych sierot, zabranych przez tatę tak wcześnie, że nikt tego nie pamiętał.

A to oznacza, że i ja mogłam zostać wybrana przez Królową. Ale nie zostałam.

Coś mnie nagle kłuje w palec. Szpilka wbiła mi się w skórę. Szybko cofam rękę, żeby nie poplamzić sukni i zlizuję krew – ale dzieje się coś złego. Ina odwraca się, żeby na mnie spojrzeć, ale powoli, jakby poruszała się w bursztynie. Moje ręce wracają na swoje miejsce, zanim się w pełni odwróciła. A kiedy spogląda na mnie, mruga tylko niepewnie i odwraca się znowu, jakby już zapomniała, co zwróciło jej uwagę. Caro przygląda się przez chwilę Inie, zmieszana, jakby się zapomniała.

Ja wiem, oczywiście, co się stało. Kiedy się ukłułam, czas zastygł – albo zwolnił – jak wtedy, kiedy łapałam pstrąga w strumieniu, już tyle dni temu, albo podczas konfrontacji ze strażnikiem Gerlingów na targowisku, kiedy czekałam, by zostać wybrana na służbę w Everless. Ogarnia mnie zdenerwowanie. To nie zdarzyło się od przyjazdu, a nawet jeśli, to tak subtelnie, że tego nie zauważyłam.

Na szczęście obie przechodzą do porządku dziennego nad tym niezwykłym momentem.

Ina poddaje się kolejnym poprawkom, a na twarz Caro wraca tajemniczy uśmiech.

– Całe szczęście, Ino, że twoi rodzice postanowili oddać cię królestwu. Żadne inne dziecko nie miało tyle szczęścia i nie zasługiwało na to bardziej niż ty.

Zegar tyka, odmierzając sekundy – raz, potem drugi – zanim na twarzy Iny pojawi się czarujący uśmiech. Lady Gold z pewnością nie pamięta rodziców, ale to dla niej nadal żywa rana – chyba nie wyobraziłam sobie wyrazu bólu na jej twarzy. Trudno uwierzyć, że coś może smucić tę piękną, roześmianą dziewczynę, narzeczoną Roana, przyszłą królową – ale z własnego doświadczenia wiem, jak trudne mogą być pytania o rodziców, które pozostają bez odpowiedzi.

Kiedy Caro kończy upinać draperie i fałdy, Ina ostrożnie wychodzi z sukni, a my z Caro starannie składamy materiał, który zostanie następnie zaniesiony do krawcowej.

– Jules – mówi Caro, kiedy składamy równo ramiona sukni – zamierzam zarekomendować cię Królowej jako nową podręczną.

– Jeśli chcesz – dodaje szybko Ina. – Mam nadzieję, że chcesz.

Mija chwila, zanim w pełni dociera do mnie znaczenie tych słów, ale kiedy to się staje, z trudem się powstrzymuję, by nie rzucić sukni i nie pochwycić Caro w objęcia.

– Dziękuję! – wołam bez tchu. – Bardzo ci dziękuję.

– Będiesz, oczywiście, służyła raczej mnie niż Królowej – mówi Ina. – Ona woli, żeby zajmowała się nią Caro. A i to oszczędnie.

Radość wypełniająca moje serce wydaje się czymś dziwnym po tak długotrwałym smutku. Zresztą, gdybym dokładniej się temu uczuciu przyjrzała, to na jego peryferiach czai się coś mrocznego i dziwnego – to naprawdę niesamowite, że tak się przejmuję tym, iż jestem o krok bliżej osoby, przed którą ostrzegał mnie tata; która mogła doprowadzić do jego śmierci.

Ale radość jest zbyt słodka, żebym w tej chwili myślała o mroku. Spycham go w najdalsze zakątki serca, wyciągnę go stamtąd i uporam się z nim, kiedy przyjdzie na to czas.

– Najpierw musi cię zaaprobować Królowa – ostrzega Caro. – Zaraz cię do niej zaprowadzimy.

Królowa, wyjaśnia Caro, woli pozostawać w swoim pokoju, z dala od bezużytecznych plotek i mieszkańców zamku. Strażnicy stojący po obu stronach jej drzwi stanowią widome tego świadectwo. Kiedy podchodzimy, pozostają nieruchomi, jak wykuci z kamienia; patrząc na ich twarze barwy popiołu, obawiam się przez moment, że czas znów się zatrzymał.

Caro przechodzi między nimi bez obaw i bez wahania. Ina idzie tuż za nią, postukując palcami o własną talię. Zastanawiam się, czy zawsze tak się denerwuje w obecności kobiety, która ją wychowała. Królowa Sempery siedzi w rzeźbionym fotelu z ciemnego drewna. Ina i Caro składają jej głęboki ukłon, ja idę za ich przykładem, nie podnosząc oczu znad złotzielonego dywanu pod nogami.

Caro odzywa się pierwsza.

– Moja Królowo, pozwolę sobie przedstawić Jules Ember. Ina i ja pragniemy dołączyć ją do królewskiej świty, aby Ci służyła. – Królowa zachowuje milczenie. – Służyła w Everless jako dziecko i dobrze zna posiadłość. Jules – mówi Caro na koniec.

Prostuję się i podnoszę wzrok, Królowa patrzy na mnie bez wyrazu. Nuda i pogarda odcisnęła się chyba na trwałe na jej twarzy, przez co jej uroda zdaje się zimna i daleka – jak piękno gwiazd. Ale jej spojrzenie jest przeszywające, a głos jeszcze bardziej.

– Ino, czy to ci odpowiada? – pyta Królowa.

– Tak – odpowiada Ina pośpiesznie. – Jules była towarzyszką Roana w dzieciństwie. Nic nie mogłoby mi bardziej odpowiadać.

Caro i Królowa wymieniają niemal niedostrzegalne spojrzenia, Caro chrząka i wypełnia milczący rozkaz swej pani.

– Jules, służba Królowej i jej córce to nie to samo, co służba u arystokratycznej rodziny. Wiąże się z pewnymi zagrożeniami. – Nie odrywam oczu od Caro, choć serce zaczyna mocniej bić w mojej piersi. – Nie będziesz z nikim rozmawiała o Królowej. Nie będziesz wchodziła do jej komnat bez zaproszenia. Nie położysz na niej ręki, nawet aby jej usłużyć. Jeśli ktoś zwróci się do ciebie w jej sprawie, albo zasugeruje akt przemocy przeciwko niej, poinformujesz mnie o tym natychmiast.

– Pogrożki wobec Królowej nie należą do rzadkości, z pewnością o tym słyszałaś – wyjaśnia. – Wielka władza rodzi wielką przemoc, zarówno zewnętrzną, jak i wewnętrzną. – Przemowa Caro robi wrażenie wyuczonej lekcji. Ciekawe, ile razy już ją wygłaszała.

– Zagrożenia są likwidowane bez skrupułów i wyrzutów sumienia, i w absolutnej dyskrecji – kontynuuje Caro spokojnie. – Jeśli chcesz nam służyć, musisz to zrozumieć.

Myślę, że jej poważny ton mógłby wzbudzić strach w sercu każdego człowieka, nie mówiąc już o kimś, komu chodzą po głowie zdradzieckie myśli. Ledwo oddycham, mam nadzieję, że twarz mnie nie zdradzi. Na szczęście Caro bierze moje emocje za coś innego i uśmiecha się, żeby mi dodać odwagi.

– Rozumiem. – Pochyliłam głowę, ukrywając dreszcz.

– To samo, oczywiście, dotyczy Iny. – Teraz Caro wypowiada słowa wolniej, jakby z pewnym trudem. – Jeśli masz jej służyć, musimy mieć pewność, że będziesz jej broniła, nawet kosztem własnego życia.

– Będę. – Kiwam głową.

Caro zdobywa się na lekki uśmiech.

Królowa przygląda mi się, po czym wstaje swobodnie z fotela. Góruje nad nami.

– Zaraz się przekonamy. Podejdz, dziewczyno – mówi.

Waham się, więc Caro kładzie mi rękę na ramieniu, ponaglając mnie bez słów, bym stanęła obok Iny. Przełykam ślinę i niepewnie robię krok naprzód, choć trzęsą mi się kolana. Ina spogląda na mnie i uśmiecha się, dodając mi odwagi.

– Przeprowadzimy test lojalności, Jules – zawiadamia Caro, stając obok mnie. – Sprawdźmy, czy masz instynkt wymagany na tej posadzie.

– Czego tylko potrzeba...

Urywam, bo jakiś ruch każe mi zwrócić spojrzenie na Królową. Wyciągnęła skądś nóż. W jej dłoni lśni ostrze. Zamieram ze zgrozy, kiedy bierze zamach.

I kieruje ostrze w stronę Iny.

Srebrzysty błysk przecina powietrze.

Moje kończyny reagują szybciej niż mózg. Staję przed Iną, zanim zdążę pomyśleć, co robię, i zanoszę modły do Czarodziejki, żeby czas zwolnił, bo w każdej chwili spodziewam się ostrego metalu wbijającego się w moje ciało.

Ale nie czuję niczego poza dwukrotnie szybszym niż zwykle biciem serca. Nic się nie dzieje. I nic się nie dzieje. Przez sekundę wydaje mi się, że zatrzymałam czas, ale kiedy otwieram oczy – nadal słyszę w uszach gwałtowne walenie własnego serca – widzę, że Caro stoi z wyciągniętą do góry ręką i palcami obejmuje rękojeść noża. Złapała go o cale od mojej piersi. Podziwiam jej szybkość. Jej pierś unosi się po wysiłku, jakim było złapanie noża w locie, ale dość lekko.

Wypuszczam wstrzymywany oddech. Test lojalności. Moje życie za życie Iny.

Królowa patrzy na mnie z nieprzeniknioną miną, kiedy Caro zwraca jej nóż. Nie wiem, czy to tylko moja wyobraźnia, czy chłód jej słów, ale zdaje się emanować od niej zimno, które osiada na mojej skórze.

– Dobra robota – mówi. – Twoja również, Caro. Widzę, że tym razem nie popełniłaś

błądu. – Królowa zwraca spojrzenie na mnie, a w oczach Caro maluje się wstyd. – Pamiętaj, że jeśli nie będziesz broniła Iny nawet kosztem własnego życia, jeśli narazisz ją na jakiegokolwiek ryzyko, to twoje lata zostaną stracone.

Zasycha mi w ustach, przełykam z trudem i zmuszam się do odpowiedzi.

– Rozumiem, Wasza Królewska Mość – mówię głosem pozbawionym emocji.

Władczyni Sempery sadowi się z powrotem w fotelu i kiwa głową, a cały pokój zdaje się wypuszczać wstrzymywane powietrze. Słyszę ciche oddechy Iny i Caro, szelest materiału, kiedy się poruszają. Kiedy Królowa odprawia nas ruchem ręki, odwracam się i patrzę na nie. Uśmiechają się do mnie równocześnie z czymś w rodzaju wdzięczności – albo litości.

Kufer z ubraniami ustawiony u stóp mojego łóżka tego wieczora, z ułożoną na wierzchu czerwoną, długą suknią podobną do tej, w której chodzi Caro, to potwierdzenie: mam należeć do świty Królowej jako nowa służąca Iny. Ina zaproponowała mi własny pokój w pobliżu jej apartamentu, ale nie chciałam zostawić Alii w dormitorium. Towarzystwo innych dziewcząt uspokaja mnie, a poza tym tutaj bardziej czuję obecność taty niż na obcych korytarzach, które dzisiaj wizytowałam.

Teraz jestem bliżej Królowej niż kiedykolwiek i, mam nadzieję, bliżej zrozumienia tego, co się kryło za ostrzeżeniami taty. Co oznacza, że jestem również bliżej niebezpieczeństwa niż dotychczas.

Rozkładałam na łóżku jedną z sukni, a grupka dziewcząt skupia się wokół niej jak wokół ognia na kominku. Niektóre ze spojrzeń są pełne zazdrości, to na pewno, ale inne są bliższe litości. Alia wyciąga drobną rączkę i gładzi materiał spódnicy. Za kilka dni ma opuścić Everless i wrócić do Crofton, a ja postanawiam wywieźć stąd jedną z sukni, kiedy będę wracała i dopasować ją na mniejszą ode mnie dziewczynkę. Ale kiedy wrócę?

Bea zauważa, nie bez rozbawienia, że ten wyściełany aksamitem kufer jest bardziej luksusowy niż łóżka służby.

– Ta zielona sukienka miała być dla Addie – mówi młodsza dziewczyna imieniem Selena. Została skierowana do pracowni krawieckiej, więc wie. Nie kieruje tych słów do nikogo w szczególności. – Nienoszona. – Pozostałe odsuwają się, odchodzą i zostawiają mnie ze słowami Seleny, żeby ścisnęło mi się serce.

Nie powiedziałam nikomu, co się działo podczas spotkania z Królową. Za bardzo się boję – zarówno samej Królowej, jak i tego, że nikt mi nie uwierzy. Powtarzam sobie, że to był tylko test lojalności, że Ina nie była zagrożona – ale jak można rzucić nożem we własną córkę, nawet wiedząc, że ostrze jej nie trafi?

Moim pierwszym zadaniem jako służącej Królowej, wyszczególnionym w notatce przypiętej przez Caro do wnętrza kufra, jest zebranie ostrokrzewu na treliaż do ślubu Roana i lady Gold. Jestem trochę zawiedziona, że wyznaczone zadanie nie pozwoli mi zbliżyć się do Królowej, ale wcześniej wstaję od śniadania, wkładam jedną z sukni i ciepły płaszcz. Poskrabiam włosy, na ile to możliwe i wsuwam je pod czepek służącej, a potem wychodzę do ogrodu usytuowanego w samym centrum dziedzińca w sercu Everless.

Gerlingowie strzegą zazdrośnie tych ogrodów, wstęp mają do nich wyłącznie oni i ich

goście – muszę pokazać notatkę Caro strażnikowi przy drzwiach, żeby mnie wpuścił – więc choć udawało mi się zajrzeć do ogrodów przez okno, to nigdy dotąd nie spacerowałam nieskazitelnie czystymi, wykładanymi mozaiką ścieżkami. Niewielkie, kolorowe kafelki na drózkach są przyprószone śniegiem. Na rabatach kwiatowych kwitną już róże i rośnie bluszcz, choć zima trzyma jeszcze w najlepsze i odpiera ataki wiosny. Słyszałam, że ogrodnicy podlewają ziemię topionym krwawym żelazem, żeby kwiaty były mocniejsze, kwitły wcześniej i dłużej nie więdły. Choć to groteskowe marnotrawstwo, to nie mogę zaprzeczyć, że krwistoczerwone róże pięknie się prezentują na tle śniegu.

Za moimi plecami rozlega się odgłos czyichś kroków. Oglądam się przez ramię i odczuwam wstrząs na widok Roana, który zmierza w moją stronę z płaszczem narzuconym na ramiona i gołą głową, kręcone włosy fruwać wokół niej poruszane lekkim wiatrem. Odczuwam nagłe, gwałtowne i bardzo intymne pragnienie, by kazać mu włożyć kapelusz. Roan uśmiecha się i przyspiesza kroku, wkrótce zrównuje się ze mną.

– Miałem nadzieję znowu cię spotkać – mówi i z uznaniem przesuwając spojrzeniem po moim stroju. – Myślałem, że Liam mógł wtrącić cię do lochu, albo kazać ci wypolerować swoje buty, lub wymyślić coś równie okropnego.

– Jestem teraz służącą królowej. – Pochyliłam głowę. – Jeszcze raz dziękuję ci za pomoc.

Roan się śmieje. Powinnam czuć się nieswojo, będąc z nim tak otwarcie sam na sam, ale kiedy zaczynamy iść razem ogrodową alejką, to jest coś tak naturalnego i swobodnego jak w dzieciństwie. Nie byłabym pewnie zaskoczona, gdyby Roan puścił się biegiem i rzucił mi wyzwanie, żebym go dogoniła.

Szkoda, że słowa nie przychodzą z równą łatwością.

– Nigdy tutaj nie byłam. – Szerokim gestem wskazuję kwiaty. – Ogród jest śliczny.

Roan wzdycha, ku mojemu zaskoczeniu.

– Chyba tak. Ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że to wszystko sztuczne. – Wierzchem dłoni uderza od niechcienia różę i obserwuje, jak gałązka kołysze się w przód i w tył, jak wahadło zegara. Na jego ustach pojawia się łobuzerski, konspiracyjny uśmiech. – Zawsze wolałam polne kwiaty od róż ogrodowych.

Przypomina mi się zapach, jaki poczułam od niego któregoś dnia – zapach lawendy, a nie wody różanej. Kiwam głową.

– Czy przy południowej bramie jest jeszcze rabata lawendy? Tam, gdzie robiliśmy sobie fort?

W pierwszej chwili Roan marszczy czoło w zamyśleniu, jakby próbował przywołać wspomnienia. A potem w jego oczach pojawia się błysk.

– W szklarni może być trochę lawendy. – Wskazuje ruchem głowy drugi koniec ogrodu. – Możemy pójść i przekonać się na własne oczy.

– Muszę tutaj poczekać na Caro – mówię pośpiesznie, a z jego twarzy znika ożywienie.

– W takim razie kiedy indziej. Jak ci się żyje w roli podręcznej? – Nie zwalniając kroku,

Roan bierze mnie za rękę i podnosi ją do góry, żeby obejrzeć koronkowy mankiet przy nadgarstku. Gorąca krew napływa mi do twarzy, jedyne, co mogę zrobić, to starać się zachować obojętną minę – choć mogłabym przysiąc, że przytrzymuje moją rękę odrobinę dłużej niż przedtem, zanim pozwala jej opaść. – Dobrze ci w tej sukience – rzuca tonem niezobowiązującej pogawędki.

Mój śmiech wydaje się nieco zdyszany.

– Nietrudno przebić te bezkształtne worki, które nosimy w kuchni.

– To też – odpowiada Roan ze śmiechem. – Ale chodziło mi o coś innego. Myślałem o naszym dzieciństwie. O tym, że chciałaś zostać kowalem, jak twój ojciec i biegałaś usmarowana sadzą z kuźni.

Uniesienie i rozpacz toczą walkę w mojej piersi. Trudno nie zdumiewać się Roanem, którego przeszłość wydaje się wyprana z wszelkiej niechęci, nawet wspomnienia zostały wytarte do czysta, jak łupkowa tabliczka w szkole – ale jego niezamierzona zniewaga i tak boli.

On nic nie wie o tacie, powtarzam sobie, nie mógł wiedzieć. Gdyby tata zorientował się, jaki Roan jest dobry, może wszystko potoczyłoby się inaczej.

– Powiedz mi coś więcej – proszę, żeby zmienić temat. – Co jeszcze pamiętasz?

– Dobrze. – Uśmiecha się szeroko. – Zawsze byłaś szalona. Pamiętasz, jak snułaś opowieści o leśnych zwierzętach? Albo jak kazałaś reszcie dzieci odgrywać dawne bitwy?

Początkowo nie mogę sobie przypomnieć, wspomnienia z dzieciństwa zostały pogrzebane pod wieloletnią warstwą głodu i walki o każdy grosz. Ale kiedy spoglądam w niebieskie oczy Roana, które nie zmieniły się od dziecka, zaczynają powracać do mnie skrawki wspomnień – ukrywanie się pod stołem w wielkim holu, jakbyśmy byli szpiegami; turlanie się w dół po trawiastym wzgórzu i udawanie, że ścigają nas wilki...

Nagle Roan mruga powiekami, przerywa kontakt wzrokowy i podnosi rękę na powitanie kogoś w oddali. Podążam za jego spojrzeniem i spostrzegam Caro, która zbliża się do nas z przechyloną na bok głową, wyraźnie zaskoczona, że widzi nas dwoje razem.

– Lordzie Roanie. Panno Ember. Witam – mówi, zbliżywszy się na tyle, by jej szept do nas dotarł.

– Dzień dobry, Caro – odpowiada wesoło Roan, ale jego głos brzmi nieco zbyt piskliwie. Katem oka widzę, że unosi rękę – jakby chciał dotknąć mojego ramienia – ale opuszcza ją, chyba się rozmyślił.

– Jeszcze raz dziękuję, że byłeś tak dobry i zarekomendowałeś mnie, lordzie Gerling – mówię i odsuwam się, by zwiększyć dystans między nami. – Służba Królowej to zaszczyt.

Roan uśmiecha się przelotnie, tylko do mnie.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Skinieniem głowy żegna mnie, potem Caro. – A teraz, panie wybaczą. Mam umówione spotkanie z narzeczoną.

– Na które już się spóźniłeś – zauważa Caro z łagodnym uśmiechem.

Roan jeszcze raz spogląda mi w oczy, po czym oddala się w stronę zamku.

Caro bierze mnie pod ręką, jak w dniu, kiedy zaprowadziła mnie na mierzenie sukni. Uśmiecham się do niej, próbując ukryć zdenerwowanie. Podniecenie, jakie odczuwam, gdy Roan znajduje się w pobliżu, jest tak silne, że trudno mi uwierzyć, iż inni tego nie widzą.

Ale Caro odpowiada mi beztroskim uśmiechem.

– Tak się cieszę, że Królowa zaaprobowwała przyjęcie cię do świąty. Bardzo niewiele osób zdaje test lojalności. Ta próba odstrasza ludzi, bardziej niż cokolwiek innego – dodaje szybko, jakby była zakłopotana, że o tym mówi. – Prawdę mówiąc, w związku ze ślubem więcej czasu poświęcam na załatwianie sprawunków dla Iny, niż na rozmowę z nią. A wkrótce... – zawiesza głos i patrzy gdzieś w dal. – Ina potrzebuje kogoś, komu będzie mogła się zwierzać. Na kim będzie mogła polegać. Po twoim wyjściu Ina mówiła mi, że bardzo cię polubiła.

– Wyjdzie za Ro... lorda Roana, już wkrótce – zauważam. – Wtedy wszystko się zmieni.

Caro uśmiecha się, odrobinę smutno.

– Masz rację, Jules. Wszystko się zmieni. – Ścisła moje ramię i z aprobatą rozgląda się po ogrodzie. – Widziałaś już kiedyś lodowy ostrokrzew?

Potrząsam głową i uśmiecham się wbrew sobie, a ona prowadzi mnie do samego serca ogrodu. Im głębiej wchodzimy, tym węższe i bardziej kręte stają się takie dotąd proste i porządne ścieżki, a rabaty kwiatowe są rozmieszczone nieregularnie. Kilka jardów dalej Caro zatrzymuje się i przykuca. Ostrożnie sięga pod krzak róży, starając się unikać kolców i wyciąga coś małego i srebrzystego.

– Jest, dokładnie tam, gdzie mówił ogrodnik – szepcze, trzymając na dłoni drobną, błyszczącą roślinkę. Która wydaje się promienieć. Pochyliłam się niżej, żeby obejrzeć małą gałązkę, o tak pięknym i ozdobnym kształcie, jakiego nigdy nie widziałam. Łodyżka jest czarna, listki srebrzysto-białe, a jagody ciemnogrnatowe. Uświadamiam sobie, że to ta sama roślina – wiotka łodyżka i ostre, wąskie listki – która znajdowała się na puzderku z biżuterią Królowej, tym samym, które Addie upuściła w dniu przyjazdu Królowej do Everless.

– To znak Królowej – wyjaśnia Caro, najwyraźniej znowu udało jej się przeniknąć moje myśli. – Powiadają, że zmusza do mówienia prawdy, a rośnie jedynie w miejscach, gdzie Czarodziejka odprawiała swoją magię.

Zaczynam się śmiać, ale szybko opanowuję rozbawienie, bo Caro patrzy na mnie z zaskoczeniem.

– Nie wierzysz w to? – pyta.

– Przepraszam, mój ojciec... – zaczynam szybko. – Nie zostałam wychowana w wierze w magię Czarodziejki. – Nie mówię jej, że tata przy każdej okazji odrzucał te bajki ze wzgardą, kiedy zrobiłam się zbyt duża, żeby wdrapywać się na jego kolana i prosić o baśnię. Po naszej przymusowej ucieczce z posiadłości Gerlingów, kiedy zabrakło Roana, moje

dzieciństwo stało się mroczne i surowe.

– Ale popatrz. – Caro pochyła się i ostrożnie rozsuwa gałęzie krzewu różanego, żebyśmy mogły zobaczyć, co kryje się pod nim. Zaglądam, zdumiona, i widzę lodowy ostrokrzew rosnący w cieniu róży. Tworzy kępę, jak krzewy czy młode drzewka, ale ma tylko kilka cali wysokości. I układa się w dziwny wzór – przypominający odcisk stopy.

Kłękam, owładnięta przemożną, zadziwiającą potrzebą dotknięcia tej rośliny. Kamienna ścieżka ziębi mnie w kolana, nawet przez suknię. Dotykam opuszką palca spodniej stronę listka i przed moimi oczami zaczynają się przesuwać niezwykle plastyczne obrazy – lodowy wiciokrzew rosnący w tym samym miejscu, ale dziko, na przemian w słońcu i w cieniu. Zupełnie jakbym obserwowała wiele następujących po sobie dni i nocy.

Wstaję, oszołomiona. Caro obserwuje mnie uważnie, ale nic nie mówi. Wskazuje na nieuporządkowany środek ogrodu.

– To dlatego ogród wygląda w ten sposób. Gerlingowie założyli go wokół ostrokrzewu. – Przysuwa się bliżej i ścisza głos. – Lodowy wiciokrzew jest teraz bardzo rzadki. Królowa zażądała, żeby został natychmiast zerwany z grządki Gerlingów. Podejrzewam, że Verissa jest wściekła.

– Rozumiem. – Nie jestem przekonana o jego magii, ale dziwne wyobrażenia niepokoją mnie w niewytłumaczalny sposób. Przykucam obok Caro, która pokazuje mi, jak unikać kolców i jak zrywać wiciokrzew, żeby nie uszkodzić korzeni.

Umieszczamy lodowy wiciokrzew w wiklinowym koszyku przyniesiony przez Caro. Roślinki są tak małe i delikatne, że napełnienie koszyka zajmie nam cały poranek, ale – szczególnie po łuskaniu mawy – nie mam nic przeciwko paru zadrapaniom na rękach przy zrywaniu ślicznego wiciokrzewu i słuchaniu cichych, ciepłych pogaduszek Caro. Caro, z tymi swoimi szybkimi, sprawnymi ruchami, melodyjnym głosem i błyszczącymi oczami, przypomina mi ptaszka.

– Roan wydaje się być bardzo tobą zajęty – mówi, kiedy koszyk jest zapełniony w jednej trzeciej. Sztywnieję, choć ta uwaga budzi we mnie zakazany dreszcz. Caro nie osądza mnie, raczej jest zadowolona – ale jej słowa i tak mnie niepokoją.

O mało nie odpowiadam: *Uratowałam go*. Ale to sformułowanie nawet dla mnie samej brzmi dziecinnie, jakby moje spragnione serce pomyliło dziesięcioletnie sny na jawie z rzeczywistością. Liam popchnął Roana w stronę ognia. Może ja go złapałam. A może tata, a ja potem wysnułam wokół tego wydarzenia własną historię, jak to robiliśmy z Roanem w dzieciństwie.

– Przyjaźniliśmy się w dzieciństwie – odpowiadam w końcu. – Kiedy mój ojciec pracował w Everless. Jestem mu wdzięczna za to, że ci mnie polecił. Lord Liam wyznaczył mnie poprzedniego dnia do łuskania mawy, a Roan mnie od tego uwolnił.

– Mawa! – Caro szeroko otwiera oczy z przerażenia. – Zastanawiały mnie te ślady na twoich dłoniach. Co zrobiłaś, żeby na to zasłużyć?

– Mogłam sobie na to zasłużyć, troszeczkę – mówię otwarcie, starając się zbagatelizować własne słowa. – Znalazłam się w korytarzu, na którym nie powinnam być, w pobliżu skarbcu, oczywiście. Liam mnie zobaczył.

– Próbowłaś wejść do środka? – pyta Caro bez ogródek.

Energicznie potrząsam głową. Za nic nie chcę, żeby Caro wzięła mnie za złodziejkę.

– Nie ośmieliłabym się. To był... przypadek.

– Hmm. – Caro przygląda mi się z leciutkim uśmiechem czającym się w kącikach ust. – Przypadek u dziewczyny, która tak dobrze zna Everless?

Otwieram usta, ale zamykam je natychmiast, żeby się nie zdradzić.

Caro unosi brwi, zrywa jagodę z lodowego ostrokrzewu i obraca ją w palcach. – Nie musisz mnie okłamywać, Jules. – Jej głos brzmi niemal smutno. – Ja nie jestem ani taka brutalna, ani taka niezdolna do wybaczenia jak Królowa. Nie zakuję cię w kajdany.

Powoli, ostrożnie wypuszczam z płuc wstrzymywany oddech.

– Myślałam... że w skarbcu może być coś należącego do mojego ojca. – Nie chcę się przyznać, że śledziłam Liama, ale to również jest prawda. Łatwość, z jaką to wyznanie pada z moich ust, wydaje mi się niemal szokująca, jakbym zawsze chciała powiedzieć o tym Caro. Mówiła mi, że lodowy ostrokrzew zmusza ludzi do mówienia prawdy, ale to chyba niemożliwe, prawda?

– Przed laty, kiedy opuszczaliśmy Everless, zostawiliśmy sporo wartościowych rzeczy – dodaję pośpiesznie, tytułem wyjaśnienia. To przynajmniej nie jest do końca kłamstwem. – Może one trafiły właśnie tam. – Potrząsam głową. – To głupie, ja...

– Nie, nie mów tak – prosi Caro. – To nie jest wcale głupie, ani idiotyczne. Twój ojciec odszedł i to, co po nim pozostało, jest dla ciebie skarbem. Ale owszem, nawet teraz, kiedy jesteś pod rozkazami Królowej, nie byłoby dobrze, gdybyś została przyłapana na czymś takim. Gerlingowie trzęsą się nad tym swoim bezcennym krwawym żelazem. Szczególnie Liam. Poszukam tego dla ciebie, jeśli nadarzy się okazja – dodaje po krótkiej pauzie. – Jak sądzisz, co może być tam schowane?

– Nie! – Krzyczę znacznie głośniejsze, niż bym zamierzała. I dodaję pośpiesznie: – Liam powiedział, że każdy, kto nie jest Gerlingiem, a spróbuje dostać się do skarbcu, może zginąć. Drzwi są zaczarowane.

Ku mojemu zaskoczeniu Caro zaczyna się śmiać. Ten melodyjny dźwięk jest donośniejszy niż jej głos; rozlega się w ogrodzie jak dzwoneczki.

– Jestem pewna, że to zwyczajne myto czasu – mówi.

– Naprawdę nie musisz.

– Dzisiaj wieczorem wyjeżdżam z Królową na kilka dni – zbywa moje protesty Caro. – Odwiedzimy kilku drobniejszych arystokratów na północy. Ale po powrocie mogę dyskretnie to dla ciebie sprawdzić. Albo może wybierzemy się razem, ja wezmę na siebie myto czasu, a ty będziesz stała w gotowości z karafką lat. Może być zabawnie – kończy

z przekornym błyskiem w jasnych oczach.

– Proszę, Caro, nie. To zdecydowanie zbyt niebezpieczne. – Przełykam ślinę. Czuję się jednocześnie głupia i przerażona. – Ja... ja nawet nie wiem, czy to prawda. Czy tam rzeczywiście jest coś, co należało do taty.

– Ale to wydaje się ważne. – Caro uśmiecha się. – Czy zrobisz mi grzeczność w rewanżu?

– Oczywiście – odpowiadam natychmiast, chcąc odwrócić jej uwagę od zamiaru włamania się do skarbcza. – Co tylko zechcesz.

– Czy powiesz mi, jeśli zauważysz w zachowaniu Roana coś, co wyda ci się... godne uwagi? – Jej głos brzmi słodko, ale twarz jest zatroskana. Prośba Caro sprawia, że język wysycha mi na wiór, bo przypominam sobie sekundy, które minęły, zanim wypuścił z uścisku moją dłoń.

– Tak, z przyjemnością. To żaden problem.

– Dziękuję. – Obejmuje mnie lekko. – Jesteś teraz moją przyjaciółką, Jules. I Iny. Musimy dbać o siebie nawzajem.

Z oddali dobiega dźwięk dzwonów Everless. Caro zrywa się na równe nogi i wpycha mi w rękę koszyk.

– Muszę usłużyć Królowej. Możesz to zanieść do kuchni? Tam będą przygotowywane reliaże.

Moją uwagę nadal zaprzęta słowo *przyjaciółki* – nie wiem, jak to możliwe, ale choć znam Caro dopiero od dwóch dni, czuję, że to prawda. Chcę zrobić jej przyjemność.

– A co ze mną? – pytam ją. – Czy będę towarzyszyła tobie i Królowej? – Mój puls przyspiesza na myśl o tym.

– Nie – odpowiada Caro pośpiesznie. – My jedziemy wyegzekwować długi należne Królowej; to będzie męczące. Ty zostaniesz tutaj i będziesz pod naszą nieobecność dbała o Inę. Ona lubi twoje towarzystwo. A kiedy nie będzie cię potrzebowała, możesz robić, co zechcesz. Wieczory zazwyczaj będziesz miała wolne, chyba że Królowa, Ina albo ja będziemy od ciebie czegoś potrzebowały.

Wytrzeszczam na nią oczy, niemal jak imbecyl, ale zamykam usta i kiwam głową – jakby perspektywa wolnego wieczoru nie była bezcennym darem, jakby nie chciało mi się płakać z wdzięczności na tę myśl. Przeszywa mnie błyskawica czystego szczęścia, zupełnie inna niż skażony i mściwy dreszcz, który poczułam wczoraj po zdobyciu nowej pracy. To uczucie jest zupełnie inne, czystsze. Zrodzone z myśli o wolnym wieczorze i o przyjaciółce.

To dziwne i niezbyt komfortowe uczucie, znaleźć się znowu wśród służby kuchennej, ale już nie jako jedna z nich. Jeśli mam być uczciwa, to zanim jeszcze zostałam wybrana na służącą Iny, czułam się w kuchni obco – byłam nowa w Everless, choć nic nie było tu dla mnie nowe, i w sekrecie krążyłam po korytarzach posiadłości Gerlingów. Potem, otumaniona mgłą rozpaczy, kompletnie nie myślałam o przygotowaniach do wesela i prawie nie rozmawiałam z otaczającymi mnie ludźmi.

Na zapleczu kuchni grupka służących oplata bluszczem i grubą, srebrzystą wstążką drewnianą kratownicę. Deni, młoda dziewczyna z warkoczami upiętymi na głowie w koronę, bierze ode mnie koszyk i zaczyna rozkładać lodowy ostrokrzew na stole; nieznany mi chłopiec rozwija cienki drucik.

Obok mnie pojawia się Bea. Bierze ze stołu lśniąca gałązkę i zaczyna owijać ją drucikiem.

– To jak to jest? – zwraca się do mnie. – Jak się pracuje dla Królowej?

Trzy inne dziewczęta podnoszą oczy znad stołu i słuchają, co powiem. Pamiętam o ostrzeżeniach Caro z poprzedniego dnia – że nie wolno mi mówić o Królowej i o tym, czego się o niej dowiedziałam.

– Jeśli mam być szczerą, to na razie nie miałam z nią zbyt wiele do czynienia – odpowiadam. – Mam nadzieję, że wkrótce to się zmieni.

– Nie, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre – komentuje Ingrid. Obraca w palcach jagodę. Martwi mnie, że pozostali wydają twierdzący pomruk. – Ona cię wypędzi, Jules, tak samo jak Addie.

– Zamieni cię w monetę! – wyrzuca z siebie Deni.

– Nie zwracaj na nie uwagi – mówi Bea i obrzuca Deni i Ingrid karcącym spojrzeniem. – Mnóstwo tu takich, co lubią straszyć innych. – Zwraca się w stronę grupki kobiet. – Mój dziadek ze strony ojca służył u Królowej, będąc jeszcze chłopcem i ona zadbała o jego edukację...

– I dlatego jesteś tutaj? – prychna Ingrid. Bea marszczy czoło, wyraźnie urażona i wraca do lodowego ostrokrzewu rozłożonego na stole. – Przepraszam, Beo – mówi Ingrid. – Ale to dla twojego dobra, dla was obu...

– Nic mi nie będzie – włączam się do rozmowy, choć każde włókienko mojego ciała krzyczy, że to nieprawda. Ruchem głowy wskazuję srebrne listki na stole, czekające na przekłucie i powieszenie. – Macie ważniejsze rzeczy do roboty niż zamartwianie się o mnie.

Ingrid wygląda tak, jakby chciała zaprotestować, ale nie zdążyła nic powiedzieć, bo w drzwiach pojawiła się drobna figurka. Od dawna nie widziałam Hintonona – przynajmniej tak mi się zdaje. Chłopiec przedziera się między dziewczętami i podbiega do mnie. Pochyliam się i ściskam go, ale on jest jakiś nerwowy, sztywny, kręci się niespokojnie w moich ramionach.

– Jest tu ktoś do ciebie, Jules – mówi cicho. – Na korytarzu. – Łapie mnie za rękaw i ciągnie w stronę drzwi.

Przeżywam szok na widok Liama, który opiera się o przeciwległą ścianę z rękami w kieszeniach płaszcz. Chyba jest w podłym nastroju, bo jego brwi są ściągnięte. Rzucił Hintononowi monetę, chłopiec łapie ją w locie i czmycha do kuchni jak królik do nory.

– Co tutaj robisz? – pytam. Nie muszę już teraz tak bardzo obawiać się Liama, bo mam za sobą Roana i Caro, ale dawne lęki nie przestają krążyć w mojej krwi i nie jestem w stanie uciszyć dzwonek alarmowych, które rozdzwoniły się we mnie na jego widok.

Liam wyjmuję z kieszeni na piersi jakiś papier i wyciąga go w moją stronę.

– Ina prosiła, żebym ci to dostarczył.

Uśmiecham się na myśl o tym, jak Ina parodiowała Liama podczas mierzenia sukni – wygląda na to, że nie oparła się pokusie przypomnienia mu, że pomimo jego wysokiego urodzenia, to ona stoi wyżej od niego. Czerpię pewną satysfakcję z jego dyskomfortu. Liam patrzy na mnie wilkiem, kiedy rozkładam kartkę i czytam.

Jules, planuję jutro przejazdzkę poza Everless i chciałabym, żebyś mi towarzyszyła. Proszę, spotkajmy się przy stajni o brzasku, żeby w pełni wykorzystać dzień.

Uściski, Ina

– Z pewnością doskonale wpasowałaś się w funkcjonowanie Everless, jak na służącą – zauważa Liam, kiedy chowam list do kieszeni sukni.

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

– Znalazłaś łaskę w oczach lady Gold – mówi. – I mojego brata.

Ostra odpowiedź zamiera mi na ustach. Nie odrywam spojrzenia od twarzy Liama, próbuję wyczytać z jego oczu, co może wiedzieć, ale znajduję niepojętą determinację. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby Roan mu się zwierzał. W tych nielicznych wypadkach, kiedy zdarzało mi się zobaczyć obu braci w tym samym pomieszczeniu, wyglądali jak z różnych światów – Roan zawsze w centrum uwagi, swobodny i uśmiechnięty, a Liam zaszyty gdzieś w kącie, obserwujący wszystko z dystansu oczami tak ciemnymi, że zdawały się pochłaniać światło. Odnoszę wrażenie, że świece w pobliżu Liama zaczynają się dławić i migotać, jak moje serce w tej chwili.

– Mieliśmy wspólne dzieciństwo – przypominam. – Wiesz o tym. Też z nami byłeś. – *Choć zawsze trzymałeś się na uboczu, zawsze obserwowałeś, zawsze milczałeś.* – Roan i ja

jesteśmy... – Urywam, nie mogę dokończyć myśli.

Liam zaciska usta.

– Przyjaciółmi? – Jego śmiech jest okrutny. – Myślę, że mój brat ma co innego na myśli.

Wywracają mi się wnętrzności – nie z bólu, ani z zadowolenia z powodu jego sugestii, a z gniewu. Przez te wszystkie lata nic się nie zmieniło.

– Za jednym zamachem podajesz w wątpliwość swojego brata, swoją przyszłą bratową i mnie – stwierdzam zimno. – Jestem pod wrażeniem. Czy duma nie pozwala ci zaakceptować tego, że ktoś stoi wyżej od ciebie, nawet przez parę minut?

Liam mruga, jego twarz wyraża przez moment coś w rodzaju bólu, ale natychmiast przybiera beznamiętną minę.

– Nie obchodzi mnie ranga człowieka – mówi. – I nigdy nie obchodziła.

– A więc to sprawa osobista. – Nie czekając na odpowiedź odwracam się i ruszam korytarzem w stronę dormitorium.

– To nie jest miejsce dla ciebie i twojego ojca – woła za mną Liam po krótkiej pauzie, jego głos jest dziwnie pozbawiony wyrazu.

Krew w moich żyłach lodowacieje, jakby wszystkie godziny, dni i lata zastygły. Odwracam się twarzą do Liama – jego oczy są twarde jak kamień. Kiedy podchodzę, pojawia się w nich błysk.

– Co powiedziałaś o moim ojcu? – Mój głos jest niski i – mam nadzieję – zdradza potęgę mojego gniewu. Przez kilka długich sekund Liam wytrzymuje moje spojrzenie, potem opuszcza wzrok na podłogę, nie odpowiada. Ramiona mu opadają, jak małemu chłopcu przyłapanemu na kradzieży słodyczy.

Nagle rozdzwaniają się dzwony Everless, biją głośno, długo i jakoś zajadle, w tym samym rytmie, w jakim ja zaciskam i rozluźniam pięści. Odwracam się i ruszam znowu korytarzem, a z każdym krokiem rośnie we mnie nadzieja, że Liam Gerling nie pójdzie za mną.

Następnego poranka wkładam jedną z najcieplejszych – i najbardziej luksusowych – sukni, jakie dała mi Caro, buty oraz szary płaszcz. Pomimo podłego nastroju, który nie opuszcza mnie od rozmowy z Liamem, nie mogę nie rozkoszować się miękkością materiału i wagą płaszcza. Przez wszystkie ostre zimy w Crofton nie miałam równie ciepłego ubrania.

Wychodzę z dormitorium i przeżywam szok na widok Roana, który opiera się o ścianę korytarza dla służby, stojąc w prostokącie światła wpadającego przez wysokie okno. Gwałtownie wciągam powietrze. Czy on... czeka na mnie? Czy Ina powiedziała mu o swojej prośbie?

Ale Roan robi wrażenie równie zaskoczonego jak ja.

– Jules – mówi zamiast dzień dobry. Potem odzyskuje panowanie nad sobą. – Ina wspomniała, że będziesz jej towarzyszyła podczas sprawunków. Dokąd się wybieracie?

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo z dormitorium wychodzi Bea, stąpa lekko i cicho w rannych kapciach. Najpierw spostrzega Roana i na jej twarzy rozlewa się szeroki uśmiech – potem zauważa mnie, szerzej otwiera oczy i jej uśmiech znika. Zanim zdążyłam choćby pomyśleć o powiedzeniu dzień dobry, Bea zmienia kierunek i odchodzi w głąb korytarza, jakby nagle przypomniała sobie o czymś ważnym.

Roan patrzy za nią przez chwilę, a potem zwraca się ku mnie. W ostrym, ukośnym świetle dołeczki w jego policzkach wyglądają jak czarne dziury. Uświadamiam sobie, że czeka na moją odpowiedź.

– Jedziemy tylko na przejażdżkę – rzucam lekko. Najwyraźniej nawet Roan nie wie, dokąd się z Iną wybieramy. Zaczynam już się pocić, w zamku panuje wysoka temperatura, a jestem w ciepłym ubraniu, no i to spojrzenie Roana. – Przecież dobrze znam te tereny.

To go satysfakcjonuje. Bierze głęboki oddech, potem wypuszcza powietrze z płuc i przesuwając ręką po niesfornych włosach.

– Oczywiście. Martwię się, że zaczyna być niespokojna. Dziękuję, Jules, że dotrzymujesz jej towarzystwa – mówi Roan poważnie. – Uważaj na nią. I na siebie.

Macha mi ręką na pożegnanie i rusza korytarzem w tym samym kierunku co Bea, szybko, długimi krokami. Bez zastanowienia wyciągam za nim rękę, jak roślina, która zawsze zwraca się ku słońcu. Słowo *zaczekaj* zamiera mi na ustach.

Kiedy Roan znika, ruszam w stronę stajni, zastanawiając się dlaczego, dlaczego, dlaczego Ina nie powiedziała narzeczonemu, co to za wyjazd. Z każdym krokiem mam coraz silniejsze

poczucie, że moje ciało to zabawka, marionetka, a za sznurki pociągają Gerlingowie, Ina, Królowa; ich tajemnice przebijają mnie, dziurawią moją skórę, poruszają moimi kończynami. A chciałam tylko dowiedzieć się prawdy o tacie – jak doszło do tego, że wylądowałam w samym środku tej rozgrywki?

Z ulgą wychodzę na dwór, na świeże powietrze dziedzińca. W nocy spadł śnieg i pokrył wielki trawnik cienką warstewką lśniącej bieli. Chciałabym pójść na spacer, popatrzeć z dystansu na palisady i wieżyczki Everless, spojrzeć na drugą stronę jeziora. Ale słońce stoi już ponad linią horyzontu, na wysokość dłoni, więc śpieszę do stajni na spotkanie z Iną.

Ina już tam jest, również ubrana w strój podróżny, ciepłą suknię i szary płaszcz, ze skórzaną torbą przewieszoną przez ramię. Zauważa moje gołe dłonie, wyjmuje z kieszeni płaszcza parę rękawiczek i podaje mi je. Jestem ogromnie zaskoczona, nie tylko jej wspaniałomyślnością, ale i faktem, że ubrała się jak ja – w strój służącej wyższej rangi.

Stoi obok dwóch koni, gniadego i kasztanka. Gniady jest już osiodłany; Tam dociąga popręg kasztanka. Mój żołądek opada ciężko, jak kamień w wodę, pocą mi się dłonie. Spodziewałam się, że pojedziemy wozem, albo karetą.

Potrafię jeździć konno – w Crofton zdarzało mi się czasami dostać pracę konnego posłańca, albo dostawcy – ale nie czuję się w siodle zbyt pewnie, a wielkie, wypasione i pełne wigoru wierzchowce Gerlingów wprawiają mnie w zdenerwowanie. Po chwili uświadamiam sobie, że stoję i gapię się niegrzecznie, więc szybko pochylam głowę i składam ukłon.

– Nie musisz tego robić – mówi Ina. Pomimo prostej sukni wygląda równie pięknie i po królewsku jak zawsze. Ale jest w niej jakieś wahanie, jakiś smutek. Jej krótkie, czarne włosy są schowane pod zwyczajną, wełnianą czapką, ich końcówki wyglądają jak ciemne, karbowane frędzelki przy uszach. – Dobrze, że tu jesteś, Jules.

Ostrożnie podchodzę do koni, witam Tama skinieniem głowy i uśmiechem. Tam wodzi wzrokiem ode mnie do lady Gold, pytając mnie oczami, dlaczego tu stoję, obok córki Królowej. Lekko potrząsam głową i mówię bezgłośnie: *Wytłumaczę ci później*. Widzę, jak zaciskają się jego usta, jak sztywno się kłania. Dodaję go do listy osób – na której są już Bea, Lora i Hinton – którym jestem winna wyjaśnienia.

– Którego konia wolisz? – pyta Ina uprzejmie, jakby pytała, czy wolę do herbaty cukier, czy mleko. – To jest Honey. – Gładzi chrapy gniadego konia. – A to Mawa.

– Honey – odpowiadam z takim pośpiechem, że Ina parska śmiechem. – Wezmę Honey.

– Dobrze. – Wciska mi w rękę wodze gniadosza. Nerwowo mrugam powiekami, kiedy zwierzę odwraca do mnie głowę i mierzy mnie spojrzeniem swych wielkich oczu. Pamiętam, co mówił tata o koniach: nie zachowuj się nerwowo, nawet jeśli jesteś zdenerwowana.

To samo można powiedzieć o osobach królewskiego rodu.

Spodziewałam się dłuższych przygotowań, ale Ina już jest gotowa, a Tam podchodzi do mnie i podsadza mnie na siodło Honey. Wdrapuję się niezręcznie i nerwowo zaciskam ręce

na łąku siodła.

Ina z wyraźnym zaskoczeniem patrzy na moje sztywne ramiona i na jej twarzy pojawia się zakłopotanie. Najwyraźniej nie przyszło jej do głowy, że mogłabym nie umieć jeździć konno i teraz zrobiło jej się wstyd, a nie wie, jak się wycofać. Wszystkie uczucia Iny Gold malują się bardzo wyraźnie na jej pięknej twarzy. To, że nigdy nie musiała ukrywać swoich uczuć, to luksus – ale nie zazdroszczę jej tego. Zna mnie dopiero od dwóch dni, a naprawdę troszczy się o moją wygodę.

– Nie mam nic przeciwko jeździe konnej – mówię, zanim ona zdąży się odezwać, bo naprawdę chcę się wyrwać z Everless, swobodnie odetchnąć, choćby przez jeden dzień. Prostuję się w siodle i biorę wodze w ręce, starając się nie myśleć o tym, jak daleko jestem od ziemi. Ina samodzielnie wskakuje na swojego wierzchowca – z gracją tancerki – i naciąga kaptur na głowę. Wyprowadza nas spod stajni. Na moje szczęście Honey instynktownie podąża za Mawą.

– Chcę pojechać do sierocińca między Crofton a Laistą – mówi cicho Ina, kiedy znajdujemy się poza zasięgiem słuchu Tama. – Mniej więcej godzinę jazdy stąd. Nie mówiłam o tym nikomu. Ani Roanowi, ani Caro, ani Królowej. Oni wszyscy uważają, że zostaną dopadnięta i zaszlachtowana jak cętkowany królik – mówi tak zawadiacko, że muszę się roześmiać. – Więc byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś... no, wiesz...

Ina odwraca się do mnie i przygryza wargę. Lady Ina Gold nie wygląda na osobę, która potrafi utrzymać coś w tajemnicy, zwłaszcza przed narzeczonym czy Królową, swą przybraną matką, ale, przypominam sobie, ja również.

Kiwam głową i uśmiecham się.

Ina dostrzega coś ponad moim ramieniem i zamyka usta. Daje mi znak, żebym trzymała się za nią, podjeżdżamy do południowej bramy, znacznie mniejszej od tej paradnej, którą tydzień temu wjechały do Everless z Królową. Brama południowa, przeznaczona głównie dla służby i dostawców, jest pilnowana przez dwóch zmarzniętych strażników, którzy obserwują nas bez większego zainteresowania, ale przytomnieją na widok twarzy Iny. Obaj kłaniają się głęboko.

– Lady Gold – mamrocze jeden z nich, prostując się. – Czy... czy powinna pani wyjeżdżać poza mury bez eskorty?

Ina nie przeoczyła przytyku i w jej głosie pojawia się radosna nutka, której nie słyszałam, gdy byliśmy same.

– Mam eskortę, chyba że uważasz tę dziewczynę za ducha. – Macha ręką w moim kierunku. – Jadę, żeby zrobić Roanowi niespodziankę podczas polowania.

I znowu zaskakuje mnie, z jaką łatwością padają z jej ust kłamstwa. Oczy Iny, jasne i czyste jak krople wody, nie zdradzają niczego. Instynkt każe mi powiedzieć Inie o dzisiejszej porannej wizycie Roana w kwaterach służby – ale zachowuję tę informację na później, podobnie jak inne sekrety.

Tak czy owak, jej słowa działają – strażnicy odsuwają się i przepuszczają nas. Wyjeżdżamy na równinę poza murami Everless; brama stoi jeszcze przez chwilę otworem, po czym zatrząskuje się ciężko. To zadziwiające, jak lekko czuję się w tym momencie, jakbym nie zdawała sobie sprawy z żelaznego ciężaru spoczywającego na mojej piersi, dopóki nie został zdjęty.

Ina kieruje konie na główną drogę. Z uwagi na wczesną porę nie ma jeszcze zbyt wielu podróżnych, a odległości między nimi są znaczne – mijamy kilka zmierzających do Everless wozów z ładunkiem siana, drewna, lub ziarna, ale nikt nie jedzie w przeciwną stronę. Ina nie zdejmuje z głowy kaptura, chociaż poza murami Everless nikt nie zwraca na nią większej uwagi. A raczej przyglądają się jej, ale w taki sposób, w jaki patrzyliby na każdą dziewczynę tak piękną jak ona. Żaden z mijanych przez nas farmerów czy kupców nie wie, że to córka Królowej, przyszła władczyni Sempery.

Ina kieruje Mawę na boczną drogę, która wiedzie przez las, a ja podążam w ślad za nią, ściskając wodze tak mocno, że pocą mi się dłonie. Zastanawiam się, czy mój ojciec szedł przez ten las podczas swojej ostatniej wyprawy do Everless.

– Jak sądzisz, czy w tych lasach mogą być... krwawcy? – Ina rozgląda się dookoła z przerażeniem. Teraz, kiedy otaczają nas czarne, poskręcane pnie drzew i cienie, nie ma już w niej poprzedniej brawury i lekceważenia niebezpieczeństwa. Zastanawiam się, jak bardzo była wystraszona podczas napadu, w którym została wymordowana ich służba. Ina odpowiada na moje zmieszane spojrzenie. – Nie słyszałaś? Wczoraj w Ayleston została zamordowana wiedźma.

Dreszcz przebiega mi po plecach. Tata mówił zawsze, że wiedźmy i inne tak zwane pomniejsze czarownice to zwyczajne szarlatanki, ale nie wszyscy tak uważają – powiada się, że niektóre z nich mają specjalne konszachty z czasem i mogą stanowić atrakcyjny cel dla złodziei. Potrząsam głową i chrząkam, żeby oczyścić gardło i umysł.

– W tak bliskiej odległości od Everless jesteśmy bezpieczni. – Mam nadzieję, że to prawda, bo przecież w razie ataku mam za nią umrzeć. – Ale nie znam zbyt dobrze tej części lasów.

– To nie problem – mówi Ina i wyciąga z kieszeni złożoną mapę.

Światło jest mocniejsze, bo gałęzie drzew odsłaniają niebo. Nie czuję się pewnie na grzbiecie Honey – za każdym razem, kiedy ona lekko skręca, żeby iść śladem Mawy, albo ominąć śmieci na drodze, ściskam udami siodło w obawie, że spadnę. Przynajmniej po wschodzie słońca zrobiło się trochę cieplej. A krajobraz wokół nas jest dziwnie piękny; wszystko lśni w śniegu i topniejącym lodzie.

Pomimo szczerzej wdzięczności za zmianę scenerii, nie mogę oprzeć się podejrzeniom, że córka Królowej coś przede mną ukrywa.

– Ino... – Urywam. Wypytywanie wychowanicy Królowej ciągle jeszcze wydaje mi się wysoce niewłaściwe, ale brnę dalej. – Dlaczego jedziemy do sierocińca? Jeśli wolno

zapytać?

– Och. – Śmiech Iny brzmi trochę głucho. – Wiesz, tak byłam zaprzątnięta tą mapą, że zapomniałam ci powiedzieć.

Odwraca się lekko w siodle, z taką swobodą, jakby siedziała na szeszlunku w swoim pałacu na wybrzeżu. A jednak mija sporo czasu, zanim udziela mi odpowiedzi, a kiedy w końcu to robi, jej głos jest przeciągły i cichy.

– Chcę wiedzieć, kim byli moi biologiczni rodzice – mówi rzeczowym tonem. – Kocham Królową i jestem jej wdzięczna, ale chcę wiedzieć, kto... kto był przedtem.

Zwraca się ponownie twarzą w stronę kierunku jazdy, więc nie widzę jej miny.

– Myślałam, żeby poprosić Roana, ale on jest taki... taki beztroski. Nie chcę, żeby myślał o czymś smutnym, albo podejrzewał, że nie jestem szczęśliwa. – To doskonale rozumiem, też chciałabym trzymać cały mrok i smutek z dala od Roana. – A gdyby Królowa dowiedziała się...

W myślach kończę zdanie: *byłaby rozczarowana.*

Oskarżyłaby mnie o zdradę.

Ściąłaby mi głowę.

Ciekawe, które z tych zdań jest prawdziwe, ale nie mam odwagi zapytać. Przed oczami staje mi obraz noża Królowej lecącego w stronę Iny.

– A Caro? – pytam.

Ina wzdycha, jakby była zawiedziona.

– Ona wie, że wypuszczam się na samotne przejażdżki, ale nie wie dokąd jeżdżę. Ona również nie zaaprobowałaby tego. Zresztą wyjechała załatwić jedną z tajemniczych spraw Królowej.

– Co to za sprawy? – pytam, zaciekawiona, po czym rumienię się, zawstydzona własnym wścibstwem.

– Nic ważnego – stwierdza Ina z lekceważeniem. – Wiesz, że Królowa ma obsesję na tle Czarodziejki. Lubi odwiedzać starożytne miejsca, pola dawnych bitew, groby i tym podobne, i zawsze zabiera ze sobą Caro.

Uderza mnie pewna myśl.

– Jak Caro wkradła się w łaski Królowej? Czy ona była... – zawieszam głos, ale widzę, jak Ina zaciska palce na wodzach, więc wiem, że zrozumiała, co chciałam powiedzieć.

– Czy była porzucona, jak inne? – kończy Ina miękko.

Moje milczenie jest potwierdzeniem.

Ina znowu odwraca głowę i błyska uśmiechem – choć smutek spowija jej rysy jak dym.

– Ona twierdzi, że nigdy nie interesowała się tym, kim byli jej rodzice i że ja też nie powinnam. Uważa, że to los rzucił ją do pałacu, do Królowej, więc nie obchodzi jej, co było przedtem. Jest niezwykle lojalna, jakby należała do rodziny. Gdyby nie przyszła do Królowej w starszym wieku, to zastanawiałabym się...

W głosie Iny wyczuwam emocje – nie jestem tylko pewna, czy to wątpliwości, poczucie winy, czy zazdrość. Może wszystkie trzy.

Zerka na mnie kątem oka.

– Jestem ci wdzięczna za dyskrecję. Dobrze móc z kimś porozmawiać... – Nagle ściąga wodze i zatrzymuje Mawę. – Ależ jestem głupia. Nie powinnam wspominać o rodzinie tuż po odejściu twojego ojca.

– Wszystko w porządku – zapewniam odruchowo, choć z lekko ściśniętym sercem. To dobry rodzaj bólu, jeśli taki w ogóle istnieje. Kiedy padają te słowa – *rodzice*, *sierota* – czuję się dziwnie, ale to lepsze, niż gdyby kotłowały mi się tuż pod skórą. Trochę się dziwię, że Ina Gold jest taka ufna. Ale dlaczego nie miałyby taka być? Może to właśnie ja, z wewnętrznym krajobrazem skrywanych sekretów i obaw, jestem nienormalna.

Ina mruga oczami, jakby również to wyczuwała.

– To taka ulga móc ci zaufać, Jules. A czuję, że mogę ci ufać. Że mnie rozumiesz. – Uśmiecha się, trochę niepewnie. – Proszę, każ mi przestać, jeśli plotę brednie. Wiem, że to z mojej strony zbyt śmiało...

Potrząsam głową – naprawdę ją rozumiem, a przynajmniej jej uczucia względem rodziców. Całą swoją istotą pragnę przyłgnąć do myśli o tacie. Najlepszym tego świadectwem jest jego list spoczywający w mojej kieszeni na piersi, już prawie rozpadający się od ciągłego rozkładania i składania. Chcę, żeby Ina o tym wiedziała. Chcę, żeby mi ufała.

Ina trąca Mawę piętą, żeby ruszyła naprzód. Honey podąża za nią. Stanowimy z Iną dziwną parę – księżniczka i służąca, jedna osierocona dawno temu, a druga w ostatnim czasie, jedna mająca łaskę Królowej, a druga miłość ojca. Przychodzi mi do głowy, że nie zamieniłabym się z nią, gdybym miała taką możliwość, nie zamieniłabym taty na Królową.

Ta myśl powoduje świeży przypływ żalu, więc rozglądam się dokoła, szukając innego tematu do rozmowy i to szybko, zanim poddam się rozpacz.

– Myślałam, że królewski sierociniec jest usytuowany na wschodnim wybrzeżu, w pobliżu pałacu – mówię. Oczywiście, droga tam zajęłaby całe tygodnie. Ina i ja jesteśmy przygotowane na wyprawę kilkugodzinną.

– To był pierwszy sierociniec – odpowiada Ina. – Do tej pory odwiedziłam już prawie wszystkie. Jest ich tak wiele, Jules, rozsianych po całym królestwie. Rodziny ciągle porzucają dzieci na pałacowym wybrzeżu. Moglibyśmy zapełnić sobą całe miasto.

Potrząsam głową, wyobrażając sobie miasto sierot, dorastających bez wiedzy o swej przeszłości.

– Odwiedziłam każdy, jaki udało mi się znaleźć i przeglądałam ich archiwa – kontynuuje Ina. Słowa płyną z jej ust tak szybko, że staje się dla mnie jasne, iż dużo o tym myślała, wielokrotnie obracała to w głowie. – A prawda jest taka, że nie mam pojęcia, z którego z nich pochodzę. Nie mogę zapytać Jej Królewskiej Wysokości.

– Oczywiście, że nie – mruczę pod nosem. Coś sprawia, że drzę i ciaśniej otulam się

płaszczem.

– Wiem tylko, że Ina to imię, które nadała mi moja rodzona matka. – Robi pauzę. – Ale i tego nie jestem pewna. – Ina nie musi mi mówić, co czuje, wiem to z własnego doświadczenia: bolesna tęsknota za czułym dotykiem ojca, za jego ciepłym, pocieszającym słowem wydarła dziurę w mojej piersi. – Więc jeździłam do wszystkich sierocińców w królestwie. I nie odkryłam niczego.

Ogarnia mnie nagle chorobliwa ciekawość. Czy moi rodzice jeszcze żyją, czy zmarli? Czy zostawili mnie na pałacowym wybrzeżu, żebym została wybrana przez Królową, trafiła do sierocińca, albo umarła wdychając morskie, słone powietrze? Jak to się stało, że tata uznał mnie za własną córkę?

Czy to miało coś wspólnego z przyczyną, dla której dla mnie umarł?

Przejeżdżamy przez polanę; znowu drzę, choć słońce stoi już wysoko na niebie, ale zaraz rozgrzewa mnie list, który noszę na sercu. Tata musiał mnie znaleźć w jednym z sierocińców i dał mi to, czego brakuje nawet Inie Gold, księżniczce Sempery: miłość.

Nasza rozmowa przybrała tak ponury obrót, że reszta drogi upływa nam we względnym milczeniu. Mapa Iny prowadzi nas coraz węższymi i węższymi drózkami, przez równiny i lasy, aż wreszcie w brzozowym gaju trafiamy na ogromną i ozdobną, ale zardzewiałą bramę z kutego żelaza. Słowa na szczycie pokrywa śnieg i lód, ale daje się je odczytać: *Tutaj znajduje się azyl dla dzieci Sempery, aby wszystkie miały dom.* Ta inskrypcja budzi coś, co było głęboko zakopane w moim sercu.

Stoimy przez kilka minut pod bramą i nie wiemy, czy zacząć wołać – bo za nią widzimy tylko jeszcze więcej śniegu i drzew. Zanim któraś z nas zdążyła zsiąść z konia, przy sztachetach ogrodzenia pojawia się dziecko – mała dziewczynka z krótko ostrzyżonymi czarnymi włosami i wielkimi, wielkimi oczami, nie starsza niż sześć, siedem lat. Przygląda się nam poważnie, zaciskając gołe rączki wokół prętów z kutego żelaza. Ma na sobie wytarty płaszczyk i za duże spodnie, nieodpowiednie na taki chłód.

– Jesteś wróżką? – pyta dziecko.

Ina otwiera usta, ale waha się i zerka na mnie. Wygląda na to, że opuściła ją zwykła pewność siebie; wydaje się niespokojna i zdezorientowana, jej wargi są spierzchnięte od ciągłego przygryzania. Poza tamtą krótką chwilą pod apartamentem Królowej nie widziałam jej zdenerwowanej – nawet wtedy, kiedy wjeżdżała do Everless u boku Królowej. A teraz jest zdenerwowana. Więc zeskakuję z siodła i ciężko ląduję na ziemi.

Mała dziewczynka nie porusza się, kiedy do niej podchodzę. Przy bramie przykucam, żeby moja twarz znalazła się na poziomie oczu dziecka i staram się naśladować ton, jakim mówi do mnie Lora, albo tata, kiedy byłam mała.

– Wróżek tak naprawdę nie ma, kochanie. – Staram się, żeby mój głos brzmiał jasno i pogodnie, choć nie mogę się oprzeć wrażeniu, że dziecku musi być strasznie zimno, kiedy tak oplata palcami metalową bramę.

Dziewczynka kiwa głową i patrzy na coś za moimi plecami. Uświadamiam sobie, że nie interesuję ją ja, ani Ina, tylko na konie. Oglądam się przez ramię i spoglądam na nie jej oczami, na lśniącej sierści i jedwabistą grzywę Mawy, na dumne wygięcie szyi Honey.

– Możesz je pogłaskać – zwracam się do dziecka. – Podejź.

Zerka na mnie i jej twarzyczka rozjaśnia się w leciutkim uśmiechu. Łapie metalowe pręty i cofa się, ciągnąc bramę za sobą. Daję znak Inie – niepewnie mruga powiekami, a potem zsiada z konia, bierze wodze obu wierzchowców i wprowadza je przez bramę. Dziewczynka unosi rękę, żeby pogłaskać bok przechodzącej Mawy, całkowicie zauroczona.

Pomiędzy drzewami przed nami pojawiają się zarysy budynku – ogromnej rudery, która wygląda tak, jakby ktoś próbował naśladować Everless, nie mając ani krwawego żelaza, ani zapobiegliwości Gerlingów. Dwa skrzydła z czarnego kamienia obejmują ogromny, pusty dziedziniec, po którym dziesiątki dziewczynek i chłopców ganiają się i bawią się w śniegu. Żadne z dzieci nie ma więcej niż dziesięć lat. Ich krzyki i piski odbijają się echem wśród drzew.

Ina kładzie rękę na moim ramieniu. Wstrzymuje się, patrzy na budynek z lękiem.

– Czy... czy możesz wejść tam za mnie? – pyta – Muszę się przejść.

– Nie chcesz się sama przekonać? – Mrugam, zaskoczona.

– Jesteśmy prawie w tym samym wieku... – Ina unika mojego wzroku, patrzy na dzieci, które gapią się teraz na konie. – Zapytaj, czy możemy przejrzeć akta z miesiąca poprzedzającego dzień, w którym Królowa mnie znalazła. To chyba powinno wystarczyć. Ale powiedz, że chodzi o ciebie – że pytasz o siebie. – Mówi coraz szybciej i szybciej, nerwowo. Podaje mi datę swoich urodzin, jaką zapamiętała Królowa – szóstego marca – odnotowuję z zaskoczeniem, że Ina jest tylko o kilka dni starsza ode mnie, bo ja przyszedłam na świat jedenastego.

W nagłym przebłysku pojmuję, dlaczego Ina chce, żebym udawała, iż szukam informacji o sobie – ponieważ nikt nie powinien wiedzieć o jej bytności w sierocińcu i próbach dowiedzenia się, jak wyglądało jej życie przed Królową. Serce mi się ściska, z rozczarowania i bólu. Nadal jestem tylko narzędziem, rękawiczką, którą możni tego świata ściągają albo używają w razie potrzeby – nawet Ina Gold, dziewczyna, która zaledwie godzinę temu zapewniała, że mi ufa, że rozumiemy się nawzajem.

– Oczywiście – odpowiadam.

Ina idzie poszukać stajni dla koni, a ja wchodzę do środka. Z bliska widać, w jak pożałowania godnym stanie znajduje się budynek sierocińca. Niektóre cegły w murze są obłuzowane, a deski podłogi wypaczone. Na palenisku płonie niewielki ogień. Niski, łysiejący starszy mężczyzna siedzi przy biurku na drugim końcu pomieszczenia i pisze coś w księdze. Kiedy drzwi zamykają się za mną, podnosi wzrok, zaskoczony moim widokiem.

– Dzień dobry – mówi skrzekliwym głosem. – W czym mogę pomóc, panienko?

– Dzień dobry. – Chrząkam, żeby oczyścić gardło i recytuję to, co Ina kazała mi

powiedzieć: że jestem sierotą pracującą w miasteczku Laista i chciałabym przejrzeć akta, aby odnaleźć ślady swoich narodzin z zimy siedemnaście lat temu.

Urzędnik słucha uważnie, po czym wstaje z krzesła – słyszę, jak trzeszczą jego kości – i podchodzi do półki biegnącej wzdłuż ściany, na której stoją ogromne, stare księgi w różnym stadium rozpadu. Wodzi po nich palcem, posługując się logiką, której ja nie potrafię zrozumieć i w końcu wyciąga jedną z najwyższej półki. Kładzie ją na biurku z głośnym hukiem, w powietrze wzbija się chmura kurzu, która wywołuje u mnie atak kaszlu.

Kiedy urzędnik otwiera księgę, przysuwam się bliżej, żeby móc czytać ponad jego ramieniem. Każda z wielkich, pożółkłych kart jest wypełniona rzędami imion i liczb. Imię dziecka i jego lub jej data urodzenia, jeżeli jest znana; dzień i stan, w jakim dziecko zostało przyjęte do sierocińca; nazwisko rodziców adopcyjnych, jeśli tacy byli. Ostatnia kolumna jest zapisana tylko w jednej trzeciej w stosunku do dwóch poprzednich. Ale potem docieram do sekcji, w której wszystkie informacje są pomieszczone. Pojawiają się numery zamiast imion i wiele pustych miejsc.

Mężczyzna zauważa zmieszanie na mojej twarzy.

– Kobieta, która kierowała tym sierocińcem przede mną, fatalnie prowadziła księgi – wyjaśnia. – Kilkadziesiąt lat temu, doszło do kilku paskudnych wypadków, ludzie adoptowali dzieci tylko po to, żeby kraść im czas. Królowa wywieszała ich wszystkich, a pracowników sierocińca odpowiedzialnych za ten bałagan zwolniła. Aby utrzymać porządek. – Mężczyzna śmieje się, ale w tym śmiechu trudno się doszukać wesołości. – Dla własnego bezpieczeństwa prowadzimy akta bardzo porządnie. No, ale... – Marszczy czoło i przygląda się uważniej. – ...To był rok tamtych wielkich wstrząsów.

– Wstrząsów? – powtarzam. – Trzęsień ziemi? – Nie odczuliśmy ich w Crofton, ale opowieści o nich nie dawały mi zasnąć – w jednym z miast w pobliżu pałacu ziemia się rozstała i pochłonęła budynki wraz z mieszkającymi w nich ludźmi.

Pracownik sierocińca unosi brwi.

– Nie, wstrząsów czasu. – Przypominam sobie niejasno, że mój ojciec odnosił się z lekceważeniem do opowieści o wstrząsach czasu. – Tej zimy, o którą panienka pyta, odnotowaliśmy wszelkiego rodzaju zakłócenia. Chwile, gdy czas stawał w miejscu i dni, które wydawały się zbyt długie. Kiedyś wszyscy równocześnie straciliśmy godzinę. Ludzie poszaleli. Na całym wybrzeżu wybuchła panika, dochodziło do grabieży, no, a potem wydarzyła się ta cała sprawa z Briarsmoor. – Mężczyzna przygryza policzek od środka i wpatruje się w coś ponad moim ramieniem.

Zaczynam odnosić wrażenie, że tata nie powiedział mi nic o świecie.

– Co to jest Briarsmoor?

– Czego was dzisiaj uczą? – W głosie urzędnika pobrzmiwa szyderstwo, ale nie skierowane przeciwko mnie. – To miasto, Briarsmoor, kilka mil na północ stąd. Ma

w stosunku do nas dwunastogodzinne opóźnienie – gdybyśmy siedzieli tam teraz, byłaby ciemna noc. Tamtej zimy czas zatrzymał się tam na pół doby. Ludzie zaczęli gadać, że wszystkie dzieci, które przyszły tam na świat, są przeklęte.

Opiera podbródek na rękę, przechyla głowę na bok i patrzy na mnie, czekając na moją reakcję, ale mój umysł jeszcze boryka się z przyswojeniem tego, co powiedział. Nie ma nic niezwykłego w zawirowaniach czasu, w tym, że niekiedy zwalnia, kiedy indziej przyspiesza, a czasem zatrzymuje się na chwilę, wiatr i słońce nieruchomieją, ale nasze życie toczy się dalej, bez względu na to, że wypadliśmy z nurtu czasu. Ale potem zawsze wszystko się prostuje. To nie do uwierzenia, że czas mógł gdzieś urwać połowę doby – a jeszcze bardziej niewiarygodne jest to, że to zjawisko mogło utrzymywać się tak długo.

– Królowa wydała nakaz obowiązkowej ewakuacji wszystkich mieszkańców – kontynuuje mężczyzna. – Ale zło już się stało.

W pół godziny później, po trzykrotnym przewertowaniu księgi od początku do końca i od końca do początku, nie znalazłam żadnego śladu małej Iny, ani siebie. Ale rzeczywiście w księdze brakowało jednego tygodnia. Czy to możliwe, żebyśmy zostały podzucone właśnie w tym tygodniu poza czasem?

Briarsmoor. Ta nazwa wydaje mi się znajoma – ale jak to możliwe, skoro tata nigdy o nim nie wspomniał?

– Jules? – wyrывa mnie z zamyślenia dobiegający z zewnątrz głos Iny. Dziękuję mężczyźnie za pomoc i odkładam bezużyteczną księgę na półkę. A potem śpieszę poszukać córki Królowej.

Zaczął padać śnieg i kaptur Iny pokrył się białym puchem. Na mój widok na jej twarzy odmalowuje się zawód.

– Nic? Żadnych zapisków?

– Żadnych imion – mówię. – Ale...

Nie zdążyłam powiedzieć jej o *Briarsmoor*, bo Ina wydaje westchnienie i odwraca się ode mnie.

– Te zakłady i ich dziadowskie akta – mruży pod nosem. Jej sylwetka zdradza oburzenie. Choć nie znam jej zbyt dobrze, przysięgłabym, że jest na granicy łez. – Sprawdziłam praktycznie wszystkie sierocińce w królestwie.

Chcę powiedzieć jej coś na pocieszenie, ale ona już odchodzi, kieruje się w stronę na wpół rozwalonych stajni sierocińca. Tłumek dzieciaków podziwia nasze konie z szeroko otwartymi oczami, ale kiedy wchodzimy, malcy umykają tylnym wejściem, zanim któraś z nas zdążyła się odezwać.

Podczas siodłania koni przychodzi mi do głowy pewna myśl.

– Urzędnik wspomniał o czymś... – zaczynam i Ina gwałtownie podnosi wzrok. – Powiedział, że na północ stąd jest pewne miasto...

– Wiem – przerywa Ina. – *Briarsmoor*. – Krzywi się, jakby zjadła zepsuty owoc.

– Byłaś tam?

– Nie, ale znam je – mówi Ina tonem kończącym dyskusję. – Nic tam nie ma. To ruiny.

Upadam na duchu, ale...

– To niemożliwe, żeby nie było tam *niczego*. Może nie być ludzi, ale księgi? Dokumenty?

– Nie mogę jechać do Briarsmoor. Królowa mi zabroniła. – Jej głos jest twardy jak skała, zastanawiam się, czy nie stoi za tym jakiś dawny konflikt, zbyt bolesny, by mi go ujawnić. – Twierdzi, że to miasto przeklęte.

– Może... – zaczynam, ale Ina już siedzi w swoim siodle. Spogląda na mnie, potem na drogę prowadzącą na północ i sztywnieje. I nagle coś się z nią dzieje. Jej ramiona opadają i nie wygląda już jak księżniczka, tylko jak smutna dziewczyna, jaką mogłabym spotkać w Crofton.

– A co miałybyśmy tam robić, nawet gdyby Królowa nie dowiedziała się o tym? – mówi nietypowo dla niej szorstkim tonem. – Nie. Mam już dość ślepych uliczek i dziwnych miast.

Słowa protestu cisną mi się na usta, ale przełykam je i gramolę się na swojego wierzchowca. Kwestionowanie jej decyzji to nie moja sprawa.

Wracamy do Everless w milczeniu – Ina w ponurym nastroju, a ja jeszcze poruszona słowami pracownika sierocińca. Briarsmoor. Jak to możliwe – i jak tata mógł nie wspomnieć tej nazwy i dziwnego miasta, które wypadło z nurtu czasu?

Najwyraźniej lista tego, co tata przede mną ukrył, nie ma końca. Nawet jego śmierć pozostaje tajemnicą.

Kolejna myśl uderza mnie z brutalną siłą: może ja również jestem zagadką – tajemnicą – którą należy odkryć.

Ta myśl opanowuje mnie, zapada w głąb mojej duszy i wiem już, że kiedy tylko będę mogła, znajdę drogę do miasta poza czasem.

Z sakiewką godzin Gerlingów u pasa, myślę.

Jeśli w przesądach, o których wspomniał urzędnik, kryje się ziarno prawdy – że dzieci z Briarsmoor są przeklęte – to z pewnością Ina, najbardziej błogosławione dziecko królestwa, nie mogła przyjść tam na świat.

Co nie oznacza, że ja nie mogłam.

Czas zawsze zachowywał się wobec mnie dziwnie, w niektórych chwilach zatrzymywał się, by później doganiać uciekający świat. Może Briarsmoor przyłgnęło do mnie na te wszystkie lata.

I z pewnością czuję się przeklęta. Waga tego wszystkiego co straciłam ciąży mi w piersi jak sterta kamieni. Matka i tata to najcięższe z nich, ale są również tysiące drobniejszych strat, tysiące rzeczy, które zostały mi odebrane – nasz malutki ogródek w Crofton, pocieszające objęcia Ammy... a jeszcze przedtem cudowne ciepło pracowni kowala, dziecięcy uśmiech Roana. Ściągam wodze Honey i pozostaję w tyle, żeby Ina nie widziała łez spływających po mojej twarzy.

Kiedy słońce zaczyna chylić się ku zachodowi, zbliżamy się do Everless. Zamek rysuje się przed nami jak kolczasta, ciemna sylwetka na tle pomarańczowego nieba. Ina zatrzymuje się na pustej drodze, ja stoję obok niej. Spoglądam na moją towarzyszkę, żeby sprawdzić, czy stało się coś złego, ale ona tylko patrzy przed siebie, na tymczasowy dom nas obu, a na jej pięknej twarzy maluje się mieszanina podziwu i żalu.

– Może i lepiej, że nie wiem – mówi, na poły do siebie. Podjeżdżam bliżej, żeby słyszeć jej słowa. – Przecież już tylko niespełna trzy tygodnie zostały do ślubu, na litość Czarodziejki. Może to znak, że nie powinnam uganiać się po całym królestwie w poszukiwaniu odpowiedzi, które prawdopodobnie w ogóle nie istnieją... To znaczy, przecież mam wszystko, czego potrzebuję.

Spogląda na mnie, taka bezbronna. I choć nie pojmuję, dlaczego Ina Gold, córka Królowej, szuka pocieszenia u służącej, to najwyraźniej tak jest. Ta potrzeba maluje się wyraźnie na jej twarzy.

Ogarnia mnie lekka irytacja. Dlaczego Ina miałaby potrzebować mojej pociechy, skoro może mieć wszystko, o czym tylko zamarzy, na pierwsze skinienie, skoro pewnego dnia zasiądzie na tronie?

Ale jej oczy przypominają oczy sarny, które widywałam, przetrząsając samotnie lasy wokół Crofton. Przetrwanie moje i taty zależało od tego, na ile bezlitosnym będę myśliwym. A jednak jeśli sarna spojrzała mi prosto w oczy, nie mogłam się zmusić do strzału.

Ujmuję okrytą rękawiczką dłoń Iny w swoją. Pomimo wszystko chcę jej pomóc. Wiem, jak to jest być zagubionym.

– Mój ojciec wychowywał mnie jak rodzoną córkę, ale potem wyznał, że nią nie byłam, Ino – wyznaję. A ona ściska moją rękę tak mocno, że aż się krzywię. – Wiem, jak to jest nie wiedzieć. Ale... – urywam i czekam, aż prawda dojrzeje we mnie. – ...czuję się bardziej samotna przez to, że nie powiedział mi prawdy. Bał się, jak sądzę, że nie będę go kochała jak ojca. Bardzo się mylił.

Królewska córka wypuszcza moje dłonie i zakrywa twarz rękami. I w wydłużającym się cieniu zamku zaczyna płakać. Ten szloch wstrząsa mną – powiedziałam nie to, co trzeba, pozwoliłam, by kierował mną mój własny smutek.

– Wszyscy w Everless cię kochają – zapewniam. Ina pochyla się i kładzie mi głowę na ramieniu. – Przed twoim przyjazdem nikt nie mówił o niczym innym, tylko o Inie Gold – jaka jest piękna i dobra, i ile szczęścia ma Roan, że będzie należała do niego. – Gdy wypowiadam imię Roana, góra kamieni na moim sercu staje się cięższa, ale brnę dalej. – A to tylko początek. Wszyscy widzą, jak bardzo Królowa cię kocha. I Caro cię kocha. A Roan – robię pauzę – cię uwielbia.

Uśmiech, słaby, ale szczerzy przedziera się na twarz Iny.

– Dziękuję, Jules. – Znowu spogląda na Everless. – Wychodzę za mąż za Roana Gerlinga. Z pewnością żadna dziewczyna nie miała nigdy aż takich powodów do wdzięczności.

Nagle nawiedza mnie wspomnienie sprzed kilku dni – gdy wpadłam się na Roana w wąskim korytarzu, był zaczerwieniony i pachniał perfumami. *Lawendą, a nie wodą różaną*. To nie moja sprawa, nie powinnam, ale...

– Kochasz go? – pytam.

Po twarzy Iny przemyka wyraz zaskoczenia. Patrzy na mnie, na Everless i znowu na mnie.

– Tak – odpowiada. – Ponad wszystko.

Ina rusza naprzód, do Everless, do Roana, do swej przyszłości. Mój koń ciężko rusza jej śladem – jak żywy, oddychający cień jej wierzchowca. Zamykam oczy, żeby tego nie widzieć. *Mam eskortę, chyba że uważasz tę dziewczynę za ducha*, powiedziała rano. W tej chwili czuję się tak, jakbym była duchem.

Zostawiamy Honey i Mawę w stajni, pod opieką Tama, po czym ruszamy do wschodniego wejścia.

– Wcale nie jestem nieszczęśliwa, Jules, musisz o tym wiedzieć – szepcze z naciskiem Ina w zapadającym zmroku.

– Wiem – odpowiadam. – Rozumiem. – Można odczuwać radość i smutek równocześnie. Można spoglądać w przyszłość, żałując jednocześnie tego, co zostało stracone.

Uświadamiam sobie, że Ina zatrzymała się. Odwracam się – wyłamuje palce. Jest w jej twarzy coś, co pragnie się wyrwać.

– Ino... co się dzieje?

– Musisz obiecać, że nikomu nie powiesz – mówi. – Ani Caro, ani nikomu ze służby.

– Obiecuję – przysięgam z mocno bijącym sercem.

– Był pewien mężczyzna – zaczyna Ina cicho. – Kilka lat temu, latem, w czasie żniw w prowincji Elsen, kiedy Królowa przemawiała do tłumu. Stałam wśród ludzi, żeby również móc ją obserwować. – Przełknęła ślinę. – Mężczyzna podszedł do mnie i wziął mnie za rękę. Oczywiście zawołałam strażnika, jak mnie uczono. Mężczyzna uciekł, ale przedtem powiedział mi... – Ina milknie i rozgląda się dookoła.

– Co? Powiedz – mówię bez zastanowienia i natychmiast uświadamiam sobie, zaszokowana, że próbuję wydawać jej polecenia. Usta Iny drgnęły.

– *Królowa zamierza cię skrzywdzić. Zabije cię*. – Po wypowiedzeniu tych słów Ina wygląda tak, jakby połknęła truciznę. Słyszę jej przyspieszony oddech. – W kółko o tym myślę. Podszedł do mnie, ryzykując własnym życiem. Dlaczego to zrobił? Nie wyglądał na kogoś, kto chce mnie skrzywdzić.

– Mówił jak wariat – odzywam się szeptem. Ale jego słowa wydają się mniej szalone po tym, jak widziałam nóż Królowej lecący w stronę piersi Iny. Przez głowę przemykają mi znowu słowa lady Sidy. Ona również jest szalona, a jednak...

Ina kiwa głową.

– Musiało tak być. To właśnie powiedziałam sobie, kiedy zrobiło mi się niedobrze od ciągłego roztrząsania jego słów. Przez moment myślałam, że to mógł być... – Ina zaciska wargi w wąską linię. – Mój ojciec. Że Królowa zabrała mnie rodzicom, jak wróżka, która wykrada nocą dziecko z kołyski. – Śmieje się. Ale w jej śmiechu jest wyczuwalna nutka goryczy. – To niemożliwe, wiem. Nie mów nikomu, Jules, proszę. To by mnie zniszczyło.

– Oczywiście – mruczę i nie dodaję już ani słowa, Ina również milknie. Ale wiem, że po głowach tłucze się nam obu ta sama myśl.

A jeśli to prawda?

Królowa wraca do Everless następnego dnia przed świtem. To, że woli podróżować nocą to przesłanie, opakowane w brązowy papier, bardzo wymowne.

Kiedy wracam do kobiecego dormitorium po oglądaniu wjazdu jej karety do Everless, znajduję na swoim zaścielonym łóżku aksamitną torebkę. Kolejny prezent – co oznacza jeszcze więcej plotek na mój temat. Obok karteczka wypisana ładnym charakterem pisma Iny: *Dziękuję za dyskrecję, Jules.*

Siadam i sięgam po woreczek. Waga krwawego żelaza jest jak cios w brzuch. Woreczek wypada mi z ręki, monety miesięczne wysypują się na kołdrę i na mnie, kobiety odwracają się i patrzą, ich spojrzenia, dotychczas celowo odwrócone, przyciąga blask złota.

Zbieram w jednej chwili pieniądze, choć robi mi się niedobrze i widzę, że dziewczęta odwracają się szybko. Podejrzewają, niesłusznie, że ten pośpiech wynika z obawy, iż któraś z nich mogłaby odebrać mi te monety. Ale to nie z tego powodu ogarnia mnie przyprawiający o mdłości smutek.

Wczorajsze poczucie bliskości z Iną, jej dobroć, dzielenie się tajemnicami, to wszystko pękło jak bańka mydlana. Myślałam, że Ina to... no, nie moja przyjaciółka, to byłoby głupie, ale ktoś ważny. Że nie jestem dla niej tylko służącą, której się płaci. Wewnątrz tej sakiewki znajduje się co najmniej kilka lat. Policzki płoną mi z upokorzenia. Ale kiedy wpycham z furją pieniądze pod poduszkę, cichy głos w mojej głowie informuje mnie szyderczo, że to nie na słodką, niczego nieświadomą Inę powinnam się złościć. A na siebie – za to, że zapomniałam, kim obie jesteśmy, za to, że ośmieliłam się sądzić, iż mogłabym mieć jakiegokolwiek znaczenie dla przyszłej królowej Sempery.

Do panującego w mojej duszy chaosu dołącza się wstyd. Nie jestem bliższa odkrycia tajemnicy śmierci mojego ojca – jego morderstwa, jak zaczynam o tym myśleć, bo czas wysączony z jego krwi zabił go jak nóż wbity w serce. Czy straciłam z oczu swój cel, czy zawróciły mi w głowie piękne suknie Iny, przyjacielskie pogaduszki Caro, uśmiechy Roana, z pozoru przeznaczone tylko dla mnie, i zapomniałam o obietnicy, jaką złożyłam sobie nad jeziorem po śmierci taty?

Nie zostałam tutaj, w Everless, żeby zaprzyjaźnić się z Iną Gold. Jeżeli mam służyć Gerlingom, to chcę, żeby śmierć taty miała znaczenie. Pragnienie wiedzy zapłonęło we mnie silniejszym płomieniem niż kiedykolwiek.

Muszę się z nią zobaczyć. Z Królową.

Przez kilka następnych dni wynajduję preteksty, żeby się do niej zbliżyć, szukam drobnych zadań, które pozwoliłyby mi wejść na długi korytarz prowadzący do pokojów władczyni w nadziei, że uda mi się rzucić okiem na Jej Wysokość. Mówię Caro, że dostarczę każdą wiadomość, której Królowa potrzebuje. Zanoszę jej garderobę, naręcza jedwabiu i aksamitu, do i z pralni. Robię herbatę rano i wieczorem, po czym zostawiam zastawę przy jej drzwiach pod baczny spojrzeniem stojących tam strażników.

Pewnego dnia, kiedy o zachodzie słońca przynoszę jej wieczorną herbatę, nie zastaję przy wejściu strażników. Pukam i stawiam tacę pod samymi drzwiami. Ale zwlekam z odejściem nieco dłużej niż powinnam, stoję na pustym korytarzu tak długo, że herbata przestaje być gorąca i czekam na pojawienie się Królowej. Już mam się poddać i wrócić do dormitorium, kiedy drzwi się otwierają.

Dopiero po dłuższej chwili, uświadamiam sobie, że kobieta, która wychodzi na korytarz, to naprawdę królowa Sempery. Przypomina teraz jedną z pijaczek, które wytaczają się chwiejnym krokiem z najgorszych spelunek Crofton we wczesnych godzinach rannych. Jej ogniste włosy są potargane i skołtunione, a ubranie wygląda tak, jakby ubierała się po ciemku – guziki sukni są pozapinane tylko w dwóch trzecich i odsłaniają skrawki białej skóry na piersi. W kącikach jej ust widnieją czerwone plamy, to może być szminka albo krew.

Królowa robi chwiejny krok naprzód, a ja cofam się tak gwałtownie, że o mało nie upadam. Ale nie udaje mi się uciec, bo uderzam barkami o czyjaś pierś; małe, ale silne dłonie zaciskają się na moich przedramionach i podtrzymują mnie. Otwieram usta do krzyku, ale w tym momencie Caro odwraca mnie twarzą do siebie.

– Ciii, Jules – mruczy, jej oczy wydają się ogromne w mroku panującym w korytarzu. – Wszystko w porządku.

Odsuwa mnie na bok jak małe dziecko i idzie w stronę Królowej. Patrząc, zdezorientowana, jak Caro kładzie gołe dłonie na sercu Królowej. Nasze niedotykalna władczyni zamyka oczy i poddaje się dotykowi Caro, jakby czerpała z niego siłę. W chwilę później odwraca się i bez słowa znika w swoim pokoju. *Nie połóżysz na niej ręki, nawet aby jej usłużyć*, przypominam sobie, ale to zalecenie zdaje się nie dotyczyć Caro. W słabym oświetleniu, stojąc jedna przy drugiej, wyglądają niemal jak matka i córka, mają takie same oczy i taką samą sylwetkę.

Caro odwraca się do mnie i ciężko wzdycha.

– Przykro mi, że musiałaś to oglądać, Jules – mówi. – Czasami Jej Królewska Mość bierze na siebie zbyt wiele obowiązków i nie odpoczywa tyle, ile powinna. Miewa nocne koszmary.

Widywałam nocne koszmary, myślę, własne i innych, ale nikt nigdy nie wyglądał tak jak Królowa: jak człowiek wyciągnięty z grobu. Ale strach nadal ściska mnie za gardło, więc

tylko kiwam głową. Caro otacza mnie ramieniem i wraca ciepło. Zastanawiam się, czy to samo odczuwała przed chwilą Królowa.

– Niech to pozostanie między nami, Jules – prosi cicho Caro. Kolejny sekret. – Jeśli rozejdzie się wieść o jej słabości...

– Oczywiście – zapewniam pośpiesznie, odzyskując głos. – Służę Królowej.

Caro przysuwa się bliżej.

– Jules, musisz coś zrozumieć. Znasz Królową, widziałaś ją... – Urywa i patrzy na mnie, jakby chciała się upewnić, czy słucham. – Królowa wkrótce umrze. Krwawe żelazo nie może jej uratować. Już nic nie da się zrobić. Niedługo Ina wyjdzie za mąż i Sempera będzie miała nową władczynię.

W mojej głowie rodzi się pytanie: Czy dowiem się kiedykolwiek, jakie znaczenie miała śmierć mojego ojca? Rozglądam się za czymś, co mogłabym zrobić – za czymkolwiek – schyliłam się i podnoszę z podłogi filiżankę herbaty, którą przyniosłam dla Królowej. Filiżanka dzwięczy w zderzeniu ze spodkiem. Caro delikatnie wyjmuję mi ją z rąk.

– Teraz Królowa odpoczywa, więc czemu nie miałybyśmy zrobić czegoś dla siebie? – odzywa się Caro łagodnie. Wytrzeszczam na nią oczy. – Wkrótce Ina nie będzie miała ani jednej wolnej chwili w związku z przygotowaniem do ślubu. Chciała zabawić się ostatni raz, zanim... – Caro marszczy brwi. Choć mówi sztucznie lekkim tonem, to jej rewelacja rychłej śmierci Królowej nadal wisi w powietrzu. – Zanim stanie się kobietą zamężną.

Zabawa i ślub są w tym momencie równie odległe od moich myśli jak księżyc. Ale daję się ciągnąć Caro, bo nie wiem, co innego mogłabym zrobić.

– Właśnie byłam w stajni – mówi znizonym, podnieconym głosem Caro, śpiesznie idąc korytarzem. – Zamówiłam karetę, która zawiezie nas do Laisty, do tawerny, którą znam. Zrobimy sobie przyjęcie, tylko my trzy.

Puszyste dywany tłumią nasze kroki na korytarzu prowadzącym do pokoi Iny. Pukamy, Ina otwiera natychmiast. Przez chwilę nie mogę jej poznać: włosy upięła do góry spinkami i kwiatami. Jej suknia to połączenie tiulu i koronek, z dekoltem tak głębokim, że przyprawia mnie o rumieniec.

– Jak miło, że do nas dołączyłaś, Jules – śmieje się, kiedy Caro wpycha mnie do pokoju. – Napijesz się? – Trzyma za szyjkę zieloną szklaną butelkę z jakimś musującym płynem i podsuwa mi ją.

Wyraz mojej twarzy najwyraźniej starcza za odpowiedź, bo Caro opiekuńczo obejmuje mnie w pasie ramieniem.

– Ino, daj biednej dziewczynie trochę czasu, żeby mogła ochłonąć – szepcze i odwraca mnie w stronę masywnej, otwartej szafy pełnej jedwabów i aksamitów we wszystkich kolorach tęczy. – Najpierw poszukamy dla niej czegoś do włożenia.

– Och... – Mój słaby protest cichnie, kiedy Ina wkracza do akcji i wyjmuję z szafy jedną suknię za drugą. W końcu trzyma ich przed sobą całe naręcze.

Daje mi znak, żebym podeszła za nią do łóżka i rzuca na nie suknie, wyraźnie podekscytowana – wszystkie są w żywych kolorach, skąpe, frywolne. Ina już trzyma w rękach niepokojąco leciutką kreację z niebieskiego jedwabiu. Przykłada ją do mnie, a ja nie mogę uwierzyć, że to zwiewne coś to sukienka, nie mówiąc już o tym, że mogłabym wyjść w niej z zamku przy tak chłodnej pogodzie.

Ale Ina stoi z ręką opartą na biodrze, Caro nieco z tyłu za nią, z głową przechyloną na bok i psotnymi iskierkami w oczach. Nie mam wyboru, sięgam na kark, żeby rozpiąć sukienkę. Pamiętam, jak któregoś dnia Ina tańczyła walca w samej bieliźnie, przymierzając suknie ślubne. Ale ja nigdy nie dorównam jej naturalnej urodzie. Stojąc przed nimi czuję się niezgrabna i skrupowana, same łokcie, kolana i kanciaste formy – ciało ukształtowane głodem.

Caro przesuwają po mnie spojrzeniem i lekko marszczy czoło, ale nic nie mówi. Natomiast Ina, nieświadoma niczego, potrząsa suknią, patrząc na mnie. Podnoszę ramiona i pozwalam, by włożyła mi suknię przez głowę, a Caro podchodzi z tyłu i sznurkuje ją na plecach.

Ina ciągnie mnie do toaletki. Na jej lśniącej powierzchni są rozrzucone w nieładzie farbki, węgielki i fiolki wypełnione czymś, czego nie potrafię nazwać, otwarte i pyszniące się bogatymi brązami, czerniami i czerwieniami dla Iny oraz koralami, różami i beżami dla Caro. Ich pudrowy zapach unosi się w powietrzu. Ina sięga po puszek do pudru, a Caro po drewnianą szczotkę. Zamykam oczy i pozwalam im pracować.

Kiedy wreszcie spoglądam na swoje odbicie, na mojej twarzy w lustrze maluje się zdumienie. Nadal jestem do siebie podobna, ale nie mam już cieni pod oczami. Moje zapadnięte dotąd policzki są pełne i promienne. W brązowych oczach, podkreślonych teraz węgielkiem, pojawiły się bursztynowe nitki, których nigdy przedtem nie widziałam, a Caro upięła moje włosy w zwodniczo prosty węzeł na karku.

Bezbarwna skóra i zmęczone oczy zniknęły. To mnie nieco podnosi na duchu.

– Ino – mówię. – Jesteś czarodziejką.

Ona śmieje się i ściska moje ramiona.

Kiedy one nadają ostatni szlif swoim twarzom, ja ulegam ciekawości i poddaję się – to kolejny drobny przejaw buntu przeciwko Liamowi Gerlingowi, który obstaje przy tym, bym trzymała się własnej drogi, pozycji służącej. Pociągam łyk z zielonej buteleczki stojącej na nocnym stoliku Iny. Płyn ma smak owocowo-miodowy i musuje na języku. Kiedy Ina i Caro są gotowe do wyjścia, ja czuję już wewnętrzne ciepło, chcę się uśmiechać do każdej mijanej osoby, a ponure myśli są już tylko odległym wspomnieniem.

Ze śmiechem kierujemy się do stajni. Niejasno rejestruję, jakie to dziwne – wykradam się z Everless w towarzystwie księżniczki i jej podręcznej. Gdy spoglądam na klejnoty zdobiące szyję Iny, na moment staje mi przed oczami twarz Addie, ale ten obraz szybko znika.

Wchodzimy do stajni, z lewej strony dobiega chrząknięcie. Rozglądamy się – jest, prosta, ale elegancka czarna kareta z nieznanym mi stangretem na koźle. Ina odwraca się

z zachwytem w stronę Caro, która uśmiecha się tajemniczo. Lekki, smukły powóz kojarzy mi się z sierpem księżyca.

– Ino... – wołam. – Miejmy nadzieję, że ta wyprawa okaże się większym sukcesem niż...

– Zamierzam jej przypomnieć nasz wyjazd do sierocińca, oczywiście. Ale Ina odwraca się szybko do mnie z szeroko otwartymi oczami i lekko potrząsa głową. Przełykam słowa cisnące mi się na usta. Caro przechyla głowę na bok. Przypominam sobie, jak bardzo Ina strzeże swej tajemnicy, jak starannie ukrywa ciekawość, nawet lokaj nie może tego usłyszeć.

Wszystko jest łatwiejsze dzięki zdolnościom organizacyjnym Caro. Lokaj, młody mężczyzna mniej więcej w wieku Caro, najwyraźniej został wprowadzony we wszystkie szczegóły. Kiedy wsiadamy do karety, uśmiecha się szeroko do Iny.

– Przedślubny niepokój, Wasza Wysokość? – żartuje.

Ina odpowiada uśmiechem i grozi mu palcem, udając gniew.

– Przez całe życie będę zamknięta w sztywnym pałacu. – Lokaj lekko kiwa głową, jakby obawiał się ściągnąć na siebie gniew Gerlingów z powodu stwierdzenia, które tak gładko spłynęło z ust Iny. Caro obserwuje ją z czymś w rodzaju tęsknoty na twarzy. Zastanawiam się, czy Ina wie o tym, co ma nastąpić – o śmierci Królowej. – Muszę się trochę zabawić, dopóki jeszcze mogę.

Malutka lampka oliwna oświetla aksamitne siedzenia i wykładane boazerią ściany karety. Ina wygląda przez okno. W słabym oświetleniu widzę w jej oczach nagły smutek. Ogarnia mnie niepokój, który przekłują balonik radosnego uniesienia wywołanego napojem. Caro rozmawia z lokajem, a ja podążam za spojrzeniem Iny, próbując zobaczyć to, co ona widzi – wysokie mury pałacu Sempery, połączany tron, ciasny, klaustrofobiczny gorset formalnych sukni.

Jej przeszłość – jej narodziny – wyglądają zza tego wszystkiego jak cień, który znika natychmiast, gdy pada w jego stronę światło.

Caro opada na kanapę karety obok mnie. Odrzynam wzrok od okna, ale staram się unikać patrzenia jej w oczy, żeby nie zdradzić tego, co przed chwilą zrozumiałam – że to nie ta podchmielona wyprawa o północy, tylko sierociniec i zdradzieckie myśli Iny na temat Królowej mogłyby okazać się skandaliczne, a nawet śmiertelnie niebezpieczne, gdyby jej adopcyjna matka się o tym dowiedziała.

Płyn krążący w moich żyłach chroni przed zimnem, kiedy wyjeżdżamy w noc. Wszystko, co dręczyło mnie, odkąd przybyłam do Everless – strach, przykre poczucie, że tu nie pasuję, a nawet nieustające, desperackie pragnienie sprawiedliwości i odpowiedzi – gdzieś znika. Obserwuję świat przesuwany się za oknem, a Ina gawędzi z Caro, bez śladu smutku na twarzy. Jej kolana ocierają się o moje, kiedy kareta podskakuje na wybojach. Pewnie nauczyła się chwycić rzadkie chwile prywatności, jak dziecko uczy się podkraść smakołyki ze spiżarni.

Wkrótce błyskają przed nami światła Laisty. Wsiadamy z powozu pod nieoznaczonymi

drzwiami z lakierowanego drewna na wąskiej, ale dobrze utrzymanej uliczce. Znajdujemy się w lepszej dzielnicy Laisty, bliższej Everless. Kiedy tata był kowalem Gerlingów, zabierał mnie do Laisty na doroczny letni karnawał, żebym obejrzała dziwne zwierzęta i zjadła miodowe lody w rożku. Nawet po przeprowadzce do Crofton błagałam go, żebyśmy pojechali tam znowu – ale tata odmawiał, mówił, że stamtąd czułby dymy Everless.

Ulice, choć puste, wyglądają tak, jak je zapamiętałam. Konie ciągnące naszą karecię dzwonią kopytami o czyste kamienie brukowe, a rozstawione w równych odstępach latarnie oświetlają ulice. Nawet śnieg na dachach wydaje się czysty. Okrywa stojące w szeregu domy jak koc, nieskazitelny i lśniący. Podczas gdy Caro płaci woźnicy, Ina zwraca moją uwagę na wieńce na drzwiach domów Laisty. Moje spojrzenie zatrzymuje się na zaparowanej szybie – za nią szczupła postać o kędzierzawych włosach owija szmatką uchwyt czajnika...

A potem podnosi rękę i ściera parę z szyby. Wygląda przez okno – zdaje się patrzeć prosto na nas, a potem nagle cofa się. A we mnie rodzi się poczucie, że ją znam.

– Ina, Jules! – Caro już się oddala i daje nam znak, byśmy szły za nią. Kiedy znowu odwracam głowę, po dziewczynie w oknie nie ma już śladu. Ruszam w kierunku wskazanym ręką przez Caro. Wprowadza nas do jednego z najwyższych budynków w miasteczku, a potem idziemy schodami w dół, wąskimi, ale dobrze utrzymanymi.

Tawerna, w której kiedyś pracowałam, była obskurna i beznadziejna, pełna kobiet i mężczyzn o przedwcześnie postarzałych twarzach i zamglonych oczach, którzy spalali swój czas za kolejną szklaneczkę alkoholu, choć pili po to, żeby zapomnieć o tym, jak niewiele czasu już im pozostało. Ale ten lokal to jest zupełnie inny świat – nie tak luksusowy jak Everless, ale wygodny i elegancki. Bogaty. W tym świecie ludzie piją po to, aby się rozweselić, a nie żeby stępić ostrze ciężkiego życia.

Coś się we mnie budzi – coś ostrego, złęgo.

Pomieszczenie jest przestronne i pogrążone w półmroku; marmurowe kontuary lśnią, a na ścianie za nimi prężą się butelki wszelkich kształtów i barw. Nad barem, przy którym kilka osób pije z kryształowych kieliszków, unoszą się kłęby tytoniowego dymu. Przystojny młody mężczyzna szybko prowadzi nas do pustego stolika w najodleglejszym kącie sali. Ciekawe, czy wszyscy są w takich miejscach traktowani z podobną atencją, czy to kolejny dowód organizacyjnej sprawności Caro.

– Poproszę jedną butelkę waszego najlepszego czerwonego wina i jedną madelu – zamawia Caro swoim donośnym szeptem. W przyćmionym świetle wygląda pięknie. Jej jasne oczy lśnią.

W mgnieniu oka pojawiają się dwie butelki: ciemnozielona i czerwona. Kelner stawia przed nami trzy ciężkie, kryształowe szklaneczki.

Biorę łyk madelu, napój musuje i piecze mnie w gardle; ogień przenosi się do mojego brzucha znacznie szybciej niż w komnacie Caro. Dławię się, a Caro śmieje się dźwięcznie, jakby rozdzwoniły się dzwoneczki.

– Pozwól, że ci pokażę. – Nalewa do swojej szklaneczki trochę czerwonego wina, a potem ostrożnie dodaje odrobinę złotego madelu. Wino lekko musuje, po czym uspokaja się. Caro podaje mi szklaneczkę.

Ostrożnie biorę łyk. Wino rozcieńczyło madel, nadając mu dziwny, lekko wędzony smak. Nadal pali przy przełykaniu, ale już nie tak mocno, żeby łyzy napływały do oczu. Caro uśmiecha się, Ina śmieje się głośno, a mnie wypełnia nagle nieoczekiwane poczucie szczęścia. Chwila przeciąga się – śmiech Iny zmienia się w piosenkę, a uśmiech rozlewa się po całej twarzy Caro – zmienia ją w błyszczący, rozszerzający się bąbel. A potem Caro odzywa się i świat wraca na normalne tory.

– Zaczynaj od tego – mówi. – Może jak popracujemy nad tobą, to u schyłku nocy dojrzejesz do czystego madelu. – Pociąga długi łyk ze swojej szklaneczki.

Ina chichocze i rozgląda się po sali z wyrazem czystego szczęścia na twarzy. Podnosi swoją szklaneczkę.

– Wiwat – mówi. – Za trzy dawno osierocone dziewczyny, które wreszcie znalazły swój dom.

Uśmiecham się i unoszę swoją szklaneczkę, ale wyraz twarzy Caro sprawia, że moja ręka nieruchomieje. Przez moment w jej szeroko otwartych oczach jest tylko szok – ale potem twardnieją, przesuwa spojrzeniem ode mnie do Iny niemal ze złością.

– Jules – zaczyna spokojnym głosem, choć jej oczy są pełne napięcia. – Myślałam, że twój ojciec umarł niedawno.

Jej bezpośredniość sprawia, że czuję ukłucie w sercu.

– On... on rzeczywiście odszedł niedawno – jąkam. – Ale kilka tygodni temu dowiedziałam się, że byłam adoptowana. Co nie ma najmniejszego znaczenia – dodaję pośpiesznie. – On mnie wychował.

Ina zauważa w końcu, że coś jest nie tak. Patrzy na mnie przepaszająco.

– Jules może być jednym z dzieci Briarsmoor, Caro. – Te słowa mają pokryć jej zażenowanie z powodu zdradzenia mojej tajemnicy. – Powinnyśmy przekonać Królową, żeby nas tam zabrała. Dla Jules.

– Może – odpowiada Caro głosem dziwnie pozbawionym wyrazu.

Opuszczam oczy, przerażona prośbą Iny i zakłopotana, że Caro może pomyśleć, iż coś przed nią ukryłam. Ale twarz Caro wygładza się niemal natychmiast i powraca na nią miły uśmiech.

Szerokim gestem wskazuje salę.

– Ino, nawet jeśli w następnym roku w pałacu będziesz miała najlepsze trunki, to nie sądzę, żebyś miała taką atmosferę.

– Och, myślę, że towarzystwo Roana wynagrodzi mi wszelkie niedostatki – słyszę odpowiedź Iny. – On nie ma ochoty pozostawać w pobliżu starszego brata ani dnia dłużej, niż to konieczne, a jeśli o mnie chodzi, to aczkolwiek Everless całkiem mi się podoba, to

jednak nie umywa się nawet do Shorehaven.

W następnym roku w pałacu. Kwituję jej słowa nieartykułowanym pomrukiem i intensywnie wpatruję się w zawartość swojej szklaneczki w nadziei, że Ina i Caro nie zauważą wilgoci, która niespodziewanie napłynęła mi do oczu.

Przy całym tym poruszeniu i gorączkowym zamieszaniu w Everess podczas przygotowań do ślubu, ani razu nie przyszło mi do głowy, co będzie później.

Ina opuści Everless. Roan opuści Everless.

Królowa zniknie również, a ja pozostanę, mając za towarzystwo jedynie tajemnicę śmierci ojca. I mroczne spojrzenia Liama.

Mamroczę coś na temat przyniesienia następnej porcji drinków i wstaję od stolika, odwracając twarz od Iny i Caro. Jeszcze kilka chwil wcześniej madel rozgrzewał moją krew i rozluźniał kończyny. Teraz czuję się trochę tak jak nad stertą mawy – otacza mnie lekka mgiełka, twarze i głosy wirują wokół, ale niezrozumiałe, pozbawione sensu. Czuję, że idę trochę chwiejnie, ale nie jestem w stanie się zatrzymać.

Moje myśli są poszarpane i mają ostre brzegi: Ina i Roan przeprowadzą się do pałacu; ja znowu zostanę sama, moja dziecięca miłość zniknie.

Może nie tylko poszukiwanie prawdy dodawało mi sił przez ostatnie dwa tygodnie.

Nagle gorąco i dym zaczynają na mnie napierać. Czuję się w tej tawernie jak w piecu. Twarze zamazują się, głosy i śmiechy zlewają się w jeden ochrypły dźwięk. Przytrzymuję się szynkwasu, żeby nie stracić równowagi. W głowie mi się kręci.

Powietrza. Potrzebuję powietrza.

Jakoś udaje mi się dotrzeć chwiejnym krokiem od szynkwasu do drzwi – nikt nie widzi paniki w moich oczach. Wychodzę na cichą uliczkę i z wdzięcznością wciągam w płuca nocne powietrze. Pachnie topniejącym śniegiem. Delikatna mgiełka zaczyna opadać i drobinki wilgoci wirują w niewielkich kręgach światła rzucanych przez uliczne latarnie. W pobliżu nie ma nikogo poza mną. Opieram się o ceglany mur i czekam, aż uspokoi się rytm mojego serca.

A potem moje stopy same ruszają spod tawerny, idą po naszych własnych śladach, tą samą trasą, którą przyszyliśmy, tylko w odwrotnym kierunku. Zatrzymuję się przed przysadzistym budynkiem herbaciarni i zaglądam w to samo okno co poprzednio. Szyba jest prawie całkiem zaparowana, tylko niewielka powierzchnia wielkości dłoni została wytarta. Zaglądam do środka. Nawet przez szklaną taflę rozpoznaję tę dziewczynę.

Addie.

Drzwi otwierają się i widzę salę pełną ludzi, zupełnie innego rodzaju niż w tawernie wybranej przez Caro – tutaj jest ciemnawo, pokornie i spokojnie, starsi wiekiem mieszczanie popijają parującą herbatę i gawędzą cicho w dwu, trzyosobowych grupkach. Addie stoi za ladą w fartuchu zawiązanym na sukience.

– Addie? – odzywam się niepewnie.

Gwałtownie unosi głowę; widzę, jak mierzy wzrokiem mój płaszcz i wyhaftowane na nim insygnia Królowej.

– Dziewczyna z Everless – stwierdza opryskliwie. Ta nazwa w jej ustach niemal ocieka pogardą, ale pod spodem daje się wyczuć lekką zazdrość i gniew.

– Czego chcesz? – Addie zerka przez okno w stronę tawerny. – Królowa cię przysłała, żeby mnie dalej karać?

– Nie – zapewniam pośpiesznie. – Ona mnie nie przysłała. Nie znasz mnie, ale... – Nie mogę spojrzeć jej w oczy, skręcam się ze wstydu. Ja zostałam, podczas gdy ona została wyrzucona. Zająłam jej miejsce. – Co się stało?

Ale jej twarz nieco łagodnieje.

– Ty pomogłaś mi zbierać klejnoty.

– I dużo ci z tego przyszło – mruczę.

– Tutaj jest mi prawdopodobnie lepiej. – Addie rozgląda się dokoła, jakby sprawdzała, czy nikt nie podsłuchuje. I dodaje po chwili: – Nie miałam szansy wytłumaczyć się, zanim Ivan

mnie stamtąd wywlókł. – Pochyliła się ku mnie, jej spojrzenie biegnie ku najbliższym klientom, po czym odzywa się zduszonym szeptem – Dotknęłam Królowej, kiedy upadła. Próbowałam pomóc. Ale ona... ona była zimna jak lód. Bardziej niż zimna. Ona była... – Addie przerywa i przygryza wargę. – Czułam się tak, jakby ktoś wysączył ze mnie życie. Samym dotykiem. Jakby wykrwawiano ze mnie czas, tylko jeszcze gorzej.

Mam takie wrażenie, jakby kostka lodu zsuwała się po moim kręgosłupie. Przypominam sobie, jak wyglądała Królowa, kiedy stanęła w drzwiach swojej komnaty zaledwie kilka godzin temu. Wydawała się wyciągać coś z Caro.

– Mogłam ucierpieć jeszcze bardziej. Ivan, on próbował... – Addie milknie i gorliwie wyciera blat przed sobą, blat całkowicie czysty. – Mogłam zginąć, gdyby nie lord Liam.

Na mojej twarzy musi malować się niedowierzanie, bo Addie podejmuje wyjaśnienia.

– Porozmawiał ze mną i znalazł mi pracę tutaj. Jest zaprzyjaźniony z właścicielem... wydaje mi się, że przychodzi tutaj, żeby wyrwać się spod kontroli rodziców i móc bez przeszkód prowadzić swoje badania.

– Badania?

– Jest tu teraz. – Addie wskazuje kciukiem nie rzucające się w oczy drzwi, których dotąd nie zauważyłam.

Robi mi się zimno, a potem gorąco. Może to drink dodaje mi odwagi, ale postanawiam dowiedzieć się czegoś od niego, wyjaśnić to raz na zawsze. Przed czym on mógłby się kryć w herbaciarni w Laiscie?

Liam podnosi wzrok, kiedy wchodzę tymi drzwiami. Biurko, przy którym siedzi, jest zavalone książkami i papierami. Ma na sobie prosty strój: długi, wełniany kaftan narzucony na białą koszulę i bryczesy. Ale najzwyczajniejszy w świecie przyodziewek nie jest w stanie ukryć jego głodnych oczu i wychylonej do przodu sylwetki. Przez głowę przebiegają mi tysiące myśli i kalkulacji. A ponad wszystko wybijają się słowa ojca: *Jeśli zobaczysz kiedykolwiek Liama Gerlinga, uciekaj.*

Choć każdy mięsień w moim ciele wzywa do ucieczki, podchodzę do Liama, siadam naprzeciw niego i zsuwam z ramion płaszcz. Liam wpatruje się we mnie. Jego źrenice rozszerzają się w słabym oświetleniu.

– Lordzie Gerling – nadaję głosowi tak lodowate i spokojne brzmienie, jak to tylko możliwe. – Dlaczego odnoszę wrażenie, że gdziekolwiek pójde, ty również tam jesteś?

Liam mocniej zaciska szczękę.

– To miasto należy do mojej rodziny – odpowiada. – Mogę chodzić, gdzie tylko zechcę. Czego nie można powiedzieć o tobie, Jules. – Moje imię w jego ustach brzmi tak, że moje ramiona pokrywają się gęsią skórką. – Czy nie powinnaś być w Everless?

– Twoja przyszła siostra zaprosiła mnie tutaj – wypluwam odpowiedź. – Więc jeśli nie chcesz mnie w swoim mieście, musisz załatwić to z nią.

Liam potrząsa głową i obejmuje się ramionami, jakby nagle zrobiło mu się zimno. Ten

gest uświadamia mi, jak jestem ubrana – suknia Iny opina moje ciało i odsłania ramiona. Uczucie ciepła spowodowane madalem wyparowało, jestem zmarznięta i bezbronna.

– Nie chodzi o to, czego ja chcę – mówi Liam taki cicho, że podświadomie pochylałam się bliżej, żeby go słyszeć. W jego głosie jest jakiś pośpiech, jakieś ukryte przesłanie, którego nie rozumiem. – Jesteś tutaj, w tym mieście, sama. Czy zawsze pakujesz się bez zastanowienia w niebezpieczeństwo?

– Jedynym niebezpieczeństwem są tutaj ludzie tacy jak ty i twoja rodzina. To wy – mówię jadowitym tonem – sprawiacie, że my wszyscy nie jesteśmy bezpieczni. – Nie mogę powstrzymać się od prychnięcia. – Ty bardziej niż ktokolwiek inny powinieś wiedzieć, że Everless jest bez porównania bardziej niebezpieczne niż Laista.

– A jednak nadal tam jesteś. – Liam patrzy na mnie przez moment ze zmarszczonym czołem, jakby próbował rozwiązać podchwytliwe zadanie na egzaminie. Potem jego twarz się rozpogadza, Liam uśmiecha się, przesuwając rękami po włosach i odchyła głowę do tyłu, jakby zanosił modły do Czarodziejki. To połączenie rozbawienia i desperacji jest tak dziwne i niespodziewane, że o mało nie zapominam, gdzie jestem i z kim rozmawiam.

– Nie mylisz się mówiąc, że Everless jest bardzo niebezpieczne – podejmuje Liam, znowu spoglądając na mnie. – Szczególnie dla kogoś będącego tak blisko Królowej.

– Więc uważasz, że Królowa jest niebezpieczna – stwierdzam.

– Tego nie powiedziałem – odpowiada Liam po chwili zastanowienia. – I lepiej, żebyś ty również tego nie mówiła. Niezależnie od tego, z kim jesteś w przyjaźni. – Pochyliła się do przodu, nagle widzę w jego oczach błaganie. – Posłuchaj mnie choć raz.

– Dlaczego nie powinnam tego mówić? – pytam wyzywająco, czując w żyłach gorący madel. Unoszę głowę, jakbym przemawiała do tłumu. – Jeżeli ona jest bezpieczna, jeżeli jest dobra...

– Przestań. – Liam zachowuje spokój. – Jules...

– Mam już dość słuchania pazernych złodziei czasu.

– To nie mnie powinnaś się obawiać – w głosie Liama słyszę błagalną nutkę.

– Ciebie... – Głos mnie zawodzi, ale przełykam dławiący strach i wytrzymuję jego spojrzenie. – Ty próbowałeś zabić Roana. Ty wepchnąłeś go do paleniska, kiedy byliśmy dziećmi. To oczywiste, że się ciebie boję.

Przez jego policzek przebiega drżenie, jakbym uderzyła go w twarz, ale szybko odzyskuje równowagę.

– Pamięć cię zawodzi – mówi Liam. – Sama go zapytaj, powie ci, że nic takiego nie pamięta.

Na moment ogarniają mnie wątpliwości, ale odpycham je od siebie. Powinnam bardziej wierzyć sobie, niż Liamowi Gerlingowi. Wspomnienie ojca dodaje mi sił. Chcę wstrząsnąć Liamem, wytrącić go z równowagi, tak jak on wytrącił mnie.

– Królowa umiera. Widziałeś o tym?

Tym go trafiłam – Liam odchyła się gwałtownie do tyłu, jakby zainkasował cios.

– Królowa Sempery nie umiera. – Jego głos jest cichy, ale pewny, jego oczy pochmurnieją w zamyśleniu, jakby kompletnie o mnie zapomniał. – To nie jest takie proste. Zaufaj mi, Jules.

– Dlaczego? – Niemal wypluwam z siebie to słowo. – Dlaczego miałabym ci zaufać?

– Jeżeli nie będziesz ostrożna, to ty na tym ucierpisz, Jules. Opuść Everless. Wyjedź jeszcze dzisiaj. Przestań szukać wyjaśnienia tajemnic swojej przeszłości. – Bierze oddech. – Pehr nie był twoim ojcem, ale chciałby tego samego.

Szok mrozi mi serce.

– Skąd o tym wiesz? I dlaczego... – szepczę rwącym się głosem.

– To nieistotne. Ważne jest to, że przy odrobinie wysiłku i szczęścia każdy może poznać całą prawdę.

– Powiedz mi – domagam się, zirytowana tym, że siedzący przede mną Liam zdaje się wiedzieć o mnie więcej niż ja sama, jakby moje życie było monetą, która może zostać policzona i zamknięta w skarbcu.

Liam pochyla się nad biurkiem. Zauważam, że nieświadomie postukuje palcem w leżący przed nim notes. Ten prosty, jednostajny rytm zwraca moją uwagę. I nagle rozpoznaję wąski grzbiet i brązową, skórzaną okładkę. Jego osobisty notatnik, ten, w którym zapisywał coś tamtego dnia, w którym szłam za nim z biblioteki.

Liam wiedział, że jestem sierotą i to być może nawet wcześniej, niż dowiedziałam się o tym ja. Co jeszcze mógł wiedzieć, co zapisał w tym notesie?

– Odwiozę cię z powrotem. – Liam odsuwa krzesło od biurka. – Zaczekaj tutaj, zapłacę rachunek – zwraca się do mnie szorstko i wychodzi do głównego pomieszczenia baru.

Ogarnia mnie wściekłość z powodu jego arogancji. I nagle dostrzegam wąskie drzwi, które dotąd zasłaniał plecami, dokładnie za miejscem, w którym siedział. Przez wąskie okienko w tych drzwiach widzę światła ulicznych latarni.

Poczucie triumfu pulsuje mi w żyłach. Mam dość wykonywania poleceń Liama Gerlinga – któregośkolwiek z Gerlingów. Bez namysłu, nie zastanawiając się nad konsekwencjami, łapię brązowy notatnik i wymykam się tylnymi drzwiami.

Pośpiesznie okrążam budynek i wracam do tawerny, nie podnosząc głowy na wypadek, gdyby Liam wyjrzał przez okno. Serce mi wali i kręci mi się w głowie. Kiedy docieram do tawerny, opieram się plecami o mur i otwieram dziennik. Przerzucam stronicę na chybił trafił, przebiegam wzrokiem liczby, daty i notatki z pewnością skreślone ręką Liama, porządnym, zdecydowanym charakterem pisma. Moją uwagę przyciąga jedna ze stron. Słowa są mi znajome – dziwne, proste historie, ale boleśnie znajome.

Pewnego wieczora Lisica i Wąż chcieli pograć w bierki. Ale człowiek z wieży powiedział nie. Lisica była taka zła, że rozgniotła swoją miseczkę do zupy na pył, a Wąż sprawił, że ten pył buchnął płomieniem...

Pochłaniam stronicę. Słowa mieszają się ze sobą i zalewają mnie, są gorące i parzą, jak wosk skapujący ze świecy. Kiedy to sobie uświadamiam, zaczynam płakać, nie wiem, z jakiego powodu i nie wycieram łez.

„Uwolnię nas”, powiedział Wąż. „Musisz mi tylko zaufać...”

Opowiastki. To moje opowiadanka z dzieciństwa, moje zabawy. Czego Liam może od nich chcieć? Czy mam mu oddać wszystko, co kiedykolwiek do mnie należało?

Nagle słyszę dobiegający z tyłu głos Iny, wołający mnie po imieniu. Podnoszę wzrok i widzę, jak wychodzą obie z tawerny.

Szybko chowam książeczkę do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Ina i Caro zbliżają się w pośpiechu, wyraźnie przejęte. Ina widzi łzy na mojej twarzy i ujmuje moje dłonie. Ale Caro patrzy nieufnie na coś ponad moim ramieniem.

Podążam za jej spojrzeniem i mój wzrok pada na Liama, który brnie ku nam przez śnieg. Upadam na duchu – musiał się zorientować, że jego notes zniknął i że go oszukałam. Zaczynam układać w głowie kolejne kłamstwo, bo nie chcę, żeby Ina i Caro dowiedziały się, co zrobiłam.

Ale on zatrzymuje się kilka kroków od nas i składa głęboki ukłon.

– Lady Gold. Nie spodziewałem się spotkać cię tutaj.

– Liam – mówi Ina na powitanie. W jej głosie jest czujność. – Co cię tutaj sprowadza?

– Zobaczyłem Jules na dworze i chciałem się spotkać z dawną przyjaciółką – wyjaśnia chłodno Liam. Jego słowa są skierowane do Iny, ale nie odrywa oczu ode mnie. – Myślałem o historyjkach, które kiedyś opowiadałaś, Jules. Pamiętasz?

Lisica zmiądzzyła swoją miseczkę do zupy na pył, a Wąż sprawił, że ten pył buchnął płomieniem... Nonsensowne bajeczki małej dziewczynki. Jakie mogą mieć dla niego znaczenie? Dłonie moich opuszczonych wzdłuż boków rąk same zaciskają się w pięści. Błysk w jego oczach świadczy o tym, że Liam wie o dzienniku schowanym w kieszeni mojego płaszcza. Prowadzimy dwie równoległe konwersacje, jedna obejmuje również Inę i Caro, druga toczy się wyłącznie między nami dwojgiem.

– Zwyczajna dziecinada – mówię.

Liam wzrusza ramionami.

– To były dobre historyjki. Powinnaś je sobie przypomnieć, spróbuj.

Caro wodzi zwięzonymi oczami ode mnie do niego i z powrotem.

– Bardzo nam miło, lordzie Gerling – odzywa się grzecznie – ale mamy dzisiaj jeszcze jedno miejsce do odwiedzenia. Mam nadzieję, że nie pożałujesz lady Gold odrobiny zabawy przed ślubem. – Caro przesuwają się leciutko w taki sposób, by stanąć przede mną i zasłonić mnie przed wzrokiem Liama, za co jestem jej głęboko wdzięczna.

– W żadnym wypadku – zapewnia Liam, jakimś cudem jego głos brzmi łaskawie i ostro równocześnie. – Jestem pewien, że mój brat robi to samo. Nie będę stał wam na drodze.

Ina stroi miny za plecami odchodzącego Liama, a ja z trudem powstrzymuję się od

śmiechu. Co za ulga. Odwracam się do Caro, żeby podziękować jej bez słów, ale ona patrzy na mnie z głową przechyloną na bok, jakbym stanowiła zagadkę, którą próbuje rozwiązać.

– Zimno mi – oznajmia Ina. Żadna z nas nie odpowiada, więc bierze mnie pod rękę i pociąga Caro za rękaw. – Chodźmy.

Nauczyłam się już rozpoznawać ten błysk w oku, jaki ma w tej chwili – oznacza on, że wpadł jej do głowy jakiś dziwaczny pomysł – taki sam błysk miała w stajni przed wyprawą do sierocińca i dzisiaj w swoim pokoju, kiedy poinformowała mnie o planach swego przedślubnego łabędziego śpiewu.

– Dlaczego płakałaś, Jules? – pyta, zerkając na mnie z ukosa.

– Myślałam o tacie – odpowiadam. – Musiałam zaczerpnąć powietrza.

– No, dobrze. – Ina urywa, waha się. A potem wyrzuca z siebie. – Caro wpadła na pewien pomysł... ona zna to miejsce... no, zresztą sama jej powiedz – zwraca się do Caro, nadal trzymając mnie pod rękę. Ina chwije się leciutko, podchmielona, jak sądzę, madelem.

Caro uśmiecha się tym swoim tajemniczym uśmiechem i otacza ramieniem talię Iny.

– Ina zdradziła mi, że jest ciekawa swoich naturalnych rodziców – informuje mnie tym swoim cichym głosikiem. – I przyszło mi do głowy, że w pobliżu mieszka, jak mi mówiono, pewna wiedźma, która potrafi robić regresje krwi.

– Regresje krwi? – powtarzam jak echo. Ze ściśniętym sercem. Świadomość bliskiego wyjazdu Iny i Roana, widok Addie nalewającej herbatę, a nade wszystko spotkanie z Liamem sprawiły, że czuję się podłamana. I wyjątkowo nie na miejscu w tym eleganckim, zamglonym miasteczku. Marzę, żeby stąd uciec; chcę wrócić do Everless, otworzyć drzwi komnaty Królowej i zażądać, by zdradziła mi swoje tajemnice.

W rozproszonym świetle ulicznej latarni Caro ciągle coś mówi, wyjaśnia, czym są regresje krwi – stary wiejski rytuał, polegający na tym, że wiedźma wprowadza człowieka w trans, w którym cofa się on w czasie i wydobywa na powierzchnię głęboko ukryte wspomnienia. Nie rozumiem – i nic mnie to nie obchodzi. Jestem śmiertelnie zmęczona i zdaję sobie sprawę, jak głupio postąpiłam, przyjeżdżając tu z Caro i Iną, jaka byłam głupia, wierząc, że mogę być taka jak one i ubrana w ich ładne sukienki uczestniczyć w ich dziwacznych hecach.

Ale, oczywiście, ja tu nie rządę i, oczywiście, nie będę protestować, bo to byłoby jeszcze gorsze, więc bez oporu pozwalam, by Ina wzięła nas obie pod ręce i ruszyła naprzód.

Już dawno straciłam poczucie czasu, ale nisko wiszący księżyc, ciemne okna domów i ogarniające mnie wyczerpanie każą mi podejrzewać, że jest już dobrze po północy. Caro prowadzi nas jedną z bocznych uliczek w stronę małej, starej, rozpadającej się chałupy wciśniętej pomiędzy dwa puby. Przestałam pić znacznie wcześniej niż Ina i Caro, więc choć one najwyraźniej doskonale się czują w swoich płaszczach, ja trzęsę się z zimna, kiedy pukamy i obserwujemy wąski pasek światła w szparze między drzwiami a ziemią.

Nigdy nie byłam o tak późnej porze poza domem i ogarnia mnie coraz większa niechęć do

Caro i Iny. I mimowolnie oglądam się co chwilę nerwowo za siebie. Wypatruję Liama Gerlinga.

Ale ulice są puste, tylko lekki wiatr śwista pomiędzy uśpionymi domami. Pukanie do drzwi o tak późnej porze wydaje się niewłaściwe, ale Caro twierdzi, że wiedźma przyjmuje o każdej porze dnia i nocy. Pod warunkiem, że klient płaci.

Po dłuższej chwili drzwi się otwierają i staje w nich niska, przygarbiona, stara kobieta z siwymi włosami do pasa. Ma na sobie zniszczoną, połataną sukienkę, trochę podobną do tej, w której widziałam lady Sidę, niemodną od stu lat, a może i dłużej – ale już na pierwszy rzut oka ta zachwalana przez Caro wiedźma przypomina raczej mnie niż nestorkę rodu Gerlingów. Jej starość jest najzupełniej naturalna, a twarz spalona słońcem i poorana zmarszczkami, choć obsypała ją jasnym pudrem i pomalowała usta krwistoczerwoną szminką.

Dla mnie ta sztuczność jest oczywista, ale stojąca obok mnie Ina wydaje się nieco onieśmielona. Robi drobny krok naprzód.

– Chcemy zrobić regresję krwi.

Kobieta przygląda się nam, jej oczy przesuwają się po naszych eleganckich ubraniach, po guzikach i koronkach, wreszcie zatrzymuje się nieco dłużej na pięknej twarzy Iny. W końcu odsuwa się na bok i gestem zaprasza nas do środka.

– Chodźcie za mną – mówi.

Ina kurczowo ściska ramię Caro, a ja czuję, pomimo ponurego nastroju, że kąciki moich ust drgają. Może ja również powinnam być przerażona, ale afektowana wymowa kobiety – przaśna gwara Laisty w połączeniu z arystokratycznym zaśpiewem – budzi we mnie rozbawienie. Chwytam spojrzenie Caro, która przebiega wzrokiem pęki liści wiszących na ścianach i unosi brew.

Wiedźma prowadzi nas ciemnym korytarzem do małego, mrocznego, zagraconego pokoju, pełnego przedmiotów osobistych i dziwnych rzeczy – w rogach piętrzą się stosy starych ksiąg w skórzanych oprawach; o ściany oparte są obrazy olejne; z sufitu zwisają na drutach jakieś metalowe ustrojstwa – miedziany ptak z godzinową monetą w dziobie, figurka kobiety, której ciało jest klepsydrą. Ina dotyka jej metalowej ręki. Piasek zgromadzony w torsie sypie się w dół przez talię. Pokój oświetlają jedynie świece rozstawione w strategicznych punktach; każdy dziwaczny kształt, każdy ostry kąt jest spotęgowany, przeniesiony na ściany w postaci szarych cieni.

Powietrze jest ciężkie od mdlącej, słodkawej woni kadzidła, od której buntuje się mój żołądek, a na środku pokoju stoi stół przykryty gazą. Wszystko zostało idealnie zaaranżowane – to wizerunek izby wiejskiej wiedźmy.

Wszystkie trzy zatrzymujemy się w drzwiach i czekamy na informację, co mamy robić, a wiedźma sunie do stołu. Ina robi krok naprzód, ale potem waha się i ogląda się na nas.

– Może jedna z was pójdzie najpierw? – prosi z ujmującym uśmiechem.

Wymieniam spojrzenia z Caro – chmurzy się lekko i szeroko otwiera oczy. Wzdycham. Skoro obie moje przyjaciółki boją się tej szarlatanki, pójdę pierwsza, choćby po to, żeby jak najszybciej wrócić do Everless. Może moja tura udowodni, że to zwykła farsa. Wysuwam się naprzód.

Kobieta z lekkim zniecierpliwieniem wskazuje gestem, abym usiadła na poduszce przy stole. Przenoszę wzrok z Caro na Inę – Caro przygląda się wiedźmie ze zmarszczonym czołem; Ina wzrusza ramionami, jakby mówiła do mnie *dlaczego nie?* Z pewnym wahaniem zajmuję wskazane miejsce, stara kobieta opada na poduchę naprzeciwko mnie. Wyciąga niewielką buteleczkę z mętym, ciemnym płynem, mój żołądek przewraca się na ten widok. Mam już serdecznie dość tajemniczych napojów jak na jedną noc.

– To eliksir uszkodzonego czasu – oznajmia wiedźma, jakby to cokolwiek tłumaczyło. – Czas wpływający do twojej krwi wsączy w twoje ciało fałszywe przekonanie, że jesteś znowu małym dzieckiem i pozwoli wypłynąć na powierzchnię wspomnieniom, które zapadły w najgłębsze zakamarki twojego umysłu.

Chcę już wrócić do Everless, więc odkorkowuję buteleczkę i krztuszę się, kiedy rozpoznaję zapach mawy unoszący się z fioletowo-czarnego płynu. Wiedźma dostrzega to i marszczy czoło.

– To mikstura alchemiczna – wyjaśnia, zapominając na chwilę, że powinna być tajemnicza. – Musi być mocna, żeby wyprowadzić cię z terażniejszości.

Po chwili pauzy podnoszę buteleczkę do ust i biorę najmniejszy łyk, jak to tylko możliwe. Smakuje jak sfermentowany sok z mawy, być może z domieszką miodu, żeby zamaskować fakt, że jest zepsuty.

Zmuszam się do przełknięcia kolejnego łyku, a stara kobieta sięga po zakurzony tom z jednego z otaczających ją stosów książ. Rozkłada tom na stole, otwiera na stronie zaznaczonej zakładką i zaczyna czytać głosem tak niskim, że ledwo go słyszę. Język tekstu brzmi jak starosemperiański, ale to nie jest ten język, a przynajmniej niezupełnie – rozpoznaję w nim znane mi słowa: *czas*, *kwę* i *powrót*, ale są one wtopione w coś odmiennego, melodyjnego, starożytnego.

Nie używaj mojej krwi, rozlega się głos młodej kobiety.

Otwieram oczy. Ina i Caro przyglądają mi się – Caro z zainteresowaniem, Ina jakby miała wybuchnąć śmiechem. Uświadamiam sobie, że ten głos odezwał się wyłącznie w mojej głowie i przejmuje mnie dreszcz.

– Zamknij oczy – nakazuje mi znowu wiedźma z dziwnie taksującym spojrzeniem. – Pomyśl o swoim najwcześniejszym wspomnieniu, a potem o tym, co było przedtem.

Kiedy zamykam oczy i nie widzę zagraconego, tandetnego wnętrza, głos starej kobiety brzmi właściwie kojąco. Rytmiczna melorecytacja wyzwala strumień obrazów – jasna twarz Iny i wymizerowana Addie; rzeźbione drzwi skarbcza kryjącego tyle tajemnic; Roan stojący blisko mnie na korytarzu dla służby; Liam górujący nade mną i jego czarne, błyszczące

oczy.

Pozwalam umysłowi odpłynąć w przeszłość, coraz głębiej i głębiej, całe życie rozwija się przed moimi oczami w odwrotnym kierunku, im bardziej się cofam w czasie, tym obrazy są bardziej zamazane i oderwane. Jestem zmęczona, taka zmęczona, przez madel zrobiłam się taka otępiała i ślamazarna. Krew krąży w moich żyłach leniwie, jak miód, ale posuwam się dalej. Serce ściska mi się boleśnie, kiedy pojawiają się obrazy życia z tatą w Crofton, naszego ogródka w lecie, rysunku na ścianie przedstawiającego moją mamę. Dawne lata w Everless, blask ognia w kuźni, mały Roan siedzący na gałęzi starego dębu i machający nogami, zapach jego palonego ciała i moje ręce ciągnące go z powrotem.

Serce bije mi mocniej, kiedy przywołuję swoje pierwsze wspomnienie – nigdy nie byłam pewna, czy to prawdziwe wspomnienie, czy tylko wyobrażenie – spoczywam bezpiecznie w ramionach matki, jej twarz, spryskana krwią, jest świetlista i spokojna jak księżyc.

– Mój mały wężyk – szepcze pieszczotliwie. – Moje słodkie kochanie.

Słyszę jej głos. Dawniej tego nie pamiętałam. Nuci słodką, znajomą pieśń. Mój umysł cofa się.

Część mnie pozostaje nadal w tym pokoju, z Caro, Iną Gold i wiedźmą, nadal mam siedemnaście lat i spodziewam się obudzić tutaj... ale nie budzę się. Twarz mojej matki zaczyna falować i rozmywa mi się przed oczami, ale piosenka nie milknie. Widzę zieloną, zieloniutką trawę za oknem, lśniąca w słońcu.

A potem piosenka przechodzi w krzyk.

Ja też krzyczę i powietrze wokół mnie zmienia się w krew. Po długiej jak wieczność chwili kobiecy krzyk ustaje.

– Zabierz ją. – Słyszę, jak ciężko oddycha, gdzieś nade mną. – Zabierz ją, natychmiast.

Czekaj...

Scena zmienia się. Jestem w ramionach mężczyzny i biegniemy, biegniemy po trawie, przez miejski plac, którego nazwy nie znam. Mężczyzna – którego twarz jest zamazana, ale jego obecność mnie uspokaja – zatrzymuje się tylko na chwilę przed wielkim, szarym posągiem, o stopę wyższym od niego, górującym nad nim na tle bladego nieba. Posąg jest dziwny, przedstawia kobietę trzymającą w rękach kamienie, jakby przyjmowała dar – albo go wręczała. Tradycyjne wyobrażenie Czarodziejki, obrazujące moment, w którym przyjmuje domniemany dar od Alchemika i już wie, że ją zdradził. Mężczyzna przesuwamnie na jedno ramię. I wyjmuję kamień z nieruchomych palców posągu.

Nagle ciemność zakrywa tę scenę i przed moimi oczami przepływają nowe obrazy – nieznanne miejsce, które nie istnieje w Semperze, jaką widziałam. Okrągłe struktury ze stosów skór i pole lodu, kamienne stopnie wychodzące z parującego, ciemnozielonego lasu i coś, co chyba musi być wielkim nadmorskim pałacem Sempery, ale na wpół rozwalonym i płonącym.

Młoda kobieta na ciemnej równinie, z twarzą ukrytą w cieniu, wyciąga do mnie dłoń.

Przez moment wygląda jak ożywiony posąg. Wiatr rzuca jej na twarz ciemne włosy, ten sam wiatr smaga mnie, gdy biegnę do niej. Mam w ręku nóż i czegoś chcę od tej dziewczyny, czegoś, co musi zostać okupione krwią.

Dopiero kiedy podbiegam bliżej, widzę, że moja przeciwniczka również trzyma w ręce nóż. Rzuca go, ostrze przecina powietrze i leci w stronę mojego serca...

Przytomnieję i gwałtownie chwytam powietrze.

Zapach domu wiedźmy jest obrzydliwy, ale wciągam go łapczywie, jakbym właśnie wyłoniła się spod wody. Stara kobieta gapi się na mnie przez stół. Z twarzy Iny uciekła cała krew, a Caro patrzy na mnie, jak na kogoś obcego. Widzę białka jej oczu wokół całych tęczęwek.

Coś kapie mi na kolana – to eliksir z butelki, którą musiałam przewrócić w transie. Ciemna, śmierdząca plama rozlewa się po blacie stołu.

– Co się stało? – Mój głos brzmi ochryple.

Wiedźma nie odpowiada. Powoli dochodzi do siebie i w końcu podnosi butelkę, żeby cały eliksir nie wypłynął na stół.

Ciszę przerywa Ina.

– Mówiłaś – odzywa się, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami. – My... my nie wszystko rozumiałyśmy. Część nie brzmiała jak język semperiański.

Dreszcz przebiega mi po plecach, odsuwam się od stołu.

– Przepraszam, że narobiłam bałaganu.

– Wszystko w porządku. – Stara kobieta wydaje się bledsza niż poprzednio. Po dłuższej chwili kiwa głową i zdejmuje ze stołu poplamiony materiał. – Czy któraś z was chce jeszcze spróbować? – pyta, zapominając o akcencie i patrzy na Caro i Inę. Teraz mówi jak stara kobieta z gorszej dzielnicy, jej głos jest szorstki i nieco przestraszony.

Caro natychmiast potrząsa głową, ale Ina patrzy na mnie, potem na wiedźmę i znowu na mnie. Widzę w jej szeroko otwartych oczach i drżących dłoniach pragnienie, takie samo jak w bramie sierocińca. Może Ina wyczuwa, że łączy nas to samo obezwładniające, fatalne pragnienie poznania siebie, wiedzy, skąd pochodzimy – nawet jeśli nasza historia okaże się okropna.

Powoli kiwa głową. Podchodzi i zajmuje moje miejsce przy stole, naprzeciwko wiedźmy.

Na trzęsących się, jeszcze niepewnych nogach podchodzę do Caro, która obserwuje wszystko oparta plecami o ścianę, z rękami założonymi na piersi. W migotliwym blasku świec jej oczy wydają się większe i ciemniejsze. Kiedy Ina pije eliksir z butelki, a stara kobieta zaczyna znów czytać z książki, pochylam się do ucha Caro.

– Myślisz, że to prawda? – pytam cicho. Nie wiem, co bym wolała – żeby to, co przed chwilą widziałam, to był wytwór mojej imaginacji, czy prawda.

Oczy Caro zwracają się w moją stronę, a brwi ściągają się w jedną linię.

– A nie udawałaś?

Energicznie potrząsam głową.

– Ten napój mógł być narkotyzowany i wywołał halucynacje. – Spogląda na Inę. – Wkrótce się dowiemy.

To mi nie przyszło do głowy, dostaję gęziej skórki na myśl o tym – i na skutek słów Caro. Jednocześnie odwracamy się w stronę stołu, przy którym Ina wypila napój z zielonej butelki.

Wyraz twarzy księżniczki – jej chmurna mina i zmarszczone w skupieniu czoło – oraz jej ręce złożone sztywno na kolanach świadczą dobitnie, że niczego nie doznaje. Caro przygląda się intensywnie, przenosi wzrok z Iny na starą kobietę. Kobieta również obserwuje, od czasu do czasu podnosi wzrok na Inę. Kadencja jej głosu unosi się i opada wraz z tekstem, ale z Iną nie dzieje się nic niezwykłego.

Po chwili z ust kobiety przestają płynąć słowa. Ina otwiera oczy, wydaje się jednocześnie zawiedziona i pełna ulgi.

– Nic, Ino? – pyta Caro.

– Nic. – Ina spogląda na swoje ręce.

Przez chwilę wszystkie stoimy w milczeniu. Nastój w pokoju jest teraz inny – nawet dla Iny i Caro to już przestała być zabawa. Caro wzdraga się lekko i sięga do paska. Wyjmuje trzy monety jednodniowe i wręcza je wiedźmie. Za oknem niebo nad uliczkami Laisty zaczyna szarzeć.

Przy wyjściu stara kobieta łapie mnie za ramię, jej kościste palce wbijają mi się w ciało.

– Możesz chwilę zostać i pomóc mi usunąć plamy, kochanie? – Jej oczy, przekrwione i natarczywe, wbijają się w moją twarz.

Caro i Ina zatrzymują się i oglądają się na mnie.

– Będę za minutkę.

Kiedy drzwi zamykają się za nimi, odwracam się w stronę wiedźmy, starej kobiety. Mam dziwne, okropne poczucie, że wiem, co zaraz powie. Ale i tak pytam.

– O co chodzi?

Wiedźma puszcza moje ramię i jakby zapada się w sobie, znikają wszelkie ślady afektacji, którymi popisywała się przed Caro i Iną. Słowa, które kieruje do mnie, są proste i jasne, wypowiedziane z akcentem, który znam od dziecka.

– Z pewnością domyśliłaś się już, dziewczyno, że to tylko przedstawienie. Nie ma nic szczególnego w tej księdze, w poemacie, który czytam. – W taki sposób dotyka palcem monet, które dostała od Caro, jakby dotykała amuletów na szczęście.

Żołądek mi opada. Podejrzywałam to, ale czym innym są podejrzenia, a czym innym ich potwierdzenie, zyskanie pewności.

– A co z napojem?

– Mawa, miód i trochę madelu – mówi. – To wszystko.

Kręci mi się w głowie.

– Więc co to było...

– Nie wiem – odpowiada. – To nie moja sprawka.

Po powrocie do Everless trzymamy się siebie nawzajem, bo chwiejemy się jeszcze trochę na nogach i zmierzamy do pokoju Iny z zamiarem padnięcia na jej ogromne łożo. Kręci mi się w głowie od wizji z domu wiźmy i jej słów po seansie. Notes Liama, który przyciskam do siebie pod płaszczem, wydaje mi się teraz bez znaczenia.

Ina otwiera drzwi swojego pokoju i staje w progu jak wryta. Wpadam na jej plecy i krew w moich żyłach zmienia się w lód, gdy ponad jej ramieniem spostrzegam czekającą w ciemności Królową. Stoi wysoka i wyprostowana. Jej włosy, splecione w prosty warkocz opadający na plecy, nie przypominają zmierzwionego kołtuna, który widziałam przedtem.

Królowa jest olśniewająca i przerażająca.

– Wasza Królewska Wysokość – mówi Ina piskliwie, nawet ona zdaje się trząść ze strachu na widok władczyni. – Co tutaj robisz?

– Co za impertynenckie pytanie. – Oczy Królowej zdają się przewiercać Inę na wylot i palić mnie, stojącą za nią. Caro, która jest za mną, wygląda tak, jakby jej było niedobrze. – Chodźcie ze mną – intonuje śpiewnie. – Wszystkie.

Bezradnie podążamy za nią do skromnie umeblowanego bocznego pokoju, w którym stoi tylko stół i kilka krzeseł. Ina może jadać tu posiłki, jeśli nie ma ochoty zejść do głównej jadalni. Ale kiedy Królowa siada na jednym z krzeseł i wbija w nas nieruchome spojrzenie, wygląda tak majestatycznie i przerażająco, jakby zasiadała na tronie w nadmorskim pałacu. Najpierw kieruje płomienne spojrzenie na Inę.

– Żeby odpokutować to bezsensowne zachowanie, ty i lord Roan pojedziecie ze mną jutro do posągu Czarodziejki w Tilden, żeby błagać o wybaczenie. – Wzdragam się na wspomnienie posągu z mojej wizji. – A wy dwie... – Kurczę się w sobie, kiedy jej oczy lądują na mnie, jak dwa płomienie. – ...nie opuście jutro Everless. Rozprawię się z wami po powrocie.

Caro i Ina pochylają głowy, ja idę za ich przykładem.

– Tak, Wasza Królewska Mość – mówi Caro najcichszym szeptem.

– Poprawimy się – dodaje Ina. Czuję jej drżenie.

Kiedy Królowa nas opuszcza, robieramy się w milczeniu, myjemy twarze i przebieramy się w nocne koszule. Wstyd wypalił ze mnie resztki pijaństwa, czuję się pusta i wyżęta, a kiedy patrzę na Inę i Caro, na ich pobladłe twarze i zapadnięte oczy, wiem, że odczuwają to samo.

Ina, leżąca między Caro i mną, zasypia, jak tylko dotknie głową poduszki, ale Caro długo

nie może zasnąć, słyszę jej płytki, przytomny oddech po drugiej stronie łóżka. Mam ciągle przy sobie notes ukryty pod nocną koszulą i pomimo wyczerpania, marzę o tym, żeby go wyjąć i przeczytać więcej zapisanych w nim dziwnych historii. Ale z niewiadomego powodu mam poczucie, że to tajemnica, którą powinnam ukryć nawet przed Caro.

– Przepraszam, że nie powiedziałam ci prawdy o swoim ojcu – odzywam się najciszej, jak mogę. Caro nie odpowiada od razu, ale oddycha trochę inaczej, więc wiem, że usłyszała.

– W porządku – odpowiada w końcu. – To twoja tajemnica i ty decydujesz, z kim się nią podzielisz. Nie powinnam tak nerwowo na to reagować. – Zapada milczenie i już zaczynam podejrzewać, że Caro zasnęła, kiedy odzywa się znowu. – Przepraszam, że cię w to wciągnęłam. – W co, chciałabym zapytać, ale milczę. – Jutro, po wyjeździe Królowej, strażnicy będą mniej czujni – kontynuuje. – Pójdziemy do skarbcza i poszukamy rzeczy twojego ojca.

– Nie trzeba – protestuję cicho. – Naprawdę nie musimy. Nie powinnam ci o tym wspominać.

– Porozmawiamy jutro. Przed nami długi dzień – mówi zaspanym głosem. Wyciąga rękę ponad ciałem Iny i splata palce z moimi. – Jutro, Jules.

Odwraca się i podciąga wyżej koc. Upewniam się, że śpi i oddycha głęboko, a potem wyciągam notes i ustawiam go pod takim kątem, żeby padały na niego promienie księżyca wpadające na łóżko przez niewielkie okienko. W tym słabym świetle próbuję odczytać słowa Liama. Pierwsze stronice dotyczą spraw Everless – to liczby, wykresy i przyziemne notatki na temat podatków, które zostały wpłacone oraz długów, które zostały uregulowane, więc powieki zaczynają mi opadać. Ale przewracam jeszcze kilka stron, zanim zapadnę w sen – i wreszcie na coś trafiam, pojawiają się lisica i wąż.

Budzi mnie bicie dzwonów. Mija parę chwil, zanim dociera do mnie, gdzie jestem – że leżę sama w ogromnym łóżu Iny, zalanym wpadającym przez okno ostrym światłem późnego poranka. Melodia dzwonów brzmi słodko, ale ten ton budzi we mnie gwałtowny niepokój.

Siadam sztywno wyprostowana i głośno wciągam powietrze.

Słyszałam już kiedyś ten sygnał – nie w ostatnich tygodniach, a w dzieciństwie. Ta sekwencja nut wzywa służbę na zbiórkę w celu odbycia kary.

Wyskakuję z łóżka, ignorując tępy ból głowy i zdejmuję nocną koszulę. Szybko odnajduję strój służącej, który zostawiłam tu poprzedniego wieczora i wsuwam do kieszeni fartucha notes Liama, który wepchnęłam częściowo pod poduszkę.

Wśród zgromadzonej w refektarzu służby panuje nastrój niepewności. Choć pełno nas w sali, mało kto rozmawia. Wtapiam się w gromadkę służby kuchennej w chustkach i fartuchach, i po raz pierwszy żałuję, że nie jestem jedną z nich.

Upadam na duchu, kiedy spostrzegam, kto stoi na przedzie sali. To, oczywiście, Ivan. Obserwuje tłum z obleśnym uśmiechem na twarzy. Ma na sobie mundur, ciemnozielony płaszcz narzucony na skórzaną tunikę. Po obu jego bokach stoją dwaj strażnicy z Everless. A za nimi Liam Gerling z ponurą miną.

Kilka stóp przede mną stoi Lora, wyraźnie zaniepokojona – ciągle skręca w palcach rąbek fartucha.

Kiedy zebrali się już wszyscy, Ivan występuje naprzód.

– Dzień dobry – woła jowialnie. Jego głos, jak zawsze, przyprawia mnie o gęsią skórę. – Mam przykry obowiązek ogłosić karę dla jednej z was. Dla osoby, która została przyłapana na dobieraniu się do, ni mniej ni więcej, tylko starożytnego skarbcza Gerlingów, rodu, który karmi i broni nas wszystkich.

Całe moje ciało sztywnieje. Skarbiec. Ivan rozgląda się po nas z groźnym grymasem na twarzy, ale jego głos brzmi leniwie. Rozkoszuje się tą chwilą – bawi go przerażenie sali. Dostrzegam kilku strażników w królewskich uniformach – ale są nieliczni i stoją z tyłu, za plecami Ivana i strażników z Everless. Mają ręce skrzyżowane na piersiach i nieszczęśliwe miny.

Zanim dociera do mnie znaczenie tego, co się dzieje, Ivan odsuwa się na bok i otwierają się drzwi za jego plecami. Wchodzą dwaj strażnicy, ciągnąc za ręce płaczącą dziewczynę, piegowatą dziewczynę o jasnozielonych oczach...

Nie.

– Caro Elysia została przyłapana na korytarzu pod drzwiami skarbcza, które próbowała sforsować – ogłasza Ivan, czytając werdykt z trzymanej w ręku kartki. – Za włamanie do tego najważniejszego ze wszystkich miejsc, ja jako oficer rodziny Gerlingów wyznaczam najwyższą możliwą karę, karę czterdziestu lat, które zostaną wykrawawione niezwłocznie. – Ogląda się przez ramię na Liama. A Liam – działając jako reprezentant Gerlingów – lekko kiwa głową. Akceptuje.

Caro wyrywa się słabo trzymającym ją strażnikom, po jej twarzy płyną strumienie łez. Z ust wyrywa mi się ciche nie.

Czterdzieści lat to kara barbarzyńska, nawet jak na Ivana.

To moja wina.

Przepycham się przez tłum służących. Gapią się i szepczą, kiedy ich mijam, ale nie zwalniam. To ja chciałam obejrzeć wnętrze skarbcza, a Caro ma stracić przez to czterdzieści lat życia. Chciała tylko pomóc mi odzyskać coś, co należało do mojego ojca. Ponieważ jej na mnie zależy.

– Czekaj! – Bez namysłu rzucam się naprzód i chwytam poję płaszcz przechodzącego Ivana.

Ivan unosi brwi z lekkim rozbawieniem i patrzy na mnie jak na zwierzątko domowe, które opanowało nową sztuczkę.

– Czego chcesz?

– Nie... nie możesz jej odebrać czterdziestu lat! – wołam bez tchu, załóżnie. – To za dużo na raz. – Przez myśl przebiega mi obraz taty wracającego do domu z kantoru lichwiarza czasu. Bledego, chorego, słaniającego się na nogach po wysączeniu zaledwie kilku miesięcy. Czy ktoś mógłby przeżyć taką utratę czasu, jeśli w ogóle ma jeszcze w żyłach tyle czasu?

I w tym momencie dociera do mnie w pełni powaga tego, co się dzieje. Bo jakie jest prawdopodobieństwo, że ktoś ze służby ma jeszcze przed sobą czterdzieści lat życia?

Ta kara może zabić Caro.

Ivan wrywa płaszcz z moich rąk.

– To nie mój problem – cedzi przeciągle. – Jeśli tak się nią przejmujesz, to możesz pójść do lichwiarza czasu i oddać trochę swojej krwi tej złodziejce.

Na jego ramieniu pojawia się czyjaś dłoń. Ivan odwraca się i w tym momencie spostrzegam, że z tyłu podszedł do niego Liam, cicho jak duch.

– Rusz się, Ivanie – mruczy, wyraźnie czymś rozwścieczony. – Czyń swoją powinność.

Ivan krzywi się, ale słucha polecenia, wychodzi i gestem nakazuje strażnikom trzymającym Caro, by podążyli za nim. Cała czwórka znika w drzwiach, którymi weszli na salę, zdążam tylko zobaczyć jeszcze z profilu zalaną łzami twarz Caro.

Kiedy reszta służby zaczyna się rozchodzić, pomrukując smętnie i potrząsając słowami, Liam wyciąga rękę, jakby mnie chciał zatrzymać. Odskakuję do tyłu.

– Nie dotykaj mnie. – Przez myśl przebiega mi jego lekkie kiwnięcie głową sprzed chwili: taki mały ruch, a pociąga za sobą taki bezmiar bólu i śmierci. – Gdzie jest Roan? – On z pewnością to powstrzyma.

Liam sztywnieje, jego twarz jakby się zamykała.

– Przykro mi, Jules – mówi w końcu i wychodzi za Ivanem.

Stoję i wpatruję się tępo w drzwi, za którymi zniknęli. Każde uderzenie serca odczuwam jak nóż wbijający się w moje ciało.

Ivan nie mówił poważnie, żebym poszła do lichwiarza czasu. To był żart. Ale ta myśl zapuszcza we mnie korzenie...

Ina z pewnością mogłaby uratować Caro, każda z jej eleganckich sukni i każdy z lśniących klejnotów musi mieć wartość wielu lat. Ale Ina wyjechała z Królową, z powodu naszej własnej głupoty. Nie ma czasu, żeby czekać na jej powrót. W sakiewce przy pasku i w skrytce pod materacem w dormitorium mam prawie trzy lata krwawego żelaza. Mogę tam zaraz pobiec i oddać je Caro. Ale to nie wystarczy. To zdecydowanie za mało – nie uratuje jej przed śmiercią, jeżeli pozostało jej mniej niż czterdzieści lat życia.

Nie. Wiem, że tylko w jeden sposób mogę usunąć rozdzierające poczucie winy, które wbija się w moje serce jak nóż.

Muszę znaleźć lichwiarza czasu.

Wypadam z zamku bocznymi drzwiami i pędzę przez trawnik do południowej bramy, skąd prowadzi droga do Laisty. Cienkie pantofelki przeznaczone do chodzenia się po domu natychmiast przemakają na śniegu, ale biegnę gnana przerażeniem. Bo wiem, że jeśli przestanę biec, jeśli choćby zwolnię, to strach mnie obezwładni. *Nie musisz tego robić*, szepcze mi coś do ucha.

Caro umrze, odzywa się inny głos. *I to będzie twoja wina.*

Biegnę.

Docieram do kantoru lichwiarza czasu – to wąski, drewniany budynek w wąskim zaułku, na który wychodzą brzydkie zaplecza sklepów, które od frontu prezentują się bardzo efektownie, jakby handlarze z Laisty celowo odwracali się tyłem, żeby nie widzieć tego biznesu. Nad wejściem widnieje wymowny symbol – klepsydra wypalona na surowej kwadratowej desce. Zaułek jest pokryty brudnym śniegiem i kroplami zaschniętej krwi. Lichwiarz czasu z Laisty – Wick, jak dowiaduję się od stojącego przy drzwiach strażnika – ma tego dnia dużo pracy. Strażnik uśmiecha się ponuro i wpuszcza mnie do środka.

Staję na końcu kolejki w mrocznym kantorze, kilka osób podnosi na mnie wzrok. W przeciwieństwie do tych mieszkańców Laisty, z którymi piłam poprzedniego wieczora w tawernie, ludzie w kolejce są szarzy i drżący. Przed sobą widzę stół, a na nim bezładnie rozrzucone srebrne miseczki i wypolerowany do połysku nóż. Z tyłu dymi piec opalany tanim drewnem balsa, które wydziela przykry, kwaśny zapach. Mężczyzna, który porusza się za stołem, to musi być Wick. Ma proste włosy i podniszczony, poplamiony krwią fartuch, wygląda młodo i zdrowo w porównaniu z ludźmi korzystającymi z jego usług, jego oczy są blade od pochłanianego krwawego żelaza. Skóra mi cierpnie, ale nie mam wyboru.

Po oczekiwaniu – długim jak wieczność, a jednak zbyt krótkim – przychodzi moja kolej, więc podchodzę do stolika. Starsza kobieta, która stała przede mną, odchodzi, potykając się o własne nogi i podtrzymuje obandażowaną rękę. Siadam przy stole na zdezelowanym stołku. Wick ignoruje mnie, strząsa z noża kilka kropli krwi na blat stołu, a potem wyciera ostrze do czysta gałgankiem.

Spoglądam na instrumenty do puszczenia krwi i przez moment zbiera mi się na wymioty. Napatrzyłam się na to w Crofton, ale teraz, kiedy widzę jak Wick trzyma nóż nad płomieniem lampki oliwnej, przygotowując go do przecięcia mojej skóry, rozumiem, dlaczego tata tak bardzo nalegał, żebym nigdy tego nie doświadczyła.

Kiedy Wick chwyta moją rękę i kładzie ją na stole, zaciskam wargi i przygryzam wewnętrzną stronę policzków. Caro podjęła dla mnie ogromne ryzyko. Chciała przynieść mi coś – cokolwiek – co należało do mojego ojca. Jakiś mały element wspomnień. W drobnym akcie sprawiedliwości.

To, co ją spotkało, stało się z mojej winy. Mam obowiązek ją ratować.

Spodziewam się, że Wick coś powie, postara się jakoś mnie uspokoić, ale on jest bardzo rzeczowy.

– Ile? – pyta.

– Co?

– Ile czasu chcesz wykrwawić? – powtarza ze zniecierpliwieniem.

– Czterdzieści lat. – Głos mi się załamuje przy tych słowach.

Na twarzy Wicka w pierwszej chwili maluje się szok, a następnie dezaprobata.

– Żartujesz – mówi. – Ile masz lat?

– Siedemnaście. – Całe życie przesuwa mi się przed oczami, siedemnaście lat wspomnień, bólu i tego wszystkiego, co uczyniło mnie taką, jaką jestem. Przez jedno tchnienie nie myślę o Everless, o Królowej, ani o niczym mrocznym, tylko o drobnych, bezcennych momentach czystej radości: o rączce Roana mocno trzymanej w mojej dłoni i o naszym dziecięcym, piskliwym śmiechu, o rozbawieniu Ammy, kiedy dawała kosza Jacobowi, o palcach taty pachnących węgłem, kiedy próbował poskromić gęstwinę moich włosów i o długiej wstążce.

Te wspomnienia pozostaną ze mną na zawsze – ale ile potrwa to zawsze? Ile chwil zostanie ze mnie zaraz wykrwawione, i ile czasu – jeśli w ogóle – we mnie zostanie?

– Muszę najpierw zmierzyć czas w twojej krwi. – Wick najwyraźniej dostrzegł w mojej twarzy determinację. – Nie życzę sobie, żeby ktoś padł trupem przy moim stole.

Bez słowa kiwam głową. Moje serce zaczyna szybciej bić, puls na nadgarstku i u nasady szyi wali szaleńczo, choć próbuję w miarę możliwości go uspokoić. Jakby krew bała się mnie opuścić. A Wick tylko potrząsa głową ze znużeniem i opuszcza nóż.

– Nie patrz – mówi.

Patrzę – jak mogłabym nie patrzeć? – głośno wciągam powietrze i wzdragam się, kiedy Wick kłuje mnie w palec czubkiem noża i łapie kroplę krwi do szklanej fiołki. Odwraca się, a ja obserwuję z pełną grozy fascynacją, jak grzebie wśród instrumentów walających się w nieładzie na blacie. Jedno z urządzeń składa się z małego szklanego naczynka zawieszzonego na druciku nad świecą. Wick zapala tę świecę, wlewa kroplę mojej krwi do naczynka i dodaje szczyptę zielonego proszku; oboje obserwujemy, jak syczy i dymi. Wick spogląda na zegarek u pasa, a ja zastanawiam się, czy robi to tylko na pokaz, czy może to prawdziwa alchemia.

Mieszanka proszku i krwi pali się niewielkim, równym płomieniem, jak główka zapalniczki. Wick obserwuje to z chłodnym profesjonalizmem, przenosi wzrok z płomyka na stoper i z powrotem. Ale sekundy płyną i w końcu opuszcza powoli stoper, a jego twarz pochmurnieje.

Nigdy w życiu nie widziałam określania zasobu czasu, ale wyraz twarzy lichwiarza świadczy, że coś jest nie w porządku.

– Co się dzieje? – pytam podniesionym głosem, próbując wyczytać coś z wyrazu jego twarzy.

Wick potrząsa głową.

– Daj rękę – mówi.

Z pewnym oporem wyciągam rękę, a on wyciska z mojego palca kolejną kroplę krwi. I powtarza cały proces mieszania krwi z proszkiem i podgrzewania ich w naczynku, aż staną w ogniu – z tym samym rezultatem. Obserwuje, kompletnie zdezorientowany, dwa płomyki, które płoną i płoną.

– Co się dzieje? – Mój głos brzmi jakoś słabo, jest pełen trwogi i frustracji. – Coś złego?

Wick wydyma wargi i zastanawia się.

– To powinno już dawno się wypalić – odpowiada w końcu. – W ten sposób można określić, ile czasu ci jeszcze zostało. Na przykład, jeśli wypali się błyskawicznie, to możesz mieć mniej niż rok.

To znaczy, że miałam mieć długie życie. Niewielka pociecha.

– Więc żyłabym długo. Mogę sobie pozwolić na czterdzieści lat. – Może odzyskam te stracone lata, a przynajmniej część z nich.

– Nikt nie może sobie pozwolić na czterdzieści lat. – Wick nadal wpatruje się w płomień świecy.

Kątem oka widzę starego mężczyznę, który przypatruje się nam z zaciekawieniem. Drzę, chciałabym być już z powrotem w murach Everless.

– Coś tu nie gra. – Wick wyciąga kieszonkowy zegarek i stuka paznokciem w jego szklaną powierzchnię. – To powinno już zgasnąć, nawet gdybyś miała żyć sto lat... Może coś jest nie tak z moim proszkiem. – Sięga po nowy zestaw instrumentów i zanim zdążę się zorientować w jego zamiarach, kłuje się nożem we własny palec. Nie zawraca sobie głowy fiolką, tylko wpuszcza kroplę krwi bezpośrednio do naczynka, wsypuje proszek i zapala świecę. Krew zaczyna płonąć.

Obserwujemy to z Wickiem, a ja liczę po cichu – *jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć* – przy *siedem* płomień gaśnie.

– Widzisz – zwraca się do mnie beznamytnie Wick. – Zostało mi szacunkowo piętnaście lat.

Nie wiem, jak na to zareagować – Wick najwyraźniej niezbyt przejmuje się terminem własnej śmierci. Zwracam spojrzenie na pojemniczek z moją krwią, która nadal się pali. Wick zaciska mocno usta, krzyżuje ramiona na piersi i przygląda mi się podejrzliwie, nieufnie. Kilka osób obecnych w kantorze zamiera w bezruchu i patrzy na nas.

– Nic nie rozumiem – mówię słabo. Czyżby on uważał mnie za jedną z Gerlingów, w których żyłach płyną setki lat? – Ja nie jestem... Ja jestem z Crofton. Nigdy nie

przyjmowałam czasu, ani razu.

Wick unosi brwi, mijają sekundy, coś w mojej twarzy sprawia, że łagodnieje.

– Może coś jest nie w porządku z moimi instrumentami – mówi z powątpiewaniem.

– Ale nadal możesz wysączać krew? – nalegam rozpaczliwie. Czy te czterdzieści lat zostało już wysączone z krwi Caro? – To dla mojej przyjaciółki. Ona jej potrzebuje.

– Mogę spróbować – odpowiada Wick po chwili. Przygląda się swoim instrumentom – bogatemu zestawowi noży i igieł, na widok których buntuje się mój żołądek – i wybiera krótki nóż, który wygląda jak wykonany z niebieskiego szkła. Następnie sięga po niewielki, cynowy kubek, który wygląda na pokryty patyną i starannie wyciera oba przedmioty gałgankiem.

– Wyciągnij rękę. – Posłusznie wykonuję polecenie i z nagłą wdzięcznością myślę o tym, że nie zjadłam rano śniadania. Żołądek mi ciąży.

Wick z ogromną wprawą przytrzymuje mój nadgarstek jedną ręką, a drugą robi długie, płytkie nacięcie na skórze. Ból pojawia się w sekundę później niż strużka krwi, palący jak cienka linia ognia. Wick podstawia kubek pod moją rękę i łapie do niego krew.

W miarę jak czerwień spływa do szkła, zaczynają opuszczać mnie siły – znacznie bardziej, niż wskazywałyby na to niewielka ilość krwi w kubku. Czuję, jak się starzeję, siedząc na tym koślawym stołku i obserwując w oszołomieniu, jak moja krew wypełnia kubek.

Kiedy jest pełen, Wick podnosi moją rękę do góry i odstawia kubek na bok, z potem sprawnie bandażuje mój nadgarstek. Muszę przytrzymać się drugą ręką stołu, żeby zachować pionową pozycję. W głowie mi się kręci, więc pozostaję na stołku, kiedy Wick przeprowadza całą procedurę transformacji, bo boję się wstać.

Byłam już świadkiem przekuwania krwi w żelazo, ale teraz ten proces zdaje się trwać całą wieczność. Z oszołomieniem przyglądam się, jak Wick przelewa do pojemnika na wadze moją krew, jasną jak rubin, nawet w takim słabym oświetleniu. Potem ostrożnie dodaje pełną łyżkę proszku – innego niż poprzednio, ten jest ciemny i błyszczący jak obsydian. Jak tylko proszek wchodzi w kontakt z moją krwią, cały pojemnik staje w ogniu, rozbłyska białym płomieniem. Fala gorąca owiewa moją twarz wraz z zapachem miedzi.

Płomień pali się jasno przez kilka długich chwil, a potem gaśnie. Wick przechyla pojemnik, żebym mogła zajrzeć do środka. Poprzez ciemność na skraju pola widzenia patrzę na jaskrawą ciecz na dnie pojemnika. Jest lśniąca jak olej, błyszcząca jak rtęć – gdyby rtęć miała czerwono-złotą barwę. Kiedy Wick porusza pojemnikiem, ciecz toczy się powoli jak miód. Czysty czas. Mój czas.

– Teraz odleję z tego monety – informuje Wick nieco uprzejmiej, widząc mój niepokój. Sięga po kolejny przedmiot, ciężki ołowiany blok, na którym dostrzegam odwrócone insygnia Królowej, symbol, który pojawia się na każdej monecie z krwawego żelaza bitej w Semperze. Na biurku Wicka znajdują się rozmaite formy monet z krwawego złota, od

maleńkich, cieniutkich monet godzinowych wielkości paznokcia na moim kciuku poczynając, aż po takie, jakie teraz bierze do ręki: formy do monet rocznych, o średnicy niemal tak dużej jak moja pięść.

Wick starannie wlewa trochę czasu do formy, a ja przyglądam się w oszołomieniu, zafascynowana, jak moneta na moich oczach nabiera kształtu, metal stygnie i zestala się już w trakcie nalewania. Blok mieści dziesięć foremek; Wick napełnia każdą z nich płynnym czasem. Dwukrotnie musi przerywać, żeby roztopić stygnący czas nad ogniem.

– Wróc później, to wysączę kolejne dziesięć lat – mruczy opryskliwie. – Nie chcę zrobić wszystkich na raz.

Pierwsza moneta zdążyła już całkowicie wystygnąć i wygląda jak krwawe żelazo, które widuję codziennie. Żołądek mi się wywraca na myśl o tym, że każda moneta, którą w życiu wydałam, wzięłam do ręki, czy której choćby dotknęłam, została okupiona takim cierpieniem, jakiego teraz doświadczam. Ktoś musiał siedzieć i patrzeć, jak życie wypływa z niego wraz z krwią, aby zamienić się w monetę, za którą można kupić cienki pasek suszonego mięsa, kufel piwa albo słomianą strzechę nad głową.

Kiedy wszystkie monety wystygły, Wick odwraca blok do góry nogami i potrząsa nim lekko, a świeże krwawe pieniądze z głośnym brzękiem wypadają na stół. Biorę jeden do ręki i przyglądam się, zafascynowana i pełna odrazy. Ten czas płynął w moich żyłach przez siedemnaście lat. A teraz znajduje się poza moim ciałem, a ja odczuwam osłabienie. Metal jest gorący w dotyku. Gdyby to nie było tak przerażające, byłoby piękne.

– Jak się czujesz? – pyta Wick, ale ja już odpycham się od stołu. Nie mogę – nie mam czasu, myślę ponuro – siedzieć w tym kantorze i rozmyślać o niesprawiedliwości życia. Bo może właśnie w tej chwili czterdzieści lat życia jest wysączane z Caro. Może jest umierająca, może już umarła. Przeze mnie. Dla mnie. Pójście do skarbcza to było coś więcej niż akt odwagi – czy głupoty – ze strony Caro. W głębi serca wiem, że to był akt najwyższej dobroci. Nikomu dotychczas tak bardzo na mnie nie zależało – poza tatą, oczywiście. A tata odszedł.

Muszę jej zanieść te krwawe pieniądze.

Na stojąco czekam, aż Wick zapakuje monety w kawałek materiału i poda mi pakunek. Nawet przez materiał czuję, że są jeszcze ciepłe.

Wick kładzie mi rękę na ramieniu.

– Tylko ostrożnie – mówi. – Straciłaś dużo czasu. Możesz zemdleć, albo i gorzej, jeśli się nadmiernie sforsujesz.

Przy gwałtownym ruchu kręci mi się w głowie, ściany zaczynają zamazywać mi się przed oczami. Ale muszę iść.

– Czuję się świetnie – udaje mi się wykrztusić, choć nieco niewyraźnie. – Nic mi nie będzie. – Strząsam jego rękę z ramienia i ruszam do wyjścia, ale uświadamiam sobie, że Wick może mieć rację, bo ta niewielka odległość do drzwi dłuży mi się jak cała mila. Ale

nie mogę siedzieć i czekać, aż odzyskam siły. Muszę iść. Dla Caro.

Niejasno uświadamiam sobie, że w plecy wbija mi się sęk drzewa i że czuję monotonne kołysanie, w górę i w dół, w górę i w dół. Przez moment wydaje mi się, że jestem na morzu, więc wyciągam rękę, żeby zanurzyć palce w wodzie – ale wtedy pojawia się nade mną jakaś zamazana twarz i czyjeś ramiona unoszą mnie w górę. Okazuje się, że to tylko wóz kupca, który podwiózł mnie do bramy Everless.

Mrugam oczami, oślepiona szarym światłem i przypominam sobie, że nigdy nie widziałam morza. I prawdopodobnie już nie zobaczę z uwagi na wysączany ze mnie czas – na razie tylko dziesięć lat, ale będzie więcej.

Idę do pokoju Caro – tak szybko, jak tylko pozwalają niepewne nogi.

Po wysączeniu dziesięciu lat z krwi człowiek czuje się trochę jak pijany, choć bez takiego przyjemnego szmerku w głowie jak po madelu. Zataczam się i opieram się ręką o ścianę, wstrząsana dreszczami. Kwatera dla służby wydaje mi się dziwna i przerażająca, pełna zakamarków i klaustrofobiczna. Czuję, że mijają mnie ludzie, służący jak ja, wypełniający swoje codzienne obowiązki, ale nie rozpoznaję ich twarzy. Omijają mnie z daleka, pewnie myślą, że jestem pijana. W blasku pochodni oświetlających korytarze ich długie cienie wyglądają jak potwory z koślawymi kończynami i ostrymi zębami, a wszystkie chcą mnie złapać.

Upadam, ktoś mnie podtrzymuje. Rodzi się we mnie nadzieja.

– Roan?

– Nie, kochanie. – Głos jest cichy, łagodny, podszyty słodyczą. Bea. Opieram się o nią. – Jesteś za dobra dla tego węża – słyszę jej głos, jak z oddali. Wąż. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że cofam się w czasie, zupełnie jak w pokoju wiedzmy. Czuję w nozdrzach zgniłą woń siarki i znajduję się w jakimś innym miejscu, ciemnym i ciasnym. Zimnym. Odór siarki znowu wywołuje u mnie falę mdłości. Ale miesza się z zapachem lawendy – to włosy Bei, włosy Bei, powtarzam sobie i próbuję przypomnieć sobie, gdzie jestem. Wyciągam do niej rękę, staram się odzyskać rozum i rozsądek. – A teraz powiedz mi, co zrobiłaś...

Czyj to głos? Bei, mówię sobie, to Bea mnie woła.

Co zrobiłaś? Pod wysokim, spanikowanym głosem Bei jest jeszcze inny – głębszy, zły, jakby ktoś mówił do mnie spoza jej ramienia.

Czuję, jak czyjeś palce odwracają mój nadgarstek. Słyszę gwałtowne wciągnięcie powietrza.

– Jules, ty chyba nie... nie zrobiłaś tego dla Caro, prawda? Jules!

Caro. To imię sprawia, że koncentruję się na Bei i Everless. Prostuję się, ale nadal trzymam się przedramion Bei. Ona patrzy na mnie szeroko otwartymi, pełnymi troski

oczami.

– Musisz odpocząć, Jules. Chodź do dormitorium...

– Nie. – Mój ostry ton sprawia, że Bea zaciska usta w twardą linię. Odsuwa się ode mnie.

– Muszę iść do Caro – wyjaśniam, zamiast powiedzieć przepraszam.

Bea zaczyna coś mówić, ale ja ruszam w kierunku apartamentu Królowej. Nie idzie za mną.

Jakoś udaje mi się wejść na korytarz na tyłach apartamentów Gerlingów i ich gości. Wiem, które z ciężkich, dębowych drzwi prowadzą do pokoju Caro. Wycieram pot z twarzy i robię co w mojej mocy, żeby trzymać się prosto. Wysoko unoszę głowę i mocno przyciskam woreczek z krwawymi pieniędzmi schowany pod płaszczem. Napieram dłońmi na drzwi. Przeszywa mnie ból, ale drzwi stoją otworem.

Komnata Caro sprawia ponure wrażenie. Zaciągnięte zasłony odcinają dostęp popołudniowego słońca, więc przytulny zazwyczaj pokój wydaje się pełen dziwnych, ruchomych cieni, rzucanych przez niewielki ogień płonący na kominku. Przez chwilę stoję zaskoczona, zastanawiając się, kto mógł zatroszczyć się o wzgardzoną podręczną – ale nagle spostrzegam leżącą w łóżku Caro. Jest pogrążona we śnie i drga przy każdym oddechu, obok niej stoi puste krzesło. Osuwam się na nie. Caro porusza się we śnie, ale nie budzi się.

Zastanawiam się, czy to możliwe, że już odebrali jej czas, tak szybko, natychmiast po skazaniu, ale odpowiedź jest jasna – wystarczy spojrzeć na jej ściągniętą twarz. A miałam nadzieję, że to potrwa trochę dłużej – że Caro, dzięki swej wysokiej pozycji u boku lady Gold, będzie miała proces i szansę udowodnienia swej niewinności. Albo że Królowa zainterweniuje w jej obronie. A przecież powinnam wiedzieć, że wymiar sprawiedliwości kapitana Ivana nie działa w taki sposób.

Ona jest młoda, powtarzam sobie dla uspokojenia. Czy mówiła, ile lat jej jeszcze zostało? Musiała mieć znacznie więcej niż czterdzieści, zanim tyle z niej wysączono. Ivan nie sprawdziłby, oczywiście, ile czasu pozostało w jej krwi, jak to zrobił Wick ze mną. Ivan nie przejmowałaby się tym, że *nikt nie może sobie pozwolić na czterdzieści lat*, przed czym ostrzegał mnie Wick. Po głowie chodzi mi jedna myśl: Caro może być w śmiertelnym niebezpieczeństwie, nawet w tej chwili. Młodzi ludzie wcale nierzadko wysączają z siebie czas w przekonaniu, że zostało go im jeszcze mnóstwo, po czym za rok nagle padają trupem, albo za miesiąc, albo następnego dnia.

Wyjmuję woreczek krwawych pieniędzy i kładę go na nocnym stoliku Caro.

– To dla ciebie – mówię, jakby mogła usłyszeć moje słowa wdzięczności i poczucia winy z powodu tego, jak bardzo jej na mnie zależało. – Dziesięć lat.

Caro, oczywiście, nie porusza się, nie reaguje. Ledwo oddycha. Dostaję gęsiej skórki. A jeśli ona umiera?

Nigdy dotąd nie konsumowałam czasu, ale dobrze wiem, jak ten proces powinien działać. Więc przechodzę przez pokój do półek Caro i wracam z małą buteleczką wina. Nalewam

wina do czajnika i podgrzewam nad ogniem. Po kilku minutach, kiedy zaczyna z niego unosić się para, aromatyczna i przyprawiająca o zawroty głowy, zdejmuję imbryk z ognia i stawiam na nocnym stoliku. Wrzucam trzy świeżo wytopione roczne monety do prostego, drewnianego kubka stojącego na stolyczku i zalewam je parującym winem, nie odrywając od nich zafascynowanego spojrzenia.

Kiedy metal wchodzi w kontakt z winem rozlega się syk, z kubka unosi się dym pachnący cukrem i popiołem. Rozcieram łyżką miksturę, a potem odstawiam kubek i delikatnie potrząsam ramieniem Caro.

Budzi się powoli, mruga oczami i drży, choć w pokoju jest gorąco i ciemno. Jej spojrzenie powoli koncentruje się na mnie.

– Jules. – W jej głosie słychać raczej zmęczenie, niż zaskoczenie. Podnosi się z wysiłkiem do pozycji siedzącej. – Jesteś tutaj.

– Przepraszam, Caro – szepczę żałośnie. Podaję jej parujący kubek z winem i krwawym żelazem. – Pij.

Caro powoli sięga po kubek, krzywi się przy każdym ruchu. Mnie ciągle jeszcze kręci się w głowie po utracie krwi i całe moje ciało jest obolałe, jakby było posiniaczone, więc wyobrażam sobie, jak ona się czuje po utracie cztery razy większej ilości. Jej nadgarstki nie są zabandażowane jak moje, Ivan musiał pobrać jej krew z zagięcia ramion. Wywraca mi się żołądek. Jej ręce są ukryte pod sukienką z grubego aksamitu, więc nie widzę znaków.

– Dziękuję, Jules – mówi Caro ochrypłym szepcem i pije.

Efekt jest natychmiastowy. Na białych policzkach Caro pojawiają się kolory, a palce mocniej zaciskają się wokół kubka w miarę picia wina zaprawionego czasem. Nawet jej sylwetka zdaje się zmieniać, plecy prostują się. Caro wzdycha, z jej ust wychodzi oddech mocniejszy niż poprzednio i przesuwa się na łóżku, żeby odstawić pusty kubek na nocny stolik.

Ale jej ręka zatrzymuje się nagle, zanim dosięgnie stolika. Palce wypuszczają kubek, który z łoskotem uderza o podłogę. Caro boleśnie łapie powietrze i podnosi rękę do gardła.

Pochylam się, puls bije mi coraz szybciej.

– Caro, co się dzieje? – Czyżbym domieszała do wina za dużo krwawego żelaza? Czy źle to zrobiłam?

Caro otwiera i zamyka usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Wygląda na to, że nie może oddychać; jej twarz wykrzywia ból, a ciało sztywnieje i zaczyna miotać się po prześcieradłach, wstrząsane konwulsjami, Caro dławi się i kaszle. Rozpaczliwie łapie powietrze, ale nie dociera ono do płuc. Jej twarz robi się szkarłatna, a oczy zdają się wychodzić z orbit.

Krztusi się.

– Caro! – słyszę swój krzyk. Panika ściska mnie za gardło. Jedną ręką obejmuję jej głowę, a drugą na siłę rozwieram jej szczęki. Coś błyszczący w jej gardle.

Dygocząc z przerażenia przechylam głowę Caro na bok i wkładam dwa palce do jej ust, ale Caro walczy ze mną, nie mogę dosięgnąć tego czegoś, nie mogę tego usunąć. Caro dostaje konwulsji, jej twarz czerwienieje coraz bardziej, słyszę swój głos, błagający Czarodziejkę o życie Caro, a wewnątrz krzyczę, żeby się pośpieszyła, wołam o pośpiech. Serce wali mi tak mocno, jakby chciało rozerwać żebra i wyskoczyć z piersi.

Oczy Caro wywracają się, a jej ciało wiotczeje w moich ramionach.

Cały świat milknie.

Zemdlała. Gwałtownie chwytam powietrze W pokoju zapada cisza – cisza głęboka, ciężąca jak kamień.

Podnoszę wzrok i krzyk więźnie mi w gardle.

Właściwie w pokoju nie zmieniło się nic, a jednak jest pełen grozy. Tiulowych firanek nie porusza najmniejszy podmuch, zastygły wydęte, jakby zmieniły się w lód. Płatek, opadający z róży stojącej w wazonie na toalecie, zawisł w powietrzu, w połowie drogi do podłogi.

Caro nie porusza się również – nawet w najmniejszym stopniu. Jej ciało jest sztywne jak posąg – jej pierś nie unosi się w oddechu, nawet nie drgnie. Włosy na moich rękach stają dęba. Nie wiem, czy ona żyje, czy umarła. Dostrzegam kropelkę potu lśniąca na jej policzku. Jest wydłużona, jakby miała skapnąć z kości policzkowej na podłogę. Ale nie spada. I nie spada. Dopiero kiedy strącam ją ręką, uderza o podłogę z chłupotem, który słyszę dzięki martwej ciszy panującej w pokoju.

Rodzi się we mnie pewność, zimna i przerażająca.

Coś złego stało się z czasem.

W tej ciszy, w tym bezruchu, z przyjaciółką leżącą bez życia w moich ramionach, czuję się taka samotna, jak jeszcze nigdy w życiu. Z piersi wyrывa mi się szloch, powstrzymywany dotychczas przez krążącą w żyłach adrenalinę.

Osuwam się na kolana przy łóżku i wypuszczam z ramion Caro – opada na poduszkę, ciągle jeszcze szkarłatna na twarzy, ale całkowicie nieruchoma. Deski podłogi skrzypią pod moim ciężarem, a materac prostuje się, kiedy przestaję go uciskać, ale poza tym wszystko w pokoju pozostaje w bezruchu, jakby trwało zatopione w szkle. To niesamowite wrażenie, jak z sennego koszmaru. Z oczu płyną mi łzy, gorące i szybkie. Już dawniej zdarzało mi się czuć, że czas zwalnia, ale nigdy nie zatrzymywał się całkowicie, nie powstawała taka upiorna sytuacja, że tylko ja jedna miałam zdolność poruszania się. A co jeśli utknę w czasie jak miasto Briarsmoor?

Strach rozjaśnia mi w głowie. Biorę głęboki oddech, żeby się opanować i wstaję z podłogi. Pochylam się nad Caro, łapię ją za ramię i biodro, i obracam na bok. Potem wchodzę na łóżko i – zgodnie z instrukcją Lory, jak należy ratować osoby, które się zadławiły – nasadą dłoni uderzam Caro między łopatki.

Nic się nie zmienia. Biorę się w garść i uderzam znowu, mocniej. I jeszcze raz, aż moja świeżo obandażowana ręka zaczyna boleć i krwawić.

Czwarte uderzenie przynosi efekt. Zachłystuję się powietrzem, wstrząśnięta i przepełniona ulgą, kiedy z ust Caro wypada złota kulka, z ciężkim łoskotem spada na podłogę i toczy się pod szafkę. Przez pot i łzy, które zalewają mi oczy widzę, że kulka jest większa od rocznej monety.

Do moich uszu dobiega dziwny, pełen wysiłku dźwięk – jakby urwane w pół łkanie. Odwracam głowę i widzę, że Caro wciąga do płuc urywany, bolesny oddech.

– Dzięki Ci, Czarodziejko – szepczę i pochylam się nad Caro. Oddycha ciężko, jej pierś unosi się z trudem, a na ustach ma krew, ale kolor jej twarzy zmienia się, powoli przechodzi z czerwonego w różowy. Pod ręką zaciśniętą na jej ramieniu wyczuwam bijący puls; mocny, żywy. Spoglądam na podłogę, na którą wykrztusiła złoty przedmiot. – Zadławiłaś się.

Szloch Caro cichnie. Patrzy na mnie przekrwionymi oczami. To coś więcej niż zaskoczenie, uświadamiam sobie, kiedy podąża za moim spojrzeniem skierowanym na podłogę – to podejrliwość.

Nie, coś innego – poczucie zdrady.

Nie rozumiem. Czyżby sądziła, że chciałam ją skrzywdzić?

Caro odrywa wreszcie spojrzenie od moich oczu i pochyła się, żeby podnieść kulkę z podłogi, ale jest zbyt słaba. Schylam się, zadowolona, że nie czuję już na sobie jej wzroku. Ale ta ulga szybko zmienia się w strach, kiedy pomyślę o tym, co znajdę pod szafką.

Kłękam na podłodze, żeby lepiej się przyjrzeć, ale również, aby ukryć twarz przed Caro. Na podłodze, idealnie czystej, jeśli nie liczyć śladów krwi i płwociny, leży złota kulka wielkości orzecha włoskiego. Nowe krwawe żelazo – to oczywiście, świadczy o tym połysk metalu – ale wygląda ono tak, jakby trzy monety, które rozpuściłam w winie zlały się w tę jedną kulę.

Powoli rodzi się we mnie poczucie, że biorę udział w grze, której zasad nie rozumiem. Złoty obiekt zarazem przyprawia mnie o mdłości i przyciąga równocześnie. Wyciągam rękę.

Kiedy zamykam kulkę w dłoni, nie jest gorąca, tylko przyjemnie ciepła, jakby leżała na słońcu. Jest gładka i zdaje się niemal pomrukiwać, jakby kryła we wnętrzu coś żywego. Jest ciężka i...

Gwałtownie wciągam powietrze, bo moje palce zagłębiają się w nią, jakby metal topił się pod wpływem dotyku. Upuszczam ją i cofam się chwiejnie.

– Weź ją do ręki. – Szept jest ledwo dosłyszalny, ale wyraźny.

Spoglądam na Caro, która z trudem przesuwa się na skraj łóżka. Twarz ma nadal zaczerwienioną i mokrą od potu, ale patrzy na kulę szeroko otwartymi, całkowicie przytomnymi oczami.

– Zobaczmy, co się stanie – dodaje, patrząc mi w oczy. W jej spojrzeniu pojawia się jakiś błysk, przejaw uczucia, którego nie potrafię zidentyfikować, ale zaraz opuszcza znowu wzrok na złotą kulę. Chcę protestować, odejść i schować się do czasu, aż odkryję, co tu się, na litość Czarodziejki, dzieje, ale Caro czeka. I żyje, na razie, a teraz tylko to się liczy.

Niechętnie wyciągam rękę i czubkiem palca dotykam złotej kuli.

Przez chwilę nie dzieje się nic. A potem powierzchnia zaczyna się zmieniać, mój palec zatapia się w niej, jakby metal topił się bez podgrzewania. Kiedy kula robi się całkiem miękka, półpłynny metal zaczyna przesuwać się w górę po moim palcu. Wstrząsa mną dreszcz, ale zmuszam się do pozostania w miejscu, nie odsuwam się, gdy dociera do kciuka, do wnętrza dłoni. Obie głośno wciągamy powietrze, gdy złote pasma pełzną w górę i znikają pod bandażem, którym Wick tak niedawno obwiązał mój nadgarstek. Jak ciepła woda ciekąca do góry.

Wkrótce kula całkowicie znika, a strugi płynnego metalu biegną po mojej skórze jak żyły.

– Zdejmij bandaż – mówi cicho Caro. W jej głosie jest coś takiego, co zmusza mnie do posłuszeństwa; odwijam zakrwawione płótno. Opada, odsłaniając nacięcie wykonane przez krwawcę, nadal świeże i wściekle czerwone, oraz cienki strumyczek złota – krwawego metalu – mojego czasu wsiąkającego w skaleczenie, z powrotem pod skórę, gdzie jego miejsce.

We wczesnych godzinach nocnych Caro – nadal trawiona gorączką, z kroplami potu spływającymi z jej ciemnych włosów po twarzy – żąda, żebym jej powiedziała *jak*. Jej głos jest ochrypliwy, bo gardło ma nadal pokancerowane odłamkiem mojego czasu, który w nim utkwiał. Powtarzam jej prawdę raz za razem: że nie wiem, że nie mam pojęcia, co sprawiło, że czas z mojej krwi zbuntował się przeciwko niej i wrócił do mnie. Nigdy czegoś podobnego nie widziałam i nie słyszałam o podobnym wypadku. Kładę siedem pozostałych rocznych monet na toaletce Caro, bo boję się ją nimi nakarmić i boję się mieć je przy sobie.

Kiedy chcę wyjść, żeby przynieść krwawe żelazo, które zachowuje się tak, jak powinno, Caro błaga, abym przy niej została. Po wielu godzinach zasypia wreszcie w moich ramionach, wtulona we mnie ze wszystkich sił, niczym dziecko. Czy mój krwawy metal pogorszył jej stan? Jest blada, ale jej puls bije równo. Zamykam oczy, wyczerpana ciężkim dniem i przekonana, że Ina wkrótce powróci i nam pomoże.

Kiedy tym razem pojawiają się sny, jestem zadowolona.

W ciemności przywołuję dziewczynę, której twarz kryje się w cieniu, ale wiem, że muszę stanąć w jej obronie, albo sama zginąć. Ona podchodzi do mnie z podniesionymi rękami. Wokół mnie koncentruje się przerażający świat: ciemna równina z czarną, wypaloną trawą, bez śladu życia w zasięgu wzroku.

Dziewczyna zbliża się, płomienie buchają z każdego miejsca, na którym postawi stopę. Płaszcz trzepocze za nią, czarny jak atrament, kaptur kryje jej twarz.

Umrę, myślę we śnie.

Dziewczyna zatrzymuje się w odległości dwóch ramion ode mnie. Wyciąga ręce, jakby o coś błagała. Jej szalony, szyderczy śmiech wzbija się w niebo i płynie z wiatrem.

Moja przyjaciółko, słyszę jej słodki, wysoki głos, który wydaje się dochodzić ze wszystkich stron. Nie ufasz mi?

Obraz znika, a ja siedzę na swoim łóżku, w naszej chacie w Crofton i patrzę na figurkę Czarodziejki należąca do mojej matki. Zaciskam rzeźbiony kamień w dłoni. Krawędzie są ostre i kłują – ale tym razem wiem, że śnię. Bezruch w pokoju przeraża mnie bardziej niż poprzednia wizja dziewczyny. Nie mogę oderwać oczu od posążka, patrzę i patrzę.

Nagle statuetka porusza się.

Otwiera usta i śmieje się.

Podnosi rękę do góry, rękę z nożem.

Budzę się gwałtownie. Leżę w łóżku Caro, kołnierzyk mojej sukienki jest mokry od potu i łez. Uderza mnie poczucie, że to znam. Na myśl przychodzi mi poza dziewczyny ze snu – lekko wychylona do przodu z wyciągniętymi przed siebie rękami. Zupełnie tak samo jak wizja z seansu u wiedźmy, kiedy byłam, maleńka, na rękach mężczyzny, który zatrzymał się przed posągiem Czarodziejki i zabrał z jej rąk kamień.

A potem ta sama kobieta, ale żywa, nie z kamienia.

I wreszcie znowu zamieniona w kamień, w statuetkę mojej matki.

Drzę, więc obejmuję się ramionami, żeby się rozgrzać. Czy właśnie to próbował ukryć przede mną tata – że coś mnie łączy z Czarodziejką?

Caro porusza się niespokojnie. Zauważam, że miotając się we śnie, zrzuciłam koc z nas obu i Caro leży odkryta do pasa. Podciągam pościel, żeby nas okryć i dotykam jej zimnych rąk. Chowając je pod koc, po raz pierwszy zauważam, jakie są białe...

Mój umysł zwalnia i zatrzymuje się. Caro została złapana koło skarbcza zaledwie poprzedniego dnia – a moje ręce po obieraniu mawy w piwnicy jeszcze przez wiele dni nie dawały się domyć do czysta.

Patrzę na jej ręce i zaczynam dygotać, ogarnia mnie konsternacja i strach.

Delikatnie, żeby jej nie obudzić, podwijam rękawy Caro – i drętwieję. Ani śladu wysączania czasu. Żadnego przecięcia. Żadnego bandażu.

Skłamała. Albo zrobił to ktoś inny. Cokolwiek spotkało Caro, to nie było to, o czym mi powiedziano.

Kłamstwo jest ciemne, mętne, niezrozumiałe, jak rzeka tak mulista, że nie widać dna. Krąży we mnie, gęste jak mój własny czas zmieniony w żyłach w płynny metal.

Linijka z notesu Liama, czy z moich snów albo z przeszłości, przedziera się do mojej świadomości, jakby przez cały czas drzemała w moich żyłach, aż wreszcie trafiła do serca.

„Wężu”, powiedziała Lisica. „Co ty zrobiłeś?”

To musi być jakaś pomyłka.

Wstaję z materaca, ostrożnie, żeby się nie poruszył, żeby Caro się nie obudziła. Po cichu wychodzę w pokoju, wstrzymując oddech.

Wzmocniona nowym-starym czasem we krwi, przemykam słabo oświetlonymi korytarzami. Pali się zaledwie kilka pochodni, utrzymując puste korytarze w upiornym półmroku, jedynymi dźwiękami są trzaskanie płomieni i moje własne niepewne kroki.

W głowie mi się kręci od natłoku myśli, ciężkich i oślepiających jak szlachetne kamienie, na które pada światło.

Oszustwo Caro.

Tajemnice taty, kłamstwa w dobrej wierze.

Szok wiedźmy, kiedy jej fałszywe zaklęcia na mnie podziały.

Czas, który przez całe życie zachowywał się przy mnie dziwnie.

Powtarzające się sny o dziewczynie, która mnie zabija i wszelkie inne sny, o ucieczce

przed niewyraźną postacią, które tata – a w końcu i ja – lekceważyliśmy jako senne koszmary nerwowego dziecka. Nawet oderwane słowa i obrazy z moich ulubionych historyjek z dzieciństwa, tych o Lisicy i Wężu – tych, które Liam zapisał w swoim notesie...

To wszystko jest ze sobą powiązane w jakiś pokrętny, skomplikowany sposób, na razie jeszcze nic nie jest dla mnie jasne. Odkrycie tego, jak wiele tata przede mną ukrył – i przez całe życie mnie okłamywał – to jak spojrzenie w dół i odkrycie, że zamiast solidnego kamienia mam pod stopami powietrze.

Muszę wejść do skarbcza. Muszę zobaczyć, o czym skłamała Caro i za co umarł tata.

Obracam gałkę w drzwiach i jak błyskawica wraca do mnie kolejna linijka opowiadki, linijka, która sprawia, że dostaję gęsiej skórki na całym ciele.

„Lisico”, powiedział Wąż, owijając się powoli wokół serca przyjaciółki. „Pora spojrzeć prawdzie w oczy”.

Kiedy idę w ciemności, wśród luster i portretów dawno zmarłych Gerlingów, dystans dzielący mnie od skarbcza zdaje się wydłużać, korytarze rozwijają się przede mną tak szybko, że nie nadążam, choć staram się przyspieszać kroku. Gałęzie drzew uderzają w okna, w oddali wyje wiatr, jakby sama zima obijała się o kamienne mury Everless, próbując znaleźć szparę, przez którą mogłaby sięgnąć do środka i wyciągnąć mnie na zewnątrz.

Caro nie weszła do skarbcza. Nie wysączono z niej krwi.

Jeszcze jest noc. Mijam dormitoria i słyszę jak kobiety – te, których służba rozpoczyna się najwcześniej, na przykład rozpalające ogień w kominkach Gerlingów, żeby arystokraci nie poczuli porannego chłodu – wstają z łóżek i ubierają się. Te odgłosy docierają do mnie jak ze znacznej odległości. Mój mózg i serce pracują na najwyższych obrotach, adrenalina wywołana snem krąży w moich żyłach, jakbym nadal spała, choć mam oczy szeroko otwarte.

Śpieszę do skrzydła, w którym znajduje się skarbiec, trzymając się w miarę możliwości korytarzy dla służby, a tam, gdzie to niemożliwe, idę nie podnosząc głowy, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Nie mam pojęcia, gdzie czai się Liam Gerling, jeśli nie śpi.

Kiedy staję w końcu przed drzwiami skarbcza, korytarz jest pusty i cichy, drobinki kurzu unoszą się w powietrzu, podświetlone światłem wpadającym przez wysokie okno wychodzące na trawnik. Stoję pod drzwiami i podnoszę wzrok; są masywne i lśniące, i ich widok uświadamia mi, jak mało mam siły. Drzwi są inkrustowane panelami z brązu biegnącymi pasem od środka do samego dołu, wyrzeźbionymi w dziwne kształty – ptaki i węże, i klejnoty sypiące się z kubków; a to wszystko przechodzi w dole panelu w sylwetki ludzkie, kobiety tańczące w jedwabnych sukniach i klaszczące w dłonie. Kiedy robię krok do tyłu i mrużę oczy, obraz zmienia się całkowicie, układa się w twarz, z której ust wypada klejnot w kształcie serca. To nasuwa mi myśl o Inie – ciekawe, co sobie pomyśli, kiedy wróci z podróży z Królową i Roanem i dowie się o ukaraniu Caro... oraz wszystkim, co stało się później.

Ostrożnie kładę rękę na drewnie. W dotyku jest twarde jak kamień. Popycham, ale nic się nie dzieje, nawet nie skrzypną. Cofam rękę, są czyste.

Pochyliam się i widzę serię maleńkich kółeczek zębatych wtopionych w rzeźbione drzwi na całej długości, jak guziki. Podążam wzrokiem za nimi i dostrzegam, że wzdłuż nich biegnie wąski, poplamiony krwią kanał, głębokości drucika. Zimny dreszcz przebiega mi po

kręgosłupie.

Liam powiedział, że drzwi wyciągają z człowieka krew, żeby się otworzyć, zabierają mu czas i nigdy nie wiadomo, jak dużo. Do dnia dzisiejszego za nic nie podjąłabym takiego ryzyka. Ale teraz bez wahania przykładam palec do panelu i dokładnie badam wzór.

Ścianki wąskiego kanału mają brązowo-czerwone plamy, nie ze starości. Na górze znajduje się niewielka rączka w kształcie ogona skorpiona wyłaniającego się z owocu, o kolcu ostrym jak brzytwa. Jego przeznaczenie jest oczywiste. Do opłaty krwi, opłaty, której nikt poza Gerlingami nie może zaryzykować. Okrutne i eleganckie. Zupełnie jak Gerlingowie.

Przesuwam opuszką palca wzdłuż kanału. Czy jest tu również krew taty? Gniew, strach, rozpacz – wzbierają we mnie równocześnie i robi mi się podwójnie niedobrze. Opieram głowę o drzwi i pozwalam sobie na jeden zduszony szloch, żeby rozładować emocje. Tata znał działanie tych drzwi – i wiedział, jak bliski był śmierci – ale uważał, że warto podjąć ryzyko.

Szybko przyciskam palec do kolca skorpiona, zanim się zdążę rozmyślić. Robi mi się gorąco i doznaję charakterystycznego, nieprzyjemnego uczucia wysączenia czasu z krwi. Przez moment odczuwam zawroty głowy, ale słabsze niż wtedy, gdy Wick wykrwawił ze mnie dziesięć lat.

A potem za drzwiami rozlega się kliknięcie. Naciskam drewnianą płaszczyznę i otwierają się bez oporu, a na moich rękach pozostają fioletowe plamy. Na chwilę ogarnia mnie podziw dla tego mechanizmu i jego twórcy – ale szybko mój zachwyt zamienia się w gniew. Wstępuję w ciemność, zostawiając maleńką szparę w drzwiach, żeby się nie zamknęły.

Powoli moje oczy oswajają się z mrokiem i w końcu dostrzegam kamienne schody oświetlone pochodniami, podobne do tych, które prowadzą do komnaty lady Sidy. Wspinam się i wspinam, aż wreszcie docieram na szczyt schodów. Jest pogrążony w ciemności. Cofam się, zdejmuję pochodnię z uchwytu i unoszę ją wysoko nad głowę.

Przez dłuższą chwilę nie dociera do mnie, co widzę. Stoję w pomieszczeniu z ciemnego kamienia, bez okien, z posadzką z błyszczących płyt. Ściany są zaokrąglone, bo to wieża, średnicy może dwudziestu kroków, za to bardzo wysoka, kiedy spojrzę w górę, widzę wyłącznie ciemność.

A to na podłodze to wcale nie są płytki. Cała posadzka pod moimi stopami jest dosłownie usłana krwawymi monetami rozmaitej wielkości i kolorów oraz innymi skarbami – kubkami ze srebra i złota, perłami i pierścieniami, nieoszlifowane drogie kamienie walają się po ziemi jak śmiecie. Na ścianach wiszą ceremonialne miecze, zardzewiałe, o ostrzach stępionych ze starości. Ale po śmierci taty pieniądze przestały mieć dla mnie znaczenie. Nie kusi mnie, żeby się schylić i nazbierać do spódnicy stertę miesięcznych i rocznych monet, co dawniej mogłabym zdobić. Rozglądam się za czymś, co przyciągnęłoby mój wzrok, za czymkolwiek, co przypomniałoby mi tatę i pozwoliło zrozumieć, dlaczego tutaj przyszedł, za co umarł –

i skończył z niczym.

Rozczarowanie ściska mnie za gardło, ciężkie, gorzkie i duszące.

Ale w tym momencie coś przyciąga moje spojrzenie – na jednej z półek stoi książka, która robi wrażenie bardzo starej. Podchodzę bliżej, roztrzając stopami krwawe żelazo. Nie widzę najmniejszego powodu, dla którego w skarbcu miałyby znajdować się jakaś książka – wśród monet o wartości kilkuset okresów życia i rozmaitych innych skarbów. Z mocno bijącym sercem otwieram książkę i uderza mnie znajomy zapach – słomy, metalu i dymu z węgla drzewnego. Na wewnętrznej stronie okładki nie ma żadnego druku, tylko słowa nakreślone nieznanym mi, pochyłym charakterem pisma: *Antonia Ivera*.

Nie znam tego nazwiska, ale porusza ono coś we mnie, coś głęboko ukrytego.

Obok znajdują się drobne strzępy papieru oddartego od oprawy. Wpatruję się w ten ślad wyrwanej kartki jak porażona, wyciągam z kieszeni portrecik swojej matki – zawsze go tam noszę – i przykładam. Pasuje idealnie.

I już wiem. Mój ojciec umarł dla tej książki.

Wokół słów – wokół tekstu na *każdej* stronicy – są niewielkie rysunki, spirale i esy-floresy, drzewa i leśne zwierzęta. Wiem, skąd się tam wzięły.

Ja je narysowałam.

Wracają do mnie wspomnienia: siedzę na kolanach taty – zanim jeszcze ciemność wkroczyła w nasze życie, przed wypadkiem – a on swoim głębokim, melodyjnym głosem czyta mi historię o wężu i lisicy; a potem wykradam książkę i leżąc na swoim posłaniu robię swoje znaczki na każdej stronicy, przeciwko czemu tata jakoś nigdy nic nie miał. Trzymając teraz w rękach tę książkę, czuję się tak, jakbym odzyskała kawałek taty – a nawet samej siebie, tamtej innej Jules, która nigdy nie skłamała, nie zaznała głodu, nie tęskniła za rodzicami, ani nie dobijała straszliwego targu.

Wracam do pierwszej strony i zaczynam czytać linijki zapisane charakterem pisma Antonii Ivery – ale atrament zdaje się spływać z kartki i unosić się wokół mnie. Ciemność zasnuwa moje oczy. Nie potrafię określić precyzyjnie, w którym momencie rzeczywistość ustąpiła miejsca snom, ale po przeżyciach u więdźmy wiem, czego się spodziewać, więc pomimo przerażenia staram się przed tym nie zamknąć. Stoję bez ruchu i otwieram szeroko umysł na wszelkie doznania, pozwalam, by wizje – wspomnienia – swobodnie się przeze mnie przetaczały.

Przed moimi oczami pojawia się dziewczynka, ale znacznie młodsza, jej twarz zasłaniają ciemne włosy. Siedzi pod ścianą, w słabym świetle świecy i obejmuje ramionami kolana. Ciężkie, żelazne kajdany otaczają jej nadgarstki. Kryje twarz w dłoniach.

– Nigdy stąd nie wyjdziemy, prawda? – Jej głos jest znajomy, jak bicie własnego serca.

Odwracam się twarzą do niej, ciężkie kajdany na moich własnych kończynach pobrzękują. Ale wyciągam do niej rękę. Dotykam jej ramienia.

– Wyjdziemy – mówię jej. – Mam pomysł.

I naprawdę mam. Błyska mi w głowie, tuż pod powierzchnią, ale jeszcze niewyraźny, jak kamyki na dnie rwącej rzeki.

A potem – światło świecy. Pod moją ręką leży książka, w palcach trzymam proste pióro. Niejasno zdaję sobie sprawę, że boli mnie ręka i spostrzegam plamkę krwi w rogu kremowej kartki. Skórzana okładka książki jest nowa – jeszcze niemal czuję ciepło zwierzęcej nory – ale wiem, że to ta sama książka, którą trzymam w rękach, trzęsąc się w skarbcu Gerlingów. To sprowadza mnie na ziemię; spoglądam na swoją własną rękę, kreślącą gorączkowo litery, jakbym patrzyła na nią z oddali. Spod stalówki spływa znana mi nazwa: *Briarsmoor*.

Briarsmoor. Jedyne słowo, które ma jakiś sens, więc czepiam się go.

I biegnę, biegnę przez stary las, gałęzie biją mnie po twarzy, korzenie zdają się chwycić mnie za kostki. Za sobą słyszę ujadanie psów myśliwskich i okrzyki łowców, wyczuwam gniew dziewczyny i głód, wieczny, nieuchronny głód. Przed sobą mam miasto, widzę rozległe zielone trawniki i posąg Czarodziejki na skwerze. W tym mieście jest wszystko, co kocham. *Briarsmoor*, szepcze mi do ucha jakiś głos. Jeśli zdołam tam dotrzeć, uratuję ich wszystkich, uratuję siebie.

Przeżalenie łączy się w moim sercu z dojmującym żalem i poczuciem zdrady. Każdy krok, każde uderzenie serca, każdy oddech brzmi tak samo: mój przyjacielu, mój przyjacielu, mój przyjacielu. Co ty zrobiłeś?

Potem dociera do mnie inny dźwięk, spoza świata wizji. Unoszę powieki, jeszcze ciężkie od obrazów i przez chwilę nie potrafię zrozumieć, dlaczego leżę na boku na posłaniu z krwawych pieniędzy, a szlachetny kamień wbija mi się boleśnie w policzek.

Ale odgłos kroków na kamiennych schodach przywraca mi czujność. Dźwigam się do pozycji siedzącej, gdy klatkę schodową rozjaśnia blask pochodni i widzę na ścianie cienie mężczyzn. Słyszę głosy. Strażnicy Everless.

Zostawiłam na dole otwarte drzwi, każdy mógł to zauważyć. Co za głupi postępek, co za głupia śmierć.

Kiedy strażnicy stają w progu, zakrywam oczy rękami, bo mój spanikowany umysł upiera się, jak umysł dziecka, że jeśli ja ich nie będę widziała, to oni nie zobaczą mnie. Zapada cisza, wzdragam się i czekam na krzyki, przesądzające o moim losie, na ręce, które spadną na mnie i wywloką mnie ze skarbcza.

Ale nic takiego nie następuje. Opuszczam dłonie i patrzę na mężczyznę, który stoi w progu, w jednej ręce trzyma wysoko uniesioną pochodnię, a drugą zaciska na rękojeści miecza. Ale jest – nieruchomy. Nie oddycha, nie mruga oczami; płomień pochodni również się nie porusza. Wzory malowane światłem i cieniem na ścianie za jego plecami są również upiornie nieruchome – jakby ktoś namalował na kamieniu ogień i mrok.

Nie tracę czasu na zastanawianie się nad tym, co widzę. Skradam się po dywanie pieniędzy i obchodzę mężczyznę dookoła, sztywna z napięcia. Przemykam obok trzech innych strażników stojących za nim na schodach, uważając, żeby nie otrzeć się przypadkiem

o żadnego z nich, a potem właściwie rzucam się w dół po schodach i wypadam na korytarz. Za mną rozlega się hałas.

Dopiero kiedy jestem na trawniku, w połowie drogi do stajni, uświadamiam sobie, że zostawiłam w skarbcu książkę.

Wiatr wdziera się pod mój płaszcz i mrozi mnie aż do szpiku kości. Klacz, na której siedzę, galopuje ciężko pustą drogą, spod jej kopyt wylatują kamienie. Całe moje ciało jest obolałe – powinnam wstrzymać się odrobinę i skonsumować przed wyjazdem krwawe żelazo, którego nie mogłam dać Caro – ale pragnienie wydostania się z Everless okazało się silniejsze. Nie było mi łatwo choćby wdrapać się na koński grzbiet, czy trzymać się prosto, kiedy okłamywałam strażników przy bramie, ale pośpiech i strach dodały mi niesamowitej energii.

Teraz, kiedy adrenalina odpłynęła, ogarnia mnie takie zmęczenie, że obawiam się, iż zasnę na końskim grzbiecie, pomimo wstrząsów podczas jazdy i mroźnego powietrza owiewającego moje ramiona i szyję. Ale jakimś cudem udaje mi się kierować klaczą. Nagle, po upływie jak mi się zdaje zaledwie kilku minut, koń staje jak wryty.

Po obu stronach drogi rozciągają się puste pola, nietknięty śnieg lśni w blasku księżyca. Jakieś sto metrów przed nami znajduje się skupisko opuszczonych budynków, rozrzuconych bezładnie po obu stronach drogi. Ale te domy są jakieś dziwne – połyskują lekko w księżycowej poświacie, a śnieg wygląda jak opar unoszący się latem, zupełnie jakby pomiędzy nami a wioską wisiał w powietrzu obłok pary. Budynki zdają się jarzyć, choć okna są ciemne, a ulice opustoszałe.

Klacz nie reaguje na żadne zachęty, nie chce zrobić ani kroku dalej. Tańczy nerwowo, bije kopytami o zmrożoną ziemię i rzuca łbem. Rozumiem dlaczego – z widniejącego przed nami Briarsmoor emanuje zło. Ja również zaciskam zęby i walczę z pragnieniem, by odwrócić się i uciec.

Resztę drogi muszę przebyć na piechotę. Przywiązuję konia do słupka przy drodze, zarzucam torbę na ramię i zwracam się w stronę Briarsmoor, próbując opanować strach. Rzucam jeszcze ostatnie, zatroskane spojrzenie za siebie i ruszam.

Droga do miasteczka okropnie się dłuży, a dziwne migotanie wokół Briarsmoor przybiera jeszcze na sile, kiedy się zbliżam. Kiedy docieram na miejsce, zniekształcenie jest już tak duże, że budynki rysują się na tle nieba jak bezkształtne bryły, zupełnie jakbym patrzyła na świat przez zaparowane okno. Moje przerażone serce zaczyna mocniej bić. Wszystko wokół robi złe wrażenie, ale nie ma już dla mnie odwrotu – wyciągam rękę w stronę zasłony oddzielającej Briarsmoor od świata zewnętrznego. Ciepło rozchodzi się od mojej ręki, ale nic innego się nie dzieje, więc przechodzę przez tę kurtynę.

I zaczynam gwałtownie mrugać oczami, nagle oślepiła słońcem.

W głowie mi się kręci, kiedy rozglądam się dookoła. Jeszcze przed chwilą miałam nad głową nocne niebo usiane gwiazdami; teraz niebo jest jasne, szaroniebieskie, a blade, zimowe słońce leciutko rozgrzewa moje policzki.

Opowieści o Briarsmoor okazały się prawdziwe.

W pierwszej chwili nie widzę nic, potem moje oczy przyzwyczajają się powoli do światła dziennego. Oślepiające słońce blednie i dostrzegam to, co zostało z miasta: ospowata drogę, ziejącą dziurami po brakujących kamieniach brukowych, walące się domy, ciemne okna z wybitymi szybami. Odwracam się za siebie i zerkam na tę samą zasłonę odgradzającą mnie od reszty Semperry, z tej strony wygląda jak kurtyna z najcieńszej gazy. Za nią dostrzegam tylko słaby zarys ciemnego, zaśnieżonego horyzontu, przeciętego długą, białą-szarą linią drogi.

Dostaję gęsiej skórki na całym ciele. Słuchanie opowieści pracownika sierocińca o miejscu, które pozostało dwanaście godzin w tyle za resztą świata to jednak zupełnie co innego niż doświadczenie tego na własnej skórze. Wiatr hula w pustych domostwach.

Nie wiem, co teraz robić, więc zaczynam obchodzić miasteczko dookoła. Nie jestem pewna, czego właściwie szukam – posągu, księgarni, jakichkolwiek śladów życia. Ale nigdzie nie widzę najmniejszego śladu istot ludzkich, wszystko chyli się ku upadkowi, opuszczone od lat. Drzewa wdzierają się przez połamane okna. Dachy walą się pod ciężarem śniegu. O mało nie przewracam się o resztki połamanego i spróchniałego krzesła.

Kiedy spoglądam w dół, widzę wszędzie pamiątki dawnego życia, częściowo ukryte pod śniegiem – kawałki mebli, potłuczone talerze i miski, zabawki i książki zmienione nie do poznania, nasiąknięte wilgocią i zniszczone przez czas. Pamiętam, co pracownik sierocińca mówił o szabrownikach w okresie kryzysu i serce mi się ściska na myśl o podobnym chaosie.

Moją uwagę zwraca jakiś ruch na niebie. Podnoszę wzrok i widzę cienką smugę dymu wzbijającą się w górę z centrum miasteczka. Wstrzymuję oddech. Jaki człowiek mógłby przebywać w takim miejscu?

Cóż, ty również jesteś tutaj, przypomina mi oschły głos wewnętrzny. Z pewnością opuszczone Briarsmoor niejednokrotnie nawiedzali wszelkiego rodzaju zbieracze i szabrownicy przeszukujący śmietniki. Może to nic ważnego. Ale nawet jeśli – to z pewnością nie dowiem się niczego o swej przeszłości, jeśli będę łąziła po obrzeżach miasteczka. Choć rozglądałam się na wszystkie strony, nie dostrzegłam posągu przypominającego ten z moich snów.

Więc prostuję ramiona i ruszam w stronę dymu.

W końcu docieram do niewielkiego domku, który wygląda na nieco mniej zrujnowany od sąsiednich. Z komina unosi się w niebo jasny dym. Przed drzwiami jest niewielki placzyk oczyszczony ze śniegu. Nie daję sobie czasu na wahania, podchodzę do drzwi i pukam.

Następuje długa, długa pauza. Potem słyszę kroki – powolne, lekkie, pełne wahania.

Drzwi otwierają się.

Sama nie wiem, kogo spodziewałam się zobaczyć, ale kobieta, która staje w drzwiach, wygląda zupełnie zwyczajnie, jak każda gospodyni z Crofton, czy innej wioski: ma długie, brązowe włosy splecione w warkocz odrzucony na plecy, jej twarz i ręce są zniszczone warunkami atmosferycznymi, a domowej roboty sukienka wisi jak worek na chudym ciele. Jest chyba w wieku taty, może trochę młodsza.

– Kim jesteś? – pyta. Tylko przez moment robi wrażenie zaskoczonej widokiem obcej osoby stojącej na progu jej domu, ale szybko na jej twarzy pojawia się przyjazny uśmiech. – Dzień dobry.

– A...ach... – jękam, zanim uda mi się odzyskać głos. – Jules. Jules Ember. Szukam... informacji. Sądzę, że moja rodzina kiedyś tutaj mieszkała.

Kobieta wpatruje się przez chwilę intensywnie w moją twarz.

– Wejdz – mówi w końcu.

Wchodzę za nią do środka, przyciskając torbę do piersi. Na palenisku pali się słaby ogień, nad nim gotuje się woda w czajniku. Pod jedną ze ścian piętrzy się sterta skór, a suszone mięso i zioła zwisają z sufitu. Jak długo ta kobieta mieszka sama w opuszczonym mieście?

– Mam na imię Rinn – mówi, siadając przy stole z surowego drewna i wskazując gestem, żebym zrobiła to samo. – Mieszkam tutaj. Zawsze tu mieszkałam.

Nie wygląda na to, żeby pomieszały się jej słowa – w jej głosie nie wyczuwam niepewności, ani zająknięcia. Brzmi raczej tak, jakby coś wyłapywało jej słowa z powietrza i szyfrowało je, zanim dotrą do moich uszu.

– Witaj – mówię łagodnie. – Myślałam, że Królowa nakazała ewakuację tego miasta.

Rinna uśmiecha się.

– Ale kto w tym całym zamieszaniu mógłby zauważyć brak jednej kobiety? – odpowiada.

– Chyba że ściągnie go ogień. – Mówi to tak, jakby płomienie mogły w każdej chwili wyskoczyć ze swoich ram, dzikie i żarłoczne. I, o ile wiem, rzeczywiście mogą.

Coś dziwnego dzieje się z mim żołądkiem.

– A co z twoją rodziną?

– Mój syn umrze. – Głos Rinn brzmi rzeczowo, ale wyczuwam w nim podskórną nutę smutku. – Jest chorowity i... i to będzie dla niego za wiele. Inna kobieta zostanie ze mną. Ale ona dostała gorączki i umarła.

– Tak mi przykro. – Z trudem przełykam ślinę, przerażona myślą o takiej samotności. Patrzę na Rinn i staram się zobaczyć świat jej oczami – i zrozumieć jej dziwny język, zawieszony między przeszłością i przyszłością. Może czas wokół niej również się rozpadł, podobnie jak całe miasteczko. – A od jak dawna jesteś tu sama? Jak przetrwałaś?

Rinn wzrusza ramieniem.

– Poluję, hoduję, robie przetwory. A ludzie tu wpadają, jak ty. Więc nie jestem taka samotna. Herbaty?

Kiwam głową, zaskoczona, a Rinna wstaje i krząta się wokół czajnika.

– Przyjdiesz dzisiaj na festiwal? – woła przez ramię.

Upadam na duchu. Dzisiaj nie ma żadnego festiwalu – nie może być. To miasto duchów, miasto na zawsze zawieszone w czasie. Rinn podaje mi kubek, a ja biorę łyk herbaty i wstrzymuję się przez chwilę z wyjaśnieniami, nie chcę zniszczyć jej iluzji.

– Jeśli mogę. Ale przyszedłam tu z innego powodu. Urodziłam się tutaj – mówię powoli. – Szukam... – Robię pauzę, prawda z trudem przechodzi mi przez usta. – Zostałam rozdzielona z rodzicami. Zupełnie ich nie pamiętam. – Grzebię w pamięci, żeby przywołać wizję o Briarsmoor, o krwi, krzyczącej kobiecie i mężczyźnie, który mnie zabrał. – Pamiętam trawnik i posąg Czarodziejki, trzymającej w rękach kamienie, o tak. – Pokazuję, łącząc dłonie na stole, po czym, zawstydzona, pozwalam im opaść. – Przepraszam. Wiem, że zapamiętałam dość dziwne rzeczy.

Wzrok Rinn, wbity we mnie, staje się jeszcze bardziej intensywny.

– Wiem, czyj to dom: rodziny Morse'ów, kupca i jego żony. Naomi Morse.

Ogarnia mnie rozczarowanie, a potem frustracja – kim jest Antonia Ivera?

– Naomi, jej mąż, siostra i ich dzieci, wszyscy mieszkają w starym dworze na zachód stąd, na skraju miasta – kontynuuje Rinn. Przechyliła głowę na bok i przygląda mi się tak, jakby desperacko próbowała rozpoznać moją twarz. – Jestem akuszerką Naomi.

Serce mi się ściska z powodu języka, jakim posługuje się Rinn – sugerującym, że oni wszyscy nadal żyją. Obejmuję palcami brzeg krzesła, serce bije mi coraz szybciej i staram się nie rezygnować z nadziei. Jej mózg mógł wpaść z zawirowania czasu.

– Możesz mi powiedzieć, gdzie jest ten dwór? Myślę, że... bardzo chciałabym się tam rozejrzeć.

Rinn mruga oczami.

– Kochanie – mówi po chwili. – Ten dom się pali.

– Pali się? – powtarzam ze ściśniętym żołądkiem.

Rinn przykrywa brązową ręką moją dłoń, w jej szeroko otwartych oczach dostrzegam nagle szaleństwo.

– Musimy iść – mówi. – Musimy...

– Rinn. – Kładę rękę na jej ramieniu. – Żaden dom nie stoi w ogniu.

– Jules, powiedziałaś? – Rinn wydaje się spokojniejsza. – Naomi Morse, no... powiadają, że ona jest czarownicą. Taką prawdziwą.

– Więc spalili jej dom? – Gardło mam tak ściśnięte, że z trudem wydobywam z siebie słowa. – Zabili ją?

Rinn potrząsa głową.

– Naomi umiera – mówi. – Widzę to. Powiedziałabym, że to miłosierdzie – jej siostra, mąż, ich dzieci – oni wszyscy umrą w ogniu. W końcu wszyscy pomrzemy, ale mnie nie zabierze ogień. Tylko ona. – Głos Rinn przechodzi w szept.

– Jaka ona? – Obejmuję palcami swój kubek, zaciskam je wokół twardej gliny. – Kim ona jest?

Rinn patrzy na mnie, mruga oczami.

– Dom się wali. Musimy wyjść na zewnątrz.

Jej oczy robią się dalekie, szkliste, jakby na moment zapadała się w przeszłość. Potem łzy napływają jej do oczu. Pochyliła głowę, stary-ale-świeży ból zasnuwa jej twarz – i ja odczuwam go również, ku swemu zaskoczeniu. Pamiętam krzyki, niewyraźne twarze zgromadzonych wokół łóżka, taką mam wizję. Jeśli moje domysły są słuszne, to Naomi Morse była moją matką, a niewyraźne twarze należały do mojej ciotki i kuzynów. Wszyscy oni dawno umarli.

– Czy znałaś mojego... Czy znałaś męża Naomi? – pytam schrypniętym głosem, w ostatniej chwili powstrzymuję się przed powiedzeniem *mojego ojca*. Tata jest moim prawdziwym ojcem, choć nie z urodzenia.

– Ezra jest dziwny – odpowiada w końcu Rinn. – Pojawia się na drodze pewnego dnia w płaszczu podróżnym, z torbą nowiuteńkich krwawych monet. Nigdy nikomu nie powie, skąd przyszedł – nie jestem nawet pewna, czy Naomi wie. – Rinn pociąga łyk herbaty i uśmiecha się ze smutkiem. – Krążą na jego temat różne pogłoski.

– Jakiego rodzaju pogłoski? – Palce zaczynają mnie boleć, tak mocno ściskam kubek, ale nie mogę się zmusić, żeby go wypuścić.

– Że ma obsesję na punkcie czasu. I czarnej magii. Pójdzie z wizytą do tawerny, albo do domu przyjaciela i... wieczór trwa dłużej niż normalnie. Ludzie powiadają, że on dodaje skażone krwawe żelazo do ich herbaty. Mnie to się przytrafi kilkakrotnie, kiedy Ezra i Naomi wpadną z wizytą. Jemy i śmiejemy się przez, jak się zdaje, wiele godzin, ale kiedy wychodzą ode mnie i popatrzę na zegar, to widzę, że minęła zaledwie godzinka, czy dwie. – Rinn śmieje się do siebie. – Przy nim ludzie czują się niepewnie – on ma rozmaitych dziwnych bożków. I źle mówi o Czarodziejce.

Biegają po mnie dreszcze, całe moje ciało płonie.

– A dziecko? – pytam bez tchu, zapominając o takcie.

Twarz Rinn mrocznieje, radosne wspomnienia z wizyt Ezry i Naomi pryskają jak przekłuty balonik, zniszczone potwornością tego, co nastąpiło potem.

– Dziewczynka urodzona z kamykiem w ustach – mówi w końcu. Przed oczami miga mi twarz Iny. – To omen. Ludzie są przerażeni, uważają, że dziecko jest przyczyną wszystkiego... – Spogląda w dół, na swoje ręce.

Zaczynam szybciej oddychać, kręci mi się w głowie, jakbym wisiała nad krawędzią klifu. Ina urodziła się z kamykiem w ustach. Wszyscy o tym wiedzą. Ale jeżeli dom z moich snów był moim domem, jeśli Naomi była moją matką...

– Kilkoro z nas, przyjaciół Naomi, pójdzie do domu... do tego, co z niego zostało – po pożarze. Chcemy pogrzebać Morse'ów, zanim wszyscy opuszczą miasto. – Następuje długa

pauza. – Królowa... – podejmuje w końcu Rinn. – Królowa jej chce.

– Kogo? – pytam ledwie dosłyszalnie.

– Dziecka – odpowiada Naomi. Na jej twarz wypływa powoli smutny uśmiech. – Ale brat Naomi na to nie pozwoli. – Podnosi na mnie oczy, okrągłe z przerażenia. – Musimy dać mu czas na ucieczkę.

– Komu? – pytam. – Bratu Naomi?

Rinn kiwa głową.

– Kowalowi.

Wstrzymuję oddech.

– Pehrowi?

– W tym rzecz, on...

Nie mam czasu, żeby zastanowić się nad tą rewelacją, bo twarz Rinn wykrzywia ból, kobieta krzyczy i kładzie rękę na sercu. Rzucam kubek i podbiegam do niej. Z bliska wyczuwam w jej oddechu zapach rumianku i widzę plamę na jej sukience.

Rinn czepia się mnie.

– Tę drugą, weź tę drugą – dyszy.

– Jaką drugą, Rinn?

– Bliźniaczkę. Ale... ale... już za późno. Ona ją zabiera...

Jej głos cichnie, Rinn wypuszcza moje dłonie. Widzę czerwoną plamę wykwitającą nad jej sercem. Powoli, ostrożnie odsuwam grubą wełnę sukienki od jej piersi.

Jej ciało zostało rozcięte na dwoje, wokół znamienia widzę ciemnofioletowy kolor, tak dobrze mi znany – mawa, królewski znak śmierci. Krew płynie z rany, świeża i obfita, jak w dniu, w którym ją otrzymała.

Kiedy Rinn nieruchomieje, jeszcze przez dłuższą chwilę trzymam jej ciało, zbyt przerażona i wstrząśnięta, by się poruszyć. Jej krew grzeje moje kolana i wsiąka w szczeliny między deskami podłogi. W końcu jestem w stanie położyć ją na ziemi. Wstaję, roztrzęsiona, żeby poszukać prześcieradła do przykrycia jej ciała – a potem uciec z tego miasta i już nigdy, przenigdy do niego nie powrócić.

W momencie kiedy odwracam się do niej plecami, jakiś dźwięk z tyłu sprawia, że z gardła wyrywa mi się okrzyk przerażenia. Odwracam się i widzę, że Rinn siedzi prosto i patrzy na mnie z wyrazem zdumienia na twarzy.

Jej sukienka jest cała i czysta, choć moja jest nadal przesiąknięta jej krwią.

– Cześć – mówi. – Kim jesteś?

Gdy ponownie przekraczam granicę między miastem Briarsmoor a resztą świata, w jednej chwili zapada ciemność – pogodne, chłodne zimowe popołudnie zmienia się w mroźną noc tuż przed świtem. Przez moment chwiję się na nogach, nagła zmiana powoduje zawroty głowy. Istota ludzka nie jest stworzona do takich podróży w czasie, więc dopada mnie fala mdłości. Kiedy mój wzrok przyzwyczaja się do ciemności, dostrzegam klacz, która czeka na mnie przywiązana do palika przy drodze.

Koń rży z wdzięcznością, kiedy zawracam w stronę Everless tą samą drogą, którą przyjechałam. Żałuję, że nie mogę podzielać tego czystego szczęścia zwierzęcia.

W uszach wciąż dźwięczą mi słowa Rinn. Na sukience mam nadal plamy jej krwi, krwi, którą ona przelewa od siedemnastu lat. Kiedy odzyskałam głos, błagałam, żeby wyjechała ze mną, myślałam, że zdołam ją wyrwać z pętli czasu, w której uwięzła – ale kiedy stanęła na progu swego domu, jej oczy stały się zamglone i zdezorientowane. Próbowałam wyciągnąć ją na zewnątrz, ale zaczęła krzyczeć i przestała dopiero, kiedy puściłam jej nadgarstki i odeszłam.

Umierała i umierała, i umierała, wciąż od nowa. Byłam głupia, sądząc, że zdołam ją ocalić przed działaniem tak potężnej magii. Moje serce płacze z żalu nad Rinn, nad tym miastem. Nad rodziną, której nie poznałam, teraz zamienioną w popiół.

Ale nade wszystko pochłania mnie prawda, która powoli zaczyna nabierać wyraźniejszych kształtów. Moje myśli krążą nieustannie wokół Ezry Morse'a – człowieka, który spowalniał czas, kiedy był szczęśliwy. A kiedy jego żona rodziła dziecko, zatrzymał czas całkowicie, tak samo jak wczoraj ja, kiedy Caro znalazła się w niebezpieczeństwie.

Pehr – mój tata – był w rzeczywistości moim wujkiem. Morse'owie musieli być moimi naturalnymi rodzicami, mój rodzony ojciec pojawił się znikąd, był w Briarsmoor obcy. Pogardzał Czarodziejką, ale miał jej posąg koło domu i powiadano, że eksperymentował z magią. Jeżeli ja byłam tym dzieckiem, które zostało ocalone, to czy byłam dzieckiem, które zatrzymało czas? A Ina Gold...

Moja siostra? Bliźniaczka?

Nieemożliwe. A Roan...

Moja siostra wychodzi za mąż za Roana Gerlinga. Moja siostra zostanie koronowana na królową. Moja siostra, która nie wie, kim jestem, która nie wie o nocy krwi i magii, i śmierci, która nas zrodziła.

Ciągle łamię sobie głowę nad tą zagadką: tata umarł, żeby uchronić mnie przed Królową. W dniu swojej śmierci przestrzegał mnie, żebym nie dopuściła, aby Królowa mnie zobaczyła.

Ale dlaczego? I co to ma wspólnego z Czarodziejką, która pojawia się ciągle w moich snach – z otwartymi dłońmi, a ja biegnę do niej, z nożem w ręku...

Co Królowa ma wspólnego z historiami, o których opowiedziała mi Rinn? Dlaczego chciała mieć dziecko urodzone w Briarsmoor – dziecko, którego narodziny zatrzymały czas?

Chyba że Królowa... to Czarodziejka.

Ta myśl dosłownie mnie parzy – najpierw rozpała do białości, potem mrozi. Wmawiam sobie, że to tylko lodowate powietrze, wiatr smagający moją twarz.

Z jakiegoś powodu Królowa chciała mieć dziecko, które potrafi zatrzymać czas.

Ja zostałam ocalona. Rozdzielona z Iną, która pozostała i wpadła w ręce Królowej. Czy to oznacza, że tylko ja jedna jestem posiadaczką tajemnej mocy, że krąży ona tylko w moich żyłach?

Jeżeli Królowa jest Czarodziejką, to weszłam jej prosto w ręce, zostawiając za sobą zniszczenia i destrukcję. Ale czego ona mogłaby ode mnie chcieć? Królowa, choć zimna i okrutna, to nigdy nie skrzywdziła mojej siostry. Jeżeli myślała, że Ina była dzieckiem urodzonym z kamieniem w buzi, to czy odkryła już swój błąd?

I, oczywiście, pozostaje jeszcze równie palące pytanie, tak bezkresne, że głowa pęka mi z bólu: Kim ja jestem? Dlaczego moje przyjście na świat zatrzymało czas? Dlaczego mój czas stwardniał i uwiązał w gardle Caro, dlaczego nikt poza mną nie jest w stanie go przyjąć?

W końcu pojawia się inna, znacznie bardziej szokująca, odrażająca myśl i przesłania wszystkie inne, jak chmura czarnego, duszącego dymu, tak ciężka, że oczy mi łzawią i uciekają w głąb czaszki. Wracam do opowieści, jakie snułam w dzieciństwie, o niewinnych zabawach w Lisicę i Węża, które powoli ciemniały, zmieniały się, aż wreszcie Wąż owinął się wokół serca Lisicy i pozbawił ją życia. A jeśli to nie Królowej należy się obawiać?

Jeśli osobą, której trzeba się lękać, jestem ja?

Tata został pogrzebany w anonimowym grobie gdzieś w głębi lasu. Żyłby nadal, gdybym nie przyjechała do Everless. Żyłby nadal, gdyby siedemnaście lat temu pozwolił mi umrzeć w Briarsmoor z Naomi Morse.

Kopyta klaczy dudnią o ziemię, a ja spoglądam na swoje dłonie, poplamione krwią i mawą. Nie mogę wrócić do pałacu. Muszę wyjechać. Muszę wyjechać daleko, bardzo daleko stąd. Ale jak mam podróżować bez pieniędzy – i dokąd się udać?

W mojej głowie szybko rodzi się plan. Wrócę do Everless, ale tylko na krótko, żeby zabrać swoje rzeczy i przebrać się w ubranie, które nie jest poplamione krwią. Chciałabym również zabrać książkę, ale podejrzewam, że Gerlingowie ustawią straż przed skarbcem, więc odrzucam ten pomysł. Będę musiała wyjechać bez niej, wymknąć się i uciec drzwiami

dla służby. Przy odrobinie szczęścia będę daleko, zanim ktokolwiek spostrzeże, że mnie zabrakło.

Myśl o tym, że nie pożegnam się z przyjaciółmi – z Lorą i Hintonem, którzy wspierali mnie w najgłębszej rozpacz, oraz z Iną – moją siostrą – boli jak nóż wbity między zębra. Przed oczami przesuwa mi się również twarz Caro – ale widzę też jej ręce bez skazy, czyste, bez plam ze skarbcu. I jej ramiona, wolne od nacięć po wykrwawieniu. Ivan skłamał dla niej. Ona okłamała mnie.

Może z dala od Everless zdołam rozwikłać swoją tajemnicę, uwolnić się od niej, a wtedy będę mogła wrócić.

Mrzonki.

Poganiam konia.

Droga powrotna do Everless mija mi jak we śnie. Wjeżdżam przez bramę, śpiesznie przebiegam korytarzami dla służby do dormitorium, które jest na szczęście puste, bo wszyscy wpadli już w wir codziennych zajęć i obowiązków. Zebranie rzeczy nie zajmuje mi zbyt wiele czasu, staję na moment nad wąskim łóżkiem, które – choć twarde i niewygodne – było przez krótki czas moim domem. W cichym dormitorium przebieram się, wrzucam poplamioną krwią sukienkę do ognia, a na fioletowe od mawy ręce naciągam miękkie rękawiczki, prezent od Iny. Śpiesznie wychodzę tylnym wyjściem. Za wszelką cenę staram się koncentrować wyłącznie na najbliższym celu: drzwi, klatka schodowa, drzwi prowadzące na zewnątrz. Przez mgłę spowijającą mój mózg przedziera się dopiero głos wołający mnie po imieniu – męski głos, aksamitny, znajomy – zatrzymuję się. I odwracam.

Po raz pierwszy od opuszczenia dormitorium zauważam otoczenie: wyszłam prosto do cudownych królewskich ogrodów, nie mniej zachwycających teraz, kiedy pokrywa je śnieg i lód. Poza ścieżkami przecinającymi ogród, ziemia jest przykryta nieskazitelnie białą, wręcz oślepiającą kołderką śniegu. A w samym środku stoi Roan Gerling w zielonym stroju myśliwskim, z zarumienionymi policzkami i płatkami śniegu na włosach i rzęsach.

Ostatnio rzadko widywałam Roana. Ale teraz, kiedy spotykam go w ogrodzie, takiego kolorowego na tle bieli, czerni i szarości otoczenia, uczucia do niego wracają potężną falą. W jednej ręce niedbale trzyma strzelbę z brązową kolbą, a drugą odgarnia włosy z twarzy.

– Jules – powtarza moje imię. – Gdzie się podziewałaś?

O mało nie parskam śmiechem na myśl o tawernie, zaułku krwawcy, skarbcu, opuszczonym mieście. Kusi mnie, żeby mu wszystko powiedzieć, bo jego oczy w kolorze letniego nieba obiecują zrozumienie i pocieszenie. W końcu Roan zna mnie dłużej niż ktokolwiek inny w Everless. Ale w ostatniej chwili gryzę się w język.

– Miałam dużo obowiązków, lordzie Gerling – odpowiadam, nie patrząc mu w oczy. –

Zresztą ty wyjeżdżałeś. Z lady Gold. – Te słowa mrozą mi gardło. Kiedy je wypowiadam, uświadamiam sobie, że skoro Roan jest tutaj, to Ina i Królowa również musiały już wrócić. Powinnam odejść natychmiast, żebyśmy nie wpadły na siebie. Nie mam pewności, czy gdybym spojrzała w twarz Iny, to nie wypaliłabym jej całej prawdy o nas. A Królowa...

Ale myśli mi się płaczą, kiedy Roan przechyla głowę na bok, a uśmiech, goszczący zwykle na jego twarzy, znika. Jego oczy również poważnieją. Robi krok w moją stronę, a ja mimowolnie mocniej ściskam w ręku torbę.

– Jules. – Moje imię brzmi teraz bardziej miękko w jego ustach. Roan nie spuszcza ze mnie ciężkiego spojrzenia. – Dobrze się czujesz?

W ułamku sekundy widzę go jako dziecko, pochylające się ku mnie z gałęzi dębu, na której siedzi i wyciągające rękę, by pomóc mi wejść. Nie jestem w stanie powstrzymać pytania cisnącego mi się na usta.

– Kochasz ją?

– Co? – Roan staje w miejscu, jego ręka zawisa w powietrzu. Marszczy brwi.

Uginam się pod ciężarem wstydu i strachu, czuję się malutka i pusta w środku. Ale odchodzę, już nigdy nie zobaczę Roana Gerlinga, więc...

– Inę – wyjaśniam. – Kochasz ją?

Roan mruga powiekami. Przełyka ślinę. Zbliża się do mnie o krok, jest tak blisko, że czuję zapach igliwia, który przyłgnął do jego skóry. Dziś nie czuję lawendy ani wody różanej. Bierze głęboki, nieco urywany oddech.

– Nie – odpowiada w końcu. – Nie kocham jej.

Zamieram, osłupiała. Nie mogę się poruszyć, nawet kiedy Roan zamyka moją rękę w swojej dłoni.

– Ty jesteś tutaj – mówi niepewnie. – Jesteś tutaj, a ja tęskniłem za tobą i... i nie potrafię już patrzeć na Inę takimi oczami jak dawniej. Nie potrafię, skoro wiem, że jesteś w Everless. – Zbliża się jeszcze bardziej. Czuję jego ciepło, jego oddech we włosach.

– Roan... – Sama nie wiem, co chcę powiedzieć: że wszystko jest w porządku? A może że jest tchórzem, jeśli wiedząc o swoich emocjach, żeni się z Iną? Albo poprosić, żeby pozwolił mi odejść? Lub przeciwnie, żeby podszedł jeszcze bliżej...?

Roan, chłopak, który każdego dnia pachnie innymi perfumami.

Roan, chłopak, który kiedyś gonił mnie po łące pełnej polnych kwiatów i śmiał się głośno z głową odchylną do tyłu. Chłopak, który dorósł i niczego nie kocha tak bardzo jak Everless z jego puddingiem i pieczonym ptactwem, z jego smukłymi kieliszkami pełnymi musujących alkoholi, z jego przyjęciami w ogrodzie w środku zimy.

Słowa kłębią się we mnie, wspomnienia i uczucia mieszają się.

Okazuje się jednak, że to bez znaczenia, ponieważ Roan sam podjął decyzję. Pochyla się i jeszcze bardziej zmniejsza dystans między nami, i zanim zdążę się ruszyć, zanim choćby zdążę pomyśleć, jego usta odnajdują moje.

Gwałtownie wciągam powietrze. Przez moment stoję jak skamieniała, sztywna – potem zaczynam toczyć wewnętrzną walkę, walkę, która rozgorzała w moim sercu i stamtąd rozchodzi się na wszystkie strony, do każdej komórki mojego ciała. Każda z nich krzyczy równocześnie, żebym się odsunęła i żebym się mocniej przytuliła. Ta druga opcja zwycięża. Roan wsuwa mi palce we włosy i odchyła moją głowę, a moje ramiona, jakby kierowane własną wolą, obejmują go w pasie i przyciągają bliżej. Budzi się we mnie pragnienie – nie tyle samego Roana, ile bycia pożądaną i kochaną w taki sposób, w jaki ja kochałam go jako mała dziewczynka. Pragnienie przynależności, odzyskania pełni, jaką czułam w dzieciństwie, bycia prawdziwą – i to pragnienie usuwa w cień nocne odkrycia.

Roan zsuwa rękę po moim policzku na szyję, jego dotyk budzi falę dreszczy. Czuję puls bijący mocno w miejscu, w którym jego dłoń dotyka mojej szyi – nie wiem, czy to jego puls, czy mój. Wszystko jest nagle jakieś nieokiełznane, ręce, oddechy, usta. Dopiero kiedy przerywamy, żeby zaczerpnąć powietrza, uświadamiam sobie, że zapadła całkowita cisza.

Właściwie nie słyszałam odgłosów ogrodu, dopóki nie umilkły – teraz ich brak dzwoni w uszach głośniejsze niż same odgłosy. Świat wokół nas zamilkł.

Nie.

Roan wyczuł, że zeszywniałam. Odsuwa się i zagląda mi w oczy pytająco, z leciutkim uśmiechem na ustach. I nagle on również zwraca uwagę na brak dźwięków. Rozgląda się wokół i marszczy brwi.

Wiem, o czym myśli, bo rozumiem już, co się stało. Nic nie wygląda źle – ale całkowity bezruch bardziej rzuca się w oczy niż lekki ruch. Widzę na twarzy Roana konsternację, kiedy zauważa, że gałęzie drzew nie kołyszą się, że dwa ptaki, które pluskały się w pobliskiej fontannie, zamarły w pół-trzepocie, że niewielkie chmurki nie płyną po niebie, tylko stoją w miejscu jak namalowane.

Znowu zatrzymałam czas. Ale tym razem jest przy mnie inna osoba. Roan spogląda na mnie i widzę, jak zmienia się wyraz jego oczu, jak w miejsce początkowego zmieszania pojawia się strach. Czuję ukłucie bólu.

Ta chwila zawieszona w czasie nie trwa długo. Martwą ciszę przerywa trzaśnięcie drzwiami – zrobił to ktoś, kogo najwyraźniej nie objął czar drętwy, który rzuciłam na ogród – i głośne przekleństwo.

– O, tu jest! – krzyczy męski głos.

Ciężki tupot biegnących stóp zagłusza powracające odgłosy ogrodu. Odsuwam się od Roana, odwracamy się oboje w stronę nadbiegających trzech strażników Everless. Jestem zbyt wstrząśnięta, żeby się wyrwać, gdy jeden z nich łapie mnie za rękę.

– Co... co to ma znaczyć? – pyta Roan słabym głosem. Jest blady, głęboko wstrząśnięty. Nagle szerzej otwiera oczy. – Liam!

Odwracam się gwałtownie i widzę Liama wbiegającego do ogrodu. Zimny i kanciasty, w rozwianym czarnym płaszczu stanowi przeciwieństwo Roana, który jest kolorem i życiem.

– Odsuń się, Roanie – mówi zimno Liam, zupełnie nie zaskoczony na widok brata stojącego obok mnie. – Aresztowanie panny Ember nie ma nic wspólnego z tobą.

Wstrzymuję oddech, gdy Roan robi krok naprzód, zaciskając pięści.

– Aresztowanie? Z jakiego powodu?

Ale słowa zamierają mu na ustach, gdy strażnik ściąga mi rękawiczki – odsłaniając ręce z wyraźnymi plamami koloru czerwonego wina. Roan ma odpowiedź na swoje pytanie.

Liam zwraca spojrzenie na mnie i moje serce zamienia się w lód. Liam to wcielenie zła, jego surowo zaciśnięte usta wyglądają jak okrutne rozcięcie, a czarne jak otchłań oczy są nieprzeniknione. Wykonuje płynny gest w stronę strażników.

– Zabrać ją.

Roan stoi bez ruchu, kiedy strażnicy wywlekają mnie z ogrodu, dwaj z nich tak mocno zaciskają ręce na moich ramionach, że na skórze pozostaną mi siniaki. Patrzę na niego w nadziei, że coś powie, że ich powstrzyma, ale on nie robi nic. Po prostu patrzy, jak mnie wyprowadzają. Czuję w ustach gorzki smak rozczarowania – nie tyle Roanem, ile sobą, za to, że tak wiele marzeń wiązałam z chłopakiem, który nie otworzył nawet ust, żeby mnie ratować.

Liam idzie rażno ze strażnikami, swobodnym krokiem, ze wzrokiem utkwionym przed siebie.

– Nie krzycz – mówi do mnie.

Zaciskam zęby ze złości, kiedy wychodzimy z ogrodu na pusty dziedziniec, gdzie czeka nieoznakowany powóz bez okien, z otwartymi tylnymi drzwiami.

Strażnicy podnoszą mnie bezceremonialnie z ziemi i wrzucają do środka, ląduję ciężko na plecach. Dźwigam się na nogi, wspierając się o ścianę dla utrzymania równowagi, ale jest za późno – drzwi już się zatrząskują, pogrążając mnie w ciemności. Ostatnim widokiem, jaki dostrzegam, zanim światło dzienne zniknie, jest Liam naciągający kaptur na głowę, żeby ukryć twarz.

Wydaje mi się, że jazda trwa kilka godzin i w miarę upływu czasu początkowo gorączkowa gonitwa myśli powoli ustępuje miejsca trwodze. Opuszczając Briarsmoor, byłam bliska odkrycia prawdy, czułam to w kościach. Teraz wygląda na to, że nie poznam jej nigdy – że skończę jak tata, wykrwawiona z czasu i umierająca samotnie w zimnie.

W pewnym momencie monotony turkot kół powozu toczącego się po brukowanej drodze zmienił się, pojazd porusza się wolniej i podskakuje na wybojach – jakby zjechał na trawę. A potem zatrzymuje się gwałtownie. Drzwi otwierają się i do środka wpada oślepiające światło. Siadam i osłaniam oczy. Dopiero po dłuższej chwili niewyraźna sylwetka w drzwiach nabiera kształtów Liama, opierającego jedną stopę o brzeg powozu. Za nim widzę tylko otwarte pola, bez śladu drogi w zasięgu wzroku.

Pomimo przerażenia czuję przyływ nienawiści. Wywiózł mnie na odludzie, żeby mnie zabić?

Liam przygląda mi się przez dłuższą chwilę. Odrza do niego pulsuje we mnie, pęcznieje, zadaje się rozsadzać moją skórę od wewnątrz. Wyobrażam sobie, jak wyzwala się ze mnie w postaci bezkształtnego kłębu czarnego dymu i zaciska się wokół gardła Liama.

Ale wiem, że gdybym próbowała wcielić tę wizję w życie, to miecz wiszący u boku Liama w sekundę przeszyłby moje serce.

– Spójrz tam – mówi Liam. Odsuwa się na bok, żeby móc wyjrzeć przez otwarte drzwi powozu i wskazuje mi coś w oddali. W pierwszej chwili myślę, że pokazuje mi trzech strażników, którzy stoją rozstawieni w równych odstępach w pewnej odległości od nas – poza zasięgiem głosu, ale w zasięgu strzału, gdybym próbowała uciekać.

Potem mój wzrok wędruje dalej. Palec Liama wskazuje szeroki, szary pas na horyzoncie, składający się z niewielkich, ciemnych brył, z kilku unoszą się w niebo smugi dymu. Miasto, znacznie większe od Crofton czy Laisty. Przenoszę spojrzenie na Liama.

– To Ambergris – wyjaśnia. – Miasto portowe nad zatoką Hunt's Bay. Byłaś tu kiedyś? Krzyżuję ramiona na piersi.

– Rozumiem, że to oznacza nie – mówi Liam po chwili. – Mieszka tam ponad sto tysięcy ludzi. W takim skupisku będziesz mogła zniknąć. – W jego głosie nie ma złośliwości, jest niski, czysty, bezpośredni, jakby starał się mnie do czegoś przekonać. – Przyjąć nowe nazwisko, zacząć nowe życie.

Liam pochyła się i sięga po coś leżącego na ziemi przy jego nodze. Prostuje się i ku

mojemu zaskoczeniu kładzie na podłodze powozu małą, ale ciężką sakiewkę pełną krwawych monet.

– Nie możesz zostać w Everless – stwierdza.

– Wiem. – Niemal wypływam z siebie to słowo. W gardle dławią mnie łyzy, łyzy złości i zmieszania. – Ale powiedz mi. Skoro masz dowód, że włamałam się do skarbcza, to dlaczego nie kazałeś mnie po prostu wykrwawić? Jeśli tak bardzo mnie nienawidzisz, to dlaczego pozbywasz się mnie w ten sposób?

Liam wydaje się zaskoczony moim wybuchem, ale tylko przez moment. Mruga oczami, unosi rękę i szarpie nerwowo zapięcie płaszcza.

– To nieprawda, że cię nienawidzę, Jules – odpowiada, jego głos brzmi niepewnie. – Ale czy nie rozumiesz? Jesteś w niebezpieczeństwie.

– Przez ciebie! – Prawie krzyczę. – Skłamałeś. Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię. Gdybyś powiedział prawdę o wepchnięciu Roana do ognia, nie musielibyśmy uciekać. Oskarżyłeś mojego ojca i prześladowałeś nas, choć stracił zdrowie, służąc twojej rodzinie. Everless było naszym domem, a ty nas z niego wyгнаłeś. – Mój głos odzyskuje siłę z każdym słowem padającym z moich ust. – To twoja wina, że skończyliśmy, jak skończyliśmy. Przez ciebie tata nie żyje.

Liam wygląda tak, jakbym mu dała w twarz, ale po chwili jego mina się zmienia.

– Jules... – zaczyna niskim, twardym głosem. A mnie w tym momencie przychodzi na myśl notes, w którym zapisywał moje dziecinne opowiadania.

– Ty coś o mnie wiesz, prawda? – przerywam, zanim Liam zdążył powiedzieć coś więcej. Już w chwili, kiedy rzucałam na niego oskarżenia, w moim sercu zaczynała powoli kiełkować bolesna prawda.

Wypadek.

– Nazywałeś mnie wiedźmą – szepczę, na poły do siebie.

Płomienie wystrzeliły z otwartego paleniska, kierując się w stronę Roana. Zamierzały go zabić.

Może chciałam unieruchomić ogień, tak jak zatrzymałam ruch powietrza w ogrodzie, kiedy Roan mnie całował. Zatrzymałam czas.

– Widziałeś, jak zatrzymałam czas – szepczę. Muszę wypowiedzieć tę myśl na głos, żeby doszukać się w niej sensu.

Mija sporo czasu, zanim Liam decyduje się odezwać. A kiedy to robi, jego głos brzmi zaskakująco miękko.

– Nie. To było coś więcej. Widziałem, jak cofnęłaś czas. Kiedy popchnąłem Roana, chlusnął na niego płynny metal z kotła – ale nie był poparzony, kiedy go złapałaś i wyciągnęłaś. – Liam wbija oczy w ziemię, jakby był zażenowany. – Uratowałaś go. Ja nie chciałem go skrzywdzić, przysięgam. Ale gdybyś została, gdyby ktoś inny odkrył, czego potrafisz dokonać...

Panika powoli odpływa, zostaje tylko gorycz w ustach. Powinnam wyciszyć gniew i skoncentrować się na tajemnicy śmierci taty, ale to, o czym mówi Liam... uginam się pod ciężarem prawdy.

Nienawiść taty do Everless i Gerlingów była głębsza, niż nakazywał rozsądek. Może celowo przesadzał, próbując zbudować mur pomiędzy mną a niebezpieczną prawdą.

Głos Liama przerywa moje dywagacje.

– Twój ojciec nie ufał mi. Wiedział, że w Everless nie byłaś bezpieczna. – Liam uśmiecha się z goryczą. – Mogę sobie wyobrazić, co ci o mnie naopowiadał, żebyś trzymała się jak najdalej ode mnie. Widziałem to w twojej twarzy, kiedy spotkałem cię pod skarbcem. Nie mam do niego pretensji. Byłem wtedy okropny. Zrobiłbym absolutnie wszystko, żeby odkryć to, co chciałem wiedzieć. Ale ten wieczór mnie zmienił. Ty mnie zmieniłaś. – Opuszcza wzrok. – Przepraszam, Jules. Za każde cierpienie, jakiego przeze mnie doświadczyłaś. Ale próbowałem cię chronić.

Liam mnie chronił? Czy to możliwe? W natłoku nowych informacji nie jestem w stanie rozstrzygnąć, czy jego słowa to tylko kolejne kłamstwa, czy też najszczerza prawda. Liam trzyma w ręku kartkę, którą ostrożnie kładzie na ziemi pomiędzy nami. Waham się w pierwszej chwili, ale sięgam po nią, gdy zauważam rozwlekłe pismo taty. Okazuje się, że to list do Liama. Świat wokół mnie zdaje się zwalniać.

– To prawda, że przyjechałem, aby cię odszukać... – urywa, kiedy rzucam mu groźne spojrzenie. – ...ale wyłącznie po to, żeby pomóc. – Głos Liama jest tak cichy, jakby mówił sam do siebie. Patrzy mi w twarz i zaciska zęby tak, że cała szczęka mu chodzi. – Po waszym wyjeździe pisałem do ciebie, aby się upewnić, że jesteś bezpieczna. Wysyłałem kurierów do każdej wioski, ale podejrzewam, że nigdy nie dostałaś tych listów. W końcu, po mojej katastrofalnej wizycie, twój ojciec poinformował mnie, że umarłaś. – Jego uśmiech i głos są słabe, znużone. – Pewnie chciał, żebym przestał cię szukać. Kiedy pojawiłaś się znowu w Everless, doszedłem do wniosku, że aby zapewnić ci bezpieczeństwo, trzeba cię skłonić do wyjazdu, do opuszczenia Everless na zawsze. Dlatego starałem się, żeby było ci wyjątkowo źle. – Jego głos staje się nieco silniejszy. – Ja nie jestem twoim wrogiem, Jules – mówi powoli, starannie dobierając słowa. – Ale rzeczywiście masz wrogów. Wielu.

Rozpaczliwie chcę zasłonić uszy rękami i odciąć się od tego, co mówi Liam. Ale nie mogę. Mam ochotę go uderzyć, ale tego nie robię. Gdzieś w głębi duszy mam pewność, że teraz Liam nie kłamie. Może dlatego, że na jego twarzy nie widzę goszczącego na niej zwykle szyderczego uśmiechu, może dlatego, że stoi z rękami zwieszonymi po bokach, w postawie otwartej i bezbronnej.

– Roan nie pamięta tego, co się wydarzyło w warsztacie Pehra. Dzięki tobie dla niego nic się nie stało, nie ma o czym pamiętać – kontynuuje Liam. – Ale to, co zrobiłaś dzisiaj, to co innego. Mój brat jest głupi, ale nie jest kompletnym idiotą. To kolejna osoba, która wie.

– Roan nigdy by ... – Urywam na wspomnienie przerażenia w jego głosie i pustki jego

słów.

– Zawsze taka byłaś, taka ufna. – Liam siada na brzegu powozu, podciąga nogi do góry i opiera się plecami o ścianę w taki sposób, że znajduje się w poprzek drzwi. Podświadomie odnotowuję, że Liam blokuje wyjście, ale straciłam już chęć ucieczki. Czuję się tak, jakbym zapuściła w tym miejscu korzenie, jestem spragniona prawdy.

Przełykam ślinę. On celowo trzymał mnie na dystans. Wie, kim jestem. Czym jestem.

Sny o posągu.

– Czy ja jestem... – To bez sensu. Niemożliwe. A jednak nie widzę innego wytłumaczenia. – Czy sądzisz, że jestem w jakiś sposób powiązana z Czarodziejką? – pytam.

Liam przez moment nie reaguje. Potem, ku mojemu zaskoczeniu, uśmiecha się szerokim, szczerym uśmiechem, który rozjaśnia jego twarz jak słońce, które przedarło się przez chmury. To trwa tylko przez moment, ale z takim uśmiechem na ustach wygląda jak Roan. Nie. Wygląda jak ktoś jedyny w swoim rodzaju.

A potem potrząsa głową.

– Niezupełnie – odpowiada. – Ale może i tak.

Zmieszanie i frustracja walczą we mnie o lepsze.

– Nie rozumiem. Powiedziałeś...

– Kiedy wyjechałem na studia... – przerywa mi w pół zdania – ...nie mogłem przestać myśleć o twoich historyjkach o wężu i lisicy. I o tym, co widziałem w kuźni. O chwili, kiedy... – *Cofnęłaś czas*. Nie mówi tego. Tylko chrząka. – Wpadłem w prawdziwą obsesję na tle krwawego czasu. Poświęciłem kilka lat na studiowanie starych mitów. Nie tylko w akademii, jeździłem po całej Semperze w poszukiwaniu wszelkich ksiąg na ten temat, przepytywałem uczonych, ale w końcu musiałem zrezygnować. Nauczyciele uważali, że wierzę w bajki, że marnuję swój talent. Ludzie zaczęli gadać.

Choć prawda, jaką Liam dzieli się ze mną, nieomal mnie paraliżuje, to jego brak skromności – i wypowiedź, która brzmi jak wyćwiczony referat – sprawiają, że mam ochotę przewracać oczami. Tłumię tę pokusę.

– Ale nawet kiedy skupiłem się na innych studiach – ciągnie Liam – nie przestawałem rozmyślać o Czarodziejce i Alchemiku, o historiach, jakie ludzie o nich opowiadają. Istnieją rozmaite podania, spojrzenia na samą Czarodziejkę stojące w sprzeczności z tym, w co nauczono mnie wierzyć. Znasz obowiązującą wersję, jak sądzę.

Cofam się głęboko w przeszłość, do baśni, które czytano dzieciom służby w bibliotece wczesnym rankiem, wiele lat temu.

– Ta wersja mówi o tym, że Alchemik ukradł Czarodziejce nieśmiertelność i zaklął ją w metal, żeby uwolnić ich oboje z niewoli u złego lorda. Potem twierdził, że wie, jak zwrócić jej nieśmiertelność, ale to był tylko podstęp, wybieg, żeby ukraść serce Czarodziejki.

– A dwanaście kamieni... – podpowiada Liam.

– Powiedział Czarodziejce, że musi tylko połknąć dwanaście kamieni. Ale Czarodziejka już mu nie ufała. Zabiła Alchemika, zmusiła go, żeby on sam połknął te kamienie, wskutek czego utonął. – Czuję się trochę głupio, recytując bajkę, ale twarz Liama jest śmiertelnie poważna, co rozwiewa wszelkie podejrzenia, że to zabawa.

– Tak. A czym różnią się krążące wśród ludzi podania? – mówi Liam. – W większości z nich Alchemik jest przedstawiany jako złodziej, oszust, podstępny łgarz, który odepchnął Czarodziejkę z pogardą i umarł z jej sercem. Ale. Inne podania mówią o tym, że Czarodziejka i Alchemik pozostają nadal na ziemi, że ona nieustannie go ściga, aby odzyskać serce. Zastanawiałem się... jeżeli Alchemik przeżył, to jak?

Gapię się na niego, beznadziejnie skołowana.

– Magia?

– Dwanaście kamieni. Istnieje pewna teoria na temat kamieni, która nie dawała mi spokoju. Teoria, że każdy z kamieni to...

– Życie – kończę, nawiedza mnie jakieś niejasne wspomnienie.

– Właśnie. Dwanaście. – Liam pochyla się lekko naprzód. – A co jeśli Alchemik nie kłamał? Jeśli naprawdę znalazł sposób zwrócenia Czarodziejce nieśmiertelności, choć w inny sposób? Poprzez narodziny, życie normalnym życiem, śmierć... a potem ponowne przyjście na świat. Ta sama dusza w nowym ciele, ale z całą wiedzą z poprzednich żywotów.

Wzbiera we mnie straszliwa wiedza, nabiera kształtów.

– Zmiana skóry, w której żyje, wciąż od nowa i od nowa, jak...

– Wąż – kończę zdanie.

– Ale Czarodziejka wmusiła to w niego. – Liam mówi coraz szybciej, zaczerwieniony z zimna i z podniecenia. – Jeśli jednak tak wygląda prawda, jeśli Alchemik ma dwanaście żywotów, to dlaczego tak mało słyszeliśmy o nim od tego czasu?

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że cały ten mit to jedno wielkie oszustwo? – Zalewają mnie wspomnienia z Briarsmoor. Ezra Morse, mój rodzony ojciec, który mówił o Czarodziejce ze złością. Który miał obsesję na tle czasu.

– Raczej, że ten mit jest niekompletny – poprawia mnie Liam. – A może Alchemik nie chce zostać odnaleziony? Skoro wie, że Czarodziejka go zabije, jeśli go odnajdzie?

Powoli kiwam głową, myśląc o Królowej, zimnej jak lód – naprawdę bez serca – i starszej niż ktokolwiek inny w Semperze.

Liam chrząka.

– Posłuchaj, Jules. Ja wiem, jak to jest robić coś, co inni surowo osądzają. – Wiem, że próbuje powiedzieć mi coś wielkiego i ważnego, bo w jego oczach pojawia się blask, nie wiem tylko, czy jestem gotowa to usłyszeć. Liam przeciąga ręką po włosach. – A może Alchemik został źle zrozumiany, może chciał pozostać w ukryciu? To by tłumaczyło, dlaczego od wieków nic o nim nie słyszeliśmy. Ale to nadal nie tłumaczy jednego.

– Czyli? – Słońce chyli się ku zachodowi i chłód wkrada się w moje kości. Drzę.

– Ciebie, Jules. To nie tłumaczy ciebie. – Liam kładzie ręce na moich ramionach, a ja sztywnieję instynktownie, ale zaraz zaskakuje mnie ciepło jego dotyku.

Pomimo wszystko Liam rozpromienia się.

– Te historyjki, które opowiadałaś... zapisałem je najwierniej, jak umiałem, kiedy uświadomiłem sobie, co oznaczają. – Liam spogląda na mnie znacząco. – Przez wiele lat nie mogłem złożyć ich w całość i w końcu zrezygnowałem. Aż pewnego dnia profesor wykładający matematykę i filozofię powiedział nam o elegancji i prostocie praw matematycznych i logicznych. Powiedział: *Najkrótszą odległością między dwoma obiektami jest zawsze linia prosta.*

Zapada długa cisza.

– Wiele czasu poświęciłem na szukanie powiązania między tobą i Alchemikiem. Czy nie widzisz, jakie proste i eleganckie jest wyjaśnienie tej kwestii?

Biorę głęboki oddech.

– Mój ojciec był Alchemikiem?

Ale kiedy to mówię, coś we mnie szepcze: nie. A Liam śmieje się, aż braknie mu tchu.

– Ty jesteś Alchemikiem, Jules – mówi.

Muszę wyglądać jak ryba wyciągnięta z wody, bo szczęka mi opada. To, co mówi Liam, jest kompletnie bez sensu. Ale równocześnie jego słowa wbijają się we mnie z precyzją prawdy, pamięci, historii. Moje kości zdają się reagować śpiewem na moje własne imię.

– Ale... mój ojciec – dukam.

– Jules – przerywa mi Liam dziwnie łagodnym tonem. – Drobniejsi czarodzieje potrafią manipulować czasem, zwalniać jego bieg, albo przyspieszać, ale tylko Alchemik może go całkiem zatrzymać. Są jeszcze inne rzeczy, źródła, chciałbym mieć czas, żeby ci pokazać...

– Bierze oddech. – A jeśli chodzi o twojego ojca... są ludzie, którzy przechowują wiedzę o Alchemiku – o twoich minionych życiach, sprawach, strzępach pamięci – którzy cię chronią. Może on był jednym z nich. Ale Alchemikiem jesteś ty. – Uśmiecha się znowu, a ja czuję się tak, jakbym wypływała ze swego ciała i przysłuchiwała się tej rozmowie z zewnątrz.

– Ale... – zaczynam i zacynam się. Istnieją tysiące powodów, dla których to niemożliwe. Podaję pierwszy, który przychodzi mi do głowy. – Ja nie pamiętam nic z... poprzednich żywotów.

Liam patrzy mi w oczy badawczo, jakby wypatrywał czegoś, co tkwi głęboko we mnie. Spoglądam w jego ciemne oczy i myślę o snach. O opowieściach.

O książce.

– Wąż i Lisica – mówię na głos, powoli. Mój umysł spowija coś w rodzaju mgły, osłaniającej w pewnym stopniu potworność tego, o czym mówi Liam. Wiem, że jeśli ta mgła się rozwieje, ogarnie mnie przerażenie; więc chwilowo jestem wdzięczna za spokój. – Ja

jestem wężem – mruczę. – A lisica...

Liam rozgląda się na boki, jakby ktoś mógł nas podsłuchać.

– Kto kradnie czas w Semperze?

– Twoja rodzina – odpowiadam bez namysłu i bez wahania.

Oczy Liama stają się twarde jak stal, ale zaraz łagodnieją.

– Tak, ale nie jesteśmy jedyni.

– Królowa. – Wymawiam to słowo cichutko, z podziwem, a może trwogą, sama nie wiem.

O tym samym myślałam, opuszczając Briarsmoor. Królowa jest Czarodziejką.

Liam kiwa głową.

– Od wieków kradnie czas wszystkim w Semperze.

– Czarodziejka chce mnie mieć. – Nie Inę, tylko mnie. Szukała mnie. W Briarsmoor.

Ale... – Dlaczego?

– Bo ty masz jej serce, Jules. Jeśli cię dopadnie, to cię zabije. A jeśli cię zabije, to odzyska dawną potęgę, a wówczas... – *Alchemik ukradł serce Czarodziejki.* – Masz w sobie jej moc. Twoja krew przez wszystkie te wieki miesza się z jej krwią... – Liam przerywa na chwilę, po czym kontynuuje. – Być może nikt nie zdaje sobie sprawy z tego, ile potęgi kryje się w twoim sercu, Jules. Nawet Królowa.

Powietrze ucieka mi z płuc. Moje wielkie, mroczne podejrzenia były słuszne. To dlatego tata nie chciał, żebym znalazła się w pobliżu Królowej.

Liam odwraca wzrok. W zapadającym zmierzchu nagle robi wrażenie bardzo zmęczonego, drobne zmarszczki w kącikach jego oczu pogłębiają się.

– Więc odejdz – szepcze. – I nie wracaj do Everless, już nigdy.

A potem, zanim w pełni dotrze do mnie to, co się dzieje, odwraca się i odchodzi przez pole.

Obserwuję oddalającego się Liama, a w mózgu krystalizuje mi się jedna myśl.

Nie.

W głowie mi się kręci, przytłacza mnie to, co od niego usłyszałam – ale w tym momencie inna kwestia jest dla mnie bez porównania ważniejsza od zdumiewających opowieści o Alchemiku i Czarodziejce.

Ina Gold.

Królowa uważa, że Alchemikiem jest Ina, nie ja. Dlatego adoptowała ją wiele lat temu. I jeśli Liam ma rację, to Królowa musi planować zniszczenie Iny i przejęcie jej mocy – czeka tylko na coś... na coś, czego jeszcze nie do końca rozumiem. Ale co by to nie było, powinnam ostrzec Inę, powinnam ją uratować – moją siostrę – zanim ucierpi za mnie.

Instynktownie wyciągam ręce przed siebie, zwrócone otwartymi dłońmi do oddalającego się Liama. Jedna tylko myśl chodzi mi po głowie: jeśli Liam dotrze do swojego konia i odjedzie, to zatrzaśnie za sobą bramy Everless.

W mojej piersi płonie gorące, desperackie pragnienie zatrzymania go, niemal widzę upływające sekundy, jakby to były nitki – nitki, które mogę złapać.

Moc, starożytna, pierwotna oszałamiająca siła wzbiera we mnie.

Nie tak jak wtedy, kiedy Caro się zakrztusiła, czy kiedy całowałam się z Roanem. Wtedy odczuwałam zatrzymanie czasu jako rodzaj awarii, jakby świat wokół mnie został zainfekowany, to było coś złego. Teraz świat nieruchomieje, ponieważ ja sobie tego życzę. Zimny wiatr nagle ustaje, cichną również wszelkie hałasy, nawet daleki szum oceanu, z którego nie zdawałam sobie nawet sprawy, dopóki nie ustał. W oddali widzę niewyraźne sylwetki Liama i jego ludzi, którzy próbują dosiąść koni. Zatrzymuję ich.

Krew zaczyna szybciej krążyć w moich żyłach, kiedy czas posłusznie wykonuje moje polecenie, mróz umyka spod moich stóp, trawa nieruchomieje. Zupełnie jakby bańka mydlana rozszerzała się i obejmowała stopniowo całe pole. W kilka chwil rozciąga się na dwadzieścia jardów, które dzielą mnie od strażników i dosięga ich.

W chwilę później obejmuje również Liama. Widzę wyraźnie, jak go unieruchamia. Ale nie mogę stanąć i zastanowić się nad tym. Biegnę po konie, tupot moich nóg na twardej ziemi i mój urywany oddech to jedyne dwa dźwięki w całym świecie. Ciężko dysząc zatrzymuję się przed młodszym strażnikiem i jego koniem, niewysoką, mocną z wyglądu, brązową klaczą. Delikatnie dotykam jej policzka, budząc ją z odrętwienia.

Ożywa pod moją dłonią i staje dęba, prychając. Odskakuję do tyłu i unoszę ręce w górę. Oczywiście w jej odczuciu to wygląda tak, że jakaś dziwna istota ludzka niespodziewanie wyrosła tuż przed nią.

– Wszystko w porządku – mówię najłagodniej, jak potrafię, choć serce bije mi mocno. – W porządku.

Klacz tupie i rży, ale pozwala mi podejść i wyjąć wodze z nieruchomych rąk strażnika. Poklepuję ją po policzku, jak pokazywał mi Tam i klacz szybko się uspokaja. Porusza się nerwowo, kiedy sadowię się w siodle, ale słucha, kiedy ściskam kolanami jej boki i wyprowadzam ją z grupy.

Z wysokości końskiego grzbietu widzę ślady, jakie nasza nieliczna grupa zostawiła na zaśnieżonym polu – kawałki darni wyrwane końskimi kopytami i długie, głębokie koleiny prowadzące w stronę zapadającego zmierzchu wryte kołami powozu. Muszę zaufać nadziei, że te ślady doprowadzą mnie do drogi, którą wrócę do Everless. I że mój bąbel czasu przetrwa, nawet kiedy ja opuszczę już jego granice – przynajmniej do czasu, aż zyskam odpowiednią przewagę nad strażnikami i Liamem.

Nie mogę się oprzeć pokusie, żeby odwrócić się w siodle i spojrzeć jeszcze raz na Liama. Stoi ze wzrokiem utkwionym w miejsce, w którym widział mnie po raz ostatni. Zawsze uważałam, że Liam wygląda jak posąg, z tymi rzeźbionymi rysami i zimnym spojrzeniem. Ale teraz, choć jego pierś nie porusza się i powieki nie mrugają, zupełnie tak nie wygląda. Na jego twarzy, w rozchyłonych ustach i szeroko otwartych oczach, kłębią się skrywane emocje. Szok i strach, i gniew – ale też coś w rodzaju podziwu. Coś podobnego do tęsknoty.

Droga powrotna do Everless zdaje się uciekać spod końskich kopyt, klacz strażnika galopuje tak, jakbyśmy jeździły razem od lat. Może wyczuwa moc krążącą w moich żyłach – albo, co bardziej prawdopodobne, po prostu moją niecierpliwość, bo chyba wszystkie zwierzęta potrafią to wyczuć. Zmierzam na południe, do przedmieść Laisty docieram zaraz po wschodzie słońca, poszarpana sylwetka Everless rysuje się już ostro na tle nieba.

Bramy zamku stoją otworem i wlewa się przez nie nieprzerwany strumień wozów wyładowanych kwiatami, winem i belami materiałów. Wymijam je, mój koń zręcznie prześlizguje się między wozami i wpada w bramę.

Dwaj strażnicy stojący na posterunku przy wjeździe odwracają się za mną ze zdumieniem i wytrzeszczają oczy na kobietę w stroju służącej i pięknego konia, ale ja już pędzę na dziedziniec. Wszystko poza mną zdaje się poruszać powoli, jak mucha w smole. Nie wiem, czy to czas odkształca się wokół mnie, czy to tylko adrenalina krążąca w moim ciele, panika przekształcona w ruch.

Na dziedzińcu zeskakuję z konia i zostawiam go w pobliżu stajni. Wchodzę do zamku

bocznym wejściem i trafiam na korytarz dla służby. Nawet o tak wczesnej porze panuje tu tłok, przygotowania do ślubu w połączeniu z normalną, codzienną aktywnością sprawiają, że służba kursuje nieprzerwanie we wszystkich kierunkach.

Boję się, że zostanę zatrzymana, jeśli będę robiła dziwne wrażenie, więc choć moje ciało rwie się do biegu, bo chciałabym jak najszybciej dotrzeć do komnaty Iny, idę tylko szybkim krokiem, ze spuszczoną głową i rękami opuszczonymi wzdłuż boków. W pierwszej chwili nie widzę twarzy człowieka, który łapie mnie za ramię. Zaskoczona, podnoszę wzrok i ściska mnie w gardle na widok bladej, przystojnej męskiej twarzy otoczonej ciemnymi lokami. *Liam*. Znalazł mnie. Już? To niemożliwe. Ale...

– Jules – szepcze Roan i odciąga mnie na bok. Wydaje mi się, jakby minął rok od chwili, gdy pocałował mnie na dziedzińcu, ale jego bliskość sprawia, że wszystko wraca – dreszcz emocji, wstyd, zmieszanie i panika. Próbuję ignorować nagłe przyspieszenie pulsu. To, co zaszło między nami, nie ma dzisiaj większego znaczenia.

– Szukałem cię. Podobnie jak wszyscy. Gdzie byłaś? – woła Roan, jak tylko kryjemy się w alkowie przed wzrokiem innych. Jego ręce zaciskają się zaborczym gestem na moich przedramionach. – Co się stało? Gdzie Liam...?

– Nie mogę ci teraz niczego tłumaczyć. – Zmuszam się, żeby odsunąć się od niego. – Roanie, gdzie jest Ina?

– Ina? – Roan marszczy brwi, jego twarz poważnieje.

– Jest bezpieczna? – Moja siostra. Moja siostra. Czego Królowa od niej chce? Jakie ma wobec niej plany?

– Bezpieczna? Dopiero co ją zostawiłem. – Twarz Roana martwieje. – Dlaczego nie miałyby...?

– Nie mam teraz czasu na tłumaczenie! – wołam pośpiesznie. – Ale Ina jest w niebezpieczeństwie, Roanie.

Nagle rodzi się we mnie pytanie – czy on wie, że tym niebezpieczeństwem jest Królowa, matka adopcyjna Iny, jej jedyna rodzina?

– Proszę cię, uwierz mi, Roanie. Zabierz ją z jej pokoju i zaprowadź do swojego. I zostań z nią, dopóki nie powiem ci, że nie ma już niebezpieczeństwa.

Roan patrzy na mnie w milczeniu, z wyrazem przerażenia na twarzy.

– Proszę, Roanie – błagam schrypniętym głosem. – Ina jest moją przyjaciółką. Nic innego się teraz nie liczy. Jeśli choć trochę ci na niej zależy, to idź po nią, zostań z nią i zarygluj drzwi. Do czasu mojego przyjścia. Proszę.

Roan powoli opuszcza ręce, uwalniając moje przedramiona.

– Dobrze – mówi w końcu. – Zostanę z nią. Ale potem przyjdiesz po nas i wszystko wyjaśnisz?

– Obiecuję. – Oddycham z taką ulgą, że chce mi się płakać. – Obiecuję, a teraz już idź. Zarygluj drzwi i nie wpuszczaj nikogo, pod żadnym pozorem. – Odwracam się i ruszam

korytarzem. Nie pozwalam sobie obejrzeć się na niego.

Wiem, dokąd niosą mnie stopy.

Do Królowej.

Skręcając w korytarz prowadzący do komnat Królowej, wyciągam ręce przed siebie, żeby zatrzymać czas, gdy będę mijala trzech strażników, którzy pilnują zawsze jej drzwi po zmroku. Ale stoję jak wryta na widok pustego korytarza.

Może Królowa gdzieś wyszła – mogę poczekać tutaj i stawić jej czoło, kiedy wróci. Podchodzę do drzwi jej apartamentu i próbuję je otworzyć, tak na wszelki wypadek. Gałka przekręca się lekko i drzwi stają otworem. Waham się, cichy wewnętrzny głos ostrzega, że coś tu jest nie w porządku.

Komnata Królowej jest ciemnawa i lśniąca, udrapowana złotą materią i oświetlona słabym światłem świec. Ogromne okno przesłania krwistoczerwona kotara, więc dopóki oczy nie przywykną do półmroku, widzę jedynie plamy światła i cienia. Komnata jest przestronna, dwa razy większa od pokoju Iny, a na ścianach znajdują się naprzemiennie półki z książkami i lustra. Spodziewałam się zastać tu Ivana czy innych strażników – ale pokój jest pusty, z jednym wyjątkiem.

Królowa Sempery stoi przed wspaniałą toaletką w rogu pokoju, zwrócona do mnie plecami, świeca na toalecie oświetla jej twarz. Ma na sobie szlafrok w kolorze indygo, rozpuszczone, ciemnoczerwone włosy opadają ją na ramiona i plecy. Nie reaguje na odgłos zamykanych drzwi.

– Wasza Królewska Wysokość? – wołam cicho, układając sobie w głowie wyjaśnienia, z czym przyszłam. Ina jest chora i przysyła mnie z prośbą, żeby Królowa przyszła do jej apartamentu. To mało przekonujące, ale nie zależy mi na tym, żeby mi uwierzyła. Chcę zatrzymać ją w czasie, żeby mieć możliwość powiedzenia Inie prawdy i przedyskutowania z nią, co dalej robić.

Ale Królowa nie odwraca się, kiedy podchodzę bliżej.

Przebycie ogromnego pokoju zdaje się trwać wieki. Dzieje się tu coś dziwnego – wielkość pomieszczenia i rozwieszzone w nim bogate draperie tłumią pewne dźwięki, a inne potęgają, odnoszę wrażenie, że głośnie bicie mojego serca wypełnia całą komnatę.

– Wasza Królewska Wysokość – mówię znowu, głośniej, kiedy jestem w połowie drogi.

Ale Królowa nadal nie reaguje. Stoi przed lustrem wyprostowana, z uniesioną głową, w postawie, którą – jak sobie wyobrażam – przyjmuje siedząc na tronie na wybrzeżu oceanu albo wygłaszając przemówienie do pełnego uwielbienia tłumu – ale jest całkowicie nieruchoma, jeśli nie liczyć ramienia i ręki, którą starannie obrysowuje węgielkiem kontur

oczu, a potem maluje czerwienią wargi. Nie spodziewałam się, że jej milczenie tak mnie zdenerwuje, zachwieje moim postanowieniem.

Teraz widzę w lustrze swoją twarz obok Królowej. Nasze twarze odbijają się w szkłe tuż obok siebie, jej biała jak śnieg i odcinająca się od ciemnego tła, a za nią moja – ogorzała od słońca, mała i przerażona. Poczucie siły i woli, które popychało mnie do działania od rozmowy z Liamem, wyparowało całkowicie. Nie czuję się Alchemikiem. Czuję się jak mała dziewczynka, która dobrowolnie weszła w paszczę dzikiej bestii.

Królowa odkłada barwiczki i odwraca się.

Nigdy dotąd nie stałam tak blisko niej. Widzę jej blade oczy i drobniutkie wachlarze zmarszczek w ich kącikach. Jak to jest – chodzić po świecie w tym samym ciele i z tym samym umysłem przez pięćset lat? Mam przed sobą górę, boginię. Odwiecznego wroga, choć nie dostrzegam w niej nic znajomego.

– Jules – mówi. A potem: – Antonia.

To imię budzi we mnie natychmiast poczucie trafności. Tak. Jestem Antonią. Autorką książki, którą mój ojciec chciał odzyskać za cenę życia, aby zachować tajemnicę i zapewnić mi bezpieczeństwo. Nagle czuję to aż do szpiku kości. Antonia to kolejne wcielenie Alchemika. Może nawet pierwsze. Ale to poczucie pewności szybko wyparowuje. Ta wiedza nie sprawi, że będę choć odrobinę bezpieczniejsza.

Ciężar spojrzenia Królowej sprawia, że mam ochotę się skulić, rzucić się do ucieczki. To jest wręcz fizyczne doznanie, jakby fala gorąca uderzyła w moje oczy. Ale zmuszam się, żeby stać prosto, z uniesioną głową.

Królowa śmieje się, jej niski śmiech przetacza się po sali jak daleki grzmot.

– Spotykamy się i spotykamy, i spotykamy.

– To na mnie ci zależy. Nie na Inie – mówię. – Cokolwiek planujesz, możesz zostawić ją w spokoju.

Znowu ten śmiech. Walczę ze sobą, żeby nie stchórzyć.

– Nie musisz obawiać się o Inę – oznajmia Królowa. – Nie jest mi już potrzebna. – Jej głos brzmi dziwnie, zbyt miękko. – Ale to naprawdę słodkie z twojej strony, że wyznaczyłaś Roana Gerlinga do ochrony Iny, choć tak bardzo go kochasz.

– Ja... Co? – Strach i zmieszanie dławia mnie w gardle. Skąd ona wie, co powiedziałam Roanowi?

Królowa robi krok naprzód i kładzie rękę na mojej piersi, dokładnie nad moim mocno bijącym sercem. Przez materiał sukni czuję jej palce, zimne jak lód. Chłód rozchodzi się po całym moim ciele ze złowrogą prędkością, jak po srebrnym drucie.

– Masz rację. Ina Gold nie ma serca, którego potrzebuję. – Teraz głos Królowej rozszczepia się na dwa głosy, jeden jej własny, a drugi dziewczęcy, konspiracyjny. Ten podwójny dźwięk sprawia, że wywraca mi się żołądek.

Serce.

Kiedy jej słowa przebrzmiały, zaczynam drętwieć – staram się zacisnąć pięść, ale moje palce sztywnieją, buntują się przeciwko mojej woli.

Potem uginają się pode mną nogi i padam na klęczki.

Uderzam kolanami o ziemię. Opuszczają mnie resztki sił, moje mięśnie i kości zmieniają się w wodę. Przypominam sobie słowa Addie o dotknięciu Królowej i wyraz jej twarzy, przypominający wystraszoną sarenkę: *zupełnie jakby wysączano z ciebie czas.*

Nie jestem nawet w stanie unieść głowy, nie mówiąc już o bronieniu się. Słyszę, że za moimi plecami otwierają się drzwi i ktoś wchodzi do pokoju.

– Nie – powtarza Królowa, jej głos dochodzi teraz ze wszystkich stron, emanuje ze ścian, z samej ziemi. – Ina nie jest tą, której potrzebuję. I nigdy nie była.

Potem mała, chłodna dłoń dotyka mojego podbródka i unosi moją głowę. Nie otwieram oczu, nie chcę widzieć błysku noża, który podrzyna mi gardło, czy przebija serce. Nie chcę wiedzieć, jak bardzo zawiodłam Inę – zawiodłam wszystkich. Jeżeli Liam miał rację i Czarodziejka jest złem, to ja, w swojej głupocie, właśnie podpisałam wyrok na cały świat, oddałam go w jej władanie.

Ale...

– Otwórz oczy, Jules – odzywa się ktoś. Nie Królowa.

Otwieram posłusznie.

Caro klęczy przede mną i z uśmiechem obejmuje mój policzek. Za nią stoi Królowa ze wzrokiem wbitym w przestrzeń.

– Caro! – Oddycham z ulgą. – Królowa jest...

– Jest niczym – przerywa mi Caro.

Pierwszy raz odkąd ją znam, Caro nie szepcze. Jej głos jest wysoki, czysty i znajomy jak bicie własnego serca. Ma na sobie suknię z czarnego aksamitu, nie uniform służącej. I rozpuszczone włosy.

Zupełnie nie wygląda na chorą, nie ma śladu gorączki.

Nie patrząc za siebie dotyka opuszczonej ręki Królowej. I Królowa upada. Osuwa się na ziemię szybko i cicho jak marionetka, której odcięto sznurki.

W tym momencie z gardła wyrzywa mi się wreszcie krzyk przerażenia, ale nikt nie wchodzi i nic się nie dzieje: Królowa leży na boku, jak bezwładna kupka aksamitu, jedwabiu i kości. Wzdragam się na ten widok.

Caro głęboko wciąga w płuca powietrze. Jakby coś utraconego napłynęło do niej z powrotem. Nawet klęcząc przede mną, wydaje się wyższa. Majestatyczna. Potężna.

Nie mówię nic, tylko samotna łza spływa po mojej twarzy na palce Caro. Caro cofa rękę i wyciera palce o spódnicę. Oczy leżącej za nią Królowej są zamknięte, jej pierś unosi się i opada ledwo dostrzegalnie.

– Powinnam raczej powiedzieć: była niczym – mówi Caro z niesmakiem. – Królowa była kiedyś moją przyjaciółką. Bawiłyśmy się razem jako dzieci. Nawet wówczas dostrzegałam

jej potencjał.

Caro uśmiecha się do jakiegoś odległego wspomnienia, a może wyobrażenia.

– A potem nastąpiła inwazja. Wkrótce ona poprowadziła armię Sempery do zwycięstwa. Po bitwie została okrzyknięta królową. A ja stałam u jej boku, w cieniu, przez cały czas.

Moje ramiona pokrywają się gęsią skórą. Caro recytuje lekcję historii – każde dziecko w Semperze wie, w jaki sposób Królowa doszła do władzy.

Ale Caro, w przyływie szaleństwa, mówi o wojnie sprzed pięciu wieków jak o ulubionym wspomnieniu, z tęskną nutką w głosie i dalekim spojrzeniem w oczach. Musi być szalona. Musi. Bo jeśli nie, to popełniłam straszliwy, potworny błąd.

– Początkowo rozważałam możliwość zostania królową – opowiada Caro w zamyśleniu. – Beze mnie armia nigdy by nie wygrała, to ja mordowałam skrytobójczo wrogów, to ja odkryłam ich tajemnice. Ale nie uwierzyłybyś, Jules... – Wymawia moje imię jak przekleństwo. – ...jak bardzo wystawiasz się na cel, zostając królową. – Patrzy na mnie tak, jakby to była największa niesprawiedliwość na świecie. – W końcu zrozumiałam, że rzeczywista władza nie ma nic wspólnego z zajmowaną pozycją. Szczególnie jeśli ktoś jest słaby – cedzi, spoglądając na stłamszoną postać Królowej. – To znacznie lepszy sposób. Królowa nie mogłaby robić tego, co robiłam ja, nie mogłaby chodzić tam, gdzie chodziłam ja, niedostrzegana i niezauważana, jak wszystkie służące. A władzy mi nie brakowało. Bo ona... – Caro macha ręką w stronę nieprzytomnej Królowej – ...mnie wpuszczała. – Robi pauzę i spogląda na mnie znacząco, jakby przyszła pora, żebym się wreszcie odezwała.

– Co to znaczy – chrypię – że cię wpuszczała?

– Ty też mogłabyś nauczyć się, jak to robić, gdybyś miała więcej czasu. Szeptać komuś do ucha i wchodzić w jego umysł jak we własny. – Przygląda mi się z namysłem. – Ja miałam czas, Jules, co stanowi pewną rekompensatę za władzę, którą mi ukradłaś.

Powoli zaczyna docierać do mnie potworna prawda – ogromna i mroczna, której przez cały czas nie potrafiłam uchwycić, cały czas tkwiłam w błędzie. Ale moje ciało buntuje się przeciwko temu, wypiera tę świadomość. Nie potrafię ubrać jej w słowa.

Caro śmieje się cicho na widok wyrazu mojej twarzy.

– Nie bądź taka zaszokowana, Jules – szydzi. – Gdyby nie ja, Królowa już dawno by nie żyła, albo przynajmniej zmieniłaby się w worek spróchniałych kości jak to stare babsko z zachodniej wieży. Pomagałyśmy sobie nawzajem; ja dawałam jej życie, ona mnie władzę. Ale ona to nie ty. – Caro zerka znowu na leżącą bezwładnie Królową i wzdycha. – I jestem już zmęczona pozostawaniem w cieniu. Pozycją służącej. Krwawym żelazem. Wypiłam setki rocznych monet i nienawidzę ich smaku.

– *Setki rocznych monet.* – Przełykam z trudem. – Jak to możliwe, że nikt nie zauważył? Jak to możliwe, że nikt nie spostrzegł, iż się nie starzejesz?

– Nikt nie zwracał na mnie uwagi, Jules. Kogo interesuje służąca? Ty sama powinnaś najlepiej o tym wiedzieć. – Caro błyska zębami w uśmiechu. – A jeśli ktoś zwrócił uwagę, to

łatwo było tym się zająć.

Uświadamiam sobie, że ona ma rację i robi mi się słabo. Bez trudu mogę sobie wyobrazić, że arystokraci ze wszystkich epok nie zauważyli, iż pewna służąca jest ciągle wolna od zmarszczek, smukła i bystrooka.

Patrzę na Caro, sparaliżowana przerażeniem, a ona śmieje się do siebie. Słońce za oknem zasłoniętym kotarą chyli się już ku zachodowi i w komnacie robi się jeszcze ciemniej niż wtedy, kiedy do niej weszłam. Szczegóły twarzy Caro zamazują się, widzę jedynie ogólne zarysy, wyraziste kości policzkowe, białe zęby i niesamowicie ciemne oczy. Widziałam już kiedyś tę twarz, w ogniu, w błyskawicach i w mroku.

– Jak się zorientowałaś? – chrypię.

– Przez twoje krwawe żelazo, oczywiście – odpowiada Caro i zaczyna spacerować przede mną po pokoju jak dziki kot. – Podejrzywałam to już wcześniej, kiedy dowiedziałam się, że kłamałaś w sprawie rodziców i po tym, co się wydarzyło u wiedźmy, ale zyskałam pewność, kiedy zobaczyłam, jak twój czas wraca w twoje żyły. Widziałam to już przedtem, kiedy byłas Eryn, i May, i Cecily, i... no.

– Ale Ivan cię aresztował, wyprowadził cię na oczach wszystkich, on... – Milknę, znam prawdę, zanim jeszcze na twarzy Caro pojawi się uśmiech satysfakcji. To oczywiste – przez cały czas miała Ivana pod kontrolą. Ta cała historia ze skarbcem była oszustwem, pułapką na mnie. Żeby mnie sprawdzić. – Ty wiedziałaś, że wykrwawię czas, żeby ocalić ci życie.

– Wygląda na to, że znam cię lepiej, niż ty sama.

Prawdziwa przyjaciółka.

Nieprawdopodobny wróg.

– Ty naprawdę jesteś Czarodziejką – wypowiadam szeptem to, czego obawiam się najbardziej, ale ciągle jeszcze liczę na to, że Caro roześmieje mi się w twarz i powie, że się mylę, że oszalałam. Ale nic z tego.

– Wiesz, właściwie powinno być mi przykro – odpowiada Caro. – Ty nigdy nie pamiętałaś mnie tak dobrze, jak ja ciebie. Choć muszę przyznać, że tym razem potrwało trochę dłużej niż poprzednio, zanim zyskałam pewność. Zawsze byłaś przebiegła, Antonio. W każdym ze swoich wcieleń. Co gorsza, zawsze miałaś pomoc. – Ostatnie słowo Caro wypływa z odrazą, jak przekleństwo.

Ledwo zdążyłam pomyśleć o tacie, Lorze, Liamie, wszystkich, którzy mi pomagali, a już Caro wyciąga ręce i obejmuje moją twarz. Ani przez chwilę nie przestaje uśmiechać się do mnie, w jej oczach maluje się prawdziwe uczucie. Głód, przejmujący, odwieczny głód, niepodobny do niczego, co zdarzyło mi się w życiu widzieć.

– Czego chcesz? – szepczę.

– Chcę znów być ponadczasowa – odpowiada. – Od setek lat się starzeję. Wolniej niż inni, ale jednak. Chcę być taka jak dawniej, wolna od lęku przed starością i śmiercią, i nie chcę już dłużej być zmuszona pić krew pastuchów jak jakaś cholerna wilczyca. – Jej oczy wbijają

się w moje, nadal pełne tej straszliwej kombinacji miłości i głodu, a w jej głosie pojawia się nowy, ciemniejszy i głębszy ton. – Chcę tego, co mi ukradłaś dawno temu.

Cała beztroska znika z jej głosu. Puszczą mnie i nagle moje ciało znowu należy do mnie. Podnoszę się z podłogi, przytrzymując się słupka łóżka i staję na słabych nogach. Coś rozrywa od środka moją pierś, jakbym zbyt długo wstrzymywała oddech.

Caro robi krok do tyłu i rozgląda się po bogato wyposażonym pokoju z wyrazem lekkiego niesmaku na twarzy.

– Wszystko będzie jak dawniej, zanim przekułaś czas w żelazo. Skazałaś nas obie. Sprawię, że wszystko wróci do normy, ale nie możemy obie pozostać przy życiu.

Wzdrygnęłam się, co ona przyjmuje ze śmiechem.

– Od prawie pięciuset lat moja moc jest zamknięta w twoim sercu. Myślałam, że zdołam ją uwolnić, zabijając ciebie. Ale zrozumiałam, że to nie wystarczy. – Stuka się palcem we własną pierś. – Muszę najpierw złamać ci serce.

– To masz pecha – syczę. Cofam się o krok i niepostrzeżenie sięgam ręką za siebie w nadziei, że na nocnym stoliku znajdę jakąś broń, ale moje palce trafiają w próżnię. – Mój ojciec nie żyje. Moja matka nie żyje. Widziałam, jak moi przyjaciele przymierają głodem – moje serce już zostało złamane.

Ale Caro potrząsa głową ze zniecierpliwieniem.

– Nie – mówi. – Nie wiesz, co to złamane serce, dopóki ktoś kogo kochasz, nie skona w twoich ramionach. – I uśmiecha się do mnie przerażającym, krzywym uśmiechem. – A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko towarzystwu... – mówi, jakbym miała jakiś wybór – ... jest tu ktoś, kogo, jak sądzę, zobaczysz z przyjemnością.

Podchodzi do drzwi sprężystym krokiem i otwiera je. W progu stoi Ivan, a obok niego Roan Gerling ze związanymi rękami.

W pierwszej chwili nie wierzę własnym oczom. Roan, blady, z szeroko otwartymi oczami, opuszczonymi ramionami i związanymi z przodu rękami robi dwa kroki w głąb pokoju, popychany z tyłu przez Ivana. Zdradziecki kapitan trzyma w ręku nóż, którego czubek dzieli od nasady szyi Roana zaledwie szerokość palca. Ivan z determinacją patrzy wprost przed siebie, ale Roan widzi skręconą postać Królowej na podłodze i szczeka mu opada.

Chcę krzyknąć do Roana, żeby uciekał, żeby walczył, ale nie mogę wydobyć z siebie głosu. Nie jestem pewna, czy to magia Caro zamyka mi usta, czy strach przed nią. Wargi Caro wyginają się w pełnym zadowolenia uśmiechu. Ivan spogląda na nią i odpowiada uśmiechem.

Zastanawiam się, jak długo zabrało jej przejęcie nad nim kontroli? Co jeszcze dla niej zrobił? Pomimo uśmiechu widzę w jego oczach iskierkę strachu, ale trzymany przez niego nóż nawet nie drgnie. On boi się Caro. To przeraża mnie równie mocno jak widok Królowej, leżącej bezwładnie na podłodze, w pozie szmacianej lalki.

– Dziękuję za pomoc, kapitanie – mruczy Caro. – Pamiętaj: pięć minut.

Ivan mruga, ociąga się. Dziwny rozkaz Caro nappełnia mnie grozą, jakiej dotąd nie znałam.

Przez moment twarz Caro zmienia się w maskę czystej nienawiści, jej oczy rozszerzają się, a wargi unoszą, odsłaniając zęby.

– Idź – warczy. – I zostaw nóż. – Ivan robi krok do tyłu. Rzuca przelotne spojrzenie na Roana, a potem odwraca się i opuszcza pokój. Zanim zatrzasną się za nim drzwi, odwraca się i rzuca nożem. Ostrze zakreśla łuk w powietrzu, błyska srebrzyście i ląduje u stóp Caro. Zamieram.

Caro podnosi nóż i zwraca się do Roana.

– Na kolana. – Jej twarz jest znowu miła, ale w głosie czai się groźba. Roan posłusznie wykonuje polecenie, ze śmiertelnym przerażeniem na twarzy, jak zwierzę zagnane do rzeźni. Pewnie mam w oczach ten sam wyraz.

Nie wiesz, co to złamane serce, dopóki ktoś kogo Kochasz, nie skona w twoich ramionach.

Nagle pojmuję, co zamierza Caro. Zapominam o ostrożności, przebiegam przez pokój i rzucając się pomiędzy zmartwiałego ze strachu Roana i Caro. Stoję twarzą do niej z uniesionymi rękami i ogarnia mnie dziwne poczucie, że odgrywam scenę z jednego z moich koszmarów.

Caro śmieje się.

– Nie posuniesz się dalej – mówię jej, starając się zachować równy ton głosu. – To Gerling. Właściwie księżę.

– Czymże jest księżę wobec bogini? – pyta Caro. – Właściwie... – Odwraca się ode mnie i pochyla się na Królową, która ciągle leży na podłodze. – ...czymże jest królowa wobec bogini?

Caro zaciska w garści materiał sukni Królowej i z nadnaturalną siłą i łatwością podnosi wyższą od siebie kobietę do pionu.

Z gardła Królowej wydobywa się straszliwy charkot – a nie miałam pewności, czy ona nadal żyje. Jej głowa opada do tyłu, z jednego z nozdrzy sączy się ciemnoczerwona krew. Otwiera oczy i widzi Caro. Pochyla się gwałtownie do przodu, zatacza się i traci równowagę. Zaczyna wymachiwać dziko ramionami, jak ptak skrzydłami, zagięte palce jej rąk wyglądają jak szpony.

Caro jest gotowa. Ze zgrozą obserwuję, jak obchodzi Królową i z tyłu obejmuje ją w pasie ramieniem. A drugą ręką wbija jej nóż w pierś – jeden ruch i po wszystkim – a potem popycha z trudem łapiącą powietrze kobietę w moją stronę.

Mój krzyk wypełnia całą komnatę. Zataczam się do tyłu, ale nie mam dokąd uciec. Królowa leci na mnie, upada, odruchowo unoszę ramiona, żeby ją złapać. Spostrzegam w przelocie jej szeroko otwarte, jasne oczy i pierś zalaną krwią – krwią, która bryzga na mnie, na moją twarz, moje ręce. Mój krzyk brzmi obco, jakby nie wydobywał się ze mnie. Jedyne, co do mnie dociera, to ciepło krwi, bezwładny ciężar Królowej w moich ramionach i obraz jej bladych oczu, z których ucieka życie. Czuję w sobie coraz większą pustkę. Ta kobieta przez cały czas była marionetką w rękach prawdziwego potwora.

Opuszczam jej ciało na podłogę i sama padam obok, uderzam o ziemię rękami i kolanami, i wymiotuję. Zapach krwi otacza mnie jak czerwona mgła.

Przedziera się przez nią dopiero krzyk Roana.

Unoszę głowę. Zza ciała Królowej widzę Roana, jego pierś, unoszącą się ciężko i oczy wpatrzone w bezwładną postać władczyni. A za nim stoi Caro. Jednym zręcznym ruchem chwytą Roana za włosy i odchyła jego głowę do tyłu, a drugą przykładą mu do gardła zakrwawione ostrze. Zamieram, klęcząc nad Królową, boję się nawet mrugnąć, żeby nie sprowokować jej do posłużenia się nim ponownie.

– Niezmiernie ułatwiłaś mi zadanie, Jules – odzywa się Caro. – Wszyscy widzieli, jak lord Gerling na ciebie patrzy. Nikt nie będzie wątpił w wymyśloną przeze mnie bajeczkę: że jesteś zdrajczynią, która go uwiodła. Namówiłaś go, żeby cię wpuścił do komnaty Królowej. A potem zamordowałaś ich oboje.

Oczy Roana zwracają się w moją stronę, a potem bezradnie w bok – nie może odwrócić głowy, żeby spojrzeć na Caro, bo sam podciąłby sobie gardło. Słowa Caro nie mogą mieć dla niego sensu, ale zdaje sobie sprawę, że znajduje się w niebezpieczeństwie.

– Caro, proszę – chrypi Roan.

– A ty. – Caro przyciska lekko nóż i kropla krwi Roana miesza się na ostrzu z krwią Królowej. – Ty, piękny głupcze, przyprowadziłeś do mnie prawdziwego Alchemika. – Całe moje ciało sztywnieje. – Popeliłeś błąd, przyjeżdżając tutaj, Jules – mówi z lekkim rozbawieniem w głosie. – Gdybyś pozostała w Crofton, gdybyś zadowolila się kochaniem Roana Gerlinga na odległość, mogłabym nigdy cię nie odnaleźć.

Ale ja prawie nie słyszę jej słów. Patrzę w oczy Roana, który gorączkowo przenosi spojrzenie z ciała Królowej na mnie. I nagle powracają do mnie wspomnienia – promienie słońca przefiltrowane przez liście dębu, pojedynki na drewniane miecze do utraty tchu, nieopanowany śmiech i całkowity brak poczucia, że jestem kimś gorszym. Może dzisiejszy Roan to tchórz i głupiec, ale nie zasługuje na taką śmierć.

– Proszę – mówi cicho Roan i przełyka ślinę, jego skóra ociera się przy tym o ostrze noża, a tryskająca krew spływa na obojczyk. – Błagam, Caro, zrobię wszystko, co zechcesz.

– Ja go nie kocham – wpadam mu w słowo. Kątem oka widzę, że Roan mruga oczami. – A on nie kocha mnie. – Patrzę na Caro z nadzieją, że mi uwierzy, że przyjmie moje zapewnienia za prawdę. Proszę...

Przez moment wydaje mi się, że dostrzegam w jej oczach cień wątpliwości. Ale jest za późno – od początku było za późno. Znam Caro i wiem, że pragnienie złamania mi serca wypaliło z jej umysłu wszystko inne.

– Jeśli chciałaś, żebym miała litość, to nie trzeba było odbierać mi nieśmiertelności – warczy Caro i rysuje głęboką, czerwoną linię na gardle Roana. A potem odsuwa się od niego.

Otwieram usta do krzyku, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Powietrze w moich płucach zmieniło się w ołów. Ktoś trzyma w garści moje serce i wrywa je z piersi.

Roan podnosi ręce do gardła. Marszczy czoło i patrzy w osłupieniu na krew spływającą między jego palcami na klatkę piersiową. Zamyka usta, otwiera je i zamyka znowu; bezgłośnie, bezradne słowa, stracone dla mnie, stracone dla wszystkich żyjących.

A potem pochyla się do przodu i wali się na podłogę twarzą do dołu, obok Królowej. I nieruchomieje.

Przez dłuższą chwilę wydaje mi się, że czas zatrzymał się znowu i z całej siły staram się go cofnąć, żeby to wszystko się nie stało.

Ale po podłodze rozlewa się krew. Czas wcale nie stanął. Po prostu w pokoju zapadła cisza, martwa cisza, jak w grobie.

Caro patrzy na mnie i czeka – abym się załamała, aby moc znowu do niej wróciła. Ale nie dzieje się nic. I nie dzieje się nic. Przechyla głowę na bok i pochmurnieje – na jej twarzy maluje się rozczarowanie.

A we mnie wybucha gniew, jakiego jeszcze nigdy nie doznałam. Wściekłość buzuje we mnie tak, że chwięję się na nogach. I mówi mi, że jestem żywa – i nie załamana.

– Ty naprawdę go nie kochałaś – stwierdza Caro. – To nieważne. Znajdę tego, kto złamie

ci serce, choćbym miała zabijać po kolei wszystkich ludzi w Semperze. A do tego czasu będziesz uwięziona w Everless.

Wściekłość wywołana tymi słowami popycha mnie do działania. Rzucam się w stronę Caro z wyciągniętymi przed siebie rękami – chcę zatrzymać czas i unieruchomić Caro na chwilę, aby móc zacisnąć ręce wokół jej szyi. Czuję, jak narasta we mnie moc i wytryskuje, ale powietrze w pokoju nieruchomieje w jakichś dziwnych bąblach. Powietrzne bańki pędzą w stronę Caro, która również unosi ręce, odrzuca głowę do tyłu i wybucha śmiechem.

Jej moc i moja zderzają się z głośnym bum!, które zdaje się wstrząsać posadami ziemi, coś odrzuca mnie do tyłu, padam na podłogę, w uszach mi dzwoni. Wokół nas książki spadają z półek, a obrazy ze ścian i rozbijają się o ziemię. Wszędzie sypie się szkło, a kiedy unoszę się, obolała, na łokciu, dziesiątki klejnotów spadają z toaletki Królowej i toczą się po podłodze.

Kiedy dzwonienie w uszach zaczyna stopniowo ustawać, słyszę dochodzące z oddali krzyki i ciężkie dudnienie stóp. Kiedy podciągam się do pozycji siedzącej, drzwi zostają gwałtownie otwarte i do pokoju wpadają strażnicy Everless. Pierwsi stają jak wryci i krzyczą ze zgrozy na widok kałuży krwi i martwych ciał.

– Ratunku! – woła Caro piskliwie i wskazuje ręką na mnie z wyrazem przerażenia na twarzy. Ivan stoi u jej boku i w milczeniu spogląda na ciało Roana Gerlinga. Pięć minut, uświadamiam sobie, chciała mieć strażników za świadków.

Caro nie przestaje krzyczeć, kiedy strażnicy rzucają się do mnie, łapią mnie za ramiona i podnoszą do pionu. Nawet nie próbuję się wyrywać. Bez reszty wypełnia mnie narastająca groza i odraza, nie ma już miejsca na próbę oporu.

Kiedy wyprowadzają mnie z komnaty, Caro przestaje na moment krzyczeć i uśmiecha się, nie odrywając ode mnie wzroku.

EPILOG

Kap.

Kap.

Ka...

Kropla wody zawisa w powietrzu, w połowie drogi do podłogi. Ledwo ją widzę, bo w lochu panuje niemal całkowita ciemność. Ale ta niewielka kulka zawieszona w powietrzu odbija światło pochodni z korytarza. Malutka jak klejnot i podobnie jak on – ładna, ale bezużyteczna.

Uwalniam zatrzymany czas i kropla spada na ziemię. Dołącza do kałuży zbierającej się na kamiennej posadzce, kałuży, która zbliża się powoli w moją stronę i w końcu do mnie dotrze, skulonej w kącie, drżącej i obejmującej ramionami kolana. Moja moc wstrzymywania czasu jest tu kompletnie bezużyteczna. Mogę bawić się kroplami wody w celi, albo zatrzymywać migotanie pochodni na zewnątrz. Ale nie jestem w stanie ogrzać celi choćby odrobinę, ani uciec.

Potrafię trzymać czas w rękach, ale choćbym koncentrowała się najmocniej, nie mogę sprawić, by popłynął wstecz. Próbowałam tego już pewnie z tysiąc razy.

A imię Antonia tkwi w moich ustach jak dziura w zębie. Coś, co kiedyś było słodkie, a teraz jest zepsute. Imię Alchemika, moje pierwsze imię. Wreszcie wiem, kim jestem, czuję w sobie moc i historię, nierozzerwalnie splecione ze sobą, zamknięte w moim ciele – ale tym większą goryczą napawa mnie myśl, że umrę tutaj, że Caro, Czarodziejka mnie pokonała. Zawiodłam Antonię. Zawiodłam swoje wszystkie poprzednie wcielenia, nie wiedząc nawet, kim były i jak ciężką toczyły walkę. Zawiodłam Roana, chłopca, którego kiedyś kochałam. Zawiodłam Semperę – zostawiłam ją w mocy Czarodziejki, a Inę zdaną na jej łaskę.

Serce mi się ściska na myśl o Inie. Mojej siostrze.

Musi mnie nienawidzić, gardzić mną każdą cząstką swego ciała. A czemu nie? Słyszałam szept strażników – wiem, jakie historie rozpowiada o mnie Caro. Że jestem wiedźmą, która uwiodła Roana i wykorzystała go, aby uzyskać dostęp do Królowej. Że zamordowałam Królową, a potem również Roana, ponieważ próbował mnie powstrzymać. Że Caro przyłapała mnie na miejscu zbrodni, stojącą nad ich zwłokami, z zakrwawionym nożem u stóp.

Przez moment zastanawiam się, czy nie pozwolić swojemu umysłowi odpłynąć. Mogłabym zamknąć oczy i zatracić się w wizjach, zatonać we wspomnieniach, które są

czyste, prawdziwe i bogate, jak niekończący się sznur pereł. Ale opieram ręce o zimną, kamienną podłogę i próbuję zakotwiczyć się w terażniejszości, w tej celi i wyłącznie w tej celi. Bo jeżeli zatracę się w przyjemnych wspomnieniach, to nigdy nie wrócę – a jeżeli będę myślała o kałuży krwi Roana na podłodze, albo wyobrażała sobie twarz Iny w chwili, gdy dowiedziała się o jego śmierci, to wpadnę w rozpacz.

A gdybym się teraz załamała, to byłaby jeszcze większa zdrada Antonii i wszystkich moich poprzednich wcieleń. Więc koncentruję się na tym, co wiem.

Caro potrzebuje mnie żywej, w przeciwnym razie już byłabym martwa. Musi złamać mi serce, żeby przejąć ukrytą w nim moc. To powinno mnie uspokoić, ale nie ufam swojemu sercu, już poharatanemu utratą tych, których najbardziej kochałam.

Gdzieś w najciemniejszych zakątkach mojego umysłu rozlega się cichy szept, że powinnam mieć nadzieję, iż umrę, zanim ona zdoła mnie złamać. Ale myśl o pożegnaniu się z życiem teraz – kiedy zrozumiałam wreszcie, kim jestem, kiedy czuję w sobie moc ogniskującą się w opuszkach palców – sprawia, że każda komórka mojego ciała gwałtownie protestuje.

Nie. Nie zgadzam się na śmierć.

Odgłos kroków na kamiennej posadzce korytarza aż dzwoni w zimnym, wilgotnym powietrzu. W miarę zbliżania się do mojej celi staje się coraz głośniejszy. Nie ruszam się z miejsca. Strażnicy nigdy nie podchodzą na tyle blisko do krat, żebym mogła ich dosięgnąć i zabrać im klucze.

Ale tym razem jest jakoś inaczej. Kroki wydają się lżejsze niż zwykle i niepewne. Zatrzymują się w równych odstępach czasu, jakby ktoś stawał i zaglądał do cel.

Podnoszę wzrok, kiedy w polu widzenia pojawia się Liam. Na mój widok szerzej otwiera oczy i szybko podchodzi do drzwi celi, a moje serce – choć poranione i wyczerpane – wzbiera radością i zaczyna mocniej bić.

Ale nie. Liam nie powinien tu być. Przed oczami staje mi obraz Roana, trzęsącego się z przerażenia, z nożem Caro na gardle; a potem Roana leżącego na podłodze, z szeroko otwartymi, martwymi oczami, w kałuży krwi. Jeśli Caro odkryje, że Liam mi pomaga, zrobi to samo z nim – albo coś gorszego.

– Co robisz? – Mój głos, od dawna nie używany, brzmi ochryple. Podnoszę się z ziemi i staję na trzęsących się nogach. Liam zaciska palce na kratkach. Wygląda okropnie, jego twarz jest ściągnięta i bledsza niż zwykle, przez co cienie pod oczami stają się jeszcze ciemniejsze.

– Jules – odzywa się cicho. – Dobrze się czujesz?

– Nie powinieneś tu przychodzić – rzucam, próbując ukryć strach. – Caro może...

– Wiem, co Caro robi – przerywa Liam. Jego głos jest pełen rozpacz; przecież jego brat zginął, pamiętam. – Powiniennem się zorientować, kim ona jest. Gdybym... – Liam potrząsa głową i odwraca wzrok, ale wydaje mi się, że dostrzegam w jego oczach łzy.

– Przykro mi z powodu Roana – mówię najdelikatniej, jak potrafię. Nawet jeśli bracia nie bardzo się ze sobą zgadzali, to nie wyobrażam sobie, jak bym się czuła, widząc brata czy siostrę z poderżniętym gardłem, bez powodu, z czystego okrucieństwa.

Zaciskam pięści na myśl o Inie. Odpycham od siebie lęk.

– Roan to tylko początek – mówi Liam ponuro. – Caro kazała zamknąć cały zamek na czas przygotowań Iny do objęcia tronu. Wyłapuje wszystkich, którzy mieli jakikolwiek związek z tobą i przesłuchuje ich.

Krew zamienia mi się w lód. Lora. Hinton.

– Ona musi złamać mi serce – mówię, na poły do siebie. – Szuka kogoś, kogo kocham.

– Musisz się stąd wydostać, zanim zaczną ich zabijać – kończy moją myśl Liam. Jeszcze mocniej zaciska palce wokół krat, aż jego poranione kłykcie bieleją. – Musimy iść. Mamy tylko kilka minut.

Zaciskam powieki i staram się uspokoić rozbiegane myśli, zastanowić się. Obrazy tych, których kocham, przepływają mi przed oczami duszy w milczącym pochodzie. Przełykam strach, ogarniający mnie na myśl o kolejnych ofiarach nienawiści Caro i podchodzę do Liama, patrząc mu w oczy.

Kiedy kładę dłoń na rękę Liama, przebiega go dreszcz, ale nie odsuwa się. Jego skóra jest ciepła, to jedyne ciepło, z którym zetknęłam się od wielu dni, więc rozkoszuję się tym doznaniem.

– Zamknij oczy – mówię mu. Ja również zamykam swoje i przyzywam całą swoją moc, aby zatrzymać przepływ czasu wokół nas.

Cela i korytarz przed nią są tak gołe, że kiedy otwieram oczy, nie wiem, czy mi się udało. Ale po chwili zauważam, że nie słyszę już kapania kropel wody, a pochodnia za plecami Liama przestała migotać.

Ale Liam jest ze mną, oddycha ciężko, choć wszystko dokoła znieruchomiało. Całe moje ciało trzęsie się z osłabienia; niedostatek snu i pożywienia sprawia, że czuję w kończynach ciężar czasu. Ale udaje mi się ścisnąć rękę Liama. Powoli otwiera oczy i z podziwem mruga powiekami, kiedy uświadamia sobie, co się stało.

Cofam ręce – ignorując dojmujące poczucie żalu – i wskazuję w głąb korytarza.

– Tam są strażnicy. Mają klucze.

Liam pojmuje w lot. Cofa się, przystaje tylko na moment, zafascynowany widokiem znieruchomiłego płomienia pochodni, a potem odchodzi, pewnym krokiem zmierzając w głąb korytarza. Ręce mi się trzęsą ze strachu o niego.

Ale po kilku minutach jest z powrotem, z kluczem w ręku. Gmera w zamku, a ja czekam z mocno bijącym sercem. Drzwi stają otworem wcześniej, niż się spodziewałam, wychodzę z celi i potykam się, odwykłam od stania na własnych nogach. Liam podtrzymuje mnie, otacza ramieniem moje barki, a ja przytulam policzek do jego torsu i przez chwilę tak stoimy. Jest mi ciepło i czuję się niemal bezpiecznie. Ale wiem, że nie możemy tak trwać.

Czas zatrzymał się tutaj, w lochu, na dole, ale na górze – dla Caro, dla Iny, dla wszystkich, których kocham – sekundnik zegara tyka normalnie.

Liam odsuwa się pierwszy i bierze mnie za rękę.

– Wiem, jak stąd wyjść – mówi niskim, natarczywym głosem. – Chodź za mną.

Prowadzi mnie podziemnymi korytarzami, starając się nie iść za szybko, choć wyczuwam, że najchętniej puściłby się biegiem. Korytarze stają się coraz węższe, powietrze w nich jest zimne, wilgotne i pachnie wodą. Początkowo liczę sekundy w oczekiwaniu na pościg, który ruszy za nami – ale wkrótce stać mnie tylko na stawianie jednej nogi przed drugą, ponieważ pomimo osłabienia koncentruję się na wstrzymywaniu czasu tak długo jak tylko się tylko da. Ale zaraz będę musiała z tego zrezygnować, bo inaczej zemdleję.

W końcu docieramy do wąskich, kręconych schodów, które prowadzą w górę, coraz wyżej i wyżej, jakby nigdy nie miały się skończyć. Ale docieramy jednak do kresu wędrówki – do małego pomieszczenia oświetlonego lampką oliwną. Wyglądam przez okno i widzę jezioro, a za nim zamek – musimy znajdować się w jednym z szałasów przy północnym murze, w których ogrzewają się strażnicy pełniący wartę. Jest tu prycza i stół zastawiony prowiantem, oraz drzwi naprzeciw nas, za którymi szarzeje świt.

Wypuszczam rękę Liama i padam na pryczę. Wciągam w płuca tyle świeżego powietrza, ile tylko się zmieści. Moje kończyny są słabe i wiotkie. Obserwuję Liama, który pakuje zaopatrzenie do dwóch plecaków, a potem odwraca się i podaje mi jeden z nich.

– Dzisiaj możemy się ukryć u Addie – mówi. – A jutro odejdziemy tak daleko od zamku, jak tylko się da.

Twarz Liama emanuje taką szczerością, że patrzenie na nią aż boli. Już zaryzykował dla mnie własne życie, a teraz zamierza zrezygnować ze wszystkiego, co zna.

Nie mogę na to pozwolić.

– Caro zabiła Roana, bo myślała, że go kocham – mówię.

Coś mignęło w oczach Liama.

– Ale go nie kochałaś.

Czuję w piersi ukłucie bólu.

– Możliwe, że nie. A może tylko nie dość mocno. Ale nie w tym rzecz. – Patrzę prosto w oczy Liama, chciałabym, żeby zrozumiał, żeby odczuł niebezpieczeństwo krążące wokół nas. – Nie możesz iść ze mną, Liamie. Zapłaciłbyś za to życiem.

Jego usta drgnęły. Czekam, by zaczął ze mną polemizować, ale on tylko patrzy na mnie przez dłuższą chwilę, po czym kiwa głową. Ogarnia mnie mieszanina ulgi i rozczarowania.

– Gdybym wcześniej ci zaufał... – mówi w końcu Liam i głos mu się załamuje. Bierze głęboki oddech, a potem kontynuuje. – Gdybym powiedział ci, co wiem, nie doszłoby do tego wszystkiego. – To, czego nie dopowiedział, wisi w powietrzu. Królowa żyłaby nadal. Roan żyłby nadal.

– Nie doszłoby również do tego, gdybym cię posłuchała i zaszła się w Ambergris –

kontruje cicho. – Możemy się obwiniać do woli, ale to nie pomoże powstrzymać Caro. – Mój głos załamuje się przy jej imieniu. Wyciągam rękę po plecak.

Liam patrzy mi w oczy.

– Zaczekaj. – Jego palce muskają wierzch mojej dłoni i cofają się. Otwiera szufladę pod stołem i wyciąga niewielką, zniszczoną książeczkę w skórzanej oprawie. Jej widok wyzwala we mnie falę wspomnień – pamiętam, jak w zimne noce siedziałam na kolanach taty w naszej chacie i słuchałam, jak czytał opowieści z tej książki. Czasami otwierałam sama okładkę, wodziłam palcem po zapisanych na kartkach wyrazach i miałam poczucie, że należą do mnie, choć byłam jeszcze za mała, żeby sama czytać. Napływają również inne wspomnienia – moje, ale nie moje – myśli Antonii i wszystkich innych moich żywotów, wszystkich innych wcieleń, ich wspomnienia i nadzieje, miłości i obawy – to wszystko tworzy moją krew i kości. To tego tata szukał w skarbcu, za to oddał życie.

– Nienawidzę myśli, że będziesz sama – mówi Liam cicho.

Po raz pierwszy od dawna – wydaje mi się, że niemal od wieków – budzi się we mnie isierka nadziei.

– Nie jestem sama – odpowiadam, biorąc od niego książkę. Nie mogę być sama, skoro mam słowa z przeszłości, przemawiające do mnie z tych stronic.

– Co chcesz dalej robić? – pyta cicho Liam.

– Nie wiem – przyznaję. – Ukryć się. Nauczyć się siebie. A potem, kiedy będę gotowa, spróbuję stawić czoła Caro.

– Jeszcze nie jest za późno, żebyś zniknęła – mówi Liam. – Możesz zmienić nazwisko. Opuścić Semperę. Ona cię nigdy nie znajdzie.

– Znajdzie mnie – odpowiadam z pełnym przekonaniem. – Nie znasz jej tak dobrze jak ja. Ale ja nie zniknę. Nie zostawię cię... nie zostawię wszystkich pod jej kontrolą na wieczność.

– Chwytam Liama za rękę. – Zostań tutaj, w Everless – proszę. – Będę cię potrzebowała, zanim to się skończy.

Powoli, bardzo powoli kiwa głową.

– Pomogę ci w miarę swoich możliwości. I nie mówię żegnaj, Jules – szepcze. – A teraz uciekaj.

Rzucam jeszcze ostatnie, przeciągłe spojrzenie na Liama – na tego chłopaka, którego tak długo nienawidziłam, a który mnie chronił – nawet wtedy, kiedy sam jeszcze był dzieckiem. Jego oczy wyglądają jak czarne otchłanie wypełnione tęsknotą i trwogą. Przez chwilę mam ochotę go pocałować – ale powstrzymuję się, przypominam sobie, że mój dotyk to znak śmierci.

– Dziękuję, Liamie – mówię.

A potem odwracam się do niego plecami i odchodzę w noc, przeszłość ciąży mi na ramionach jak brzemię, ale idę w przyszłość, szaloną i nieznaną jak moje własne serce.

PODZIĘKOWANIA

Każda książka jest w pewnym stopniu dziełem zbiorowym, ale w szczególny sposób dotyczy to *Everless*. Wiele osób przyczyniło się do powstania tej powieści i wszystkim wam należy się moja dozgonna wdzięczność.

Dziękuję całemu zespołowi Glasstown Entertainment za to, że moje marzenie zostało zrealizowane: Lexie Hillyer, Lauren Oliver, Rhodie Belleza, Kamilli Benko, Torze Sonin, Adamowi Silbera, Emily Berge, a szczególnie Alexie Wejko. Alexo, bez ciebie nie byłoby tej książki. Dziękuję ci za długie godziny spędzone wraz ze mną nad tymi stronicami. Sprawily mi wiele radości i prowokowały dziwne spojrzenia, gdy omawialiśmy w kawiarniach morderstwa i reinkarnację.

Moim wspaniałym wydawcom, Ericie Sussman, Tarze Weikum, Kari Sutherland i wszystkim z HarperTeen za nadanie kształtu tej książce i opiekę nad nią, od początku do samego końca. Od eksperckiej redakcji poczynając, poprzez cudowną okładkę, a na pracy przy wyekspediowaniu tej książki w świat, co ma takie ogromne znaczenie, kończąc. Specjalne okrzyki zachwytu kieruję do adiustatorów, którzy zmagali się z moją chroniczną niemożnością dotrzymania terminów.

Podziękowania również:

Dla Stephena Barbara i Lyndsay Blessing z Inkwell za znalezienie *Everless* domu i rozsyłanie jej po całym świecie. Pomyśleć, że moje słowa dotrą do krajów, w których nigdy nie postawiłam stopy, w językach, którymi nie mówię – to nigdy nie przestanie wydawać mi się surrealistyczne.

Dla wszystkich z Curtis Brown za dopingowanie mnie, wznoszenie wraz ze mną toastów za dobre wiadomości i zawsze otwarte drzwi, kiedy potrzebowałam rady. Jestem wielką szczęściarą, że pracuję w miejscu, do którego naprawdę chcę przychodzić każdego dnia.

Dla wszystkich nauczycieli i mentorów, których spotkałam na swojej drodze, a którzy przekonali mnie, bym mierzyła wysoko, szczególnie Sonji Saunders, Jennifer Nelson, Kelly Bunte, Maggie Shea i Amy Bloom.

Dla mojej rodziny – Rachel, Bena, Hannah, Babci i Dziadka, Buni i Dziadzia – którzy czytali moje pierwsze próby pisarskie i (pomimo tego) zachęcali mnie przez cały czas do pisania opowiadań.

Dla Henry'ego, za to, że stał przy mnie na każdym etapie tej podróży, za to, że był bardziej podniecony dobrymi wiadomościami niż ja sama i za to, że nie narzekał, kiedy

wycofywałam się ze świata na całe dni, aby pisać. Za to, że codziennie pobudzał mnie do śmiechu. Wiem, że powtarzam to bez przerwy, ale jestem prawdziwą szczęściarą, że cię mam.

Dla taty, za setki nocy przesiedzianych na podłodze w korytarzu, w równej odległości od sypialni wszystkich dzieci i czytanie Harry'ego Pottera, Kronik Narnii, *Wateship Down* i wielu innych. I za to, że zawsze udawało mu się znaleźć kolejną opowieść, która zaczynała się strasznie, ale kończyła się dobrze.

I dla mamy, za wspieranie mnie w podróży po niespokojnych wodach zarówno pisania, jak i życia, za to, że nigdy nie zwątpiła w moje możliwości. Jeśli odbyłam daleką drogę od Stleznena, przyjacielskiego potwora morskiego, to dzięki tobie.